

Augustyn Necel

KRAWY SZTORM

SZWEDZI NA KASZUBSKIM BRZEGU

Jesienną burzliwą nocą podczas wojny trzydziestoletniej na redzie słowińskiej wsi Rowy, leżącej przy ujściu Łupa wy do Bałtyku, rzucił kotwice wielki okręt wojenny. Załoga spuściła szalupę. Wsiadło do niej kilku ludzi i powiosłowali do brzegu. Krótco po północy ktoś począł łomotać do plebanii. Wyciągnięty z piernatów, zaspany pastor otworzył drzwi nocnemu przybyszowi, po czym został natychmiast zawleczony do kościoła. Tam przed ołtarzem, na którym paliły się świece, ujrzał młodą parę w cudzoziemskich, weselnych strojach i dwóch świadków. Pan młody dał duchownemu talara, prosząc o dopełnienie obrządku zaślubin. Gdy nie pomogło złoto, cudzoziemiec wyciągnął z fałd płaszcza króciwę. Ten argument poskutkował.

— Umywam ręce — oświadczył drżącymi ustami słowiński pastor, poblądwszy z przerażenia.

Pospiesznie dopełnił obrządku. Spisano akt ślubny. Obaj świadkowie złożyli pod nim podpisy. A kiedy Ucichło skrzywienie gęsiego pióra, mącące pospołu ze skwierczeniem knotów świec ciszę pustawego zboru, stała się rzecz niespodziewana i straszna. Oblubieniec wyszarpnąwszy z pochwy klingę kordelasu czy puginału, przebił pierś panny młodej. Zwłoki jej marynarze zawinęli w opończę, ponieśli na wybrzeże i włożyli do łodzi. Mały orszak weselny odpłynął bez słowa szalupą, dobił do burty statku, który po chwili rozwinąwszy żagle zniknął w nocnych ciemnościach. Pastor zaś pospieszył do domu i zapisał całe niesamowite zdarzenie w kronice kościelnej Rowów.

Mówiono podobno, że owym tajemniczym oblubieńcem był król szwedzki Gustaw Adolf. Tak przynajmniej twierdził nauczyciel Nowe z Wrześcia w ziemi lęborskiej jednemu ze zbieraczy ludowych sag, opowieści, zabobonów, zwyczajów i baśni Pomorza w drugiej połowie ubiegłego stulecia. Trudno dzisiaj stwierdzić, czy zacytowana opowieść ma jakiegokolwiek podstawy historyczne, a nawet czy rzeczywiście podobne zdarzenie zanotowano w kronice zboru nadmorskich Rowów. Nie ma na to niezbitych dowodów, takich jak na przykład na autentyczność innej nocnej przygody zapisanej przez mnicha-kronikarza w "Rocznikach oliwskiego klasztoru" pod rokiem 1603, kiedy rybacy z Mechlinek widiami i kosami zmusili do odwrotu szwedzki desant wysadzony na brzeg w pobliżu ich wsi. Historię więc znad ujścia Łupa wy zaliczyć należy do podań pomorskich, w których Szwedzi odgrywają niemałą rolę.

W Toruniu wspomina się o skazańcu, który z wysokości szubienicy dojrzał nadciągające wojska feldmarszałka Wrangla i ocalił miasto przed niespodziewaną napaścią. W Grudziądzu

— o Szwedzie zakochanym w polskiej szlachciance i zabitym koło studni na zamkowej górze. W

Chmielnie — o trzech dzwonach zrabowanych z kościoła, które wraz z barką i szwedzkimi żołnierzami zatoniły w jeziorze. Pod Kwidzynem pokazują mieszkańcy Powiśla szwedzkie cmentarzysko. Pod Chełmnem kamień, na którym miał śniadać Karol Gustaw. Pod Chojnicami w przydrożnym lesie można odszukać miejsce, kędy obozowali Szwedzi. A ileż podobnych, choć dotychczas nigdzie nie zanotowanych wątków wiąże się z gdańskim pobrzeżem!

I

Kolejarz w czerwonej czapce podniósł chorągiewkę. Pociąg, składający się z kilku zaledwie wagonów, sapnął i ruszył z puckiej stacji. Po chwili dudni już na moście nad Płutnicą i powoli wspina się na zbocze Swarzewskiej Kępy. Za oknem przedziału widać zakole Wiku, zlodowaciałego u brzegów zarosłych trzciną. Ciemniej nad nim wśród ośnieżonych drzew domki miasteczka i wieżasta fara Świętego Piotra. Stary wojenny port Rzeczypospolitej, kędy stacjonowały kaperskie okręty ostatniego Jagiellona i flota Wazów, oddala się, znika w błękitnej mgiełce. Ukazuje się natomiast strzelista dzwonnica Swarzewa — rybackiej Częstochowy.

Wagon świeci pustkami. Dopiero we Władysławowie zapełniają go rybacy i pracownicy zakładów zbudowanych przy

tutejszej przystani. Mój towarzysz podróży, Augustyfr Necel, poznaje wśród nowo przybyłych znajomego. To Waliszek, czyli Walenty Wałkowe z Jastarni. Krępy woszcz ma na głowie uszatą mucę obszytą czarnym barankiem. Nogi jego zaś aż do kolan tkwią w filcowych butach. Na widok Necla uśmiecha się, ścisną nam ręce i wyciągnąwszy z kieszeni zatłuszczonego waciaka kaszubski różk z tabaką zagaja rozmowę sakramentalnym:

— Chceme le so zażec?

Trudno odmówić! Zażywamy, a potem już rozmowa toczy się gładko, bo Waliszek z niejednego pieca jadał chleb i czego jak czego, ale wspomnień mu nie brak. Z rodzinnego domu ruszył w świat mając zaledwie piętnaście lat. Zamustrował na niemiecki “sztimer”. Jako okrętowy chłopiec, później zaś ókręt- nik całą gębą, ochrzczony na równiku przez jego królewską mość Neptuna, odbywał długie rejsy, poznał wiele kontynentów, krajów, portów. Był w Afryce, Brazylii, Chinach. Podczas pierwszej wojny światowej, zaciągnięty do służby podwodnej, przeżył w kanale La Manche ciężkie chwile, kiedy to “U-9” wpadła w sieć zastawioną przez Anglików. Do dziś wierzy, iż z tej opresji ocaliło go jedynie wstawiennictwo Swarzewskiej Panny i wdzięczny za ratunek rok w rok pilnie chodzi na każdy swarzewski odpust.

Pielgrzymował zresztą w swym życiu nie tylko do Swarzewa. W pamiętny dzień 10 lutego 1920 roku wybrał się z całą niemal Jastarnią przez zamrażającą zatokę do Pucka i widział na własne oczy jak błękitny generał na białym koniu wjechał w Pucki Wik, tam gdzie dziś stoją skutnicze warsztaty, jak tam przy ujściu Płutnicy rzucił w wodę złoty pierścień zaślubin. Jednak generałów, podwodniaków, rybaków i marynarzy powoli zaczynają wypierać z naszej gawędy... Szwedzi. Nie ci dzisiejsi, ale dawni, z epoki Wazów.

Pociąg zatrzymał się właśnie w Chałupach, gdzie ongi nad przerwą Lasowej Depki wznosiły się szańce, fosy i blokhauzy wielobocznej warowni Władysława IV, króla Polski i (co prawda już tylko

tytularnie) Szwecji. To chyba stało się przyczyną, że Waliszek ponownie zażywszy tabaki jął gadać o tamtych odległych czasach; kiedy — jak opowiadał mi innym razem Edmund Budzisz z Kuźnicy — Szwedzi mocno dali się we znaki ludziom Międzymorza.

— Podobno — mówię — jakiś szwedzki żołdak wyrzucił

wtenczas w Jastarni dziecko z kołyski, sam się w niej usadowił i białki musiały go kołysać?

— Nie tylko takie sprawy działy się tu w dawnych latach

— odpowiada Wałkowe. — Jastarnia nigdy nie należała do żadnego króla, a jastarnicy żyli wolni. Kto uciekł na nasze wydmy, ten nie potrzebował służyć w wojsku. Ale przecież na Szweda niejedyn poszedł z własnej nieprzymuszonej woli. Przed Helem, tam gdzie jeszcze dziś znać ślad kanału, do którego mogły wpływać statki, jest spory pagórek. Zowią go Szwedzką Górką, bo stamtąd nasi strzelali do floty tych szwedzkich morzkułców.

— I to celnie — wtrąca Necel. — W tym właśnie miejscu zdobyto za Zygmunta III szwedzki okręt admirałski “Krystyna”. w

— Kaszebi potrafią strzelać — przyświadcza Wałkowe. —

Za młodu powiadał mi mój ojc, że jednego razu weszła na Wik wielka flota szwedzka. Nieprzyjaciele stanęli naprzeciw Pucka i zaczęli walić z dział do fortecy. Ustrzelili dach na dzwonnicy, wzniecali w mieście pożary, wysyłali trębaczy z wezwaniami, żeby się puczanie poddali ich królowi, bo inaczej wszystko obróca w perzynę. Ale nasi pokazali im figę. Mimo długiego oblężenia ani myśleli wywiesić białej chorągwi.

Za szybą przedziału niczym film przesuwają się panorama zatoki. Chmury ptactwa unoszą się nad spiętrzonymi lodami Mewiej Rewy za Komórkowym Hakiem. Tutaj stał przed wiekami fort Kazimierzowo i królewska kuźnica, od której wzięła miano znajdująca się dziś w tym miejscu rybacka wioska. Jedziemy przez skrawek ziemi, na którym dzieje wycisnęły ^ swą pieczęć i może dlatego nam się zdaje, że stukot kół po szynach podobny jest do ech kanonady, a przed oczami stają obrazy malowane słowami naszego gawędziarza:

Oto puczanie (puczanie lub pucanie — jak mówią Kaszubi) windują na kościelną wieżę siedemnastowieczne dział. Ładują do lufy proch i kulę. Kaszubski kanonier powoli z pełną na-⁶ pięcia uwagą rychtuje armatę ku widniejącym za redą orlo- gom Karola Gustawa. Przykłada do zapalu tłący się lont. Wystrzał targa powietrzem, płoszy mewy kołujące nad zatoką. Dym osnuwa płaski szczyt dzwonnicy. Żelazny ptak szybuje w stronę nieprzyjacielskiej flotylli, uderza w wyniosły kasztel okrętu admirała, druzgocze deski i belki...

— Jo — uśmiecha się Waliszek. — Kaszebi dobrze strzelają. Puczanie trafił prosto w kajutę admirałskiego kurpa. A tam sie-

dział akurat sam admirał tych morzkułców przy obiedzie. Sięgał widelcem po upieczonego koguta, którego przed chwilą koksmat przyniósł mu z kambuza, kiedy kula rąbnęła w misę. Kur rozprysnął się

w drobne kawałki, Szwedzisko zaś zwałiło się pod stół i poczuło, że serce spadło mu w buksy. Zaraz też kazał okrętnikom, żeby rozwinęli żagle, i odpłynął z tego niebezpiecznego miejsca. Tak się tedy skończyło oblężenie, a pu- czanie odbudowali dach na dzwonnicy Świętego Piotra i na pamiątkę zatknęli na czubku blaszanego kura, decht takiego jak ten, co go wielmożny pon admirał zeżreć nie zdążył.

Pociąg zwalnia biegu, staje przed małym dworcem. Z peronu słychać głos kolejarza:

— Jastarnia!

Jesteśmy u celu podróży, “w domu” — jak stwierdza Wałkowe dopinając waciak na wydatnym brzuchu.

— Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej — dodaje po chwili, kiedy stoimy już przed stacją, a pociąg zniknąwszy w dali powiewa modrą smugą dymu nad lasami Juraty. — Przez te moje sześćdziesiąt cztery lata dosyć się nawanożyłem po lądzie i morzu. Do niedawna jeszcze łowiłem na kutrze. Teraz wiązę sieci we Władysławowie, w sieciami “Arki”, a za rok idę na emeryturę. Czas mi wygrzewać plecy przy ciepłym piecku, wspominać dawne czasy...

— No to odwiedzimy was za rok — obiecuje Necel ściskając mu wielką, chropowatą rękę. — Na Wangorzową! Kiedy nie potrzeba już rybaczyć, można w spokojności zacząć łowić wspomnienia, gadki o tym, co było- dawniej.

— Jo, jo! — kiwa głową jastarnik i raz jeszcze sięgo. po różk. — Rychtyk powiedzone! Chceme le so zażec?

Korzystamy z zaproszenia jak maszopi po dobrym połowie. No tak! Wpadło nam przecież dziś do sieci kilka tłustych “rybek”, wśród których za najokazalszą należy chyba uznać... legendarnego kura z wieży puckiej fary.

II

Te połowy wspomnień o przeszłości Kaszubskiego Brzegu rozpoczął Augustyn Necel już we wczesnym dzieciństwie, nim mógł przypuszczać, że kiedyś sięgnie po pióro, by podsumować w “Krwawym sztormie” cały zebrany materiał. Chłopcu z rybackiej checzy na Sikorkach w Chłapowie co chwila obijało się o uszy:

— Szwed, Szwedzi, szwedzkie morzkulce...

Dziad ze strony matki Jan Lesnow z Poczernina nieraz opowiadał jak to ongi wszedł w strąd koło Małego Sławoszyńka okręt załadowany czarnymi owcami, na którego pokładzie ma- szopi znaleźli kaszubską dziewczynę porwaną przez Szwedów z Pucka.

— Przedtem — mówił — nie było na Rozewskiej Kępie ani jednej czarnej owcy. Dopiero po tym rozbiciu się tutaj rozpleniły.

Babka, Franceszka z Tarnowskich Neclowa, pokazując wnukowi starą okrągłą łyżkę o długiej

rączce z cyny, wspominała, że jeden z jej przodków wygrzebał ją z pogorzeliska dworu w Cetniewie spalonego do podwalin przez Szwedów, których potem rybacy, spędzeni do młocki, zamknęli w cetniewskiej stodole i puścili z dymem. Kiedy zaś mały Gust pytał, czemu starka tak pilnie zasłania nocą okna od strony morza, odpowiadała:

— Żeby światło nie przyciągnęło tych szwedzkich morzkuł- ców do naszej checzy!

Również ojciec, Jan Nécel, niemało miał w szwedzkiej sprawie do powiedzenia. W roku 1881 jako czternastoletni knop tnąc sedwinę (rogowiec) w urwiskach za rozewskim “Drągiem” znalazł tam okrągłą, żelazną kulę armatnią, prawdopodobnie wystrzeloną z okrętu, kiedy Szwedzi chcieli lądować na Kępie. Wspominał też o Jówie (nazywał się podobno Czapa) z wielkim toporem, kaszubskim stolem tak ogromnym, że przewyższał głową najwyższe szewskie stragany stojące na puckim rynku, o mieszkających pod Rozewiem Czerwionce i Kuchnow- skim, którzy spostrzegłszy nadciągającą nieprzyjacielską flotę podcięli dno swej na dwadzieścia cztery stopy długiej łodzi laskornównej. Wróg użył jej, by przewieźć na ląd co większe działa z okrętów i poniósł wielką stratę: łódź zatonała wraz z ładunkiem. Sześć armat wyłowiono po latach z morskiego dna pod przylądkiem, a trzy z nich ustawiono przed krokowskim zamkiem.

Inni “chłapowice”, jak Kątowy Jeka czy Glembin potwierdzali te wieści dodając, że Szwedzi przyplýwali tu na okrętach, by ściągać z chłopów podatek, że spalili Jastarnię, bo jastarnicy napadali na szwedzkie statki. Nikt wszakże z gawędziarzy nie mógł się mierzyć z wesołym Józefem Żelkiem — Żelozkiem, chłopem bardziej do tańca niż do rózańca. Niezbyt wysoki, ciemnowłosy, wąsaty, zwinny jak fryga, tańczył do

upadłego, aż kurz bił z podłóg po karczmach i checzach, płątał ucieszne figle, naśladował głosy ptaków, które śpiewały w klatkach w jego chałupie nad Chłapowskim stawem. Znano go w całej okolicy, nawet w dość odległych Minkowicach było

o nim głośno. Gdzie tylko się pojawił, natychmiast stawał się duszą całej kompanii. Wróżył z gwiazd, śpiewał polskie

1 kaszubskie piosenki, łągał na potęgę, udawał to śpiew słowika, skowronka czy kanarka, to odgłosy, jakie wydają nury i kaczkki-łódówki, a tak był żywotny, że kiedy już po ostatniej wojnie w 1952 r. złamał nogę i znalazł się w gdyńskim szpitalu, ledwie zdjęto mu gips, zatańczył kozaka na szpitalnym podwórzu, mimo że miał wtenczas osiemdziesiąt trzy lata.

— Całe życie gadał, tedy nie starczyło mu prawdy do opowiadania, ale tego co mówił, warto było posłuchać — uśmiechają się dziś jeszcze chłapowianie na jego wspomnienie. *

Lubili go wszyscy z wyjątkiem Niemców, którym zresztą odpłacał się pięknym za nadobne. Gdy w Mieruszynie, w oberży u Lachsa, nalał mu pruski żandarm piwa w cholewy długich butów, z których sterczały słomiane wiechcie, zbił Prusaka na kwaśne jabłko i uciekł, nim się pobity opamiętał. Latarnik z Rozewia, Niemiec zwany “Grot Janem”, często odwiedzający Hanemanna, dziedzica Poczernina, ujrzał kiedyś nocą na drodze dziwnego potwora, przeraził się i uciekł zlany zimnym potem. Do śmierci się nie dowiedział, że to Żelozk spostrzegłszy go w ciemności zgiął się jak wąż, wsadził głowę między nogi i w tej pozycji zapalił cygaro.

Nawet sam cesarz Wilhelm i jego dostojna małżonka doświadczyli przykrości ze strony dowcipnego “chlapowica”, Znał ich osobiście, bo służył na cesarskim jachcie “Hohenzollern”, chodzącym w rejsy na fiordy norweskie.

— Do wszystkiego się wtrącał — mówił o “kajzerze” przedrzeźniając go i pokazując już to jak ukrywa swoją suchą rękę, już to jak z butą podkręca węża. — Uwierzycie, dresze, że nawet nas, okrętników, uczył jak mamy zwijać liny? A jego białka miała welon długi na parę sążni. Kilku matrosów musiało go za nią nieść. Mówię wam, co się za piekło zrobiło, jak jej raz ten welon przydeptałem. Stała jak żona Lota. Wygnali mnie za to z “Hohenzollerna”, ale com się zabawił, tom się zabawił.

Kiedyś na początku marca 1917 r. syn tego figlarza i gawędziarza, Jan Żelk, tnąc na Wysokim Brzegu koło Rozewia rogowiec na opał, znalazł w zaroślach zardzewiały rapier.

Pobiegł z nim do chaty Fabisza, rybaka z Lisiego Jaru, sądząc, że zastanie ojca u tego dręha. Nie było go tam jednak, chłopiec więc ruszył ze zdobyczą na Sikorki, do checzy Neclów, u których Żelozk przesiadywał całymi dniami. Tym razem nie omylił się. Józefk siedział na ławie pod piecem i opowiadał właśnie o swym praszczurze, szyprze z Wielkiej Wsi i swarzewskim kościelnym, który uciekając przed Szwedami schronił się w poczernickim lesie:

— Szwedzi nauczyli się kilku słów naszej gadki. Podchodzili pod lasy i aby wywabić zbiegłych ludzi, wołali po kaszubsku, że wróg odpłynął. Ale tamten szyper nie był głupi. Włazł ze swoją białką na czubek najwyższego drzewa i nie zszedł, choć szyprowa zaczęła rodzić. Tak to jego syn urodził się na cho- jaku i dlatego też potem, kiedy został bosmanem we flocie polskiego króla, skakał po masztach jak wiewiórka.

Ujrzawszy rapier przyniesiony przez Janka gawędziarz pokiwał głową i oznajmił bez wahania:

— To szwedzka szabla, gwesno z tamtych czasów.

A potem jak z rękawa począł sypać powiastkami o Szwedach, które sam usłyszał w dzieciństwie od rodziców i krewniaków. W ten sposób dowiedział się Gust, jak to ostrowia- nin Jówa z Czerwionką i jeszcze dwoma chłopami, przewiózł łodzią na ląd przy Rozewiu króla Zygmunta III z okrętu miotanego falami sztormu. Jak podczas szwedzkiego najazdu zakopano Swarzewską Pannę u zbiegu granic Swarzewa, Wielkiej Wsi i Poczernina. Jak w trakcie jakiejś morskiej bitwy Szewka z Tupadeł zdobył jedną, a Jówa drugą flagę na nieprzyjacielskich statkach,

— Ten Jówa był taki mocarz — gadał muskając węża — że łódź, którą z trudenści udźwignęłoby dwunastu chłopa, sam przeniósł z Małego na Wielki Strąd. Szwedzi bali się go jak diabła. To on im zrzucił armaty z dzwonnicy w Pucku.

I znów wrócił do swoich przodków. Mówił o szyprze z Wielkiej Wsi, który wraz ze swoimi maszopami podpłynął nocą pod zakotwiczony w pobliżu wybrzeża szwedzki okręt, pełen wywożonych skarbów i przeciął kotwiczną linę, dzięki czemu fale wpędziły statek w strąd. W ten sposób ocalały wielkie bogactwa, a wśród nich figurka swarzewskiej patronki rybaków. Powiadał, jak jastarnicy zdobyli na jednym ze szwedzkich korab! wojennych trzydzieści sześć armat, jak

Kaszubi sypali dla polskiego wojska długą groblę od Gnieźdzewskiej Góry aż do obleganego Pucka, a bosman Żelk (ten urodzony na drzewie)

zaprzyjaźnił się z flisakiem Dudkiem, który po wojnie osiedlił się w Chałupach i o którym po dziś dzień zachowała się wesoła śpiewka:

Dudek z długim nosem, żaba z krótkim włosiem...

Opowiadał tak aż do wieczora. Do checzy zaczęli przychodzić znajomkowie: Józef Martenk Bolda, August Skwiercz, Michał Gola w mundurze niemieckiego marynarza, pełniący służbę na pobliskiej bliższej rozewskiej. Wszyscy, a zwłaszcza Gust, słuchali z zapartym tchem, Żelozk zaś gadał o szwedzkim sądzie w Pucku nad trzema schwytanymi żołnierzami, którzy poprzysięgali sobie, że niczego wrogom nie zdradzą i na każde pytanie dawali kolejno trzy — zawsze te same — odpowiedzi,

O szanću szwedzkim, który usypali Kaszubi na skraju mieruszyńskiego lasu od strzelińskiej aż do Chłapowskiej drogi, by zagrozić nieprzyjacielowi dostęp do Pucka:

— Tylko tymi dwiema drogami można było się przedostać z Kępy do miasta, bo wszędzie indziej były wtedy mokradła

1 torfowiska — kończył gawędziarz opowieść już przy zapalanej lampie naftowej. — Ślady tego podłużnego wału zachowały się jeszcze teraz.

— Kto wie czy nie przyjdzie nam go sypać na nowo — mruknął Gola.

— A to czemu? — zdziwił się Martenk.

Marynarz wskazał palcem północ.

— Te morzkułce się podobno szykują do wojny.

Pod Boldą zadygotały nogi.

— Szwedy? Ty we wojsku, tedy chyba dobrze wiesz, co słycać. A to by było licho, jakby tamci tutaj przyszli z za morza.

— Żeby leno do tego nie doszło, bo Szwed wszystko spali — przeżegnał się Skwiercz. — Gdzie on przejdzie, tam długo trawa nie porośnie.

III

— To tradycje związane ze szwedzkimi wojnami były na Wybrzeżu aż tak żywe? — pytam. — Można by pomyśleć, że Szwedzi wczoraj tu grasowali.

— Zalali Kaszubom sadła za skórę, więc dobrze ich zapamiętano — odpowiada Necel i dodaje, że echo tamtych najazdów przetrwało aż do naszej epoki choćby w kuźnickim przysłowiu: “Oj, źle,

recku (lub rewionie). Okręt z czarnymi Szwedami w strądzie”.

Siedzimy we trzech we władysławowskiej pracowni autora “Sagi o szwedzkiej checzy”. Po drugiej stronie okrągłego stołu zapala papierosa siwy Kaszuba o wyrazistej twarzy, szerokim czole, wydatnym, nieco krzywym nosie i pogodnych, wyblakłych oczach. To osiemdziesięcioletni Józef Lesnow z Odargowa, syn wspomnianego już Jana z Poczernina, Augustynowego dziadka.

A ruta, jak u nas na Kaszubach mówi się zamiast szyba, to podobne też szwedzkie słowo — uzupełnia odpowiedź siostrzeńca.

Wuj Józef uzupełnił zresztą także materiały zbierane przez swego krewniaka. Jemu właśnie zawdzięcza Necel odnalezienie tropu głównych bohaterów “Krwawego sztormu”. W pobliżu jego odargowskiego gospodarstwa, opodal wielkiego głazu zwanego Diabelskim Kamieniem jest szeroki wądół o łagodnych zboczach. Nosi on nazwę Rudnicy, gdyż ziemia tamtejsza ma kolor czerwony. Okoliczni chłopci twierdzą uparcie, że barwę tę zawdzięcza ona nieprzyjacielskiej krwi, przelanej za szwedzkich czasów podczas zaciętej potyczki. Prawdopodobnie tkwi w tej tradycji jakieś ziarno prawdy, bo przed pierwszą wojną światową wyorano tam zardzewiałą szablę, przechowywaną później w odargowskiej szkole, a w roku 1953 siedemdziesięciosiedmioletnia Marika Gojka, której rodzina posiada sj* grunt w Rudnicy, znalazła na roli ludzką, pożółkłą czaszkę.

— Niech wuj opowie o tej bitwie — zachęca nasz gospodarz.

— Za dawnych lat było dwóch kaszubskich szlachciców, rodzonych braci — podejmuje Lesnow. — Jeden trzymał ze Szwedami, drugi bił się po naszej stronie na czele rybaków i chłopów. Wojna trwała długo. Mój ojciec, który umarł w 1911 roku licząc siedemdziesiąt pięć lat, powiadał, że na czerwonym niebie jawiły się wtedy rozmaite figury, na liściach wiśni powstawały wyschnięte, brunatne znaki podobne do węży, a wilki stadami wychodziły z lasów. Kiedy w końcu wypędzono nieprzyjaciela, uciekł również ten szlachcic-zdrajca. Wrócił dopiero po latach z wojskiem brandenburskiego kurfirsta. Trudno go było poznać, kiedy zjawił się w Wejherowie, bo

zapuścił sobie długie włosy na kurfirstową modłę. Zmienił fryzurę, ale serce pozostało w nim to samo. Dowodził niemiecką jazdą i koniecznie chciał się na bracie pomścić. Wtedy drugi brat skrzyknął swoich drehów i doszło do bitwy w Rudnicy. Sprawiedliwy został w niej ranny, zdrajcę jednak pobito i musiał uciekać na helskie wyspy. Pogoń dopadła go na drodze między Łebczem a Poczerninem, pod poczernickim lasem. Na samym jego skraju stały tam przy drodze trzy wysokie, gałęziste świerki. Mój ojciec jeszcze je pamiętał. Na środkowym rybacy powiesili judasza za włosy. Ten ranny, dobry brat wysłał podobno gońca, żeby złego nie zabijać, tylko oddać pod sąd w Pucku, ale wtedy wielżeński szyper przebił wiszącego beką i krzyknął, że dla zdrajców nie ma miejsca pod słońcem.

Oto opowieść, która stała się kamieniem węgielnym Neclowej książki o Szwedach na Kaszubskim Brzegu. Dalszego budulca dostarczyli inni. Sędziwa Marika Muża z Boru wspomniała o pięknej dziewczynie, w której kochał się jakiś szlachcic, a którą chcieli porwać Szwedzi. August Ladach z Nadola przypomniał sobie, że kiedyś w ich wiosce nad Żarnowieckim Jeziolem odbyło się wesele “pana” z chłopką i że Kaszubi przeciagnęli wtenczas przez burzańską drogę cienką linkę, by zatrzymać weselny orszak jadący do ślubu.

Potwierdził to Radk z Ostrowa i Grena z Dębek dodając, że wypadek ten należy odnieść do czasów, kiedy morze zalało tak zwane Karwieńskie i Odargowskie Biota i Ostrowo znalazło się jakby na cyplu, a Dębki zostały odcięte od świata na mierzei przerwanej przez Bałtyk. Flork Kąkol z Jastarni, ojciec helskiego latarnika, pamiętał, w jaki sposób jastarnicy zdobyli za Dębkowym Hakiem szwedzki okręt, który wszedł w strąd na zachód od Szwedzkiej Górki. Jan Ladach z Minkowic, znajomy Żelozka, dorzucił podanie o tym, jak Szwedzi zerwali miedziany dach z żarnowieckiego klasztoru, zagarnęli z całej okolicy furmanów i wozy, załadowali na nie blachę wraz ze zrabowanymi w Polsce skarbami i zmusili Kaszubów, by powieźli ten ładunek przez, zamrożony Bałtyk do Szwecji.

— Tylko pięciu furmanów wróciło z tej drogi — potakuje wuj Józef przysłuchujący się naszej rozmowie. — Reszta zginęła na morzu albo też tam, za Bałtykiem.

— To samo mówił mi Ladach — oświadcza Necel i z kolei przedstawia nam nowego informatora,

Był nim wysoki i chudy szkutnik z typową rybacką bródką, Derc z Beki, dzięki któremu ocalało wspomnienie o Fryzie —

sołtysie z Mrzezina. Szwedzi zlecieli mu ściąganie podatków z ludności kaszubskiej, on zaś nakazał szkutnikowi Zydlerowi, który wówczas osiedlił się jako przybysz w Rewie, egzekwowanie należności od właścicieli szkut. Ci nie chcieli płacić, więc Fryza namówił Zydlera, by podpalił szkuty. Szyprowie spostrzegli w czas, co się święci i przeszkodzili podpalaczowi, lecz mimo to na Fryzę spadła zasłużona kara. Podobno aż do niedawnych lat na gospodarstwie, stanowiącym niegdyś jego własność, nie mógł się zdrowo uchować ani jeden prosiak czy cielak.

— To co wam mówię — zaklinał się Derc — jest szczerą prawdą. Mam już osiemdziesiątkę, opowiadała mi zaś o tym w dzieciństwie moja babcia, która wtenczas była bardzo stara, a słyszała o Fryzie za młodu od swojej babci. Złe były dawniej czasy. Szwed krzywdził, kogo tylko mógł. Jak go wygnano, nastąpiła wielka bieda. Łodzie były zatopione albo zrabowane, pola nie obsiane... Wszystkie prawie wsie poszły z dymem.

Tak to powoli, jak mozaika z różnobarwnych kamyków zbieranych na bursztynowym strądzie przez cierpliwego poszukiwacza, powstawał wielki fresk szwedzkich najazdów na Pomorze. Ktoś wymienił Plińskiego z Łebcza jako tego, który z gromadą chłopów pospieszył na pomoc szlachcicowi napadniętemu przez brata-zdrajcę. Ktoś inny wygrzebał z pamięci miano Kurów, wolnych chłopów z Odargowa, którzy słynęli jako dzielni wojownicy walczący ze Szwedami. Nie wiadomo jednak czy twórcy nie zabrakłoby kilku kamyków potrzebnych do wykończenia obrazu, gdyby nie odwiedził sędziwego patrioty i działacza z ludowych towarzystw, Budnika w Odar- gowie.

Warto, choćby kilkoma słowami, nakreślić i utrwalić sylwetkę tego ciekawego człowieka, założyciela Ludowego Banku w Pucku (złożył w nim 83 000 marek w złocie), kawalera orderu "Odrodzenia Polski", wygnańca usuniętego przez Niemców z gospodarstwa, no i gawędziarza nad gawędziarze. Kiedy Necel zaszedł do jego domu, zbudowanego z czerwonej cegły pod niewysokim, czarnym dachem z papy, ujrzał w dużej izbie wśród książek i świętych obrazów dziewięćdziesięciotrzyletniego starca. Niski, krępy, przygarbiony siedział bez ruchu w starym fotelu pod kaflowym piecem. Nie widział już, przymrużał więc pofałdowane powieki, a blada jego twarz

miała żółtawo- gromniczny odcień, jakim śmierć naznacza tych, których przy

sądono jej nieodwołalnym wyrokiem. Rzeczywiście, dni Budnika były policzone, ale umysł jego pracował wciąż sprawnie, a pamięć nie wymówiła mu jeszcze służby.

Potrafił na przykład zacytować długie przemówienie Jana Breyskiego, późniejszego wojewody pomorskiego, które słyszał na wiecu w Starzynie w roku... 1895. Pomiętał jak to wtenczas żandarmi w pikelhaubach odbierali Polakom głosy. Opowiadał o znajomych sprzed półwiecza, współbo jo wnika ch polskiej sprawy na Kaszubach: Abrahamie i Czyżewskim. Wspomnienia zaś dawnych i, co ważniejsze, wygranych walk ożywiały go i jakby odmładzały. Ba, uśmiechnął się nawet, gdy począł opowiadać jak to pod koniec ubiegłego wieku ksiądz Bloch wbrew nakazom biskupa i landrata nie dopuścił do tego, by niemiecka mowa rozbrzmiewała z kazalnicy kościoła żarnowieckich panien:

— Po mszy wszedł na ambonę i tak rzekł: “Dziś tu będzie niemieckie kazanie. Kto nie chce go słuchać, niechaj wyjdzie”. W tej samej chwili z zakrystii wyszedł kościelny, zwany Szturch-Białkiem, bo szturchańcami budził tych, co zdrzemnęli się podczas nabożeństwa. Stanął przy drzwiach i zachęcająco machnął swoją laską. Wszyscy niemal opuścili kościół. Zostało w nim jedynie czterech Niemców. Wtedy proboszcz oświadczył, że dla czterech nie warto wygłaszać kazania i sprawa została w ten sposób raz na zawsze załatwiona.

Zagadnięty o czasy szwedzkie pokiwał głową nie otwierając ciężkich powiek. Oczywiście. Wiele wie o tamtych dziejach, o burzliwych latach panowania Zygmunta III. Króla, wracającego ze Szwecji, przewieźli w sam Dzień Zaduszny z okrętu na rozewski brzeg Domienik i Czerwionka. Potem pokłóciły się dwie wsie, która ma monarsze udzielić gościny. “Chłapowice”, szczególnie zaś sołtys Chłapowski Kołacz, pragnęli zabrać go do Chłapowa, powołując się na to, że Czerwionka pochodzi z ich wioski, a sołtys z Tupadeł, Łyk, dowodził wymownie, iż król wylądował na tupadlańskiej ziemi, przeto tupadlanom powinien przypaść w udziale zaszczyt goszczenia dostojnego przybysza. Koniec końcem Waza przenocował u Łyka, a Chłapowska maszoperia trzymała straż przed chatą, w której chorował po morskiej podróży. Rankiem tu- padlański sołtys odwiózł go w sześć koni do Krokowa, choć wszystkich oburzało, że król postanowił odwiedzić krokowskiego dziedzica, który się zlu^zprł i sprowadził do swej siedziby ewangelickiego pastora, bjf Szerzyć psią wiarę.

Nieobca była też Budnikowi historia dwóch braci. Słyszał i o nich. Ten dobry · “szlachcic” musiał przed zemstą złego brutta podobno uciekać aż na helskie pustkowia. A za co się tamten mścił? Nietrudno odgadnąć. Za to, że' dobry panek zakochał się i pragnął poślubić córkę Domienika. Tak. Tego samego Kaszuby, który wraz z Czerwionką przewiózł króla przez wzburzone morze pod Rozewskim Przylądkiem.

— Zamknęło się koło — powiada Necel. — Znalazłem nie tylko głównego bohatera, ale i główną bohaterkę mej zamierzonej powieści. Od Budnika dowiedziałem się także kilku danych o jej ojcu. Domienik był za młodu kaprem, a potem królewskim okrętnikiem. Ranny podczas wojaczki na morzu, ożenił się z krewną jakiegoś Dębka, rybaka, który pierwszy osiedlił się przy ujściu Piaśnicy. Na starość dawny szyper przeprowadził się pod żarnowiecki las, na “Poręb”, gdzie dziś jeszcze stoi kilka chat. Tam młody szlachcic ujrzał pó raz pierwszy i pokochał swoją wybranę, tam również jego brat, mszcząc się za to splamienie szlacheckiego klejnotu, spalił przy pomocy Szwedów trzy córki Domienika w chlebowym piecu.

— Nie przypuszczałem — wtrącam — że tutejsza tradycja przechowała tyle wątków związanych z epoką wojen szwedzkich.

— Zebrało mi się ich sporo — odpowiada pisarz. — Na jedną książkę aż zbyt wiele. Toteż nie wszystkie wykorzystałem w “Krwawym sztormie”. Resztę zachowałem do następnej powieści, której akcja toczyć się będzie za czasów Karola Gustawa.

Tyle da się powiedzieć o jednym ze źródeł Neclowej inspiracji — żywej tradycji ludowej, anegdotach, przysłowiach, baśniach, gawędach, piosenkach i podaniach związanych z topograficznymi nazwami Kaszub, jak chociażby wądołu Rudnica czy Diabelskiego Kamienia. Nie tylko jednak z tego, jakże wysoko bijącego, źródła czerpał autor “Krwawego sztormu”. Drugim, co prawda nieco mniej obfitym, stała się dla niego historia: relacje królewskich komisarzy o bitwie pod Oliwą, niemieckie prace Schultza czy Prutza, a z polskich przede wszystkim W. Odyńca, B. Śląskiego, K. Lepszego, J. Pertka, M. Krwawicza i innych.

Czytelnika niewątpliwi zainteresuje stosunek tradycyjnych przekazów do historycznej prawdy, zwłaszcza że w tej powieści przedstawia się on bardzo ciekawie, niemal zaskakująco.

Otóż, mimo pewnych rozbieżności, historia w zasadzie potwierdza to, co przekazała nam pamięć nadmorskiego ludu. Co więcej: obdarza nazwiskami bezimienne postacie,* o których życiu pełnym tragicznych konfliktów szła wieść przez pokolenia. Postacią historyczną jest Bartosz Bonin-Sulicki, zarządzający po śmierci Jana Wejhera włościami puckiego starostwa. Można też znaleźć w dokumentach imię brata jego Hajnrycha, który podczas najazdu Gustawa Adolfa przedzierzgnął się z kaszubskiego panka w szwedzkiego rajtara. A Piotr, którego zbratanie się z ludem może najwięcej zastrzeżeń nasunąć uważnemu i znającemu epokę czytelnikowi?

Badacz interesującego nas okresu historii Pomorza, prof. Waław Odyniec, odnalazł jego imię wśród akt zgromadzonych w gdańskim archiwum.

Latem 1635 roku chłopci z królewszczyzn puckiego starostwa, uzyskawszy od króla glejt wydany im “securitatis causa a vi et potentia generosi capitanei piicensi”, zbuntowali się przeciw nadmiernym ciężarom nakładanym na nich przez starostę Działyńskiego i przestali wychodzić w pole. Walkę zaś z pomorskim karmazynem, wyzyskującym ich od lat, prowadzili tak mądrze, iż nietrudno się domyślić, że musiał kierować nimi ktoś dobrze obeznany z prawami Rzeczypospolitej. W dokumentach dotyczących tego sporu, który toczył się przed powołaną na królewski rozkaz Komisją Referendarską Starostwa Puckiego, istnieje wzmianka dowodząca, że owym ukrytym w cieniu, mądrym doradcą uciskanych włościan był nie kto inny, lecz właśnie Piotr Sulicki.

Warto też posłuchać, co ten sam naukowiec i opiniodawca książki Necla mówi o prawdopodobieństwie takiej postaci bohatera, jaką poznajemy z kart najnowszej powieści kaszubskiego autora:

»...obraz wydarzeń został nakreślony barwnie i zgodnie z prawdą dziejową. Naturalnie krytycyzm musi nam towarzyszyć przy czytaniu “Krwawego sztormu”. Może się wydać rzeczą wprost nieprawdopodobną, aby szlachcic Bonin-Sulicki z miłości do rybaczki wyrzekł się majątku i narażał na zemstę rodziny. Zdarzenie to zanotowała tradycja, musiało ono być niespotykane, skoro tak

głęboko utkwilo w pamieci ówczesnych mieszkanców nadmorskich wsi, a dzis po przeszlo trzystu latach pamiec o tym jest zywa.

Gwoli sciscosci naukowej trzeba zaznaczyc, ze przepasc klasowa, dzielaca szlachcica od chlopa, niwelowala w pewnym

stopniu sytuacja majatkowa, na Pomorzu bowiem spotykamy wiele drobnej, sjednipzamożnej i ubpgiej szlachty, ktora sposobem bycia, mieszkaniem, stopa zyciowa roznila sie malo od zamożnych gburów, a czasem nawet byla od nich uboższa, Bonin-Suliccy należeli do tak zwanej szlachty czastkowej, czyli wieś, w ktorej mieszkali, miala kilku wlasncieli. W 1682 r. jeden z nich mial dwulanowy folwark w Rybnie, a drugi — czesc wsi w Poczerninie, nie byl to jednak jakis duzy nadzial, skoro znajdowal sie tam tylko jeden poddany zagrodnik. Inna galaz tej rodziny siedziala w Sulicicach (albo Sulicach — jak pisze Necel) i ci byli nieco zamożniejsi. Mozemy przeto przyjac, ze ten budzacy watpliwosci fakt mogl miec miejsce, ale byl czymś niewatpliwie odosobnionym i rzadkim.«

Granice literackiej fikcji i historycznej rzeczywistosci wytycza gdanski historyk w sposob nastepujacy:

»Przebieg wydarzeń w latach 1626—1627, zajecie wybrzeza przez Szwedów, ich grabieze, oblezenie Pucka przez wojsko polskie i jego zdobycie, bitwa pod Oliwa — zostaly przedstawione przez autora w zasadzie zgodnie z prawda. Spotyka sie tu pewne drobne nieisciscosci, nie zniekszalcajace jednak wypadków i dziejów tych wojennych lat, a niekiedy wzbogacajace nasza wiedze o sluszny domysl.

W zrodłach historycznych brak bylo danych o walce partyzanckiej z najezdzcą. Byc moze, ze tradycja pomieszala tu zdarzenia z lat nastepnych, a przede wszystkim z wojny 1655—

—1660, ale nie mozemy wykluczac jakiegos zorganizowanego oporu przeciw Szwedom w czasie tej wojny. Grabieze rajta- » row i knechtów, liczne zdrady i przejścia na strone szwedzka szlachty, wśród nich wspomnianych przez autora Bartosza i Henryka Sulickich (o ich zdradzie wspominaja ówczesne zrodla) mogly wywołac odruch samoobrony i zorganizowanie sie partyzantki.«

Wazki i jednoczesnie przekonywajacy, po prostu mozna by rzec — kapitalny, jest argument, jaki wydaje Wacław Odyniec, by osadzic w historii jedna z najdynamiczniejszych scen “Krwawego sztormu” — wyczyn kaszubskiego stolema na dzwonnicy fary Swietego Piotra w Pucku.

»Zrzucenie przez Jowe dzial szwedzkich z wiezy kościoła puckiego jest rowniez bardzo prawdopodobne. Znamy bowiem ze zrodel historycznych wagomiar (kaliber) zaciagniętych tam dzial, nie spotykamy ich jednak w spisie zdobycznych armat

po kapitulacji zalogi szwedzkiej; musialy one ulec zniszczeniu, bardzo prawdopodobna jest wersja A. Necla, ze zostaly one rozbite przy straceniu ich przez dzielnego osilka.«

I jeszcze jedna mogaca budzic takie czy inne watpliwosci sprawa: antagonizmy religijne. Oddajmy i tym razem glos historykowi:

»Autor bardzo wnikliwie oddał epokę, w której toczą się wydarzenia. W pierwszym rzędzie należy podkreślić zwrócenie uwagi przez Necla na pobożność ówczesnych ludzi i na konsekwencje tego stanu rzeczy. Trzeba bowiem pamiętać, że akcja powieści toczy się w pierwszej połowie XVII wieku. W Europie szaleje od 1618 r. wojna trzydziestoletnia, wojna religijna, krwawa i niszczycielska. Różnice wyznaniowe dzieliły rodziny, grupy społeczne, państwa na wrogie obozy, zwalczające się zapamiętałe przy pomocy wszystkich dostępnych środków, będących zaprzeczeniem zasady miłości bliźniego. Nie mogły więc te sprawy być obce i Kaszubom.«

To już prawie wszystko. Być może, iż kogoś przy lekturze tej książki zdziwi ilość przygód, jakie spotykają Barbarę — niech wtedy przypomni sobie, że autor połączył w jej osobie brankę porwaną z Pucka i córę Domienika, obarczył ją więc przeciwnościami losu na podwójną niejako miarę. Być może, iż kogoś innego uderzą pewne zbieżności “Krwawego sztormu” z “Trylogią” — niech wtenczas pamięta, że te drobne i świadome analogie są wyrazem hołdu Augustyna Necla dla swego ulubionego pisarza, którego dzieła otworzyły mu zaczarowany świat literatury. Każdy jednak zgodzi się chyba najzupełniej z opinią wyrażoną przez recenzenta w końcowych zdaniach oceny historycznej “Krwawego sztormu”:

»Czytelnik lęsiązki A. Necla, bez względu na wiek i zamiłowania, znajdzie w niej wiele ciekawych dla siebie faktów. Miłośnicy przygód będą się entuzjasmować wyczynami kaszubskiego “stolema”, sentymentalni westchną nad dziejami miłości Barbary i Piotra, znawcy folkloru znajdą wiele przyjemności czytając uroczne gawędy. A wszyscy czytelnicy z Wybrzeża, znający już pisarstwo Necla, i ci z głębi lądu, którzy wezmą tę książkę do ręki, poznają kartkę z dziejów Kaszubów, nadmorskiego ludu, wychowanego w uporczywej walce z żywiołem, szorstkiego i twardego na pozór, kryjącego jednak w sercu jak w skorupie prawdziwy skarb — przywiązanie do wolności i Ojczyzny, poczucie solidarności wyrosłe z ciągłych

zmagañ z morzem. Warto wreszcie życzyć, by dotarła ta powieść do szerokich kręgów odbiorców i aby szerzyła miłość do morza i jego spraw, aby uległo zapomnieniu przysłowie: “Może nie wiedzieć Polak co to morze, gdy pilnie orze”, a utorowało sobie drogę do polskich serc i umysłów inne:

“Życ jest potrzebą, żeglować jest koniecznością”.«

Franciszek Fenikowski

ziwna to była zima roku 1626. Niemal od Sylwestra aż po święty Wojciech nieustannie wiała norda. Zamiast zwykłych o tej porze mrozów i śniegów nadciągnęły od Bałtyku ulewne deszcze. Ujścia Piaśni- cy i Czarnej fale zasypały ławicami piasku, a wody, które tymi rzekami sływały z okolicznych lasów i łąk ku morzu, utworzyły wraz z Żarnowieckim Jeziorem ogromny zalew. Krażyły nad nim i dopiero co powstała długa mierzeja, sięgająca od Białej Góry po Rozewie, chmury mew, roje zaś północnych kaczek, przybyłych mimo łagodnej zimy tłumnie na polski brzeg, nurkowały głęboko w tonie po ślimaki drzemiące od lata na dnie.

Karwian i dębczan, którzy zostali odcięci od świata i dostać się do nowego międzymorza na ląd mogli tylko łodziami, niepokoiły te zjawiska. Starzy rybacy twierdzili, że wróżą one zarazę lub szeptali, że wojna nadejdzie z północy. Nic dziwnego, iż przez cały Wielki Post modlono się gorliwie, pokutowano a nawet biczowano, prosząc Boga, by uchronił wybrzeże od najazdu

nieprzyjaciół.

Wieczorem w dniu świętego Grzegorza, gdy północny wiatr przypędził nad darżlubski bór ciemne chmury, maszopi szukający na strądzie bit zauważyli na północy smugi czerwonego światła, które z wolna rozlewało się po całym niebie. Przystanąwszy patrzeli trwożnie na lunę, a kiedy ta przybrała kształt olbrzymiego smoka, zaczęli żegnać się krzyżem świętym i w popłochu puciekali do domów.

— Kara boża na jnas idzie — lamentowały po checzach przerażone białki.

— Kuńc świata choba bądze — potakiwały im nabożne starki. — Nic inszego, leno kuńc świata!

— Pismo święte przestrzega, że przed nadejściem Antychrysta mają się ukazywać takie znaki — mówili między sobą starzy maszopi, z trwogą spoglądając na niebo.

Stary Misk Domienik spod żarnowieckiego boru, który przybył w odwiedziny do swego syna, szypra dębckiej maszoperii, nie wierzył w te ponure prorocstwa.

— Pamiętam już taką jasność na niebie — mówił do maszopów. — Za «nieboszczyka króla Stefana, a i potem jak pływałem z naszym terazniejszym panem do Szwecji, widziałem tam podobne łuny na niebie.

— Co to było? — dopytywali dębczanie.

— Nie wiem — kręcił głową. — To tylko wam powiem, że minęło od tamtych czasów wiele lat, a koniec świata jakoś nie nastąpił. Strachy na Lachy, jak powiadał nasz świętej pamięci komendant, wielmożny pan Kłoczewski.

Domienik, dawny frajbiter króla jegomości, przeżył młodość na okrętach. Kilka lat siedział w podziemiach zamku Helsingor nad Sundem w duńskiej niewoli. Póź-, niej popłynął z wojskami starosty puckiego Hernesta* Wejhera na pomoc Zygmunтови III do Szwecji. W roku 1598 wziął udział w drugiej szwedzkiej wyprawie. W powrotnej drodze, gdy królewski okręt nie j mógł z powodu sztormu zawinąć do Gdańska, wsławił się niemało, bo razem z bosmanem Czerwionką przewiózł króla szalupą przez wzburzone morze na ląd w pobliżu Lisiego Jaru. Szkutnik Selin, mieszkający na puckim brzegu koło Rozgardu, zasłyszawszy o tym dał mu swoją urodziwą córfeę Annę za żonę.

Śmiały okrętnik nie dorobił się w królewskiej służbie majątku. Po ślubie zamieszkał w samotnej nadmorskiej checzy, którą jego żona Anna odziedziczyła po swym bezdzietnym wujku Józefie Dębku.

Chałupa ta, stojąca koło ujścia Piaśnicy, pamiętała czasy Kr-zyżaków i husytów, którzy ongi w tym właśnie miejscu dotarli do Bałtyku. Domienik podparł jej ściany,

naprawił dziurawą strzechę i zabrał się do rybaczenia. Łowił węgorze i łososie, a połowy miał takie, że choć musiał co dziesiątą rybę oddawać do żarnowieckiego klasztoru, żył z młodą żoną oraz pierworodnym synkiem, którego doczekał się po roku, w szczęściu i dostatku. Zwiedzieli się rybacy o szczodrych toniach piaśnickich. Niebawem wyrosły na wydmach nowe cztery checze. Przybysze zawiązali maszoperię a szyprem jej obrali dzielnego marynarza.

Sądził dębowski szyper, że resztę życia spędzi wśród tutejszych wydm. Tymczasem latem roku 1601 przybył do Dębek, jak nazwano nową osadę, służebnik starosty Jana Wejhera, który znał Domienika z opowiadań swego ojca Hernesta.

— Macie stawić się na puckim zamku' — oznajmił goniec zeskoczywszy z konia przed szyperską zagrodą. — Jegomość starosta rychtuje stare i buduje nowe nawy! Potrzeba mu tęgich okrętników, w rzemiośle wojennym ćwiczonych, co by umieli wyuczyć zwerbowanych marynarzy morskiej służby. Takich jak wy!

Poszedł więc Domienik do Pucka. Zamienił wiosło na muszkiet i rapier, ćwiczył młode załogi, przygotował je do starcia ze Szwedami, którzy na razie grasowali w dalekich Inflantach. Wojna zbliżała się jednak ku spokojnej Gdańskiej Zatoce. W lipcu 1604 zjawił się tu admirał Gotberg ze szwedzką flotą. W bitwie pod Helem zmuszono najeźdźców do odwrotu. Domienik przyplącił to zwycięstwo ciężką raną. Postrzelony w rękę wrócił na zimę do Dębek. Z wiosną wyleczył się i wraz z maszopami rozpoczął nowo łowitwy. Mijały lata, rozrastała się rodzina. Doczekał się szyper dwóch synów: Michała i Zycha. Potem posypały się córki. Najstarszej dał na imię Barbara, dwie młodsze ochrzczono mianami Anny (po matce) i Heleny. Gdy Michał się ożenił, stary okrętnik przekazał mu szyperstwo, a sam przeniósł się pod żarnowiecki bór na opuszczoną rolę, z której płacił czynsz i dostarczał pewną ilość lnu mniszkom z żarnowieckiego klasztoru.

Jego poprzednika wypłoszyły z tego obejścia... duchy. W owych bowiem latach mnóstwo widm grasowało w tej okolicy. Mieszkańcy nad jeziornych wsi: Łupkowa, Kartoszyna i Sobieńczyce wierzyli, że są to grzeszne dusze nie

przyjaciół, którzy padli szturmując gród na Zamkowej Górze. Rybacy z Żarnowieckiego Jeziora zaklinali się, iż widywali nieraz w księżycowe noce całe kolumny zmarłych wojowników przesuwane się w oparach. Słyszeli też dochodzące z lasu nawoływania. Zjawy pół ludzkimi a pół zwierzęcymi głosami błagały przechodniów, by przyszli i pomogli im dopełnić ciężkiej pokuty, ale nikt się nie odważył wejść nocą w ciemny bór.

— Strachy na Lachy — odpowiadał na te gadki stary żeglarz, powtarzając porzekadło swego komendanta.

Nie upiory go martwiły. Inne miał kłopoty. Oto najstarsza córka zapragnęła przyoblec habit i wstąpić do żarnowieckiego klasztoru, on zaś nie mógł wyposażyć córki w wyprawę, jakiej wymagały reguły zakonu benedyktynek. Żał mu też było rozstawać się z Barbarką, która odziedziczyła urodę po matce i przypominała mu Annę taką, jaką ujrzał ją przed laty w domostwie przyszłego teścia. Ale dziewczyna zdołała postawić na swoim,

— W klasztorze jest jak w raj. Pozwólcie mi wstąpić na służbę do żarnowieckich panien — prosiła tak długo, aż poparła ją nenka.

— Prawdę mówi — rzekła do męża. — Choć nie klasztornicą zostanie, leno najlichszą służebną, ale wiedno będzie jej droga do nieba otwarta.

Zgodził się wreszcie okrętnik. Odprowadził córę do furty klasztornej, powierzył ją pannom benedyktynek. Przełożona Knutówna, której również było na imię Barbara, polubiła Domienikównę. Przypadła też do serc młodym szlachciankom, których wiele kształciło się w klasztorze, a jeden czarnooki muzykus z kapeli żarnowieckiej, grywającej pobożne hymny podczas uroczystych nabożeństw w kościele, na umór rozmiłował się w rybackiej córce. Barbarka jednak unikała jego złych oczu i wolne chwile spędzała na modlitwach. Przeorysza zjednana pobożnością dziewczęcia postanowiła przyjąć Domienikównę do nowicjatu. Miała już włożyć habit, gdy nagle umarła jej matka. Zakłopotany wdowiec poprosił córę, by wróciła do domu.

— Twoje siostry jeszcze nie umieją praść lnu ani wełny — przedkładał Barbarce w lokutarzu — ani nie potrafią tkać na krosnach. Bez ciebie nie damy rady.

Posłuchała. Wróciła do chaty na skraju lasu, by zastąpić im nenkę.

Łagodna zima szybko minęła. Śnieg, który spadł dopiero pod wiosnę, skurczył się i szerniał. Zjadały go mgły. Zazieleniło się żyto na leśnych 'polanach. Ale Domienikowi troska bruździła czoło. Co nocy bowiem z lasu wychodziły dziki. Ryły pole, niszczyły zboże. Aby temu zaizobiec, postanowił po świętym Grzegorzu zastawić przy lesie pułapki. Któregoś ranka — wkrótce potem, gdy Zych ruszył do Dębek na połowy z Michałową niaszoperią — Barbara wyszła na zieloną blekę sprawdzić, czy można już bielić płótno i spotkała się z ojcem. Stary rzekł do iniej:

— Biej zazdrze, cze abo nima dzeka w kletce! Jak bądze, to przyndzesz powiedzec.

Posłuszna dziewczyna skierowała się do lasu. Zaledwie odeszła o kilka kroków od checzy, z wiśniowych drzew chmara kawek i wron zerwała się z żalną wrzawą. Stropiła się Barbara. Nieraz już słyszała, że krakanie wron wróży nieszczęście. Ale wtem, tuż przed jej stopami wyfrunął skatoronek. Wzniósł się w powietrze i srebrnym głosem przygłuszył złowróbną wrzawę. Uśmiechnęła się przeto i poszła skrajem boru, przypatrując się zwinnym wiewiórkom, które zbudziwszy się po długim zimowym śnie skakały z gałęzi na gałąź i zrywały zesłoroczne szyszki. Wśród traw przemykały się zające. Z drzew drozdy wesołymi gwizdami obwieszczały nadejście wiosny.

Barbara, uradowana słoneczną pogodą, wyszła z pagórka i nagle zauważyła zwierzę szarpiące się w pułapce. Stała, lecz spostrzegłszy, że to nie dzik, a sarenka, pospieszyła uwolnić ją z paści. Pochylała się właśnie nad sidłem, kiedy z lasu wyskoczyły dwa wilki z najeżoną sierścią. Szczercząc długie białe kły runęły jak burza na dziewczynę i uwięzione zwierzątko.

— Matko Święta! — krzyknęła Barbarka. — Ratuj mnie! Ratuj!

Zasłaniała sobie twarz rękami. Z szarpanych dłoni ciekła krew. Zalewała jej oczy. Ostatkiem świadomości skierowała myśli ku Bogu. Czuli, że nadchodzi jej koniec. Wtem, dygocąc w śmiertelnym strachu, ujrzała wśród pni myśliwca z dymiącą rusznicą. Ziemia zaczęła się kręcić. Zawirowały drzewa, gałazy, jałowce... Czarne i czerwone płaty kołowały przed jej oczyma. Straciła przytomność.

Gdy po jakimś czasie podniosła (powieki, wzrok jej spotkał się z czarnymi źrenicami młodzieńca, który niósł ją na rękach ku niedalekiej podleśnej zagrodzie.

— Wolnoż spytać komu zawdzięczam życie? — wyyszło- chała z trudem.

Młody łowca spojrział na jej bladą, ściągniętą bólem twarz. Niebieskie zamglone oczy ocieniał aksamit rzęs. Długie warkocze zwieszały się aż ku ziemi.

— Zwę się Piotr Bonin-Sulicki — rzekł oczarowany jej urodą. — A waćpannie jako na imię?

Dziewczyna, zawstydzona tym, że bierze ją za szlachciankę, opuściła powieki.

— Barbara — szepnęła i rumieniec oblał jej policzki.

— Będę się za waćpana całe życie modlić, wdzięczna za to wyratowanie z wilczych paszczy. Boć jna inszą wdzięczność nas nie stać. Mój ojciec, czynszownik ubogi, na Klasztornej siedzi roli.

Szlachcic z niedowierzaniem spojrział na dziewczynę. Nie mogło mu się pomieścić w głowie, że to chłopska córka. Wygląd, sposób mówienia, na pół klasztorny strój zdawały się przeczyć jej słowom.

Zwodzi mnie — myślał krocząc ku niedalekiej chałupie.

Wnet się wszakże przekonał, że Barbara mówiła prawdę. Z wrótni Domienikowej zagrody wyskoczył kudłaty pies. Ujadał zrazu zaciekle, ale gdy poznał, że obcy niesie jego panią, opuścił ogon i przejmująco zaskomlił. Na to przybiegły z checzy obie siostry Barbary. Widząc krew ciekącą z jej dłoni, stanęły jak wryte.

— Jezus, Maryja! — jęły lamentować. — Co się stało z naszą Barbarą?

Nim Piotr zdążył odpowiedzieć, w ślad za dziewczynami w samodziałowych spódnicach, w czerwonych kabatach i niebieskich chusteczkach, zjawił się stary Misk zachlapany gliną, jako że naprawiał właśnie stojący w pobliżu checzy piec do pieczenia chleba.

— Żyje? — spytał, mierząc spojrzeniem to blade lica córki, to trzymającego ją na rękach myśliwca w szla

checkiej czapce z kitą*, skórzanym kaftanie oraz jałowi- czych butach.

— Żyje — uspokoił go Sulicki. — Wilczury pod borem ją opadły i trochę poszarpały. Alem ustrzelił bestyje, zanim większą krzywdę uczynić jej zdążyły.

— Bóg wam zapłać, paniczu — zawołał stary i ujął głowę Barbary, by pomóc szlachcicowi zanieść raną do checzy.

Weszli przez sionkę do izby o glinianej polepie. Małymi oknami z- kwadratowych w ołów poprawnych szybek sączyło się dzieńne światło. Domienik doprowadził Strzelca do kominka. Piotr

ułożył Barbarkę na ławie w ciepłe bijącym z płonącego ognia, zerwał czapkę, zdjął z pleców i postawił w kącie swą rusznicę. Tymczasem całą izbę aż pod drewnianą powalę wypełniły płaczliwe gęsy.

— Cóż me z nią, biedną, pocniemy — kłopotaly się niezaradnie Anna i Helena.

— Rozdziejcie ją — zakomenderował Sulicki. — Zagrzejcie wodę! Rany trza jej opatrzyć. Nie widzicie, że cierpi?

Dziewczyna wstydliwie opuściła rzęsy. Szlachcic zrozumiał, o co chodzi. Odszedł o kilka kroków, zwrócił oczy na bieloną ścianę, a potem na stare zamazane obrazy, które wisiały w alkierzu nad nie posłanym łóżkiem. Za jego plecami stary kaper dorzucił kilka szczap do płonącego ognia pod trójnog, na którym woda grzała się w kociołku. Wkrótce, gdy ucichł szelest zdejmowanych sukien, a Piotr zbliżył się do okna i patrzył na piec, bielejący wśród czarnych chojarów polany, znów rozległy się lamenty przerażonych dziewczek:

— Do kości ją pogryzły bestie! Gwesno zemrze z tych okrutnych ran.

— Moje biedne dziecko — mrucał Domienik szarpiąc wąsy. — Jam winien jej nieszczęścia... Posłałem ją był wilkom na pożarcie.

Panicz odwrócił się od okna. Podeszedł do kmieciówny i zbadał jej rany.

— Nic to! — orzekł po chwili. — Do wesela się zagoi. Wszelako czas nagli! Obmyjcie krew, co ranom okrutniejszy — niżli są — pozór daje! potem nagniećcie co tchu chleba z pajęczyną.

— Chleb się znajdzie, wždy pajęczyny ani na lekarstwo — odezwała się Helenka, — Nie kto inszy, jeno sama Barbara temu winna, bo ledwie pajak jaki sieć tkać począł, chutko nam ją zmiatać kazała...

— Przynieść pajęczyny choćby z chlewa — nalegał szlachcic. — A ty — zwrócił się do Anny — daj kociołek! Obmyjem jej rany.

— Wodą? — przestraszyła się Anusza. — Toć ze mrze od tego.

— Trza obmyć i kwita! — zadecydował niecierpliwie. — Dajże no ciepłej wody i lnianej szmaty kawał.

Poszła więc jedna z cór po pajęczynę, a druga po płótno. Sulicki tymczasem wziął kocioł z trójnoga, by obmyć Barbarce poranione ręce i bok.

— A jakby tak smołą pomazać? — pytał Domienik. — Gdym jeszcze służył na okrętach, nieraz się zdarzało, żeśmy smarowali rany s“mołŝ. I wiedno pomagało. i

— Można spróbować i tego medykamentu — zgodził się myśliwy. — Posmarujemy lekko dokoja te poranione miejsca.

— Jeno że nie mam doma smoły...

— Ha, to trudno!

— Nic straconego, pójdę po nią do Sobieńczyc — rzekł stary frajbiter i ruszył ku drzwiom.

— Jeno spiesz się — krzyknął za nim Sulicki. — Nie żałuj nóg!

— Za dwa pacierze wrócę — zapewnił Misk już zza progu.

Panicz zabrał się znów do obmywania ran. Niemal równocześnie zjawiała się Anna z pajęczyną.

— A chleb? — zapytał krótko pan Piotr.

— Zaraz przyniosę z komory — obiecała.

Dym modry pełzał po izbie, spowijał proste sprzęty i postać Helenki szukającej płótna w otwartej skrzyni. Barbara z przymkniętymi powiekami spoczywała na ławie. Blask kominka zaróżowił jej dziewczęce, falujące piersi, ból wykrzywił wargi.

— Ozdrowiejesz — pocieszał ją szlachcic. — Opatrzę ci rany, to i boleści ustaną.

Czuł dziwne wzruszenie. Dłonie drżały mu jak w febrze, gdy dotykał jej ciała.

— Nie dziw wilczurom, że się połakomiły na taki ką

sek — .przemknęło mu przez myśl. — Delicje, prawdziwe delicje t

Barbara musiała snadź wyczuć jego myśli, bo przerzuciła grzez ramiona długie warkocze, jakby chciała nimi przykryć nagie piersi, i uniosła rzęsy. Jej twarz znowu się zarumieniła.

— Nie wiem, jak się waćpanu odpłacę — westchnęła.

— Nie martw się o zapłatę — rzekł. — Sam ją wezmę! I to bez odwłoki.

Przechylił się ku niej, ogarnął ją ramieniem i gorąco ucałował prosto w usta.

— Z cukru masz gębuisię — zapewnił szeptem — słodsza niżli lipcowy miód!

Domienikówna zatrzepotała powiekami. Z niebieskich oczu potoczyły się łzy. Zaczęła szeptać cichą modlitwę.

— Czysta jak Ester — pomyślał stropiony co nieco panicz. — Skąd taka wzięła się tu w tej zadymionej checzy? Dalibóg nie pojmuje! Chłopskie córki arie zwykły stroić takich ceregieli.

Trudno mu było odwrócić oczy od urodziwej wieśniaczki. Udał jednak, że poprawia ogień na kominku, bo czuł, iż jego wzrok natrętny dokucza dziewczynie bardziej niż rany. Łzy jej poruszyły go do żywego. Dorzuciwszy kilka szczap, kopnął się do alkierza, ściągnął z łóżka parciane prześcieradło i okrył nim nagie ciało Barbary, Lecz znów zawrzała w nim krew. Nim się dziewczyna

sposzregła, przytulił głodne wargi do jej policzków.

— Co waćpan czynisz? — szepnęła. — Oszczędź! Jam Bogu ślubowała!

Szarpnął się, bo usłyszał kroki. Do izby weszła Anka niosąc chleb we fartuchu.

— Dawaj — krzyknął zaczerwieniony i zaczął szybko ugniatać chleb z pajęczyną.

Niebawem ponownie zaskrzypiały drzwi. Zdyszany Misk wrócił ze smołą. Piotr podgrzał ją nad ogniem, z lekka posmarował skórę naokoło ran, przyłożył plastry z maści i lnianego płótna na wciąż jeszcze krwawiące okaleczenia.

— Zanieście ją do alkierza — zwrócił się do dziewczek patrzących z otwartymi ustami na te zabiegi i zaczął myć w kociołku ręce pobrudzone smołą.

Uczyliły tak, jak im rozkazał. Ułożyły siostrą na łożnicy, stanęły przy niej dopytując czy jej jeszcze czego trzeba:

— Napijesz się mleka z miodem?

— A może orzechów garść albo śliw suszonych ci przynieść?

Sulicki poprawił pas, narzucił rusznicę na plecy, chwycił ze stołu czapkę.

— Idziecie już, paniczu? — zagadnął Misk.

— Pora na minie! — odrzekł. — Bywajcie zdrowi!

Uśmiechnął się do Barbary. Przyniósł, że wkrótce

przyjdzie dowiedzieć się o jej zdrowie i wyszedł odprowadzony przez wąsatego marynarza, który koło wrótni skłonił się po żołniersku i spytał młodego szlachcica:

— Wiecie, paniczu wielmożny, com wam dłużeń?

Sulicki oszołomiony niespodziewaną przygodą nie odrzekł nic. Ale uszedłszy pół stajania odwrócił się ku chacie i mruknął sam do siebie:

— Córkeś mi dłużeń, stary frajbitrze! Gdyby nie ja, wilcy by ją schrupali z kosteczkami. A «szkoda by było takiego cuda!

' Serce mu biło na wspomnienie uratowanej niczym dzwon z żarnowieckiego klasztoru. Wciąż jawiła mu się przed oczami twarz niebieskookiej dziewczyny.

— Hej, Boże miły — wzdychał. — Żeby to nie była chłopska córka, zaraz bym swatów po nią posłał. Ale nic z tego! Co by na to rzekł pan Hernest, z Krokowa, nasz sąsiad i dobrodziej? Albo panowie z Kłanina, Bożego Pola i z Tyłowa? A bracia moi... Wyparliby się mnie, z domu psami

wyszczuli!

Słońce przygrzewało coraz mocniej. Roje ptactwa ciągnęły w kierunku Bielawskiej Puszczy, gęganie dzikich gęsi nad rozlewiskami przy Karwi wtórowało śpiewom ptaków w przydrożnych krzewach. Młody myśliwy zaś daremnie próbował wyrugować z myśli urodziwą frajbi- terównę.

— Wiesna — szeptał. — Prawdziwa z niej królewna Wiesna! Bodaj zrodziła się szlachcianką, poszedłbym na plebanię jak w dym i dziś jeszcze dał na zapowiedzi.

Po czym wściekły na siebie, braci, sąsiadów, ba, na cały świat, z pasją wcisnął czapkę na uszy i przyspieszył kroku zdążając na oślep przed siebie.

- wichrzasty wieczór wielkoczwartkowy w podłej chałupie skwierczał kaganek rzucając nikłe blaski na ściany izby i siedzącego na pniaku przy kominku starego Miszka. Bór szumiał za oknami. Domie- nikówny dawno już posnęły. Jedyne Barbara, przewracając się w alkierzu na posłaniu, nie mogła usnąć.

— Kto to jest ten mój zbawca, pan Sulicki? — zapytała wreszcie ojca.

Domienik podniósł twarz zaczerwienioną odblaskiem płomyków.

— Pierwszy raz jem go uzdrzał — odmruknął, Widząc jednak zawód na twarzy córki, 'dodał: — Alem znał jego ojca — nieboszczyka. Był ci on dziedzicem folwarku Su- lice.

— Gdzie to?

— Stąd dalej niżli dwie mile drogi. Pod Wielkim Sta- rzyńcem. Prócz tego miał jakieś dobra w lęborskim powiecie. Majętnością nie dorównywał panu na Krokowie, Rajnoldowi, wszakże szczyił się jego przyjaźnią.

Przerwał zaniepokojony tym, że córka leży z przymkniętymi oczami jak nieprzytomna.

— Spisz? — zapytał.

— Nie śpię — odrzekła.

— Meslil jo, że te spała — mruknął szarpiąc brodę. — Ciebie pewno bolońcy nie buli?

— Lepiej mi — pocieszyła go dziewczyna. — Już

o wiele lepiej.

Domienik rad, że córka nde narzeka, zaczął ciągnąć opowieść:

— Rajnold, ojc dzisiejszego pana na Krokowie, złamał wiarę i przeszedł z polskiej na luterską. Ale nieboszczyk Sulicki i wtedy go nie odstąpił. Pociągnął za nim z wieloma szlachcicami na daleką wojnę. Bili się po stronie tych tam jakichś hugonotów.

— Heretykom służyli.

— Pan z Krokowa tam «szedł, gdzie większe łupy. To zaciągnął się przeciw Chrancyi, to znów pomagał chran- cuzkiemu królowi. Walczył też z Turkami.

2 — Krwawy sztorm

33

— Aż -wygubił naszych ludzi — przerwała Barbara boleśnie marszcząc czoło.

Po wilczych kłach rany długo bolą — pomyślał Miszk i przytaknął:

— W jednej tylko bitwie, tam w tej Chrancyi, bodaj pod Żarnek*, zginęło siła kaszubskich żołnierzy. A tych, co po klęsce uciekli, bo nie chcieli dłużej diachłowi służyć, kazał pan Rajnold wychwytać i powiesić. Z półtora tysiąca ludzi, których stąd wyprowadził, mało kto wrócił.

— Że go Bóg za to nie skarał?

— Na magnatów nie ma kary! Tego roku jak przewiozłem króla Zygmunta z okrętu przez wielki presk przy rozewskiej blizie, a potem towarzyszyłem mu do Krokowa, widziałem na własne oczy, że sam miłościwy pan łaskawie grafa Rajnolda ucałować raczył.

— Nasz król jest prawie święty, skoro lutra pocałował — westchnęła dziewczyna patrząc na surową twarz ojca oświetloną płomykiem kaganka. — Ale mówcie raczej, co było z panem Sulickim. Zginął w tamtą wojnę we Chrancyi?

Wiatr świstał zaplątany za ścianą checzy w leśnych koronach. Stary podrzucił drew do ognia na kominku.

— Po śmierci {pana Raj-nolda, jego syn Hernest ruszając na dwór chrancuzki po zaległą ojcową łafę, zabrał go z sobą w tę drogę, by razem z panem z Bożego Pola świadczył, ile Chrancyja jest dłużna panu na Kro- kowie.

— I odebrali dług?

— Skąpe Chrancuziska zapłaciły im tylko część należności. Pięćset tysięcy guldenów są jeszcze dziś winni! Sulicki mocno tym zgryzł się, że i jego żołd diachli wzdęli. Zmarł w powrotnej drodze...

— Wieczny odpoczynek racz mu dać Parnie — szepnęła córka. — Długo cierpiał?

— Nawet testamentu nie zdążył napisać — machnął ręką królewski okrętник. — Przez to jego trzej synowie wciąż się między sobą kłócą o spadek, a ze złości biją sługi i poddanych, aż skóra trzeszczy.

— Pan Piotr takóż?

Miszk pokręcił głową.

◆ Mowa o bitwie pod Jarnac w 1569 r.

— Słyszałem, że to dobry człowiek. Nigdy chłopów kańczugiem nie bije. Ot, co najwyżej kijem którego uderzy po plecach...

— Boże odpuść mu ten grzech — westchnęła znów Barbarka. — Wielka szkoda, że nieboszczyk jegomość pojechał z tym lutrem — dodała ippo chwili. — Żeby nie zmarł tak rychło, opiekowałby się synami i nie byłoby ani braterskiej kłótni, ani krzywdy sulickich chłopów,

o pomstę do nieba wołającej.

Domienik wstał z pniaka. Przeciągnął się, spojrzął na dziewczynę. Błade jej policzki zaczynał barwić rumieniec.

— Nie wiedziałam, że on taki — mówiła cicho sama do siebie. — Nie wiedziałam...

— Inni gorsi — mruknął kaper. — Nie tak dawno temu zawisł na haku Szyszka z Połchowa. Za to że dziedzica obraził. Zostawił sześć dzieci...

— Biedne sieroty — uzaliła się chora. — Ci możni nie mają chyba Boga w sercu.

Podmuch wiatru potężniał, szarpał strzechą, bił o ściany, skowytał w głębi boru jak tstado zgłodniałych wilków.

— Od morza idzie krzekwica! — poznał stary.

— Zamieć śnieżna? — zdziwiła się córka. — Toć już Wielki Tydzień. Nie pora na śnieżycę.

— Chyba w tym roku będzie to ostatnia odparł

1 raz jeszcze podrzucił drew do komina.

Zatrzasnął wesoło ogień. Cienie pobiegły po ścianach cofając się w kąty izby. Ale za oknem żarnowiecki bór chłostany zadymką jęczał jak morze, kiedy targa nim sztorm.

Zgadł stary marynarz. Śnieżycą w nocy z Wielkiego Czwartku na dzień Płaczeboga okazała się ostatnim szturmem zimy. Zwyciężyła wiosna. Przygrzało słońce. Domienikówny pod okiem wracającej do zdrowia Barbary zaczęły bielić płótno na zielonej blece. Długie pasma szarzały na murawie. Barbarka stała na progu chałupy i przyglądała się siostrom.

— Chodźcie do dom — powiedziała. — Posilić się pora.

Usłuchały i weszły do chaty. Wtem z budy wyskoczył pies. Z najeżoną sierścią jął ujadać w stronę boru, z którego właśnie wynurzył się młody jeździec siedzący na

gniadym koniu. Serce dziewczynie zaczęło gwałtownie bić. Poznała Piotra. Ten zerwał z głowy sobolowy kołpak.

— Jak się masz? — zawołał z daleka. — Zdrowaś?

— Goją się rany — odrzekła, a gdy zatrzymał się przed zagrodą, dodała: — Dzięki paniczowi. Będę się o szczęście waćpana modlić do grobowej deski.

Szlachcic spojrzął na nią, pokraśniał z zachwytu.

— Wiem ci ja i bez tego, kędy fortuny mej szukać — zaśmiał się szczerząc białe zęby.

Zeskoczył z konia. Uwiązał go do pnia wiśni, popuścił popręg i podszedł bliżej. Przechylił się, wyciągnął ramię, ale przedtem rzucił okiem w małe okienko checzy. Za szybkami jaśniała biała chusta na głowie zaciekawionej Heleny. Zaraz się więc wyprostował i poniechał niewczesnych zamiarów.

— Wystroił *się waćpan jak na wesele — powiedziała Barbarka mnąc fartuch i zerkając to na delijkę podbitą lisami, to na żupain z genueńskiego aksamitu, opinający postać Sulickiego.

— Jeśli się ożenię, to jeno z tobą — wypalił.

— Drwiesz waszmość ze mnie.

— Niech mnie piorun spali^ jeśli łzę! Dzień i noc ku tobie wzdycham, odkąd jeno do dom powróciłem stąd był. Wciąż stałaś przed mymi oczami, aż się wreszcie przemogłem i przyjechałem.

Barbara spuściła powieki. Milczała zawstydzona. Wiosenny wiatr poruszał jej jasnymi włosami, które wymykały się spod chusteczki. W oczach jej zabłyśły łzy.

— Mniemasz, że na wiatr gadam? — zapalał się coraz bardziej. —/ Wybawiłem cię od śmierci! Sama Opatrzność mi cię przysądziła. Zaprowadzę cię do ołtarza jak amen w pacierzu!

Podniosła zarumienioną twarz.

— Prędzej ziemia się rozstąpi, a morze wyschnie.

— Jakże to?

— Sam waćpan przyznał, że musiał się przemóc, by do mnie przyjechać.

— Ot wymknęło mi się słówko. Nie zważaj na nie.

— Aleć to prawda! Zbyt wiele nas dzieli. Będiesz waszmość szczęśliwy, gdy pozwolisz mi wstąpić do klasztoru, a sam pojdziesz żonę równą stanem i majątkością —

mówiła wpatrzona w rękojeść Piotrowej szabli, ozdobioną cennymi perłami.

— Furda majątek! — krzyknął. — Furda szlachta! Uroda twoja za fortunę i herb stanie! Poprosimy jakiego księdza, by potajemnie nam związał ręce stułą i będzie po krzyku.

Domienikówna zastanawiała się przez chwilę. Oświadczyły Sulickiego oszołomiły ją jak grom z jasnego nieba. Pochlebiali jej gorące nalegania szlachcica, odpowiedziała jednak:

— Do ołtarza droga łatwa i bez krzyku, a w małżeństwie matnia płaczu i ryku. Tak mówią rybacy. A co by sąsiedzi waszmościowi rzekli? Niesłychana to rzecz, by taki jak waćpan szlachcic chłopkę za żonę brał! Waść strojny w aksamity, ja w parciane byle jakie szatki. Waćpan mieszka w dworze, ja w czynszowej zagrodzie. Waszmość poddanych pono bije, ja za (nich się modłę.

Zdębiał pan Piotr na te słowa dumnej dziewczki.

— Ja? Dalibóg nie pojmuję, kto oi w tak;owych wystawił mnie barwach... Gardzisz mną?

Koń przywiązany do wiśni parskał niecierpliwie, rzucał łbem, aż powiewała grzywa.

— Gdybyś waćpan jako ja był ubogi — szepnęła dziewczyna — z wdzięcznością bym serce i rękę oddała.

Podziwiał jej rozum równie jak urodę. Przyznał w duchu, że mówi mądrzej niż znajome mu szlachcianki. Ale powoli zaczynał ogarniać go gniew. Uniósł się wreszcie:

— Żadasz, bym się wyrzekł ojcowizny? Toć byłby to grzech srogi! Nasz ród siedzi na Sulicach od wieków!

Barbarka spojrzała mu w oczy.

— Grzech mieć majątek, gdy jego łany łzami poddanych zraszane są co dnia. Pan Jezus naikazał miłować bliźniego sercem, a nie kijem, jak to waść praktykuje. Bogactwa łącno mogą zaprowadzić do piekła. Tedy będę się szczerze modlić, żeby Bóg nawrócił waćpana z błędnej drogi.

Sulicki spuścił głowę. Czubkiem buta uderzył o kamień. Zaciążył mu bogaty strój, jakby był z żelaza. Oddychał ciężko, tarł czoło zmarszczone myślami.

— Barbaro — zaczął i urwał, bo zauważył, że od strony morza idzie skrajem lasu stary szyper z okazałym łososiem na ramieniu.

Miszk wracał z Dębek od syna, którego wspierał radą podczas wiosennych połowów.

— Pochwalony — powiedział zbliżając się do obejścia.

— Na wieki — odparł szlachcic i zaraz zagadał, by ukryć zmieszanie, w jakie wprawiła go rozmowa z Barbarką. — Piękną rybę niesiecie.

— Obdarzyli mnie nią moi dawni maszopi — uśmiechnął się Domienik. — Za to, żem im poradził, kędy niewód ciągnąć mają! Powiadali, żem szczęście im przyniósł...

— Tęgi z was rybi twa! I jam próbował łowitwy, ale mi rybka srebrna uszła z sieci. A jużem był pewny, że ją mam!

— Nie trać waszmość nadziei. Morze jest otwarte dla ubogiego i bogatego. Każdego obdarzy szcudrze, byle trudu nie żałował. Nie ma to jak rybacki stan! A co to była za rybka, na którą waść sieci stawiał? Wolno ©pytać?

Piotr rozejrzał się dookoła szukając Barbary. Ale nie zobaczył jej już. Korzystając z odsieczy uciekła do domu. Panicz więc zamiast odpowiedzieć machnął tylko prawicą, a potem siadł na koń i chmurny pocwałował ku Sulicom.

Od niejakiego czasu służba w sulickim dworze ze zdziwieniem spoglądała na panicza. Piotr bowiem całymi dniami przesiadywał w komnatach zamyślony i posępny. Nie doglądał robót w polu, a co dziwniejsze nie chodził na polowanie, choć tej wiosny było zwierzyny pod dostatkiem w okolicznych lasach. Henryk i Bartosz poradzili na koniec młodszemu bratu, by się udał do Gdańska:

— Wyglądasz jak z krzyża zdjęty! Chudniesz i mizerniejesz. Powinieneś u medyka pomocy szukać!

Piotr wszakże odkładał wyjazd z dnia na dzień. Wiedział, że serca nie wyleczy w Gdańsku, że uzdrowić go może tylko Barbara. Któregoś dnia, było to już pod koniec maja, postanowił odwiedzić dziewczynę i tak jak stał, pospieszył w kierunku żarnowieckiego boru.

Słońce wzbijało się do połowy nieba, gdy wyszedł z lasu od strony Sobieóczyc. Wśród rozkwitłych jabłoni zauważył czerwieniejącą suknię ukochanej. Miskówna zdążyła właśnie do odargowskiej drogi wiodącej ku morzu. Piotr

przyspieszył kroku, by dogonić dziewczynę niosącą dwojaki.

Odprowadzę ją — pomyślał. — Może uda mi się pozyskać jej względy łatwiej niżli wtedy pod checzą...

Dziewczyna, usłyszawszy zbliżające się kroki, odwróciła głowę.

— Pan Piotr — szepnęła i oszołomiona nieoczekiwanym spotkaniem szybko poprawiła niesforne kosmyki włosów wymykające się spod niebieskiej chustki.

Sulicki był dziś ubrany w myśliwski kaftan i buty z ja-łowiczej skóry. Ucieszyła się, że zrzucił wspaniały strój, w którym widziała go ostatnim razem. W tym prostym przyodziewku wydał się jej bliższy. Poczowała nawet żal, że odprawiła go wówczas tak twardo.

— Ale co by to zmieniło? — »szepnęła w duchu — ani on dla mnie, ani ja dla niego...

Tymczasem szlachcic blady, wymizerowany jak po chorobie, stał już u jej boku.

— Witajże mi, serce moje — zawołał i ani się spostrzegła, jak spojrzawszy ku sadowi, za którym kryło się Miskówce domostwo, przycisnął usta do jej policzka.

Pocałunek zaparł jej oddech. Stała jak wryta. Nie potrafiła przemówić słówka. Dopiero gdy panicz zapytał, dokąd idzie, odparła:

— Do Dębek! Niosę bratu Zychowi obiad na strąd. Tam gdzae maszoperia ciągnie łososiowy niewód.

— Odprowadzę cię — ofiarował się skwapliwie. — Pomogę ci nieść te gliniane garnce, bo zraniona ręka jeszcze ci z pewnością dokucza.

— Skoro waćpan taki łaskaw — zgodziła się wbrew swej woli.

Ruszyli więc dróżką między żytem a borem w kierunku morza. Gdy mijali miejsce, gdzie dziewczynę napadły wilki, Barbara rzekła cicho:

— Nie myślałam wtenczas, że będę jeszcze po ziemi chodzić.

~r— Zjawiłem się w ostatnim momencie.

— Nie zapomnę tego waćpanu. A ojciec z wdzięczności za mój ratunek wyciosał krzyż z dębowego drzewa.

— Krzyż?

— Stanie tu w dzień świętego Piotra, waścinego patrona.

Przycisnął mocniej jej ramię.

— Będzie to dla nas dwojga arcydzieło pamiątka na całe życie.

— Szczerze waść to mówisz?

— Jak md Bóg mały! Deliberowałem ja długo nad tą sprawą i wierzę, iż do spotkania jnaszego doszło za niebios zrządzeniem. Nie wolno nam bożej woli się przeciwstawiać. Musimy razem przez żywot iść, ślubem się złączyć...

— Bracia waćpana nigdy na to nie przystaną.

— Choćbym się miał zrzec dziedzicznej mej części, od spełnienia tego, com sobie poprzysiągł, jnie odstąpię. Tak mi dopomóż Bóg i święta Jego Męka!

— Wyrzekłbyś tsię waćpan dla mnie ojcowizny, bogactwa i dawnego żywota? — spytała cicho.

— Tyś cenniejszy dla mnie skarb niżli wszystkie dziedzictwa. Poznałem, iż żyć mi dłużej bez ciebie niesposób, królewno moja złota! Dla ciebie gotów jestem szablę od- pasać, w maszopa prostego się obrócić, niewód z braćmi twymi pospołu ciągnąć. Mam przecie dziesięć palców u rąk, a sił mi Bóg nie poskąpił. Zarobię na chleb dla ciebie i dla mnie! Jeno powiedz: będziesz ty mnie miłować?

Przytuliła się do niego.

— Toć ja już miłuję wa ćpana.

— Mów md tedy po imieniu — poprosił.

— A jakoć pani macierz na wać..., na ciebie — poprawiła się spiesźnie — wołała?

— Pietrek.

— Pietrek — powtórzyła ciepło. Mój Pietrek! I pomyśleć, że tak mało brakowało, a klasztorna furta zamknęłaby się za mną na zawsze i nigdy bym ciebie nie poznała.

— Toś ty była w klasztorze?

— Jako służebna. Ale wielebna matka przeorysza obie- cowała, że rychło dozwoli mi oblec habit żarnowieckiej panny.

— Teraz wiem, kędy się nauczyłaś tych dwornych manier.

— Wdzięcznam za to wielmożnej pannie Knutównie.

— I ja rad bym się jej do stóp pokłonił, że dobra była dla ciebie, a mnie grzeczną wychowała narzeczoną.

Las zrzedniał. Z cienistej zieleni wyszli na pola, z których niedawno odpłynęły reszty wód. Za łąkami jaśniały nadbrzeżne wydmy, a dalej rozciągało się błękitne morze

i bieleły się żagle statków, powoli z lekkim wiatrem zachodnim sunących do Gdańska. Wśród mokradeł tprfia- stych, gdzie brodził czerwono-nogi booian, wiała się wydeptana ścieżka. Ruszyli nią w stronę wybrzeża. Nad ich głowami przeciągnął się z żalosnym klangorem klucz białych łabędzi lecących ku Żarnowieckiemu Jezioru, W pobliskich krzakach zakukała kukułka.

— Posłuchaj — powiedział Piotr. — Raz, dwa, trzy, cztery...

— Co?

— Kukułka wróży nam, ile będziemy mieli dzieci.

— Przestań żartować, miły — poprosiła. — Jeszcze nie czas o tym mówić. Do ślubu daleko.

— Nie bój <się — uspokajał ją Sulicki. — W najbliższą niedzielę na krokowskim zamku będzie wielka uczta. Prócz mnie i moich braci zaproszono tam wiele możnej szlachty. Wobec nich wszystkich zrzeknę się praw do ojcowizny, a nazajutrz pójdziemy do plebana i damy na zapowiedzi. Zgoda?

Skinęła głową. Otoczył narzeczoną ramieniem. Patrząc na jej twarz pałającą radością prowadził ją przed siebie.

— Dobrze ci? — zagadywał od czasu do czasu.

— Jak w raju — zapewniała.

Minęli rybackie chaty czerniejące na piaszczystych wydmach. Zeszli na rozgrzany piach strądowny. Barbara zdjęła tu zaraz trzewiki i lekko stąpała u boku Piotra po wilgotnym zoloju ku nurtowi Piaśnicy, gdzie maszoperia dociągała do brzegu wielki niewód. Gdy większe fale zalewały brzeg, Miskówna uciekała w głąb piaseczni przed pienistą zimną wodą, zostawiając na piasku ślady zgrabnych stóp i śmiejąc się głośno. Rybacy wyciągający matnię, w której rzucały się łososie, usłyszeli jej śmiech. Obejrzelisię i zdumieli na widok panicza idącego z córką starego szypra.

— Boże pomagaj — pozdrowił ich Sulicki. — Jak tam połów? Dobry?

— Poszczyściło się nam — odpowiedzieli chórem i jęli zabijać karkulicami skaczące łososie.

— Niech no waćpan zazdrzy do bota, wiele me ich mo- ma — dodał Michał Domienik. — Starczy dla klasztoru i dla nas!

Wyciągnął rękę ku kadłubowi czółna, w którym skła

dano srebrny łup, podczas gdy Barbarka wzięła od narzeczonego dwojaki i podała je Zychowi. Sulicki podszedł do łodzi.

— Patrz, ile tu ryb! — przywołał narzeczoną.

Domienikówna przybiegła, podziwiając błyszczące łososie podniosła ręce.

— To je lichy — zaisępił się siwy Okoń. — Ten dzeus może nam rebe uroczyć!

— Nick nom nie zaszkodzi — skarcił go maszop Maciej Kur z Odargowa. — Ona je piękna, a czarownicą może bec leno brzydka białka.

— Żadnej białce nie trza wierzyć — zrzędził dalej Okoń spluwając na piasek.

Nad matnią kołowały i pokrzykiwały głodne mewy.

— Z ta Kim połowem — podjął Sulicki — warto by do Gdańska popłynąć. Profit mielibyście z tego niemały.

— Dobrze waćpan radzi — przytaknął Kur. Leno chto popłynie? My nie znamy drogi między płyciznami Małego Morza.

— Żeby stary szyper chciał nas poprowadzić — dodał Okoń. — On zna Wik jak własną kieszeń.

Ojc popłynie — zaręczała dziewczyna. — Ja go poproszę, żeby wam pomógł.

— I ja bym się chętnie z wami zabrał — oświadczył szlachcic. — Mam w Gdańsku sprawę jedną, dosyć palną.

— Tedy idź, Barbarka, do ojca — rzekł Michał. — A my tutaj skorzystamy, że ławica jest pod samym brzegiem i zrobimy jeszcze jeden zaciąg.

Maciej tymczasem radził paniczowi z Sulic:

— Waćpon się ciepło oblecze, bo pojedzeme wczas, a rano na morzu zimno. Waćpon nie je nawykły do żeca reboka.

— Kto wie, czy pan Piotr nie będzie z wami jeszcze ryb łowić — roześmiała się tajemniczo Barbara.

Maszopi pootwierali gęby ze zdumienia. Wiedzieli, że rybakiem był święty Piotr — klucznik niebieską, ale żeby szlachcic miał łowić ryby, nie chciało im się pomieścić w głowach.

— Sama nie wie, co gada — orzekli, kiedy Miskówna z sulickim «paniczem zniknęła wśród garbatych wydm. — Plecie, co jej ślina na język przyniesie. Ot, zwyczajnie jak to białka.!

Potem splunęli w dłonie i powrócili do swej roboty. Piotr zaś idąc ścieżką obok Barbarki mówił z ożywieniem:

— Dziś jeszcze poproszę twego ojca o twoją rękę.

— Poczekaj z tym trochę — »szepnęła.

— Po co? Rozmyśliłaś się jmoże?

— Nie! Jeno jest u nas taki zwyczaj, że najlepiej się oświadczyć w drugi dzień Zielonych Świąt. Takie 'małżeństwa najszcześniejsze pono bywają.

— Niech i tak będzie! — zgodził się szlachcic i przypieczętował swą zgodę ognistym pocałunkiem.

Wieczorem powiadomił braci, że wybiera się do Gdańska, by zgodnie z ich radą odwiedzić jednego z tamtejszych sławnych medyków i poprosić o driakwie pomocne na trapiącą go chorobę. Ale zamilczał o tym, że serce jego zostało już uleczone.

Pierwsze kury piałły, gdy brodaty okrętnik ruszył z przyszłym zięciem do Dębek. Maszopi oczekiwali ich przy łodzi, zacierając ręce i otulając się w ciepłe kaftany, bo chociaż maj miał się ku końcowi, ranki wciąż jeszcze były chłodne.

Szlachcic przywitał się, wsiadł do czółna, położył na dnie rusznicę. Rybacy odepchnęli łódź od brzegu, wciągnęli na maszt łaciński żagiel. Zaraz wydał go wiatr niosący opary z mokrych łąk. Smoliste czółno pomknęło w kierunku Rozewia. Bryza budziła fale wesoło pluskające o burty. Miszk, zadowolony że znów wypłynął na morze, pilnował steru i baczył, by łódź nie wpłynęła w strąd ani nie oddaliła się zbyt od brzegu.

Gdy minęli Ostrowo, ukazał im się wysoki brzeg Rozewskiej Kępy. Znikła mgła, czerwona kula słońca wynurzyła się z morza, wiatr przycichł, a z łęgów dolatywał poranny 'świergot ptactwa. Dzień

zapowiadał się pogodny. Na niebie nie pojawiała się arii jedna chmura. Słońce przygrzewało coraz mocniej. Kur z Okoniem i młodym szyperem ułożyli się więc niebawem do snu na

dziobie szalupy. Patn Piotr zaś siedział na ławce, patrzył w schłostaną wichrami, okoloną siwym zarostem twarz morskiego wilka i słuchał jego opowiadań o dawnych czasach, gdy za Zygmunta Augusta jako młody knop pływał we frajbiiterskich maszoperiach.

— Frajbdtery — powtórzył panicz. — Kiedyś już coś

o nich słyszałem. To oni grasowali po morizu?

Szyper pokiwał głoią.

— Ich boty i ©tatki napadały na okręta tych krajów, z którymi nasz król jegomość wojował. Chwyтали też nawy płynące do nieprzyjacielskich portów, a zdobycz przyprowadzali do Pucka. Tam kaperski trybunał sprawiedliwie dzielił łupy. Frajbiterzy dostawali swój part, pucki starosta swój, no i król też brał swoją część.

— Intratny proceder!

— Nie zawsze! Czasem nieprzyjaciel brał górę. Wtedy frajbiterów wieszano na rejach, a okręt płynął z nimi tu wzdłuż rozewskiego brzegu i helskich wysp. Na postrach chłapowianom, wielżanom, jastarnikom, bo tych najwięcej frajbiteriskdm rzemiosłem się parało.

— Nie bali się stryczka? — zagadnął Sulicki patrząc na urwiska Rozewia, pod którymi uwijały się rozproszone łodzie chłapowskich maszopów łowiących cezami flądry na toniach wśród wielkich kamieni.

— Głód zmuszał ich do frajbiterstwa — tłumaczył Do- mienik. — Jak ławice śledzi nie podpłynęły pod brzeg, a łososie zawiodły, nie mlieli co w garnki włożyć. Trzeba było wrogom łupy z gardła wydzierać. I wydzielali, aż starosta Hernest Wejher zakazał frajbiterom wypływać na morze. Wtedy z Kołaczem sołtysem z Chłapowa poszli my na skargę do samego króla. Ale nic jeśmy tam nie wskórali. Kołacz gadał, że nieboszczyk Zygmunt August inaczej by załatwił tę sprawę, bo przychylniejszy był rybakom i za czasów starosty Kostki przywileje im potwierdzał. Dobry pan, zacny pan...

Przekręcił ster nieco w lewo, bo nad zatopionymi głazami kipiała woda i łodzi groziło rozbicie. Umilkł na chwilę. Młody szlachcic nie dał mu jednak długo milczec.

— Lepszy niż terażniejszy król, siostrzan jego d imiennik, Zygmunt III?

— W pierwszych latach jego panowania — mruknął szyper — w Chłapowie, gdzie wtenczas mieszkał, było

biedy jak smrodu. Dopiero jak miłościwy król wyprawił się do Szwecji po swój dziedziczny tron, odmieniło się. Wielu rybaków poszło służyć na statki królewskie.

— Wy takoz?

— Jam wozil naonczas do Sztokholmu zolnierzy puckiego starosty. Wszelako pozniej, podczas drugiej wy- praiwy do Szwecji, razem ze starym Czerwionka — ten knop jeszcze zyje, choc ma chyba juz poltora^ kopy ro- kow na karku — sluzylem na tym samym statku, ktorym król wracal z Kalmaru.

Tu brodaty okretnik popatrzył na brzeg zbaczajacy w tym miejscu nieco w prawo i 'przekrecil ster w tę samą stronę.

— Te chce na skarpach — wyciagnal rękę ku urwiskom — to pierwsze domostwa Chłapowa. Ciagną się one od Stamiowego Żłobu aż tu do Rozewia. Tam na Cet- niewskim Haku zaczyna się juz Wielka Wieś. A ten wądół zwie się Lisi Jar. Tuśmy z jegomością królem ladowali.

— Czemu nie w Gdańsku? — zaciekawil się Piotr Suljcki.

— Bo zaraz z pierwszym mrozem przyszedł od wschodu taki sztorm, że nie tylko żagle szły w strzepy, ale reje z masztów zlatywały! Jak nas w Dzień Zaduszny zapędziło pod rozewski brzeg, to nawa ugrzęzła na amen. Nie było mowy, by zawinąć w ujście Wisły. Wiater dał do oka! Wtedy stary Czerwionka, jak to mówią: chłop mowny i kot łowny wszędzie przejdzie, dostał się do króla i obiecał mimo sztormu ziwieźć go bezpiecznie na brzeg.

— Śmiałek — pochwalil Sulicki.

— Że jednak — gadal dalej Misk — sam nie mógł tego dokazać, pyta mnie: "Pomożesz?" Patrzę ku lądowi: Rewy chodzą. Kipi presk. "Maryja, Józefie święty! — wołam. Nie damy rady! Pod brzegiem zaleje nas fala". Na to przystapil mlody Bytk Szewka z Tupadeł. "Popłynę z tobą — rzekł. — Damy radę! Nasz król jest święty, a świętego nie zaleją największe nawet denegi!" Dołączyl do nich zaraz jeszcze jeden ostrowiandn. Nie miał więcej niż osiemnaście roków, ale taki był zeń stołem, że mógł samo jeden armatę podźwignąć, a łódź na plecach nieść. Wtenczas i ja się zgodziłem. Musieli my przysiąc na Krzyż Pański, że król nie utonie. Potem wzięli my się

do dzieła. Statek się kołysal jak łupina, ale ostrowianino- wi udało się spuścić szalupę.

— Jako się zwal ów osilek?

— Nie przyznawal się do żadnego {nazwiska. Mówiono nań Jówa. On to wsadził króla w odpowiednim momencie jak małego chłopca do szalupy i siadł ido wiosła. Sam był na jednej stronie, a my trzej na drugiej. Ale dał nam radę! Łódź pognala między grzbietami fal do brzegu, aż zaniepokoił się król. "Czemuż to — pyta — nikt nie steruje?" "Mamy, dopraszam się łaski waszej królewskiej mości, taką wprawę, że łódź wiosel słucha" — zapewniam. Wtem za szalupą przewalil się ogromny bałwan. Blady, wybiedzony morską chorobą pan nasz ze strachem zerwał się z ławki. "Przewrócił się za nami! — uspokajal go Czerwionka. — Jesteśmy juz iiiżej rewy! W »rzecę«! Poczekamy chwile, skoro zaś grzywacze przejdą, przemkniemy przez usechy i dobijemy do brzegu".

— I co król na to?

— Niewiele z tego wszystkiego zrozumiał. Trwożnie patrzył na szumiącą rewę i bałwany toczące się ku brzegowi. Czerwionka tymczasem liczył fale. Jak przeszła trzynasta, zakomenderował: “Teraz, dresze!”

Szyper uśmiechnął się do swych wspomnień i opowiadał, jak to Jówa splunął w ręce, jak ucałował krzyżyk różańca, który w każdym niebezpieczeństwie zawieszał na szyi, jak zgiął się przy wiośle. Druga strona wiosłowała na równi z ostrowskim siłaczem. Na usechu, czyli mieliźnie podniosła ich niewielka fala z kolejnej trzynastki. Porwała łódź na swój grzbiet i błyskawicznie wyrzuciła na brzeg. Mocarz z Ostrowa wysadził Zygmunta III na suchy piach. Rybacy, których dziesiątki tu się zbiegło, bo zdawało im się, że statek idzie w strąd, chwycili szalupę. Gdy wyciągnęli czołno, które żoch rwał z powrotem w morze, Czerwionka “iwyplestał”, kogo to zwieźli na brzeg. Półdzicy Kaszubi odziani w focze czapy i kabaty ze zdziwieniem gapili się na monarchę. Król Zygmunt w czarnych aksamitach patrzył na drugą szalupę pełną dworzan, która się w presku zbliżała do brzegu. Załoga jej nie miała szczęścia. Na usechu zakryła ich fala.

— Gwesno by ich żoch zabrał, żeby nie nasz żelazny Jówa! — kończył Domienik opowieść. — Ten knop był równie silny jak odważny. Wszedł w morze jak święty

Kresztof i chociaż fale się przezeń przelewały, pociągnął tonącą łódź w strąd. Do pomocy skoczył mu natychmiast Bytk. Na żoloju chwyciło burty szalupy wiele rybackich rąk i tak to królewscy dworzanie zostali uratowani od mokrej śmierci.

Tu zerwał się z ławki i szybko skręcił ster w prawo, by ominąć kanciasty głaz sterczący wysoko z wody.

— Niewiele brakło, a i nas by teraz taki los spotkał — rzekł panicz. — Co to za skała?

— Zwie się Frank — objaśnił sternik.

— Skąd to miano?

— Starzy gadają — wtrącił Okoń rad, że może dorwać się do głosu — iż na tym kamieniu uratowała się córka szwedzkiego szypra Franka, gdy jego okręt tutaj jśdę rozbił podczas okrutnego sztormu.

— Każdy wawóz czy kamień coś tu przypomina — zauważył pan Piotr. — Ale powiadajcie — zwrócił się do Miszka — jak to z królem dalej było? Nagrodił was szczodrze?

— Jóiwę, który 'przemoknięty do ostatniej suchej nitki dygotał z zimna, chciał okryć swym « bogatym płaszczem, choć sam drżał jak osika. Ale nie »pozwolili mu na to rybacy.

— Jakże to? — zdziwił się zrzędmym Okoń.

— Okryli ratownika i rozbitków foczymi kabatami. Wtedy król przyrzekł sołtysowi Kołaczowi z Chłapowa, że nie dopuści, iżby starosta Wejher ściągał zbyt wysoki czynsz od rybaków. Potem chłapowiamde ponieśli Lisim Jarem, dostojnego gościa na noszach. „Na skarpie stał już sołtys Łyk z Tupadeł z kolaską zaprzężoną w sześć koni. Zawiióźł on schorzałego (pana do swej wsi,

przenocował go u ciebie w checzy, której strzegło wielu rybaków zbrojnych w stare rusznice pochodzące jeszcze z czasów frajbiterstwa. Nazajutrz ruszył miłościwy pan do Krokowa. Tam...

— O tym jak imć Rajnold przyjmował króla jegomości nieraz powiadał mi pan ojciec — przerwał Sulicki

Umilkł więc siwy marynarz i zajął się żeglugą. Wiatr się wykręcił do nordwestu. Dmuchał słabo, ale łódź pod rozpiętym żaglem posuwała się dość szybko wzdłuż Chłapowskiego i wielżeńskiego brzegu, gdzie kilka masizoperii uprawiało połowy łososia. Kiedy izblizali się do przesmy

ku między wielżeńskim cyplem a pierwszą wyspą helską i przepłynęli nim na Małe Morze, Misk usłyszał dzwon z niedalekiego kościoła, gdzie królowała (patronka rybaków, Swarizewska Panna. Odmówili wspólnie Anioł Pański, a następnie spożyli kwaśny chleb z gotowanym łososiem. Po tym śniadaniu Maciej Kur popatrzał w stronę widocznych na brzegu wież puckiego zamku i fary.

— Jakiś kurp wyszedł pod żaglem ,z Pucka — zauważył.

Domienik osłonił dłonią oczy przed oślepiającym blaskiem słońca. Zapatrzył się w migotliwą dal.

— To pucka szkuta — odrzekł ipo chwili. — Płynie z drzewem do Gdańska. O, już zmienia kurs na Depkę.

— Popłyni za nimi — poradził mu Zych. — W ten sposób łatwo nam będzie znaleźć drogę.

— Pucizany tu jak w domu! — przytaknął stary. Przekręcił ster w lewo i podążył za puckim statkiem w kierunku Wisłoujścia.

Gdy już szczęśliwie minęli Depkę, spostrzegli na swym kursie ożaglowany statek trzymający się dziobem pod wiatr. Powoli podpływali doń, póki nie dojrzeli na jego maszcie flagi z trzema koronami.

— Maryja, Józef! To szwedzki kaper — krzyknął Misk. — Duchem! Łososie ukryć «pod sieciami! Bodaj to wszetcy diachli!

Wtem szwed wystrzelił z jednej z armat, których paszcze czerniały na obu bokach korabia, i spuścił szalupę. Ta z uzbrojonymi marynarzami podpłynęła do puckiej szkuty. Załoga jej poddała się bez walki. Żołnierze pozostali na pokładzie, gestami nakazywali dębczanom dobić do burty kaperskiego okrętu.

— Schowaj, waść, broń — poprosił Domienik szlachcica. — Inaczej może być z nami lichy. Zabiorą nas i nasz ładunek! A tak powiemy im, że płyniemy rybaczyć.

Tak się też stało, jak powiedział. Z wielką ulgą odetchnęli dębczainie, gdy im Szwedzi kazali tylko zabrać załogę puckiej szkuty i marynarzy z innego statku, poprzednio już zdobytego przez kapra.

— Wyszadzimy was na Oksywskim Haku — rzekł do nich Misk. — Mamy zbyt ciężki ładunek,

byśmy mogli was zawieźć do Gdańska.

Puccy rybacy uradowani, że żywcem zesłi ze szwedzkiej łajby, skwapliwie przystali na tę propozycję.

— Bóg wam zapłać — podziękował bosman Manuszewski patrząc na oddalający się okręt, gdzie na kasztelach i wantach roili się zbrojni w muszkiety kaprowie. — Szczęście, żeście się tu nawinęli, boby nas ten piekielnik nie na ląd, a do piekła posłał.

Sulicki podniósł brwi.

— Piekielnik?

— Piotr Spiryng — wyjaśnił bosman. — Kaper Gustawa Adolfa! Dawałem mu gotowizną trzysta złotych polskich, byle na® wolno ze statkiem puścił, wżdy on niby niedźwiedź ryknął na mnie grubo: “Trzysta złotych? Nie na taką kwotę Gdańsk przeklęty mnie poszkodował zagarniając należny mi ispadek! Nie spoczne, póki go co do szeląga nie odbiorę!”

Domienik obejrzał się na szwedzki statek. Marynarze zwozili nań ze zdobytej szkuty wszystko to, co miało jakąkolwiek wartość.

— Żeby nasz król jegomość miał większą flotę — rzekł ponuro stary okrętnik — nie doszłoby do tego gwałtu. Toć to gorzej niżli we wojnę! Grosza lichego bym nie dał za taki pokój.

— To jo! To je prawda — odezwał się Maciej, który choć na okrętach nie pływał, ale też miał głowę na karku. — Musi być, że wojna się szykuje! Ci żółto!brodzi przybyli tu gwesno na prześpiegi. Leno zdrzec, jak sę zerwie srogi sztorm, krwawy sztorm.

W tej chwili nad skutą uniosły się kłęby dymu

— Baczcie — jął lamentować Manuszewski. — Szwedzi zapalili nasz statek. Co za czasy! Co za ludzie!

Nie przestał się żalić nawet wtedy, gdy dębczanie wysadzili go na oksywski strąd z załogą zagarniętej przez Szwedów szkuty i marynarzami, a sami płynęli wzdłuż brzegu w kierunku wiśloujskiej latarni, ku której wciąż snuł się dym z płonącej szkuty.

— Co to się stało? — zapytał szyldwach z wałów twierdzy przy Latarni, gdy wpłynęli w gardziel rzeki.

— Spiryng napadł na puczani i zapalił ich statek — odkrzyknął z czółna Miszk.

Żołnierze zameldowali o tym komendantowi Mindy, który wybiegł z wieży i stanąwszy przy jednym z dział na zielonym szańcu długo wpatrywał się w daleką smugę dymu.

Tymczasem łódź popychana nordową bryzą sunęła w górę rzeki Leniwki. Minęli Holm, wpłynęli przy Polskim Haku w Motławę i lawirując między rozmaitymi okrętami dobili nie opodal czerwonej

baszty zwanej "Kolp" do Rybackich Pobrzeży. Nim słońce zaszło, sprzedali na Feszmarku swoje łososie, a potem Doimienik postanowił pokazać swej kompanii miasto, dobrze mu znane z dawnych, marynarskich czasów.

Poprowadził ich Długim Mostem koło Straganiarskiej Bramy i Żurawia na Długi Targ. Pokazał im Dwór Artusa, ratusz ze strzelistą wieżą, na której złociła się w blasku zachodu złota figura Zygmunta Augusta, ogromny wieżasty kościół Panny Marii, kamienice bogatych pat rycj uszy...

— Wstąpimy "Pod Łososia" — zaproponował w końcu na Szerokiej, gdy zmęczyła ich wędrówka gwarnymi ulicami.

Weszli. Ale w progu szynkowni istary Okoń stanął, zatrzymał szypra i oświadczył kategorycznie:

— Wychodzimy stąd! Tu nie ma niżodinego świętego obrazu. To nie je katolicka karczma. Tu letrze gospodarzą! Heretyki!

Domienik prowadził więc drehów dalej, aż za Bramę Ludiwisarzy, na Drzewnym Rynku znaleźli inną gospodę. Nad jej drzwiami widniała figurka mnicha w cysterskim habicie, gdy zaś weszli do środka i siedli na ławie przy długim dębowym stole, ujrzeni na ścianie nad szyinkwa- <sem obraz świętego Wojciecha.

— Jo, tu możemy -popić — stwierdził Okoń i zatarłszy ręce skinął na pachółka.

Wnet pojawiły się przed nimi na stole konwie piwa

i spory gąsior wódki. Popijali rozmawiając głośno o tym, có dziś widzieli na morzu* Wkrótce do Kaszubów zaczęli się przysiądać zaciekawieni mieszczanie dopytując

o szczegóły szwedzkiej napaści.

— Zdrajca nad zdrajcami óiw Spiryn — przeklinał kapra jakiś gdańszczanin z łopaciastą brodą. — Z wrogami się pokumał! Pod samym bokiemy niby wilk jagnięta porywa nam nawy. Szkody czyni niemałe. Drwi iw żywe oczy z miłościwego króla Zygmunta i prześwietnego magistratu.

— Wart zadyndać na rei — potakiwał Misk. — Żeby 50

to nieboszczyk starosta Jan Wejher żył z pewnością zawisnąłby ten huncwot na stryczku, ledwie by na Małym Morzu począł grasować.

— Nic dobrego nie wróży nam to dzisiejsze wydarzenie — kiwali głowami inni.

W gospodzie zrobiło się mroczno. Pachółek zapalił świece w mosiężnym pająku zwisającym ze szerniałych belek stropu. Stary Okoń zdrzemnął się na ławie. Maciej z Zychem i Michałem ruszyli na nocleg do czółna. Niebawem

i pozostali goście się rozeszli, a stary okrętnik został sam na sam ze szlachcicem, który fetował go szczodrze, chcąc sobie zjednać jego przyjaźń. Wychylali kubek za kubkiem.

— Idą ciężkie czasy — narzekał markotnie Domienik. — Prawdę mówił Kur! Leno zdrzec, jak nadciągnie z północy krwawy sztorm. Ja tam na pewno tej wojny nie przeżyję. Stary jestem, i bez utyskiwań bym oszedł z tego świata, ale żal mi moich cór. Chto się nimi zaopiekuje? Chto je obroni, jeśli...

Piotr, któremu się mocno kurzyło z głowy, zapomniał, że obiecał Barbarze czekać z oświadczeniami do Zielonych Świąt. Nalał szyprowi i sobie tęgiej gorzałki. Dla kurażu duszkiem wychylił kubek i wybełkotał:

— Dajcie tedy Barbarę w moją opiekę, a klnę się Bogiem, że włos jej i jej siostrom z głów nie spadnie!

Stary okrętnik wytrzeźwiał od razu.

— O nie, paniczku! — zaperzył się i stuknął kubkiem

o stół. — Nick z tego nie będzie! Ubodzy jmy, ale uczciwi i wedle przykazań boskich żyjący ledze. Nigdy nie przystanę, żeby Barbara na złą drogę zeszła i gamratką waścina została! Żebyś do grzechu ją przywiódł, na pośmiewisko ludzkie wystawił...

— Ależ Bóg świadkiem, iż źle pojęliście moje słowa! — przerwał Sulicki. — Uczciwe mam zamiary! Barbarę waszą umiłowalem całym sercem i dusznie pragnę do ołtarza ją «poprowadzić.

Domienik wybałuszył oczy.

— Może to być?

— Dlaczegożby nie?

— Młodziście, paniczu! Okrutnie młodzi! Wielki to byłby dla mnie zaszczyt mieć herbowego zięcia, ale widzi mi się, iż z tego nieszczęście dla was i dla niej wyniknie.

¹ — Fortuna to dla mnie, a nie nieszczęście takową żon

kę u boku mieć.

— Boję się — ostrzegał stary — że -powstanie przeciw waćpanu wszystka szlachta, a panowie bracia...

— Nie stoję ja o ich względy. Sam ostawię im to, co mnie by w spadkowych działach przypadło! Rzucę dwór, boć milej mi będzie z Barbarką w dębrowskiej checzy. Na tych pustkach nie będzie mas chyba nikt prześladował.

— Niech się tedy dzieje wola boża! — zgodził się wreszcie udobruchany już i wzruszony okrętnik.

Wychylił z przyszłym zięciem ostatni toast, obudził chrapiącego Okonia i opuścili gospodę, gdyż o świcie mieli odpłynąć do Dębesk.

Niestety rankiem powiała taka nor da, że nie było mo- ! wy, by mogli ruszyć w powrotną drogę.
Zostali więc

' w Gdańsku, zaglądali do kramów i szynków, przypatry

wali się, jak mieszczanie spieszą z łopatami ma szańce, I by «naprawiać miejskie obwarowanie,
nadsypywać wały,

I pogłębiać fosy.

¹ — Czuć proch w powietrzu — powtarzał Domienik. —

Tym razem to nie strachy ma Lachy! Ja, stary żołnierz ¹ wodny, znam się na tych spraiwach.

Wiatr wiał i przez następne dni. Dopiero w sobotę w przedostatnim dniu .miesiąca wykrecił się
do południa. Zaraz z rama, gdy tylko słońce przygrzało, podnieśli i I żagle i »popłynęli z prądem ku
Wisłoujściu, gdzie przy

Latami zatrzymywały się i odmeldowywały kupieckie ' korabie wychodzące w morze.

Wyminęli je i znaleźli się na zatoce. Sulicki co chwi-

I la (spoglądał ma pierścionek, który kupił dla narzeczonej

w sklepie na ulicy Złotników. Misk trzymał ster i uwa-

1 żał, by łódź nie oddaliła się zbyt od wybrzeża.

, — Diubel nie śpi — mówił przy tym. — Na głębszych

i wodach mógłby się znów pojawić ten purtk Spiryng.

Kaper jednak znikł bez śladu. Spotykali natomiast

I okręty pod holenderską, francuską a naiwet angielską

flagą, z żaglami wydętymi «południowym wiatrem, wracające z polskim zbożem do macierzystych
portów. Spo-

I tykali skutu i rybackie czółna helam, oksywian, jastar-

mików.

Gdy minęli Puck, wiatr — jak często w okresie Zielonych Świąt — “zdechł”. Musieli zwinąć żagle.
Siedli do

paczen i wiosłowali przez, spokojny Wik na Wielkie Morze ku błękitnemu jprzyłdkowi.

Słońce zapadło w toń nie opodał brzegu. Latarnik z Rozewia zaipalił ogień na «pękatej* wieży. Jednocześnie odżyła rosowa bryza. Wywiesili więc na nowo żagle. Łódź posuwała się naprzód. Drobne- fale z lekka pluskały

o burty. Żeglarzy ogarniała senność. Maciej siedzący na ławce oparł się plecami o maszt i modlił się za dusze tych, co nie powrócili z połowów, Michał i Zych zwinawszy się na dziobie łodzi zachrapali, a młody szlachcic patrzył na starego okrętника i milczał, bo myślami był wciąż przy Barbarze. Naraz siwy sternik drgnął.

— Maryja — jęknął — Józefie święty!

— Co wam? — porwał się Piotr i szarpnął go za ramię.

Ocknął się stary wilk morski. Zamrugął powiekami.

— Jezus, Maryja — powtórzył jeszcze raz. — Ratuj mnie, Józefie święty.

— Co się stało? — dopytywał ipanicz.

— A jesta nic nie widzala?

— Co miał widzieć? — odezwał się z mroku Kur. — Ciemno tu jak w miechu.

Domienik, rozglądając się trwoźnie naokoło, sizukał towarzyszy rejsu. Ledwie ich mógł dojrzeć w łodzi.

— Widziałem klabaternika — wyznał wreszcie, łapiąc otwartymi ustami powietrze jak ryba wyrzucona na ląd. — Stał na przedniej stewie i powiedział mi, że ostatni raz pływam na morzu. ^r

Nie uwierzyli mu. Rozległy się głosy:

— Klabaternika?

— Przyśniło się wam, ojc!

— Sen mara, Bóg wiara!

— Nie spałem — upierał się frajbiter.

— Ja, Bogu dzięki, nick nie widziałem i nie słyszałem — przeżegnał się Okoń.

— Był, był mniejszy niż niemowlątko — tłumaczył Misk — stał na przedniej stewie, a potem wspiał się po sztagu na maszt.

Sulicki spojrział na czubek masztu:

— Nie ma go tam!

Załatwił swoje i znikł — machnął ręką Domienik.

Michał i Zych przekonywali starego, że jeszcze nieraz

popłynię z nimi na Feszmark do Gdańska, ale on nie dał filię pocieszyć.

— Co powie klabaternik, wiedno się sprawdza — powtarzał. — Rychła śmierć mi pisana. Nic tego nie odmieni.

— Kto to jest ten klabaternik? — dowiadywał się młody szlachcic.

Szyper wykręcił ster kierując łódź ku niedalekim wydmom i odparł:

— Duch utopionego okrętника! Iaki co to przestrzega narynarzy przed rozbiciem lub śmiercią.

Gdy dobili przy Dąbkach do strądu, wyłoniła się z ciemności smukła dziewczyna.

— Barbara — poznał ją Sulicki i wyskoczył z łodzi na piach.

— Co dzień przychodziłam tu na wydmy wypatrywać was — mówiła dziewczyna ocierając łzy.
— Obawiałam się, żeście potonęli.

Ogarnął ją ramieniem i przytulił do piersi.

— Utonąłem, miła panno moja — szepnął czule. — Utonąłem w modrej oczu twych głębinie i, dalibóg, nie pragnę, by mnie ktokolwiek z toni tej wyławiał. _k

Żółto migotały okna chat czerniejących pośród piaszczystych garbów. Rybacy wciągnęli łódź w strąd i ruszyli do domów na spóźnioną wieczerzę, a oni, owiani nocnym wiatrem, stali wciąż obok siebie, jakby zapomnieli o całym świecie.

Pogrążyłaś mnie — powtarzał panicz. — Pogrążyłaś na wieki.

muga porannego słońca wpadła do komnaty przez małe oprawione w ołów szybki okien sulickiego dworu i zbudziła drzemiącego w łóżnicy panicza. Przypomniało mu się, że to Zielone Świątki, trzydziesty pierwszy dzień maja, i że ma być w Krokowie na uczcie. Czym prędzej umył się, ogolił, ubrał. Zapiął pas, przy którym zwisała krzywa szabla, wyszedł do sieni, siadł na zydlu i jął rozmyślać, co też mu przyniesie dzisiejszy

dzień. Wiedział, na co się zanosilo. Jan z Kłanina, spotka wszy go onegdaj w żarnowieckiej przyklasztornej karczmie, rzekł:

— Niedługo, panie bracie, a powinowatymi sobie bę- dziem.

Jan był zakochany po uszy w młodszej córce dziedzica z Bożego Pola pięknej Annie i miał nadzieję, że wnet z nią stanie przed ołtarzem. Musiał wszakże czekać, póki nie wyjdzie za mąż jej starsza o rok siostra Weronika, rosła pannica, której Bóg poskapił oleju w głowie. Dlatego, choć

miała odziedziczyć Boże Pole i przyległe włości, trudno było dla niej znaleźć konkurenta.

— Upatrzyli sobie mnie na ofiarnego kozła — zżymał się Piotr. — Pan Hernest z pewnością ze, starym dziedzicem z Bożego Pola, Janem z Kłanina i braćmi moimi w porozumienie wszedł. Wyswatać minie obiecał korzystając z dzisiejszej biesiady. Pa, nom braciom byłoby w to graj, by się mnie ze Sulic pozbyć! Mniemają snadź, iż dziedzicem Bożego Pola ostawszy, nie będę się o swoją część spadku dopominać. Przedać mnie umyślili jako biblijnego Józefa. Wszelako nic z tego nie będzie! Kocham Barbarę. Jej uroda i (mądrość niby słońce mi jaśnieją, a lepiej z mądrym zgubić, niż z głupim znaleźć.

Popatrzał na świecznik z jelenich rogów, zwisający z pułapu, tną kobierce i drogocenną broń, zdobiącą ściany sieni. Nad wielkim, okopconym kominem z wykutym w kamieniu herbem Bonin, wisiały zdobyte przez nieboszczyka Sulickiego paincerze, druciane koszulki ze złotymi spięciami, hełmy niemieckie i polskie, srebrzyste misiurki zdarte z tureckich łbów. Krzyżowały się długie koncerze i rapiery.

— Mój pan ojciec Turków bił, a ja miałbym bezwolnie w jasyr pójść tej kukły malowanej, strojnej i bogatej — mruknął ze złością i zerwał się z zydła. — Niedoczekanie!

Zajrzał do bielonej izby jadalnej, czy nie podano już śniadania, wróciwszy bowiem do dom późną nocą położył się bez wieczerzy i kisziki w nim skrzeczały jak żaby w Bielawskich Błotach. Ale choć pora raninego posiłku mijała, do stołu jeszcze nie podano. Od czasu śmierci ojca i matki zdawać się mogło, że dwór wymiera. Dawni słudzy uciekli, a skłóceni bracia jeden drugiemu na złość nie przyjmowali nowych.

— Pewnieś głodny, synku — zagadnęła go nagle jego chrzestna, ciotka Połchawska, wyrzawszy z bokówki.

— Jak wilk — odparł.

— Zaraz cię nakarmię — zakrzętnęła isię, a kiedy siadł nad miską polewki, zapytała: — Gdzieś to bywał tak długo? Myślałam, żeś przepadł z kretesem.

— Zabrałem się z rybakami do Gdańska; u medyka, jak mi bracia zalecili, gwoli słabego zdrowia porady szukać — skłamał Piotr.

— I co ci ów cyrulik rzekł? Jako nazwał twą chorobę?

— Kłopoty!

— Tych ci doprawdy nie brak, niebożatko moje — uzaliła się chrzestna. — Żle ci tu! Bracia chętnie by cię wyrugowali z ojcowizny

Piotr zastanawiał się przez chwilę, czy ima się ciotce zwierzyć ze swych podejrzeń. Że jednak czuł w niej sprzymierzeńca, powiedział w końcu:

— Coś mi się zdaiwa, iż pragną mnie dziś w Krakowie pannie Weronice w niewolę zaprzedać...

Odsunął miskę, położył na stole łyżkę cynową.

— Co ty gadasz? — zdziwiła się. — Z tą przyglupią Weroniką miałbyś się dla majątku żenić? Nie czyn tego! Serce zatopisiz w mętach!

— Tuszę, że pan z Krokowa takoz w tej imprezie palce macza.

— Judasz! Judasz Iskariot! Z dawna on na włość waszą dybie. Z tej jeno przyczyny cię swata, a braciom twoim pożyczza pieniądze. Tako i memu ojcu talary na dłużne dawał skrypta, aż nasze Połchówko zdradziecko żfctgarnął, jam zaś panną na łaskawym chlebie u twych rodziców ostała.

Trzasnęły drzwi. U progu stanął Bartosz Sulicki.

— Gdzieś się tak długo wałęsał? — wrzasnął na młodszego brata. ■— Ciebie po śmierć jeno posłać! Chłopy jako muchy w ©mole się grzebią, ty zaś miast robót w polu doglądać, hulasz kędyś po Gdańsku. Boć nie wierzę, byś tyle czasu u medyka przebywał.

Piotr patrzył w pustą misę i milczał jak zwykle.

— Mamy przecie być dziś iw Krokowie na uczcie, a ty w ostatniej dopiero chwili się zjawiasz — grzmiał Bartłomiej.

— Stawię się na czas — odpowiedział Piotr — jeno

wprzódę pojedę do Starzyńskiego kościoła pomodlić się, by sprawę moją Bóg rozeznał i pobłogosławił mi, jeśli za słuszną, a sprawiedliwą ją uzna.

— Uzna z pewnością, uzna! — huknął Bartosz, źle po- jąwszy intencję słów braterskich. — Jeno przyodziej się godnie — upomniał i wyszedł.

W chwilę potem za oknem zadudniły kopyta. To Bartłomiej pognął konno w kierunku Krokowa.

Piotr podszedł do okna.

— Jedzie na luterskie nabożeństwo — powiedział. — Gna, jakby go sam czart niósł.

— Do tej przekłetej kirchy krokowskiej — załamywała ręce Połchowska. — Henryczek już wprzódę tam pojechał. Jeszcze do tego dojdzie, że odstąpią od rzymskiej wiary! Paw Hernest nie spocznie, aż wszystkich na swoją stronę przekabaci.

— Ale mnie nie! Krokowo nie od dziś piekielną mi cuchnie siarką.

— Tedy lepiej tam nie jedź, a ostań doma, boć i o starym panu z Bożego Pola mówią, że częściej zachodzi do zboru niż do kościoła.

— Tam mu się łącniej grzechów pozbyć!

— Grzeszny to człek! — przytaknęła. — W każdej swej wsi nieprawych napłodził pono dzieci. Za to też Bóg go ukarał niedołązną córką. Acz chodzą isłuchy, iż Weronisia nie za jego, a za pana Hernesta tsiprawą na świat ten przyszła.

— Niech mu tam jastrzab świeci — burknął Sulicki.

— Nie będę dochodził jej rodowodu, jako że ani mi w głowie brać na kark tę mąką pobielaną pannę z całym jej bogactwem.

Połchowska uradowana postanowieniem chrześniaka ucałowała go serdecznie:

— Bóg cię za to nagrodi, sieroto! W tobie jedyna rao-, ja pociecha i ostoja. Nie wiem, jakbym tu bez ciebie, Piotrze mój złoty, wyżyła.

Siostrzeniec pochylił się do jej rąk, by ukryć zmieszanie.

— Dziękuję pani ciotce za dobre słowo — szepnął zawstydzony. — Dalibóg nie zasłużyłem na nie.

Z pachnących łąk pastuchy dworskie spędzały już bydło przystrojone, jak nakazywała zielonoświąteczna tradycja, świeżą zielenią, gdy Piotr Sulicki szerokim gościńcem kroczył do Krokowa. Na przekór braciom nie dosiadł konia, a złote guzy odświętnego żupana zamienił na zwykłe, rogowe.

— Tamte przydadzą mi się na czarną godzinę — uśmiechnął się klepiąc dłonią po kolecie. — Gdybym z Barbarką znalazł się w biedzie, zawsze przedać to będzie można...

Minąwszy Sławoszyno, którego mieszkańcy, zobowiązani odrabiać szarwark na klasztornych folwarkach, musieli dostarczać lnianą przędzę i воск do żarnowieckiego klasztoru, wszedł do Minkowic - włości pana na Krokowie. Prócz dzieci, które bosy, w parcianej odzieży biegały — jak to w Zielone Świątki — z gałązkami w rękach, nie dostrzegł tu żywej duszy. Zdziwiony tym opuścił wieś i ruszył na przełaj doliną ku krokowskiemu zamkowi.

Stał na wyniosłości potężny jak twierdza. Dwie wieże, jedna kwadratowa, a druga owalna, sterczały nad szarym zamkiem. Oba skrzydła, olbrzymie niczym osobne budowle, pokrywały spadziste gontowe dachy, podobne do strzech na dworach i checzach kaszubskich. Wędrowiec nasz zbliżywszy się do zamku, mimo zmroku zapadłego tymczasem, zauważył pod koronami potężnych dębów i wysokich orzechów gromady chłopstwa stojącego naokoło głębokich fos.

Pan Hernest ściągnął poddanych z okolicznych posiadłości, a Jakże zza Gdańska i Lęborka, by w ten sposób olśnić gości swoją fortuną. Chłopi otaczali również pobliski zbór zbudowany z kamienia. Ongi był to kościół katolicki, ale od roku 1572 predykant .sprowadzony przez dziedzica prawił tu luterskie kazania. Zwodzonego mostu strzegły, podobnie jak wartownej bramy i dział na zamkowych wałach, zbrojne tstraże.

Lęka się Luter, iżby go Czapski, pan na Tyłowie, wróg jego nieprzejednany, a katolickiej wiary naszej obrońca, z nagła nie zajechał — pomyślał Sulicki wkraczając przez most na dziedziniec zatłoczony ciżbą ostatnich gości: szaraczkowych szlachciców, dzierżawców, ekonomów.

Przed na ścieżaj otwartymi drzwiami, nad którymi widniał herb panów zamku, skłonił mu się sługa i wprowadził go do szerokiej sieni, pod zielony pułap usiany złotymi gwiazdami zdającymi się migotać w blasku zapalonych świeczników. Dębowymi schodami, których początku strzegła drewniana figura wąsatego rycerza, powiódł przybysza na piętro. Tam drugi pacholek w izbie zawalonej szlacheckimi deliami oczyścił mu buty, pomógł odpasać szablę, a potem towarzyszył mu aż do iprogu jadalnej sali, która jarzyła się płomieniami woskowych świec i huczała gwarem.

Przy stołach ustawionych w kształt podkowy siedzieli na rzeźbionych krzesłach biesiadnicy. Piotr spostrzegł wśród nich Bartosza i przyrodniego brata Henryka. Jedyne pierwsze miejsca na środku wygięcia podkowy, snadź przeznaczone dla najzacniejszych, były dotąd nie zajęte. Jakże zdziwił się nasz młodzian, kiedy syn i imiennik gospodarza powitawszy go uprzejmie wskazał mu jedno z tych właśnie kurdybanem obitych krzesel.

— Czemu honor ten zawdzięczam? — spytał, ale młody Hernest udał, że w brzęku kielichów i rozgwarze uczyty nie dosłyszał jego pytania i odszedł.

Piotr siadł więc, gdzie mu kazano. Ze ścian, pod którymi rozpierały się gdańskie kredensy pełne sreber i iar- fur, spoglądały pociemniałe, rodowe portrety antenatów krokowskiej rodziny, przodkowie o marsowych twarzach, prababki w podwikach, jakiś opat z zakonu cystersów, jakiś rycerz zakuty w stalową zbroicę... Ale surowe ich spojrzenia nie mąciły wesela biesiady. Rekowscy, Ustar- bowscy, Opalińscy, Żelewscy bawili się świetnie jedząc, pijąc, prawiąc rubaszne komplementy swym nadobnym sąsiadkom strojnym w czepece sadzone perłami i bogate robrony.

— Vivat, vivat! — rozbrzmiewało co chwila.

Nagle na dworze zaturkotała karoca. Młody Hernest, który żywo rozmawiał z Bartoszem Sulickim, porwał się z krzesła. Podeszedł do okna, by zobaczyć któż to przyjechał i szybko wyszedł z sali. Kilku ciekawych zbliżyło się do okien. I Piotra skusiło. Ujrzał zajeżdżającą kolasę, zaprzężoną w sześć koni, hajduków biegnących z zapalonymi kagańcami, gospodarzy, którzy wyszli na spotka

nie gościom, ale samych przybyszy mimo usiłowań zrazu nie poznał. Wtem posłyszał obok czyjś głos:

— Pan z Bożego Pola z rodziną przyjechał.

Gwałtownie zabiło mu serce.

— Tedy niebawem zacznie się komedyja — mruknął.

Odetchnął głęboko i wrócił :na swoje miejsce.

Po chwili otworzyły się drzwi. Do wielkiej komnaty wszedł pan z Bożego Pola z żoną. Sędziwy starzec odziany był w czerwony żupain, jego żona, równie w podeszłych latach jak mąż, miała na sobie powłóczystą szatę z czarnego aksamitu, a na szyi jej (połyskiwał złoty naszyjnik. Za nimi ipodążali: sam pan zamku oraz dwie córki bożepolskiego dziedzica.

Pan Hernest umieścił u czoła stołu przybyłych gości; sadzając obok Piotra pannę Weronikę,

uściskał mu serdecznie dłonie.

— Przeprowadziłem ci, miły sąsiedzie, towarzyszkę biesiady — rzekł nachylając się ku niemu. — I to kubek w kubek do ciebie podobną, jako że wam obojgu urody Stwórcy nie poskąpił.

— Ja przecie gwoli tego co dzień kocie mleko piję — przerwała mu nagle szerokobiodra Weronika.

Matka szybko szarpnęła ją za suknię. Zamilkła więc, a pan Hernest po nieudanej oracji odszedł i siadł między panem z Bożego Pola a córką jego Anną, z którą szeptał młody dziedzic z Kłanina. Piotr mniej był rozmowny. Siedział jak mruk nie zwracając uwagi na swą sąsiadkę, która wierciła się na krześle, poprawiała grube warkocze, wstęgi, manele...

Wystroili ją dla mnie na przynętę — powtarzał sobie w duchu. — Aleć nie złapią mnie na ten haczyk!

Hernest wszakże ani myślał dać za wygraną.

— Baczące waćpan, mości Piotrze — zwrócił się do Sulickiego — jaka to płeć u twojej sąsiadki... Aż blask bije! Jako żywo, niejedyn by ci takowego sąsiedztwa pozazdrościł, a sekret urody...

Weronika wyszczerzyła duże, białe zęby. Pogładziła dłonią wydatne piersi.

— Kąpię się co ranka w kobyli... — zaczęła beztrosko paplać.

Urwała w pół zdania, bo czujna pani matka przyciągnęła ją do siebie i jęł-a szeptać jej coś do ucha.

— Nie szpetna zgoła ta panna — myślał Piotr przyglądając się jej z ukosa. — I biedna. Rotzumu w niej za gręsz, acz w skrzyni tysiące talarów ma. Niech jej da Bóg dobrego męża. Byle nie mnie...

Tutaj słudzy napełnili puchary złotą wódką, którą specjalnie na dzisiejszą uroczystość sprowadzono z Gdańska. Pan Hernest dźwignął się z krzesła.

— Zdrowie miłych gości! — wznosił toast.

Wypili. Kielichy natychmiast nalano po raz wtóry. Tym razem wstał pan z Bożego Pola. Wysławiając długo i kwiecicie zasługi gospodarza zakończył orację okrzykiem:

— Vivat pan na Krokowie, zacny nasz druh i dobrodziej!

Trzeci toast wypito za zdrowie dziedzica Bożego Pola, czwarty na pohybel Czapskiemu. Gwar rósł. Piotr zauważył, że Bartosz patrzy na niego, marszczy brwi i z niezadowoleniem wskazuje Henrykowi, rozmawiającemu z czarnym luterskim predykanem, skromny strój młodszego brata. Odwrócił się więc.

— Czy waćpan takoz kocie mleko pija? — usłyszał pytanie sąsiadki.

— Ja? — zdumiał się. — A czemuż miałbym się tak osobliwym delectować trunkiem?

— Boć to dobra rzecz!

— Może dla niewiast.

— Nie tylko, nie tylko! Jest ci pono w Sulicach kawaler jeden grzeczny, >na męża mi przeznaczon...

— On takóž ten specjał pija?

■— Żebyś waćpan wiedział, że tak.

Nie wytrzymał Piotr. Parsknął śmiechem. Pani z Bożego Pola, usiłująca na próżno podsłuchać o czym młodzi gwarzą, uśmiechnęła się z tryumfem.

Zza wysokich okien dochodziły okrzyki czeladzi i chłopstwa, grzmiące huki armat, z których gęsto strzelano na wiwat. Pan zamku, przechylony w stronę sędziwego szlachcica tłumaczył mu coś z ożywieniem. Z przeciwnej strony stołu predykant rozmawiał z Bartoszem i Henrykiem. Chichotały panny. Szlachta popijała winą i złotą wódkę, a służba nosiła z kuchni dymiące potrawy,

Kiedy jeden z służebników przechodził koło stołu z błyszczącą misą pełną cielęciny, Weronika zerwała się

z krzesła, porwała kawał pieczeni i łakomie zaczęła go wpychać do ust.

— Mityguj się — matka szturchnęła ją karcąco w bok.

Panna cisnęła swą zdobycz z powrotem do misy, aż się

rozprysnął sos, a potem otarła ręce w sutą spódnicę. Piotr nałożył jej mięsa na talerz. Jednocześnie usłyszał, jak pastor gada do jego braci:

— Ja, ja, s-zlachetni panowie, do niebios tą jeno drogą trafić można, którą wskazał był pobożny doktor Marcin Luter. W Rzymie bowiem Antychryst na papieskim tronie zasiada. Kto go słucha, piekłu przysądzon będzie.

Huknęły działa. Hernest znów powstał. Spojrzeli nań wszyscy, prócz Weroniki, która wyławiała z sosu resztki mięsa.

— Wielce sercu mojemu mili panowie bracia i panie dobrodziejki — zaczął przemowę gospodarz. — Oto korzystając ze sposobnej chwili, do wiadomości podać wam pragnę, iż między dwoma zacnymi w naszej puckiej ziemi domami układ stanął, by się familijnymi węzły połączyć.

Tu stary pan z Bożego Pola uśmiechnął się, jakby go anioły na rękach do niebios niosły, a orator, spostrzegłszy to, w jeszcze górniesze uderzył tony:

— I dla mnie to wielka radość, albowiem obydwaj rody owe do wiernych przyjaciół naszego domu się rachują. Miał ci ojciec mój nieboszczyk dzielnego socjusza i ko- militona, z którym całą nieledwie Europę przemierzył, wszędy przeciwników orężnie gromiąc a pokotem kładąc. Jego to syn, młodzian mężny i cnotami wszelkimi obdarzony szczerze, ma niebawem najcenniejszy i splendoru pełen klejnot gniazda pana na Bożym Polu za małżonkę pojąć. Zatem upraszam wszystkich tu obecnych, by wypili zdrowie Piotra i Weroniki...

— Veto! — krzyknął Piotr zrywając się z miejsca. — Protestuję! Nie wiem, kto ów układ zawierał...

— Brat starszy twój! — huknął Bartosz. — Słyszysz, błażnie?

— Niech się tedy sam żeni! Niech posag panny Weroniki i należną mi część ojcowizny bierze! Moje serce wybrało już!

— Kogo?

— Kmiecią córkę!

Zawrzało w sali. Weronika zaś klasnęła w dłonie i nagle skoczyła na krzesło, by złapać muchę fruującą pod mosiężnym, rozjarzonym pajakiem. Krzesło zatrzęszczało pod jej ciężarem. Runęła z krzykiem na miękkie kobierzec. Piotr pochylił się, by (podnieść nieszczęśliwą.

— Uderzy ją! — wrzasnął Hernest, blady ze złości. — Oszalał z kretelem! Patrzcież, panowie bracia, w moim domu na niewiastę rękę podnosi! Kupą nań]

Jego syn, choć ledwie trzymał się na nogach, porwał z kąta rapier.

— Bij, zabij! — ryczał ochryłym głosem, zbliżając się do Piotra.

Lecz nim się spostrzegł, już najmłodszy Sulicki wyrwał mu oręż z ręki. Pozostali, widząc na co się zanosi, ruszyli po broń. Piotr uskoczył pod ścianę na widok powracających z gołymi szablami biesiadników. Na ich czele gnali jego własni bracia.

— I wy przeciw mnie? — zawołał. — Na brata miecz zwracacie?

— Psuś brat, hultaju, nie nam, skoroś niesławę na dom nasz ściągnął! — pinił się Bartosz. — Z chamską córką chcesz się opartolić? Wolę w truchle inieźli z nią u ołtarza cię zobaczyć! Giń, szelmo!

Piotr zrozumiał, że ratunek znajdzie tylko w ucieczce. Co tchu pobiegł ku drzwiom. Po drodze przewrócił kilka zydli, zwałił z nóg pijanego jak bela Opalińskiego. Już w »progu zaskoczył mu drogę Jan z Kłanina.

— A masz za dyshonor przysłemu teściowi wyrządzony! — krzyknął składając się ido cięcia.

Sulicki wytrącił pijakowi szablę z ręki i wpadł na korytarz. Odcinając się bratu i innym napastnikom cofał się po schodach do sieni.

— Ranił mnie — zawył Bartosz. — Ubijcie bratobójcę!

Migotały klingi, dyszały ciężkie oddechy. Tumult wypełniał cały zamek. Uciekający, przebijając się zaciekle przez dziedziniec pełen szaraczkowej szlachty uczującej przy pochodniach koło beczek miodu, poczuł, że ktoś go ciął w ramię. Udało mu się jednak wydostać na wał i skoczyć do fosy. Przepłynął szybko toń nagrzaną wiosennym słońcem, wyszedł na suchy grunt i spojrzał w bok ku zborowi, gdzie biwakowało chłopstwo dookoła ognisk, nad którymi smażono woły.

Nie mam chwili da stracenia — ipomyślał słysząc jak w dali Hemest alarmuje służbę. — Zaraz zacznie się pościg.

Szukając drogi ucieczki wszedł do pobliskiego stawu, spokojnie go przepłynął i ociekając wodą ukrył się w gęstych krzakach na przeciwległym brzegu. Odpoczął chwilę w gąszczu. Tymczasem szlachta i gromady chłopstwa dobiegły z wyciem do stawu. Krążyli z pochodniami pokazując sobie nawzajem, jako że to pijanym dwoiło się w oczach, domniemanego zbiega:

— Tam, tam... Widzicie...

— To jego głowa.

— Kamieniami w nią! Kamieniami!

Pluskała woda. Sulidki pojął, że niebezpiecznie tu dłużej pozostawać. Popatrzał z ukrycia ku jaśniejącym w ciemności oknom zamku. Przez most psiarze prowadzili sforę poszczekujących ogarów.

— Te na pewno trafią na mój trop — szepnął i zaczął czołgać się przez zarośla.

Niebawem był już w życie sięgającym mu do piersi. Szedł przed siebie, a kiedy ucichły odgłosy pogoni, przystanął, by się zastanowić, w którą ma ruszyć stronę. Nie namyślał się długo.

— Spaliłem za sobą mosty — powiedział sam do siebie. — Do Sulic wrócić nie mogę! Jedna tylko droga przede mną.

Z nieba zeszły chmury. Nad klasztorne jezioro opuszczał się wielki księżyc. W dali nad wydmami i morzem różowiła się letnia zorza. Nocny wędrowiec zbliżał się powoli leśną drożyną do znajomej zagrody na skraju żarnowieckiego boru. Na strzesze chałupy w gnieździe bieleły dwa drzemiące bociany. Z wrótni wybiegł ujadając pies, ale poznawszy przybysza ucichł i zaczął się do niego łaścić. Razem podeszli do checzy. Piotr zapukał w małe okienko. Raz, drugi, trzeci. Potem oparł się o węgiel i czekał. Po chwili otworzyły się drzwi, na progu ukazał się stary Domienik w rozchełstanej koszuli.

— Kto tu błądzi? — zapytał rozespany.

— To ja, Sulicki — odezwał się przybyły. — Nieszczęście się stało.

— Jezus, Maryja! Mój Piotr — krzyknęła Barbara posłyszawszy schrypnięty głos narzeczonego.

Wyskoczyła

z łóżka, wybiegła z izby na przeddomek. — Mój Boże, co ci się przy godziło? — dopytywała z niepokojem. — Całyś mokry? Czy nie od krwi?

— Nic strasznego — pocieszał ją spieszenie. — Ot, krótko mówiąc, zatrzasnąłem za sobą drzwi szlacheckiego świata i jestem twój na zawsze.

Weszli do chaty. Misk rozpalił szybko w kominku ogień, by oświetlić izbę i ogrzać gościa, który drżał jak przedza. Barbara narzuciła odzież, otworzyła malowaną skrzynię. Podała Piotrowi suchy (przyodziewek, pomogła mu ściągnąć mokry żupan, a gdy blask ognia oświecił jego skrwawione ramię, 'załała się łzami. Stary kaper zaraz ruszył do chlewu po pajęczynę, jego córka zaś nie zważając na siostry, wyglądające z alkierza, przytuliła głowę do piersi młodego szlachcica.

— Siła, miły mój, cierpisz dla mnie — szlochała. — Już odtąd ani na chwilę ciebie nie odstąpię! Ostaniesz tu z nami.

— Ostać tutaj to dla mnie ipewna śmierć — odpowiedział cicho. — Panowie bracia i wszystka szlachta skoro wytrzeźwieją, ścigać mnie będą jak charty zająca. Osobliwie, iż pan Hernest podjudził ich krzycząc, że całemu szlacheckiemu stanowi despekt uczynił wielki.

— Pójdę tedy z tobą choćby na kraj świata! — obiecała, a że Domienik wrócił właśnie z pajęczyną, jęła wprawnie opatrywać ranę, która szczęściem nie była ciężka.

Potem ojciec położył się i usnął, a oni długo jeszcze w noc siedzieli i gwarzyli na tej samej ławie, na której niedawno opatrywał jej rany. Uśmiechnęła się Barbarka, kiedy jej Piotr mówił o Weronice, a płakała, gdy opowiadał, w jakim był niebezpieczeństwie, jak odbijał wściekłe ciosy napastników, jak uciekał wpław przez fosy i stawy.

Dopiero o drugim pianiu kurów ułożyła go na posłaniu, sama zaś jęła żarliwie dziękować Najświętszej Pannie za to, że ocaliła Piotra z wielkiej obieży.

— Pod Twoją obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko — szeptała klęcząc przy oknie, za którym świecił drugi dzień Zielonych Świątek.

3 — Krwawy sztorm

65

epiej będzie, jeśli tu miejsca nie zagrzeję długo — rzekł Sulicki następnego dnia do Miszka. — Dajcie mi córkę. Pojedziemy na południowe rubieże. Tam wezmę z nią ślub i zaciągnę się do wojska. Lafy starczy na chleb dla niej i dla mnie.

Barbara, usłyszawszy to, posmutniała. Choć wczoraj przyrzekła, że pójdzie z miłym na kraniec świata, dziś zrobiło się jej smutno na myśl, że trzeba opuścić rodzinne strony. Przy tym bała się ruszyć bez ślubu w tak daleką drogę.

— Tu żaden ksiądz stułą nas nie zwiąże — mówił dalej Piotr, jakby odgadując jej myśli. — Bałby się narazić szlachcie! Moglibyśmy po prawdzie schronić się w Tyłowie u Pana Czapskiego, aleć dwór tam słabo obronny i Hernest łącno może go najechać, jako że z dawna przyczyny do napaści szuka. Wtedy w sztuki by nas rozsiekano.

— A gdybyś tak waść ruszył do Jastarni? — poradził stary kaper. — Tam na wyspie pośród rybaków będziesz bezpieczny jak u Pana Boga za pieckiem. W Jastarni żyje znajomek mój z dawnych lat, imieniem Jówa.

— Ów, z którymście króla jegomościa na ląd zwozili?

— Ten sam! Jest ci on teraz szyprem jastarniekiej ma- szcperii, Chętnie cię, paniczu, w gościnę przyjmie.

— Jeno co będzie z Barbarą?

— Po świętym Bartłomieju, jak minie pierwsza rocznica skonu mojej białki, przywiozę ci Barbarkę. Weźmiecie ślub w swarzewskim kościele, bo tamtejszy pleban Jutr ów na każdym groimi pono kazaniu i rad krokowskiemu panu okoniem stanie.

— Przednia myśl — pochwalił Sulicki, a Barbarka z radości, że znalazło się takie wyjście z kłopotu, ucałowała żylastą rękę ojca.

Zaraz też po śniadaniu, nie zrwlekając ani chwili, odprowadziła narzeczonego przez pola i mokradła do Dębek. Zatrzymali »się tam w checzy Michałowej i przez parę dni wypatrywali z wydm, czy nie zbliża się pogoń. Ale ani Sulickim, ani Hernestowi nie przyszło do głowy, żeby na tym pustkowiu szukać zbiega.

W środę po Zielonych Świątkach, gdy wiatr wykręcił ku zachodowi, Zych podniósł żagle na łodzi. Barbara na pożegnanie uściskała narzeczonego. Raz jeszcze przyrzekła, że zaraz po świętym Bartłomieju przybędzie z ojcem do Jastarni, i że od tej pory nigdy już się nie rozstaną, a gdy czołno odbiło, długo patrzyła z wysokiej wydmy w ślad za malejącym żaglem.

Jastarniczcy maszopi wyciągali właśnie niewód na brzeg, kiedy dobiła dębowska łódź. Wyspiarze z otwartymi ramionami przyjmowali każdego przybysza z lądu, więc i teraz tłumnie otoczyli niespodziewanych gości. A gdy im brodaty Jówa, który dzieląc od lat sprawiedliwie party ze zdobytych bitów zjednał sobie wielki szacunek, oznajmił, że Zych Domienik, syn starego szypra, tego co to ongi przy Rozewiu przewiózł przez burzliwe morze polskiego króla, przybył z szlachcicem szukającym tutaj schronienia, wzniesli okrzyki radości.

— Dotychczas często chronili się na helskich wyspach chłopci, ale jeszcze nie zdarzyło się, żeby zjawił się tu “pom” i prosił o gościnę — (mówili odprowadzając gości po zakończeniu połowu przez garbate wydmy do wsi, której drewniane chaty wzniesione bez planu sterczały na miałkim piachu, z rzadka tylko ocienione koronami pokrzywionych od wichru sosen.

— To moja checz — wskazał brodaty olbrzym jedną z chałup i pchnąwszy drzwi zaprosił

przybyszy do wnętrza.

— A te panny? — zapytał szlachcic na widok czterech rosłych dziewcząt krzątających się po izbie.

— Moje córy! — padła dumna odpowiedź.

Dziewczęta chciały obcego “pana” pocałować w rękę

jak księdza, ale ten nie dopuścił do tego i zwrócił się do gospodarza:

— Ileż tedy macie roków?

— Czterdzieści i pięć! — odparł stołem, który mimo brunatnej brody wyglądał na trzydziestoletniego najwyżej “małżeńca”.

Za oknami narastał gwar. Jastarnicy wraz z żonami, siostrami i córkami oblegali chatę Jówy, by się napatrzeć, choćby przez szybki, ludziom polskiej wiary i ka-

tolickiej -mowy. Piotr rozsiadł się na nakrytej kobiercem ławie koło pieca z okopconym kominkiem i patrzył na ściany obite sukrem, na stroje cór, godne zamożnych mieszczanek, na szelbiąg i łożnice. Sprzęty były proste, ale pościel i nakrycia — jak w szlacheckim dworze.

— Widzę, że dobrze sobie tutaj mieszkanie — rzekł do Jówy. — Musicie mieć tyczne bity?

— A żebyś wiedział — rzekł Jówa bez ceremonii, bo w Jastarni słowo waópan nie było w użyciu. — Zaczynała już do nas w ostatnich latach zaglądać bieda, ale teraz będzie choba lepiej. Szwedy znów napadają na nasze statki, tedy i my będziemy ich kąsać. Pucki starosta z pewnością o to krzyw na nas nie będzie.

— Wejher nie żyw, a nowego starosty jeszcze nie ma na puckim zamku.

— Skoro nie żyje, tedy daj mu Boże wieczny odpoczynek! My tam łez o to nie będziem przelewać, że nie ma komu starościńskiego partu na zamek oddawać — powiedział szyper i zwrócił się do najstarszej córki: — Czesz- ka! Skrzესaj no ognia. A ty, Staszka — rozkazał drugiej — wypraw łososia! Za nakarmienie gości je niebo!

Trzecią wysłał po wodę, czwartą po suche drzewo zebrane ze strądu. Mocno trzymał je w ryzach, bo bez słowa sprzeciwu zabrały się natychmiast do wykonywania ojcowych poleceń.

— A gdzie wasza białka? — zapytał Sulicki.

Olbrzym na wspomnienie o żonie zwiesił głowę, by

ukryć łzy, które zabłysły mu w oczach.

— Zeszłej tęgiej zimy, w same święta mi zmarła... Wiosną utonął syn. Ostałem sam z tymi

czterema dziećmi. A jaką miałem dobrą białkę...

Kułakiem otarł powieki.

— Jej desza — wyznał po chwili — już wiele razy ̄mi się pojawiła. Leno się położy na spoczynek, to ją widzę. W biały dzień też nieraz przychodzi. Zenobija, moja najmłodsza córka, raz wieczorem obaczyła nenkę przed domem.

— Coś ją trapi snadź tam po śmierci.

— Co wieczór się za nią modlimy. Nie wiem, czego od nas chce i czemu pokutuje. Ten mój knopk też nie ma w grobie spokoju — dodał niebawem. — Co by to był za maszop! Chwytał już klepcami mewy... A teraz

się nam pokazuje, blady, chudy i zda się* o pomoc proszący. Nie wiesz co zrobić, żeby ich święty Piotr do nieba puścił?

— Ofiarujcie się Swarzewskiej Pannie...

— Ślubowałem, że każdego kto ją obrazi, chutko kar- kulicą przetrączę. Leno sposobności nie ona, by ślubu dopełnić.

— Może się taka okazja nadarzyć. I to wkrótce! One- gdaj napadł szwedzki kaper na pucką skutę. Kto wie, zali jednego dnia nie zjawi się tutaj cała flota. Jeśliby heretycy wylądowali na naszym brzegu, wtedy Swarzewo w okrutnym znalazłoby się niebezpieczeństwie.

— Zaraz byśmy z całą maszoperią ruszyli na odsiecz — zapewnił szyper.

— Wszetce jak jeden chłop — potwierdził Jakub Długi, który niedawno wszedł z kilkoma maszopami do izby i od paru minut przysłuchiwał się uważnie rozmowie.

Czesława postawiła przed gościem miskę pełną różowych płatów łososia, a obok położyła srebrną łyżkę, nóż i olbrzymi chleb.

— To i chleba u was nie braknie — adziwił się szlachcic.

— Dwa dni po owej jasności, co to się koło świętego Grzegorza ukazała na niebie, przyszła 'złota norda i rzuciła w -strąd holenderską nawę pełną żyta — wyjaśnił stojący obok Długiego Dawid Kąkol. — Bóg nam ją zesłał, bo ledwie my z niej ziarno wyszypowali, nadeszła druga norda i rozwaliała kurp w drzazgi!

— Mamy teraz zboża, aż się po checzach stropy uginają — cieszył się Rochów Klemens.

— Starczy dla całej maszoperii na dwa lata — przytaknął Jówa. — A dla gości też nie zabraknie!

Tak oto zaczął się pobyt szlachcica wśród rybaków. Zych Domienik odpłynął po dwóch dniach z zydwestem do Dębek, a on został i było mu dobrze. Sypiał samotnie w komorze, gdzie Jówa każdego

rana huczał żarnami mieląc żyto. Szyprówny, nawet najmłodsza z nich czternastoletnia Zenobia, wzdychały ukradkiem do panicza i dogadzały mu, jak tylko mogły. Zazdrosna Czeszka srodze złażała Stanisławę, gdy ta poprosiła raz Piotra, by pomógł jej przynieść chleb z maszoperskiego pieca stojącego za wsią. A kiedy po cezowych połowach fląder nadeszła gorąca noc świętojańska i maszapi ustawili na płaskim brzegu zatoki wysoki słup z beczką pełną płonących szczap, każda chciała z nim tylko iść w płasy..

Przy muzyce trąb, kobz i skrzypiec bawiono się do białego rana. Sulicki nie żałował nóg. Po kolei porywał do tańca córy swego gospodarza i pląsał z uszczęśliwionymi dziewczynami do upadłego ku zazdrości innych jastami- czek zerkających zalotnie na grackiego kawalera. Ale ni na chwilę nie zapomniał o swej Barbarze.

W dzień świętego Piotra nadeszła zniecka od lądu sroga burza. Rozbłyskało się niebo. Na szczęście gromy i ulewa doścignęły czołną jastamików, powracających z puckiego odpustu, już pod samym brzegiem. Przemoczeni pielgrzymi wylądowali i osłaniając głowy przed deszczem pobiegli do checz.

— Jużem się o was lękał — powitał Sulicki szypra i córy.

Grzmoty zagłuszyły odpowiedzi przerażonych dziewcząt.

Jówa kazał Zenobii wyjąć ze skrzyni dwie gromnice, zapalił je i postawił obok krucyfiks na stole. Kiedy zabłysła nowa błyskawica, przeżegnał się świętym krzyżem. Zagrzmiało. Szyper pochylił głowę, dłonią uderzył się w piersi, zdjął z policy starą książkę z wielkim drukiem i zaintonował:

— Kto się w opiekę...

Cała rodzina i sąsiedzi, którzy się zebrali u szypra, bo w checzy u sprawiedliwego i (pobożnego męża czuli się bezpieczniej niż u siebie, zawtórowali mu różnymi głosami:

— ...poda Panu swemu...

Pobożny psalm rozbrzmiewał, póki burza nie minęła. Kiedy deszcz ustał, a na pochmurnym wschodzie niebios ukazał się łuk kolorowej tęczy, szlachcic zapytał ciekawie:

— Skąd masz tę książkę?

— Ofiarował mi ją jeden z dworzan króla jegomości, których koło Lisiego Jaru wyciągnąłem z presku. Sam swarzewski pleban nie ma lepszej!

— A czytać kto cię nauczył?

— Kresztof Czerwionka z Chłaipowa. To był mądry knop, bywały w świecie...

Przez trzy dni nadciągała z zydwestu burza za burzą. Najstraszniejsza rozszalała się w dzień

Boskiej. Niebo zawaliły czarne chmurzyska. Grad siekł niemiłosiernie po małych szybkach okiennych. Potem wprawdzie rozjaśniły się całe niebiosy, ale dmuchnął zimny wiatr z północnego zachodu, tak że przez trzy dni żadna łódź nie wypłynęła na morze. Dopiero w dzień świętego Antoniego, gdy wiatr już zamierał, zabieliło się morze żaglami sunącymi z północnego zachodu. Cała Jastarnia wyległa na wydmy i patrzyła na korowód naw

o wysokich kasztelach, strzelistych masztach, burtach najeżonych działami.

— Co to za flota? — zastanawiał się Sulicki.

— ■ Sziwedy! — odburknął szyper. — Któż by jeśli nie te przeklęte morzkulce?

— Na Gdańsk ciągną? — dopytywał ktoś niespokojnie.

— Gwesno — zasepił się Jakub Długi.

— Nie! — poprawił go Dawid Kąkol. — Zdaje się, że biorą kurs na Piławę.

Stali jak urzeczeni potęgą nieprzyjacielskiej floty i liczyli szwedzkie orlogi trzepoczące na wietrze skrzydłami żagli niby morskie, drapieżne ptaki.

— Narachowałem ich trzy kopy — mówił Piotrów Józek.

— Wszystkich razem ciągnęło z górą cztery kopy — twierdzał Rochów Klemens.

— Było ich okrągło dwasta — zapewniał Sulicki. — Ale i tego mało na Gdańsk. Żebyście, ludzie, wiedzieli, jakie tam potężne wały, głębokie fosy, zamczone bramy! A ile armat w twierdzy przy Latarni! Tej warowni, dalibóg, nie zdobędą!

— A Piława? — rzucił któryś z maszopów.

— Ba! — zmartwił się Piotr. — Tam rządzi lennik Rzeczypospolitej. Książę Jerzy Wilhelm, elektor brandenburski, a szwagier Gustawa Adolfa.

— Kweker może puścić Szwedów na ląd — nachmurzył się stary Roch, ojciec Klemensa. — Luter z lutrem trzyma, a Szwed i Niemiec to przecie jedno nasienie.

— Poznałem Szwedów, jak byłem w ich królestwie podczas ostatniej wyprawy króla Zygmunta — wspomniał Jówa. — Bieda tam aż smród! Gwesno zezarli u siebie wszystkie kamienie i teraz nam chcą na kark spaść, by palić kościoły, gwałcić białki, a mordować każdego, kto im z dobrej woli nie odda wszystkiego dobytku. Napa-

tryłem się ich plądrowań do syta, gdym służywał w In- flanciech na królewskim statku.

— W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, i Swarzew- skiej Panny Maryi Królowej Morza —

zawołał na to Ką- kol. — Bierzta się tedy, maisizopi, za rusznice i topory, boć nie znamy dnia ani godziny, w której do nas plugastwo owo przybędzie.

— Po co czekać? — obruszyli się, inni. — Nie lepiej samemu natrzeć na huncwotów?

— Niech się jeno nadarzy sposobność, a rad was poprowadzę — obiecał szyper i wraz z Sulickim zawrócił do wsi.

W ślad za nim ruszyły poblądłe córy i reszta jastarni- czan. Strąd opustoszał. Tylko mewy polatywały nad falami bijącymi o zioj.

W tydzień później przybiegł do ©zyprowej checzy Piotrów Józka z wieścią, że glada unieruchomiła naprzeciw Jastarni jakąś nawę przybyłą z nordwestu. Jówa zakazał surowo komukolwiek wychodzić na strąd. Wybrał się tam samowtór z Sulickim i zza krzaka bacznie patrzył, w jaką stronę prąd pcha ów okręt z bezwładnie obwisłymi żaglami.

— To szwed — mruknął na koniec. — W nocy stanie się naszą bitą!

Gdy słońce zaszło, a letnia zorza, która z wieczora roz- krwawiła niebo, ostygła w; nocnej mgle, zbrojni rybacy pojawili się na piaszczystym brzegu.

— Teraz, dresze, czas! — zakomenderował półgłosem szyper podchodząc do łodzi ledwie widocznej w lepkiem oparzę.

Nasmarowali dulki wiosel tłustym tranem, by nie skrzypiały, i cicho jak duchy odbili od brzegu. Na przedzie (posuwała się łódź Jówy. Za nią płynęły jedno za drugim pozostałe czółna. Trzymali się blisko siebie, aby się nie pogubić w gęstej mgle. Jówa kręcił sterem to w lewo, to -w prawo, a wszystkie inne łodzie jak długi wąż morski wiły isię jego śladem.

Nagle zaczerniał przed nimi dziób statku. Wtedy czołowa łódź oderwała się niby łeb od węża i bezszelestnie podpłynęła pod przednią stewę. Reszta czółen opasała z dala statek unieruchomiony przez ciszę morską.

Na okręcie panowała grobowa cisza. Olbrzym poprawił pistolet zatknięty za pas, zarzucił na barki ciężki topór.

Chwycił linę zwisającą z bukszprytu. Wciągnął się jna swoją wysokość, potem drugą ręką ujął linę wyżej i tak piął się w górę. Za trzecim chwytem dosięgnął czubka stewy. Teraz łatwo już wydostał się na przedni kasztel. Stąpił cicho jak kot, by nie obudzić śpiących w kubryku marynarzy. Zaraz po nim wdrapali się na pokład Dawid z Józkiem. Sulicki, który nie miał jeszcze wprawy w marynarskiej wspinaczce, został w łodzi i utrzymywał ją pod dziobem statku.

Tymczasem trzej maszopi jak upiory zsunęli się na śródokręcie zmierzając ku rufie. Tam na tylnym kasztelu, pod latarnią stała zazwyczaj straż. Jówa przystanął tuż koło schodni i czekał. Niebawem usłyszał gorączkowe rozmowy na kasztelu. Wiedział, co to znaczy. Od rufy, jak zwykle przy kaperskich napadach jastarników, ukazało się jedno z czółen maszoipskich.

— Kto tam? — krzyknął iszydłwach wpatrzony w zbliżającą się łódź.

Drugi wachtowy okrętnik również nie przeczuwał, że niebezpieczeństwo czyha za plecami. Szyper więc bez przeszkody jednym ciosem topora «powalił obu Szwedów tak błyskawicznie, że ci nie zdążyli pisnąć.

— Rozliczcie się z diabła — mruknął mściwie. — Poskarżcie się Letrowi w piekle.

Odwrócił się szybko, w tejże bowiem chwili charknął ktoś w dole przy drzwiach wiodących do kasztelu.

To Kąkol przy dławił kapitana, który wyszedł ze swej kehity. Zrobił zaś to z taką sprawnością, że logsmat, siedzący w kabinie przy stole zasłanym papierami, nie spostrzegł, co się za drzwiami dzieje.

Jówa czym prędzej zbiegł na dół i wszedł do kajuty z pistoletem gotowym do strzału.

— Pardon! — krzyknął logsmat zrywając się ze stołka.

Kaszuba jak Abraham Izaakowi związał mu ręce i nogi,

po czym wzniosł nad jego głowę ciężki topór. Chłopak wyśpiewał natychmiast, że w przednim kasztelu śpi jedenastu członków załogi, że ich palna broń stoi przy samym wejściu do kubryka.

— Starczy, ptaszku, twego ćwierkania — orzekł szyper, zakneblował mu usta i wyszedł (na pokład.

Jastarnickie łodzie dobiły już do statku. Maszopi zarzucali na reling kotwiczki przywiązane do konopianych lin,

po których wspinali się jak małpy na ourtę. Stołem wydał im rozkazy:

— Wpierw zabierzemy broń! Potem łatwo tych jedenastu braci śpiących obezwładnimy!

Plan wykonano dokładnie. Wynieśli rusznice z komory do łodzi Rochów Klemensa i po krótkim oporze pokonali zaskoczonych marynarzy.

Zwyczajem pobożnych jastarników Jówa nie dozwolił powiesić jeńców na rejach, a jedynie każdemu na “pamiątkę” przymierzył kilka razy powrozem zgięte plecy.

— Będziecie gwesno męczyć naszych ludzi i palić ich checze, tedy macie zapłatę na zapas — powiedział do wy- chłostanych.

Po tej egzekucji kazał wsadzić pojmanych do szalupy i dozwolił im płynąć, dokąd zechcą. Odpłynęli spieszenie, lękając się, by kaszubski kaper nie odmienił decyzji. Tymczasem mgła opadła i powoli zaczęła rozbłyskać zorza. Na niebie bladły gwiazdy, morze szerniało północną bryzą. Czujny Jówa rozkazał sternikom pod «pokładem, by skierowali zdobytą nawę przesmykiem między helskimi wyspami na Małe Morze, a Kąkola wysłał do ładowni.

— Same becзки ze śledziami — zameldował Dawid po powrocie.

— Żleśmy trafili — narzekał siwy Piotr. — Ryb mamy dosyć!

— Ów ładunek przeznaczony dla ich wojska — pocieszał szyper. — Może bez wiwendy «pozdychają z głodu. A my i tak niemało łupu najdzaem na tym kurpie. Broń, odzież, sprzęt żeglarski, no i kapitańska gejdkista pełna talarów... Będzie co dzielić na sprawiedliwe party.

— Hm — zrzędził Jakub Długi. — Brało się większe przyzy! A co do śledzi, to jak się Szwedy dorwą do polskiego mięsa, obejdą się bez nich z łatwością.

Okręt przesunął isię powoli wyrwą na Małe Morze. Zakotwiczyli go opodal Jastarni. Kędyś z dali dochodził głuchy pomruk dział.

— Dziś zabierzemy zdobycz z pokładu, a jutro odprowadzimy nawę do Pucka — postanowił szyper. — Zaczęła się wojna! Słyszycie huk armat na południowym wschodzie? Nasi gwesno się już ze Szwedami biją, tedy statek może się jegomości królowi przydać.

Zabrali się do ogałacania kaszteli. Nim wszakże zdążyli .przewieźć przyzę czółnami na ląd, przed wsią pojawił isię oddziałek szwedzkiej piechoty. Rozległy się niewieście lamenty. Stańła w ogniu pierwsza chałupa. Szwedzi, nie było ich więcej niż mendel, jęli uganiać isię jza dziewczkami. Jastarnicy pod komendą brodatego Jówy w kilka pacierzy dobili do brzegu i rzucili się gromadnie na pomoc lamentującym białkom.

Na widok olbrzymiego szypra żołdacy pierzchli bez walki. Grzęznąć w piachu biegli w kierunku Helu.

Ledwie maszopi odetchnęli jpo tym pierwszym starciu, które na szczęście odbyło się bez strat w ludziach — tylko dwie chałupy spłonęły doszczętnie — na Wiku ukazało się dziesięć wielkich statków płynących na północny zachód wzdłuż mglistych wybrzeży oksywskiej kępy.

— Będą oblegać Puck — rzekł Sulicki.

— Gwesno — «przytaknął szyper. — Musimy bez zwłoki ten nasz zdobyty statek zapalić. I tak go nie utrzymamy. Wróg w każdej chwili może i tu ido nas podpłynąć. Dalej, dresze, do roboty!

Zdjęli z rej żagle, zabrali, co się dało z kubryka i kajuty. Po godzinie nacf okrętem wzniośł się dym, a spod pokładów buchnął płomień rozkrwawiając zatokę złowróźbną czerwienią. W ponurym milczeniu cała wieś stała na brzegu i przyglądała się płonącej nawie. Walily się w morze nadwęglone marsy i reje. Pękały burty, powiewały przepalone liny, padały maszty jak podcięte toporem sosny, dym zaś snuł się z wraka czarną smugą w bławe nadbałtyckie niebiosa.

Tej nocy nikt we wsi nie zmrzył oka. Jedni stali na czatach wypatrując, czy od Helu, zagarniętego już przez nieprzyjaciela, nie nadciągają jakie roty, inni pakowali dobytek, inni jeszcze przeciągali łodzie z wielkiego strądu na Wik, by w każdej chwili były gotowe do ucieczki. Ku powszechnemu jednak zdziwieniu Szwedzi się tego dnia nie pojawili. Dopiero następnej -nocy krótko przed wschodem słońca Rochów Klenpiens i Piotrów Józk trzymający straż na helskiej drodze spłoszeni

wpadli do wsi.

— Od Szwedów aż się mrowi — krzyczeli. — Są tu przy Jastarni!

— Idą strądem i leśną 'drogą, i wzdłuż Małego Morza.

— Będzie ich kilka kop!

Jówa podniósł do ust mgło wy róg. Zatrąbił przeciągle, żałośnie.

— Białki, dzieci a starce do botów — rozkazał, gdy zbiegli się ludzie. — Maszopi ze mną! Musimy uciekać. Tu się nie obronimy — wskazywał kolumny wojska, które zbliżały się ze wszystkich stron. — Na strąd!

— Na strąd! — powtórzyli maszopi.

Podbiegli ku czółnom. Najeźdźca dotarłszy do wsi zastał tylko puste chaty, a ci żołnierze, którzy chcieli udaremnić ucieczkę jastarnikom, zostali przyjęci strzałami z rusznic,

o — Tero, mota pse — tryumfowali Kaszubi. — Weże- rota sę!

Zaledwie kijku piechurów zdołało dopaść do spychanych na głębszą toń łodzi. Ale tych położyły trupem to- pory maszopów, z pasją okrutną bijących po hełmach. Padli na piach albo w płytką przybrzeżną wodę. Wtedy Jówa skoczył do ostatniego z kilkunastu odbijających czółen i krzyknął na całe gardło:

— Do Swarzewa! Tam Najświętsza Panna nas przed tymi piekielnikami płaszczem swym osłoni!

aledwie się jastarnięy oddalili od brzegu, już nad ich checzami zaczęły się unosić kłęby czarnego dymu, a języki czerwonego płomienia wystrzeliły ze strzech wysoko w powietrze. Mewy przestraszone łuną i muszkietową palbą porwały się ze spokojnej wody. Z krzykiem pierzchały w dal, jakby i one nie mogły patrzeć na zniszczenia wyrządzone przez Szwedów. Rybacy garbili się nad skrzypiącymi wiosłami i .raz po raz zaciskali pięści, białki i dzieci płaczem wtórowały modlącym się starcom. Tam na wydmach ginął ich cały dobytek w uciążliwych połowach albo też w niebezpiecznych wyprawach morskich zdobyty.

— Pomścimy nasze krzywdy, skoro się jeno dostaniemy na ląd — krzepił szyper swych maszopów — ©baczycie, dresze, jak będą zmykać!

— Rzeknij to komu innemu — markotnie mruknął siwy Roch płynący w szyprowej łodzi wraz z Sulickim, czterema córami Jówy i Rochów Klemensem. — Na lądzie bądźeme przed nimi tak samo uciekać jak teraz z naszej wsi.

— Tu na piaszczystych wydmach byśmy się długo nie utrzymali — tłumaczył mu olbrzym. — Wybraliby nas niby stornie z matni. Stamtąd będziemy na tych letrów wypadać i kasać ich jak wilki.

Szlachcic otarł z czoła pot, jako że nie nawykł jeszcze do wiosłowania i obejrzał się na Jówę.

Jeśli zdobyli Puck, nic im nie zrobimy — rzekł. — Będą siedzieć w zamku i warowni uzbrojeni po zęby, a my z rusznicami i toporami zdolni będziemy chyba tylko do walki ze zbójami w lesie.

— W twierdzy wnet zdusi ich głód — upierał się rybak. — Prędzej czy później wyleżą z murów po żer, a wtedy nasze tojpyry..

Tak rozprawiając wiosłowali wciąż pilnie, zaciekle. Powoli zbliżali się do Suchych Rew. Nad Jastarnią rosła posępna chmura dymu. Rósł też ból i gniew zbiegów powiększany uczuciem bezsilności. Wkrótce jednak zniknął dym, albowiem nadeszła z północnego wschodu gęsta mgła. Przesłoniła helskie wyspy, a czołna spowiła siwym tumanem.

— To i dobrze — orzekł Rochów Klemens. — W tej dece nie dojrzą nas szwedzkie morzkulce.

— Ale i my możemy zmylić drogę — zatroskał się Piotr.

— O to nie potra się kłopotać, mamy do sterowania dobry merk — pocieszył go brodaty szyper i wyciągnął długą rękę ku czerwonej kuli słońca, która stojąc wysoko na wschodnim niebie ledwie się przebijała przez mgłę.

Gdy minęli Mewi Rew, Jówa skręcił nieco w prawo, a wszystkie łodzie za nim powtórzyły manewr, by się nie dostać przypadkiem w ręce wroga.

— Od Pucka nie słysząc kanonady — dziwił się Sulicki. — Zali by Szwedom powiodło się już dobyć miasta i zamku?

— Lepiej trzymać się z daleka od puckiej redy — burknął Roch. — Tam z pewnością stoją te nawy, któreśmy onegdaj widzieli.

— Wylądujemy w Swarzewie — postanowił szyper. — Nasze foiałki, dzieci i starców odprowadzimy do borów, a sami wrócimy nad morze. Będziemy tu czyhać na bity i kasać morzkulców, gdzie się da.

Umilkli. Przez długi czas tylko plusk paczen mącił ciszę. Dopiero kiedy wpłynęli w małomorski kociołek, usłyszeli nagle mgłowy buczek.

— Okręt? — zdziwił się Jówa. — Ta, w tej mgle?

Wyjął spod ławy róg i dał cichy sygnał. Natychmiast wszystkie czołna otoczyły szyprową łódź.

— W pobliżu mamy jakiś kurp — oznajmił olbrzym. — Wiatr zdechł, tedy okręt musiał stanąć. Słyszycie, jak buczy?

— Może wpadł na mieliznę? — zagadywał Dawid.

— Jak nie, to my go wprowadzimy w strąd — zatarł ręce szyper. — Podpłyniemy do nich. Ja

znam ich mowę i niemiecki szwargot. Wskażę im drogę, ale do wieczności!

Rybacy z niepokojem patrzyli na szypra. Ten nie próżnował. Kazał córkom przesiąść do Dawidowej łodzi, gdy zaś dziewczyny ze łzami w oczach oglądały się na Su-lickiego, rzekł do szlachcica;

— I ty się przesiądź, bo moim dzeusom żółcie popękają z żalości, a nam niewiele się przydasz.

Zarządził też, by reszta maszoperii ominęła okręt i popłynęła dalej, do Swarzewa. Przy sobie zatrzymał jedynie Klemensa i Rocha.

— My popłyniem we trzech do zbłąkanego okrętu — zdecydował. — Niech słońce zgaśnie, jeśli go tu nie uwięzimy na amen!

Wiosła zakrzypiały. Wszystkie łodzie pochłonęła mgła. Po dobrej chwili trzech śmiałkowie znowu usłyszeli buczeł. Załoga statku niecierpliwie wzywała pomocy.

— Zbliżymy »się do nich — uradował się Klemens. — Ślinka mi idzie na ten kasek.

— Chutko ich obaczym — zamamrotał jego ojciec i splunął w duże, czerwone dłonie.

Pobożny Jówa nie odezwał się ani słowem. Zawiesił tylko na szyi różaniec, ucałował krzyżyk i zgiął się nad paczeną. Wkrótce zaczerniał przed nimi dziób okrętu. Wyciągnęli z wody ociekające wiosła. Posłyszeli czyjś głos. Ktoś dopytywał w niemieckiej mowie, w której stronie leży Puck.

Podnieśli głowy. Nad nimi przechylał się przez reling kapitan w kapeluszu ze strusim piórem.

Szyper spiesznie nagarnął nogą sieć na broń leżącą na dnie łodzi, wstał i odkrzyknął:

— Jeście wpłynęli Szeroką Depką na Małe Morze i trafili między mielizny! Stąd się mde wydostać! Musicie wrócić na Bałtyk. Stamtąd dopiero Rozparowcem trzeba się dostać na Wik.

— To tamtędy prowadzi droga do Pucka?

— Chętnie popłyniem przed wami i wskażemy wam drogę. Me jesme tu jak w domu. Znamy wszelkie far- waty.

Rudy Szwed pogłaskał kozią bródkę. Popatrzał na ja- starników kołyszających się w łodzi pod samą burtą jego nawy. Począł coś szwargotać do swej załogi. W końcu zakomenderował:

— Jeden z was siądzie na nasz okręt i zaprowadzi nas do tego przeklętego Pucka l

Nie było czasu na dłuższe wahanie, gdyż kilku szwedzkich okrętników, popierając rozkaz kapitana, wycelowało w maszopów lufy rusznic. Jówa w odpowiedzi na to ucałował krzyżyk różańca.

— Chętnie was stąd wyprowadzę — zgodził się. — Nasza wiara przykaizuje pomagać bliżnim.

Beze mnie nie wyjdziecie cało z tych ławic. O, słyszycie? Prąd się leje do Wiku. Nadchodzi sztorm! Pozwólcie jeno odpłynąć moim drehom do Wielkiej Wsi, by zawiadomili moją białkę i dzieci, gdzie się podziałem, a ja już tu z wami останę.

— Niech jadą sobie do diabła — wrzasnął Szwed. — Tylko żebyś dobrze nas poprowadził, bo choć jesteś chłop jak dąb, nasze liny i maszty wytrzymają ciężar twego kadłuba!

Rzucili mu drabinkę. Wdrapał się na nieprzyjacielski pokład i patrząc na znikającą w mgle szalupę znów ucałował krzyżyk. Szwed spojrział na pobożnego olbrzyma.

— Pioruny i błyskawice — zaklął pod inosem. — Toż to prawdziwy Samson!

Marynarze również przypatrywali się z podziwem wielkoludowi, który przysiadł na zwoju lin i czekał na zmianę pogody.

Mgła trwała przez całe popołudnie, chociaż ruszył pół

!

nocno-wschodni wiatr i Wielkie Morze zaczęło groźnie szumieć.

— Co robić? — (przestraszył się kapitan.

Kaszuba poradził mu trzymać nawę ipod wiatr.

— Znam dobrze Wik — zapewniał go basem. — Skoro się puścim z wjatrem, straciecie statek wśród zdradliwych mielizn i podwodnych skał.

Posłuchano rady. Wkrótce ociepliło się powietrze. Przez mgłę zaczęły się przebijać błyskawice. W dali dudniły stłumione grzmoty. Wiatr przycichł, ale tym głośniejsze huczało morze. Potem ruszyła zyda i zaczął kropić deszcz.

— Teraz czas — rzekł Jówa wstając z kręgu lin. — Musimy opłynąć wyspę i (przerwą Rozparowca wejść na prawidłową drogę do Pucka.

Brodaty kapitan bez wahania dał rozkaz sternikowi, żeby wykręcił ruderę! ma kurs wiskaizany przez rybaka.

...Jak tu nie wierzyć olbrzymowi, 'który żegna się za każdym błyskiem wielkim krzyżem, a jak zadudni grzmot, schyla głowę i ibije się pięścią w pierś? — myślał, a zaufanie jego jeszcze wzrosło, kiedy wypłynęli Szeroką Dep- ką na Bałtyk.

Tu jastarnik polecił skierować nawę, którą miały fale, na zachód.

— Dobrze! — skinął głową Szwed. — A gdzie ten Roz- parowiec?

— Pójdę na przedni kasztel — (powiedział Kaszuba. — Stamtąd łatwiej wypatrzę

najdogodniejsze przejście na Małe Morze.

Kapitan uradowany, że wnet zawinie do Pucka, spotka zwycięskich swych rodaków i załaduje statek bogatym łupem, pozwolił mu wejść na galarę. Niebawem lunął gęsty deszcz i ponownie zadał ostry mordost. Ulewa zatarła wszystkie kontury. Szwed wyszedł ze swej kehity.

— Czy jesteśmy już przy Rozparowcu? — krzyknął przez tubę i w stronę przedniego kasztelu.

— Zaraz będziemy — spokojnie zaręczył rybak, choć w rzeczywistości dawno już minęli tę przerwę.

Deszcz siekł niemiłosiernie. Fale uderzały z pluskiem

o burty. Marynarze przemoczeni do ostatniej nitki, otrząsali się jak igsy po wyjściu z wody i daremnie wypatrywali oczy, by cokolwiek dojrzeć przez ścianę ulewy. Naraz przewodnik odwrócił się i huknął:

— W lewo]

Zaskrzypiał -pudel. W tej samej chwili zabielił się i przewrócił tuż przed dziobem ogromny grzywacz. Kapitan pobladł jak chusta. Spostrzegłszy, że okręt pruje przez zbełtany presk prosto w istrad, wrzasnął przeraźliwie:

— W prawo, do stu czartów!

Było już wszakże za późno na ratunek. Dno nawy zazgrzytało na kamienistym dnie. Statek położył się na bok, a równocześnie Jowa jaik żbik wyskoczył za burtę. Zanurzył się w toń, lecz gdy piana fali przeszła, stwierdził, że stoi tylko po piersi w¹ wodzie. Następna idenega poniosła go ku brzegowi.

— Zdrada! — wołali Szwedzi na przechylonym pokładzie.

Nie przejął się tym. Był już na usechu, a stąd stosunkowo łatwo dobrnął do zoloju. Dzięki swojej sile oparł się zochiowd ii wyszedł na strad, pod stromy brzeg Rozewskiej Kępy. Poznał zaraz, że “wylądował” na zachód od Stariniowego Żłobu, naprzeciw Chłapowa.

— Tu tego szweda gwesno rozbije — mruknął sam do siebie. — Powiadomię o tym chłapowian! Niech się zajmą statkiem i załogą. Im w to graj. Dadzą sobie radę. Mają już niejednego okręt na sumieniu, to i tym razem będą wiedzieć jak się dobrać morzkułcom ido skóry.

Jak postanowił, tak zrobił. Ociekając wodą pobiegł Starniowym Żłobem ku Chłapowu. Zdyszany wpadł do rybackiej wioski.

— Szwed w stradzie! — krzyczał sadząc wielkimi susami główną wiejską drogą.

Po chwili wszystkie maszoperie stanęły na nogach. Ucieszyli się rybacy. Znów po długim czasie przytrafiła się im bogata bita. Kto żyw, chwycił topór, rusznicę czy bekę i biegł Starniowym Żłobem ku stradowi.

-Bij Szweda! — wołali. — Bij letraHpiekielnika]

Brodaty stołem nie wziął udziału w tej wyprawie. Zostawił Szwedów chłopowianom i jalk stał, mokry, pospieszył do Swarzewa. Mgła się rozeszła. Na niebie zapłonęły gwiazdy. Jasitarnik szedł polną drogą i wertepami, aż zmęczenie wzięło górę. Zaszły się w kopiec skoszonego żyta i postanowił się zdrzemnąć. Noc była ciepła, ale ry

bak nie całkiem jeszcze wysechł. Dokuczał chłód. Trudno mu było doczekać poranka. Przez całą noc gryzł ziarno wydłubywane z kłosów i szczekał zębami.

— Co też taim się dzieje z moimi maszopami i córkami? — rozmyślał. — Czy udało się im bezpiecznie doze- głować ido Swarzewa?

Gwiazdy nad morzem powoli bledły. Nareszcie zaróżowiła się zorza. Jówie zaczęły już ciążyć powieki, kiedy niespodziewanie doszedł jego, uszu głos dzwonów.

— Chyba tak wcześnie nie dzwonią na Anioł Pański? — mruknął.

Zerwał się na równe noga i przetarł zdumione oczy. W mdłym świetle przedświtu błyskała nad daleką wsią luna. Rosła nad widnokregiem groźna i krwawa.

— Jezus, Maryja! — krzyknął łapiąc się za głowę. — Gore! Gore!

Rozejrzał się dokoła, jakby szukał broni, ale przypomniał ©obie, że topór został w łodzi. Zacisnął więc gołe pięści i pobiegł polami na przełaj ku płonącym w dali chatom. Przebiegłszy szmat drogi, zauważył w brzasku dnia, że zbliża się ku niemu jakaś gromada. Przystanął.

— Czy to nie Szwedzi? — pomyślał.

Ale wnet poznał, że to nie wojsko. Ruszył więc naprzeciw i wpadł w ramiona jastamickich maszopów.

— Co to za wieś się pali? — zapjytał zdyszany. — Powiadajcie, dresze!

— Szwedy podpaliły Swarzewo! — krzyknęli chórem. — Dzwonnik dzwoni na trwoę!

— A Swarzewska Panna? Zali i ona w płomieniach?

— Kościół jeszcze stoi! Zaczęli podpalać wieś od ©trony Pucka. Teraz gonią za białkami, zabijając chłopów i rybaków.

— Wy zaś wzięliście nogi za pas! Nie -srornota wam, tchórze, pierzchać miast Królowej naszej bronić?

Wyrwa⁷ swój topór z rąk Rochów Klemensa.

— Ma-szopi ze mną — rozkazał. — Białki, dzieci i starcy do poczernickiego lasu!

Zawstydzili się jastarnicy. Pożegnali się z rodzinami. Zawrócili ku płonącej wsi. Wielkolud z toporem biegł na czele maszoperii.

Gdy weszli do środka wioski, wszystkie zagrody i ry

backie checze skupione dokoła kościoła stały już w płomieniach. Z chlewów, stajni, obór najeźdźcy wypędzali bydło, konie i nierogacizną. Plądrowano chałupy. Jęczał kościelny dzwon. Żołdacy zrywali isłomę ze strzech ocalałych dotąd zabudowań, troczyli ido pasów gęsi i kury, ścigali uciekające baalki. Nawoływali się w dymach, klęli po szwedzku i niemiecku.

Jówa, przebiegłszy jeszcze kilka kroków, ujrzał nagle, że jakiś wąsaty człek stoi na kamiennych schodach u wejścia do kościoła i rozpaczliwie odbija szablą ciosy szwedzkich rapierów. Pod jego nogami czerniały trupy.

— Nie przestapicie tego progu, póki ja żyw — dyszał.

Szyper rzucił mu się na pomoc. Gniew podwoił jego

siły. Przerąbywał się toporem przez ciżbę jak drwał przez las. Wsparł go Sulicki i reszta maszopów. Nie minęły dwa pacierze, a Szwedzi leżeli pokotem przed drzwiami świątyni.

Wtem nadjechało kilku konnych.

— Rajtary! — wrzasnął ktoś. — Jezus, Maryja! Rajtary!

Pierwszy z gołą szablą w ręku zbliżył się już do Jowy.

— Szulkasz guza? — ryknął jastarnik i jednym cięciem rozdziwił koński łeb.

Jeździec runął na ziemię, a koń zwałił się nań i przygniótł go. Pozostali zawrócili galopem do Pucka. Zadudniły kopyta w gęstej kurzawie.

— To mój brat — krzyknął Piotr Sulicki i poznając twarz leżącego. — Przyrodni brat Henryk!

— Co? — zdumiał się stołem. — Masz brata poganina, który napada kościoły? Zdrajca! Bo Szwedów przystał!

Wyciągnął nieszczęśliwca spod końskiego kadłuba. Uniósł w swych mocarnych rękach.

— Jesz udeszysz diabłom na pocechę!

— Miłosierdzia — błagał Henryk zdławionym głosem. — Darujcie mi życie.

— Oszczędź go! — wstawił się pan Piotr. — Nawróci się ze złej drogi! Odpokutuje grzech. Bóg ci miłosierdziem za miłosierdzie a Swarzewska Panna...

— Jam niewinny — zaklinał się jeniec. — To Bartosz przykazał mi surowo Szwedom służyć! Aleć

śmierdzi mi ta służba. Ostanę z wami, jeno dozwólcie...

Jówa puścił na te słowa nieszczęśliwca i zwrócił się do Piotra Suliokiego:

— Przecz się twoi bracia z wrogiem skumali?

— Ojciec nieboszczyk ostawił nam majątek — odparł Sulicki. — Jam się go wyrzekł, przez co do was musiałem uciekać. Oni zaś lękając się o całość swych dóbr, do Szwedów przystali.

— Majątek niejednego do piekła przywiódł — stwierdził Jakub Długi.

W tej chwili podszedł do nich ów¹ wążacz, który bronił kościelnych drzwi. Był to Pomieczynski, sołtys Swarzewa.

— Pomóżcie nam rannych opatrzeć — poprosił maszopów, podziękowawszy im wprzódy za odsiecz.

Twarz i ręce, podobnie jak całe odzienie, pomazane miał krwią. Zmierzwił, zlepione potem kosmyki włosów opadały mu na czoło.

— Tęgoś się tym lutrom odcinał — pochwalił go szyper.

— Miałem ich z dobrej woli do kościoła puścić? — obruszył się sołtys kładąc dłoń na rękojeści korda. — Pokradliby kielichy, monstrancje, a osobliwie naszej Panience krzywdę by mogli wyrządzić!

Rybacy zaczęli zbierać rannych z przykościelnego cmentarza, przypasywali zdobyczne rapiery, wkładali na głowy hełmy. Jówa chciał zagadnąć o coś Piotra, ale nie mógł go dojrzeć między maszotpami i swarzewianami, których gromady się zbiegły pod kościół.

— Gdzie Suliccy? — zapytał.

— Przed Matką Boską się modlą — odezwał się Józek.

Szyper wszedł do kościoła. W kruchcie (postawił swój

topór przy drzwiach i zbliżył się pod ołtarz. Klęczał tam jeden tylko pogrążony w modlitwie szlachcic.

— Piotr! — wezwał go półgłosem.

Sulicki podniósł schyloną głowę.

— Kędy brat twój?

— Przy kościele go ostawiłem. Nie śmiał tu wejść bez spowiedzi.

Kaszuba nie powiedział już ani słowa, klęknął przed złotą figurą. Ucałował pobożnie swój krzyżyk, /przeżegnał się, uderzając się kilka razy pięścią w piersi odmówił modlitwę. Potem wstał i wyszedł z świątyni.

Piotr na próżno szukał tam już swego brata.

— Nie ma go nigdzie — rzekł w końcu do szypra.

— Kto zdradził raz, zdradzi drugi i dziesiąty — mruknął Jówa. — Byle miał ku temu [sposobność] Zdrajcom

nie trzeba wierzyć. Skorzystał z zamieszania i zbiegł. Nie ma go tu po có szukać.

Piotr pobladł i zwiesił głowę.

Kościół i cudowna Madonna dzięki jastarnikom szczęśliwie ocalały, ale więcej niż pół wioski spłonęło. Wśród dymiących zgliszczy pogorzeli chłopci zganiali bydło, którego Szwedzi nie zdołali zagarnąć. Swarzewscy rybacy ukrywali łodzie za pagórkami w dołkach i wąwozach. Pomieczyński zamierzał ruszyć ze swarzewianami do po- czemickiego lasu, gdzie ich ibiałki schowały się już przed napastnikami.

— W Pucku — wskazywał widoczne daleko w dolinie nad zatoką wieże zamku i fary -r- Szw^{dy} od dwóch już niedziel siedzą. Mogą łącno lada chwila z Młyńskiej albo Gdańskiej Bramy wyjść i drugi raz na Swarzewo nastąpić.

— Osobliwie że zdrajca uciekł — przytaknął Dawid Kąkol. — Ani chybi jeno patrzeć, jak znów tu heretyków przyprowadzi.

— Matki Boskiej bez obrony nie możemy ostawić — rzekł Jówa podnosząc ciężki topór. — Będziem jej bronić, choćby nam tutaj przyszło głowy położyć. Kto tchórz, niech ucieka, jo ostanę!

— Me wszetcy ostaniem! — zawołali chórem jastarni- cy. — Co do jednego!

— I ja z wami — dodał gorąco Sulicki.

— Nie myślcie, że nas »strach obleciał! — zapewniał sołtys. — Powrócimy, jsino bydło zapędzimy do lasu.

— Tedy będziem na was czekać — poiklepał go szyper po ramieniu.

Pognano drogą tabun ryczącego bydła. Nad wsią lekki wiatr rozwiał dymy. Zaświeciło letnie słońce. Jówa kazał Klemensowi i Józkowi trzymać straż u wejścia do kościoła, a sam się położył w bujnej trawie cmentarza nie wypuszczając topora z ręki. Zmęczony usnął niemal natychmiast.

Piotr Sulicki zgnębiony .postępkiem brata siadł obok na grobie, aby w iporę obudzić olbrzyma, jeśliby zaszła potrzeba, lecz minęło południe, a Szwedzi nie wracali. Wrócił natomiast Pomieczyński, wiodąc z boru gromadę ludzi zbrojnych w cepy i kosy.

Sulicki zbudził Jówę.

— Wstawaj! — zaczął targać go za (rękaw.

Podzwignął się stołem. Swarzewiamde nakarmili swych

obrońców tym, co zostało w komorach. Wieczorem wszyscy ipokładli się do snu prócz czaty na puckiej drodze i szypra, który wraz z sołtysem zasiadł na kamiennych schodach u drzwi kościoła.

Pomieczyskiego zmogło wkrótce znużenie, Jówa jednak czuwał. By nie zasnąć, padł jna kolana. Gorąco się modlił prosząc Panią Morza, aby odwróciła nieszczęście, które krwawym sztormem runęło na polskie wybrzeże.

— Zachowaj, Matko Swarzewska, swój wierny lud od głodu, pożogi, moru i wojny. Osłoń nasz kraj złotym płaszczem, a nieprzyjacielskie zastępy odegnaj berła swego skinieniem...

Dobrze po północy ocknął isię swarzewski sołtys.

— Jakoś Szwedy nie przychodzą — ziewnął szeroko i podkreślił węża. — Zwąchali, czym twój topór pachnie i odechciało im się wycieczek za puckie mury.

— Nie jam ich pogromił — odparł olbrzym — jeino Ta, co z tego kościoła nad Małym i Wielkim Morzem rządy sprawuje! Ona mocy mi dodała, a tamtych pludrów poraziła trwogą.

— Zjawiła się przecie tutaj ipo to, iżby tej ziemi i jej ludu od wszelkich złych przygód bronić.

— Pamiętasz, jak-to było?

— Nie mam wiele więcej roków od ciebie, wszelako dobrze pomnę, co mój świętej pamięci rodziciel a takżeż dziad powiadali za żywota swego.

— Gadaj tedy! Słyszałem już niemało o tej figurze, aleć chyba nie wszystko.

— Pierwszy raz przyplęnęła pono do Swarzewa na niecce!

— Na niecce?

Wiózł ją holenderski okręt do jednej, nie pamiętam już której, z gdańskich świątyń. Wždy od północy nadszedł okrutny sztorm i roztrzaskał nawę podle Rozew- skiej Głowy. Wiesz, jak to bywa! Cały ładunek rozniosły fale. Nieckę z figurą wyniósł prąd przesmykiem między helskimi wyspami na Wik, a denega wyrzuciła ją przy Swarzewie.

Brodaty jast arnik słucał z coraz większym przejęciem.

— I odtąd tu u was jest?

— Nie było natenczas kościoła” w Swarzewie — ipokręcił głową sołtys. — Przeto nabożni

irybacy zawieźli ją w uroczystej procesji swymi łodziami do Starego Helu. Tam ją ksiądz proboszcz wstawił do 'kościółki Maryi Panny, co niemie w gruz się rozpada, jako że helanie od naszej świętej wiary odstąpiwszy o świątynię dbać przestali, a figurę wyrzucili do morza. Wtedy to ona znów przyplęnęła do Swarzewa i ukazała się tą orażą -nad studnią.

— Tą, której cudowna woda wszystkie choroby leczy?

— Pomieczyński skinął igłową na znak potwierdzenia.

— Do tej właśnie studzienki iwy brała się kiedyś wczesnym rankiem po wodę jedna białogłowa — podjął opowieść, a mówił tak obrazowo, że szyprowi wydało się, iż widzi na własne oczy owo pamiętne rano.

Cicho stoją zielone klony. Zatoka w porannym słońcu, wschodzącym zza helskich wydm, połyskuje drobną falą wznieconą jeszcze przed świtem przez wschodnią bryzę. Wąwozem od wsi idzie ku Wikowi białka dźwigająca na nosidłach dwa wiadra. Nagle jedna z denezek bijących

o brzeg rozbłyska taką jasnością, że kobieta Odejmuje z ramiom szkanie, podnosi dłoń do oczu, wpatruje się w toń. I oto znowu oślepia ją niemal światło płomieniste. Z bijącym więc sercem zbiega na zolój. Żłoty płomień z każdą falą zbliża się ku brzegowi. Jest już blisko. Rybaczka zrzuca drewniaki. Boso wchodzi do wody. Pochyla się i widzi figurkę Najświętszej Panny z helskiego kościoła, oplecioną wodorostami, które smadź ją pokryły podczas długiej żeglugi przez zatokę, kiedy to miotły ją mors- skie prądy. — Podnosi ją ostrożnie, obmywa studzienną wodą z zielska i szlamu, stawia na murku przy studni, a sama spieszy do plebana. Zaraz się też zbiegają ludzie,

1 to nie tylko z samego Swarzewa, ale i z wszystkich okolicznych wiosek. Poklękali dookoła studzienki, albo też na twarze poupadali, bo od figury bije takowy blask, iż oczy bołą.

Cicho szęleściły koronny drzew otaczających zapadłe mogiły i pochylone krzyże nagrobne. Z daleka, od zatoki docierał (przytłumiony plusk fal. Ja<starnik, który słuchając opowieści ukrył twarz w dłoniach, podniósł głowę.

— Z tej tedy przyczyny nad ową studnią kaplicę zmu- rowano — szepnął.

— Osobliwie uczyniono ta 'dlatego — tłumaczył sołtys — iż, acz pleban (pierwszego zaraz dnia pod wieczór figurę przy śpiewach i dzwonów biciu do kościoła przeniósł był, studzienna woda niebawem cudowną się okazała. Kalekom i chorym, co się nią obmywali, przywracała zdrowie, a także siły.

— Wiele takowych cudów się tu przytrafiło?

— Zrachować trudno. Ale jeszcze się tu większe dziwy działy. Za sołtystwa mego ojca, w ciężkich onych latach, kiedy imć Poczernicki sprowadził był do Swarzewa pastora, ów nie mógł przez cały czas ani jednego kazania wygłosić. Mowę mu odbierało, skoro jeno na kazalnicę wlaźł. A jak chciał Matkę Boską z kościoła niecnie wyrugować, to mu ręce zdrętwiały.

— Co ty nie powiesz!

— Tak było! Potem predykant niecnota uciekł ze strachu iprzed biskupem, a ojciec mój 'zbudował kaplicę. Od tego czasu minęło już pół wieku z górą i nikt się na świętość naszą targnąć nie poważył. Dopiero teraz te szwedzkie jpurtki...

Srogą przez to karę ściągną na swe głupie łby, a Święta Panienska jak stała tu, tak i stać będzie do końca świata.

— Bronilem jej ostatkiem sił, gdyś ty się zjawił.

— Ona ci mnie na pomoc pchnęła!

— Pomódlmy się tedy do niej społem — zaproponował sołtys.

Jówa pobożnie ucałował różaniec. Przeżegnał się i jął odmawiać pierwszą zdrowaśkę.

— Zdrowaś Maryjo, łaskiś pełna...

— ...Pan z Tobą — zawtórował Pomieczyński i zerwał się z kamiennego stopnia.

— Jezus, Maryja! — zawołał. — Znów gore! Bacz człowiecze: łuna świeci od zachodu!

Szyper co tchu budził maszopów. Powstawali i patrzeli

ze zgrozą na czerwone łuny rozkrwawiające chmury nad zachodem.

— To Łebcz się pali — twierdził Pomieczyński. — Biedni łebczanie! Sądny u nich dzień.

— Może anów twój brat rajtarów taim naprowadził? — Jówa gniewnie zwrócił się do Sulickiego. — Parzech, ju- daisz, szargulec przeklęty! Lepiej by i dla niego, i jego duszy grzesznej było, gdybym go tu na miejscu toporem rozwalił,

— Piekło i tak by go nie ominęło — odparł Piotr Sulicki spokojnie .po chwili, acz zrazu wzburzyło go to, że prosty rybitwa waży się tak mówić o jego bracie, o jego "krwi"! Dawniej na taką zniewagę natychmiast sięgnąłby do korda. Teraz jednak, dzięki Barbarze, stał się innym człowiekiem i jeno z rzadka ponosiła go szlachecka duma. — Barbarka — myślał — Bogu dzięki, że jej nic nie grozi tam na jпустkowiu.

Nagle przy kościele wyłoniła isię z ciemności jakaś postać. Szyper podbiegł ku niej z toporem w dłoni. Do oczu zajrzał przybyszowi i krzyknął:

— Dobrodziej! Nasz dobrodziej żyw!

Swarzewski ksiądz, zdrożony, zdyszany, w ipodartej i zakurzonej sutannie nie mógł z początku słówka przemówić. Trząsł się cały ze strachu jak osiczyma. Otoczyli go parafianie. Dopytywali, co się z nim działo.

— Zbiegłem był wczora do Łebcza jak Piotr święty męki się lękając — przemówił wreszcie. — Wždy doścignął mnie Pański gniew. Szwedy dziś tam wpadli niby sfora czartowska. Rabują łebstki kościół i zagrody. Palą! Mordują ludzi.

— Siła ich? — zapytał Pomieczyski.

— Z tysiąc chłopów.

— Takiej potędze się nie oprzem, jeśli znowu nas nastąpią. Trza będzie unieść naszą Panienkę w przepieczne miejsce.

— Po tom tu wrócił — dyszał pleban. — Chodźmyż do kościoła! Chodźmyż śpiesznie!

Wraz z sołtysem, szyprem i szlachcicem wszedł do świątyni i zdjął statwę z wielkiego ołtarza.

Tej jeszcze nocy owinięto ją w sukno i przeniesiono do swarzewskiego boru, gdzie przy blasku łuczyw została zakopana w leśnych piaskach, u zbiegu granicy swarzew-

skiej, wielżeńskiej i poczernickiej. Tu miała czekać na odparcie szwedzkiego -najazdu, na dzień, w którym znów nastanie pokój na kaszubskim brzegu.

— W rybackich wsiach Szwedzi ami jednej chyba chaty nie ostawią — powiedział następnej nocy Pomieczyski stojąc obok Plebana, Jówy i pana Piotra na skraju poczerniękiego lasu, zatłoczonego zbiegami z całej okolicy.

Oparci o pnie grubych sosen patrzeli na łuny nad Gnieźdżewem i Chłapowem.

— Dziw, że dotąd nie podpalili Poczernina — mruknął Długi Jakub. — Czemu tę wieś oszczędzają, skoro nie wahai się świętego Swarzewa spalić i splądrować?

— Gwesno poczemicki dziedzic na ich stronę przeszedł — zgadywał swarzewski ©ołtyis. — Niejeden szlachcic dla ratowania majątku zapisuje tym czartom swą duszę! Sromotna to dla mnie rzecz, bo ród nasz takóž, acz na sołectwie jeno siedzi, klejnotem szlacheckim się pieczętuje i wielcem sobie dotychczas stan mój cenil.

Sulicki poprawił »pas, u którego zwisiała szabla, popatrzal na swój sygnet.

— Uczyła mnie w pacholęcych latach moja, świętej dziś pamięci, pani macierz, iż nie klejnot herbowy, nie majątności i parantele, jeno cnota o prawdziwym świadczy szlactwie — przypomniał sobie i łzy mu w oczach stanęły n^ wspomnienie przestroğ 'nieboszczki matki. — Zahaczyłem był potem jej pocziwych nauk i pychą <na równi z braćmi moimi grzeszyłem.

Pleban wznioł ręce ku niebu krwawiącemu łuną.

— Nie za co inszego jeno za tę «pychę panów szlachty, luterskie nowinki i kmiotków ubogich srogi ucisk kara boza na Rzeczpospolitą naszą spadła. Módlmy się tedy, aby ślepym pyszałkom łuski z oczu spadły.

— Jam już przejrzał — odparł pan Piotr. — Za sprawą dziewczeczki jednej nabożnej wyrzekłem się majątności, porzuciłem dwór, stan swój, rodzinę, zamieszkałem w rybackiej checzy i tam znalazłem serca przyjazne...

Jówa położył mu na ramieniu ciężką dłoń.

*— Wiem, że z ciebie ~dobry knap — huknął dobrodusznie. — Lenjo, żebyś się nie odmienił. Rzeknij: pójdiesz z nama heretyków gromić?

— Wasz jestem duszą i ciałem — zapewnił gorąco. — Będziem pospołu bić pludraków, póki ostatniego z granic na/szych nie wyżeniem.

— Co daj, Parnie Boże, amen! — zawołał ksiądz. Potem uściskali ©obie ręce i weszli w gęsty, szumiący

bór.

egoroczne lato, tak obfite w pamiętne wypadki, gorące było i suche. Popukała ziemia. Skwar lał się z (nieba. Stawy i strugi wyschły. Nie było czym gasić wojennych pożarów i coraz to więcej wsi sizło z dymem. Szwedzi grasowali po Kaszubach, szlaki zaś ich pochodów znaczyły , w dzień kłęby czarnych dymów, a nocami rude łuny. Paliła się Wielka Wieś, paliła .się reszta Chłą- powa, Tupadły już zgorzały... Ocalały jedynie te folwarki, których dziedzice przystali do Szwedów. Taik uczynił pan na Leśniewie, aby uratować swoje dziedzictwo, i kilku innych.

Chodziły pogłoski, że do Pucka przybył »sam szwedzki admirał Karol Gyllenhjelm z mnogimi posiłkami, by ostatecznie zgnieść opór na wybrzeżu siejąc śmierć i pożogę. Toteż uciekinierzy z Jastarni i Swarzewa, nie czując się pewni w poczernickim lesie, opuścili swe kryjówki i udali się za Dobre Jezioro.

Sulicki wielce się radował, że się zbliża w tę stronę, gdzie oczekuje go Barbara. Żałował tylko, że od razu nie wyznał szyprowej Czeszce, iż miłuje inną dziewczynę. Nie łudziłaby się wtedy nadaremnie, a tak z pewnością boleśnie odczuje wieść, że jej wybraniec ma narzeczoną.

— Wždy nie lża mi było w Jastarni z wszystkich mych spraw się spowiadać — usprawiedliwiał się w duchu. — Jastarnicy mogliby w Pucku, kędy często się wyprawiali, rozgadać, kto się w ich wiosce ukrywa, a wtenczas łąco pochwyciliby mnie socjusze pana na Krokowie.

Ale mimo to czuł wyrzuty sumienia i odwracał głowę, by nie widzieć czułych uśmiechów kroczącej obok niego rybaczki.

Szli leśnymi, odludnymi drożynami, aż iz daleka omijając Krokowo dotarli w okolice żarnowieckiego boru. Tutaj spotkali wczesnym rankiem gromady ludzi z Odar- gowa, Żarnowca, Sobieńczyc, Łupkowa i Kartoszyzna, gotujących się pod wodzą Andrysa Kura — odargowskiego kmiecia — do walki z najeźdźcą. Chłopi uzbrojeni w ko« sy, widły i pałki biwakowali przy nikłych ogniskach. Poza komendantem mało kto mógł się poszczycić kordem lub rusznicą.

Piotr Sulicki znał Andrysa, bo Maciej — jeden z trzech braci Andrysa, z których każdy miał w

Odargowie własną zagrodę — rybaczył tej wiosny w dębrowskiej ma- szoperii. Podszedł więc i zapytał:

— Szwedy się tu, Andrys, w waszych stronach jeszcze nie <pokazały?

— Boją się zapuszczać do żarnowieckiego państwa — odparł roztropny i śmiały Kasizuba. — Wszelako strzeżonego Pan Bóg strzeże. Jeśli tu przyjdą, najdą nas gotowych do obrony.

— A nie wiesz, co tam nowego w Miskowej zagrodzie?

— Barbarka oczy za paniczem wypłakuje, a jej brat Michał lada chwila nadciągnie tu ze swoją maszoperią. Karwianie także obiecali do nas dzisiejszej nocy doszlu- sować.

— Zbierze się tedy wielika partia.

— W tym sęk — zatroskał się Anidrys. — Taką kupą ludzi nie potrafię komenderować. Żeby tak waćpan zgodził się objąć komendę nad wszystkimi.

— Eksperiencji mi nie brak, jakom że ledwie z pieluch wyszedłszy u pana Wejhera w wojennym praktykował rzemiośle — rzekł Sulicki. — Jest wszakże jeden szkopuł.

— Jaki?

— Czy wszyscy przystaną na mą komendę? Ot, choćby jastamicy, z którymi tum przyciągnął. Ci nikogo krom swego szypra słuchać nie myślą.

— Tedy waćpan odmawiasz?

— Sam nie wiem, co uczynić. Wroga jeno patrzeć...

— Tak samo mówi stary Czerwionka.

— To Kresztof je tu z warna? — zapytał Jówa podchodząc do rozmawiających.

— W ostatniej chwili udało mu się zbiec z Chłapowa.

Szwedy wpadły tam, kiedy chłapowice plądrowali jeden korab, co wszedł w strąd.

Jałowcowy dym ognisk snuł się między pmiami sosen i strzępiastymi gałęziami chojarów. W saganach, kołyszających się nad ogniskami, bulgotała strawa. Ludzie drzemali na mchu przed lada jak skleconymi szalaszami.

— A może by tego Gzerwionkę wodzem okrzyknąć? — zaproponował szlachcic. — Słyszałem, że to doświadczony wodny żołnierz.

—* Pytałem go, zali chce nam dowodzić — odrzekł Kur. — Wszelako gada, że na to za stary. Ma przeszło osiemdziesiątkę. “Co dzień — rzecze mi — wyglądam kostuchy, ale śmierć jakby o mnie

zapomniała”.

— A kędy go szukać? — zapytał szyper.

— Kwateruje tu w pobliżu, w Domienikowej zagrodzie.

— Co za Domienik?

— No ten Misk, co to z Kresztofem Czerwionką króla naszego przez rozewski presk przewiózł, a teraz tu na klasztornej roli pad borem siedzi.

— Toć to mój dreh! — krzyknął osiłek. — Prowadź mnie doń co żywo. Siła roków my ǳię nie widzieli.

Poszli we trzech przez las. Po drodze dołączył do nich swarzewski sołtys, który tsłyszał nieraz o frajbiterkich przewagach Domienika i rad był ipaznać starego okręt- nika. Na skraju boru jaśniała nowa Boża Męka z pamiętną dla pana Piotra datą, wyrytą na poprzecznej belce. Jówa przeżegnał się, Kur i Pomieczynski zdjęli czapki, a Sulicki pomyślał:

— Stary Misk dotrzymał obietnicy i wystawił krzyż na miejscu, gdzie uratowałem mu córę.

W dali tymczasem ukazała się znajoma zagroda. Szlachcic dojrzał między drzewami sadu dziewczynę w niebieskiej chusteczce na głowie. Zrywała wiśnie. Zatętniło mu serce. Bociany, stojące w gnieździe, zaczęły klekotać na widok przybyszów. Na podwórzu zaszczekał pies. Panna odwróciła się, spojrzała na podleśną ścieżkę. Zmrużyła, oczy. Z początku ze zdziwieniem patrzyła na zbliżających się ludzi. Nagle jednak krew uderzyła jej do głowy, zabarwiła rumieńcami policzki. Poznała narzeczonego, postawiła na trawie koszyczek z wiśniami i wybiegła z sadu.

Równocześnie od checzy rozległ się starczy głos.

— Jówa! Mój kochany dreh >z królewskiej galeony! — Ojciec Barbary ze starym Kresztofem co sił w nogach spieszili naprzeciw gościom. — Okrutnie się cieszę, iż cię widzę — powtórzył chwytając 'olbrzyma w objęcia. — Myślałem, że cię już przed śmiercią nie obaczę. Szwedy nie! darowały życia jnikomu z tych, co im w ręce wpadli.

Domienikówna padła na pierś Piotra, ramionami oplotła mu szyję.

— Dzień i noc patrzałam na łuny — zwierzyła się cicho. — Bałam się, że cię nieprzyjacioły w jakiej potyczce ubiły.

— Potykałem się już z nimi, ale dzięki mojemu druhowi — tu Sulicki wskazał jna olbrzymiego jastarnika — szczęśliwie do ciebie wrócił.

Posłyszawszy to, bez chwili namysłu ucałowała rękę brodatego szypra.

— Wdzięcznam wam bardzo, żeście mego narzeczonego bezpiecznie do dom przyprawadzili. Niech wam Bóg stokrotnie zapłaci za wszystko dobre, coście dlań uczynili.

Wzruszył się kaszubski stołem. Wyrósł w twardej rybackiej i kaperskiej szkole. Nader rzadko przytrafiało mu się słyszeć słowa tak czułe i wdzięczne. Położył więc ciężką dłoń na ramieniu dziewczyny i rzekł:

—■ Nie troskaj się o swego knopa. Nie odstąpię go na krok. Będziemy pospołu bić nieprzyjaciół i zdrajców Polskiej Korony, aż wióry z nich polecą.

— Zdrajców Bóg osądzi — wtrącił pan Piotr wspomniawszy swych braci.

Kur oparł rusznicę o słup podpierający strzechę.

— Straszny będzie to sąd — mruknął. — A wyrok: ogień wiekuisty i zębów nieustanne zgrzytanie.

— Chodźcież do izby — jęła zapraszać Barbara. — Gość w dom, Bóg w dom.

— Ostaniem tu na przeddomku — odrzekł Kresztoi siadając na ławie. — Gorąco dziś, a w izbie oddychać trudno.

— Ty zaś, córko r— rozkazał Domienik — skrzესaj ognia i pospołu z siostrami przygotuj obiad dla miłych gości.

Dziewczyna odeszła, panicz podsztył za nią, pozostali zaś przysiedli obok starca.

— Nie będziem was objadać — wzbraniał się Jówą. — Idą ciężkie czasy. Żywność się wam przyda.

-- Starczy dla nas i dla wais — uspokoił go gospodarz. — Zabiłem omegdaj jałowicę.

— Lepiej, że my ją zjemy niżli Szwedzi, którzy coraz bliżej podchodzą — wtrącił Czerwiomka.

— Mój syn Zych okoliczne wsi objechawszy — podjął Misk — powrócił wczora ze straszną wieścią. Oto Swarzewo opalone. Nie zastał tam żywej duszy. Kościół się po prawdzie dotąd ostał, ale Cudowna Panna zniknęła. Jak kamień w wodę.

Pomieczynski pogładził wasy i chwycił Jówę za łokieć.

— Żeby ten tu jastarnicki stołem ze swoją maszo- perią na czas nie przybył, gwesno łby Królowa Rybaków trafiła w szwedzką niewolę.

— A kędy ona teraz?

— Dobrze ukryta. I to dzięki naszemu Jówie. Nie odnajdzie jej żaden pluder-heretyk.

Domienik Ÿporwał się z siedzenia. Uścisnął brodacza i zawołał serdecznie:

— Nie kładź, drehu, topora, aż nieprzyjaciel opuści nasz kraj. Raz przysłużyłeś się naszej Panience, służ tedy jej nadal, a nagroda cię nie minie.

Jówa wyprostował swą olbrzymią postać tak, że chociaż nie dźwignął się z ławy, dosięgnął niemal głową powały przyzeddomku.

— Nie stoję ja o nagrodę dla siebie. Będę prać nieprzyjaciół Swarzewskiej Panny, aby mej białce i synkowi dźwierzę raję otworzyć. Byle Bóg dobrego nam zesłał komendanta, a wypędzimy Szweda za morze.

— Prawdę mówisz, synu — pochwalił go Czerwionka uprzednio poszeptawszy z Kureim. — Tęgi z ciebie wojownik i dobrze prowadzisz swą maszoperię na morzu. Wždy tu musi być człek ćwiczony w lądowym wojowaniu: pochodach, bitwach, zasadzkach... Jest tu, jako słyszę, młodzieniec pocziwy, w rzemiośle wojennym przez nieboszczyka starostę wyszikolon. Ten 'mógłby was poprowadzić.

— Gdzie on? — porwał się osilek.

— W izbie! — uśmiechnął się Anidrys. — Przy swej brutce. Bo chyba wiecie, że choć pochodzi z możnego

rodu i na niejednym wielkim bywał dworze, serce go pociągnęło ku córce naszego dreha?

— Piotr? — krzyknął jaistarniik, któremu teraz się dopiero w głowie rozjaśniło i zrozumiał, czemu szlachcic tak często się zamyślał. — To roztropany knop! Jak coś doradzi, to mądrze!

— Ba! — pokręcił węża Pomieczynski. — Jam też zauważył, że ona głowę na karku. Jeno, że cichy jest i serca pokornego. Nigdzie się nie pcha. Nie wiem, zali posłuch utrzymać potrafi?

— W tym już mój topór — huknął Jówa. — Niech się jeno kto poważy nie słuchać Piotrowej komendy, a...

Stary Kresztof uściskał dłoń szyprowi, wiedząc że właśnie od jastarników w pierwszym rzędzie zależy, czy Sulicki zostanie wodzem.

— Ty, drehu, wraz ze swoją maszoiperią — oświadczył

— będziesz trzonem i ostoją naszej partii.

— Niech żyje nasz Piotr! — krzyknął Jówa potężnym głosem. — Z nim będziemy zwyciężać albo ginąć!

— Niech żyje! — ryknęli razem sołtys ze Swarzewa i kmieć z Odargowa, aż zadrżały liście isiwego buka, który ocieniał studnię na podwórzu obejścia, a spłoszone kokosze zaczęły donośnie gdakać.

— Nie oma rady — uśmiechnął się Czerwionka. — Będzie nam musiał Misk po kusztyczku miodu postawić, jako że wkrótce jego córka komendantową naszego komendanta ostanie.

Domienik zadowolony, że jego przyszły zięć zyskał taką rangę, pobiegł do izby i <zaraz wrócił z panem Piotrem.

— Winszuję waćpanu — pogratulował mu Pomieczyn- ski. — Szczerym sercem winszuję.

— Czego? — zapytał szlachcic.

— Obioru na przywódcę pierwszej na Kaszubach partii wolontarzy.

Jówa wziął Sulickiego w ramiona.

— Byłem ja twoim szyprem, a teraz ty moim wodzem będziesz. Nick mas ju, drehu, nie rozłączy!
Choba jedna śmierć]

Piotr popatrzył bystro ma obecnych.

— Czy to wola wszystkich? — zapytał.

— Wszystkich — zawołał Jówa ipodnosząc topór.

— Ja — zagrzmał Pomieczyrwski — oddaję mych swa- rzewian pod waścimą komendę.

— A ja — dodał Andrys Kur — kupę tych, co się przy mnie zgromadzili.

— Wszelako, jak mówicie, mają tu jeszcze przybyć tej nocy rybacy z Chłapowa, Wielkiej Wisi i Karwi — zastrzegł się Sulicki. — Kto wie czy omi się zgodzą na wasz wybór.

— Za mich ja ręczę — rzekł stary Kresztof. — Zbierają się oni od paru dni w ostrowskim lesie, a tej nocy mają tutaj stanąć.

— Jeno gdzie się podzieją ich żony i dzieci? — zatroszczył się swarzewski sołtys. — Toć nie sposób doma bezbronnych ostawić.

— Wszetkich zakwaterujemy w tuitejszej okolicy — ozwał się obrotny Kur. — Jaistarników pošlemy do Odar- gowa, swarzewiam do Łupkowa, chłapowianów do Żarnowca, a resztę do Wierzchucina.

Tak omówiwszy najważniejsze sprawy, weszli do chałupy i zasiedli w izbie do obiadu. Ze wspólnej miski jedli groch i gotowaną wołowinę, ipotem zaczęli popijać miód, przegryzając każdy łyk kęssem kołacza upieczonego przez Anuszę i Helenkę ipod okiem niedoszłej klasztor- nicy, a teraz szczęśliwej narzeczonej, której kaiwaler opowiadał właśnie o swym pobycie w jatstarnickiej checzy, u czterech cór brodatego stolema.

— Dobrze ci tam było? — zapytała z odcieniem - zazdrości w głosie. — Snadź rozmiłowały się w tobie na umór, skoro «tak ci dogadzały.

— Co do jednej! — uśmiechnął się zawadiacko. — Gdybym był bisurmańskim sułtanem, mie musiałbym żon kupować, ani gwałtem porywać.

— I nie rzekłeś im, że masz już narzeczoną?

— Dalibóg nieraz chciałem to uczynić, ale sposobna chwila się nie trafiała, a i przezorność nakazywała mi

o tym milczeć.

— A to czemu?

— Bo białogłowy długie mają języki i mogłoby aż do Pucka dojść, żem w ich checzy azylu poszukał, a wtedy kto wie, zalibyśmy teraz tak sobie gwarzyli, zaliby mnie do tej pory nie ubito...

.4 — Krwawy sztorm

97

-T- Aleć — szepnęła nie całkiem jeszcze przekonana i poprosiła nagle. — Chodźmy po nie. Niechaj im odpłacę gością za gościnność, z którą cię przyjęły.

Ruszyli do lasu i po jakimś czasie powrócili z czterema nadobnymi szyprównami. Czeszka boczyła gię nieco, a Zenobia miała nadąsaną minę, lecz pan Piotr nie zwracał na to uwagi. Ważniejsze miał sprawy na głowie.

— Słuchajcież — mówił do partyzantów. — Trza nam przeto choć część zagród obronić dla bezdomnej ludności, iżby zimą się »miała gdzie ischronić przed mrozem i niepogodą.

— Zimą — powiedział stary Kresztof — Śwedy za puckie bramy nosa nie wyściubią. Ej, żeby to żył nasz starosta-nieboszczyk, z pewnością obroniłby Puck przed najazdem i wróg nie mógłby w jego zamku zimować.

— Starosta jegomość zmarł — przytaknął wąsaty sołtys. — Wszelako żyw 'krewniak jego, wojewoda chełmiński.

— Melchior Wejher — dokończył Piotr. — Nie słyhać jakoś o niim.

— Ale wnet głośnie stanie się jego imię! Pono pod jego wodzą 'pospolite ruszenie na Pomorzu-
^się zbiera.

— Skoro tu się jeno pokaże, zaraz pójdziemy pod jego komendę!

— Jak to? — oburzył się Jówa. — Toć my ciebie, Ploter, komendantem obrali.

— Żebyś tyle miał oleju w głowie co sił w ręce, toby nieprzyjaciela już w kraju nie było — roześmiał się Czerwionka. — Insza rzecz wolontartską kupą przewodzić, a insza nad koronnym wojskiem i pospolitym ruszeniem komendę sprawować. Takiego regimienitarza nie jastar- nicki szyper, jeno sam król jegomość mianować może. Pojmujesz?

— Pojmuję — zwiesił głowę olbrzym.

Ściemniło się w izbie, wyszli więc na dwór, by powrócić do partii. Nad dalekim widnokrzem wisiały krwawe chmury.

— Myślę, że wnet pociągniem bliżej Pucka, w dar- żłubskie bory — powiedział Sulicki. — Będziem tam podjazdową modłą nękać nieprzyjaciela.

Odeszli wolontarze. Pan Piotr zatrzymał się jeszcze, chciał bowiem pożegnać się z Barbarą. Ta, poleciwszy

siostram przygotować posłania dla jastarniczek, zjawiła się ma przeddomku i siadła obok narzeczonego na ławie*

— Już po świętym Bartłomieju — szepnęła przytulając się do Sulickiego. — Pomnisz?

— Wiem, że termin naznaczony minął — odrzekł Piotr. — Wszelako odłożym chyba nasz ślub do zimy. Teraz kiedy ojczyzna w srogim nalazła się niebezpieczeństwie, nie ^ Iza nikomu o prywatnie myśleć. Czy nie tak* miła moja?

Mocno, aż do bólu ścisnęła mu dłoń.

— Bóg wynagrodzi cię za te słowa.

Gałęzisty buk nad studnią szejmrał cicho, trwoźnie. Szumiał bór, jakby sosny i chojary powtarzały sobie jakieś groźne wieści. I tylko bociany w gnieździe na strzesze spały spokojnie oblane czerwienią dalekiej łuny.

Mijały dni. Razem ze zbiegami i półnagimi pogorzalcami napływały do żarnowieckich borów coraz straszniejsze wiadomości.

— Bartosz Sulicki uformował Szwedom rajtarski oddział — powtarzano. — Krokowski dziedzie służy jnieprzyjaciołom. Na" zamku swym ich gości.

Tymczasem oddziały szwedzkie, zasilone przez wiarołomną i samolubną szlachtę, zapuszczały się głęboko w łąd niszcząc królewszczyzny, rabując apichrze, pałac kościoły, plebanie, chaty. Chłopstwo w dobrach królewskich i klasztornych broniło swych zagród przed zamorskim grabieżcą i płaciło za to własnym życiem. Lamenty biły w niebo wraz z dymami pogorzelsk. Nietknięte pozostało jedynie Krokowo, Poczernino, Leśniewo, Kłanino, Sulice

i wszystkie te wsie, których właściciele otworzyli Szwedom wrota i uznali Gustawa Adolfa swoim panem,

W lasach roiło się od zbiegłych kmieci biwakujących wraz z bydłem wśród gąszczy. Gorzej jeszcze było tym, którzy nie zdążyli ująć. Jedni pod strażą żołdaków stali z cepami jna klepiskach i młócili całymi dniami świeżo zrabowane zboże, które najeżdźca ładował w Pucku na okręty i wywoził za morze. Inni, poganiani płazami ra- pierów rajtarskich, spędzali do portu kwiczące świnię i bydło, którego ryk zagłuszał szum fal, pędzonych przez północny wiatr ku brzegowi. Przerażona

zwierzyna leśna

goniła z kniei do kniei, daremnie szukając spokojnego zakątka. Wyły bezdomne psy. Bociany opuszczały gniazda na płonących stodołach i gromadziły się na łąkach do przedwczesnego odlotu. Trwoga i lęk zapanowały na kaszubskim brzegu.

Niewesołe też były twarze partyzantów, którzy pewnej wrześniowej nocy radzili przy blasku łuczywa w leśnej budzie jednego z klasztornych smolarzy.

— Nie sposób nam dłużej czekać — mówili dwaj zaściankowi szlachcice Żelewski i Ustarbowski, zwerbowani niedawno do partii przez wąsala Fomiczyńskiego. — Szwed całą ziemię naszą w perzynę obróci.

— Nasi ludzie się niecierpliwią — meldował Andrys Kur. — Ręce ich świerzbą do bitwy! Sulicki postanowił więc działać.

— Na świętego Michała — zdecydował obrachowawszy w myśli zebrane siły zbrojne — niechaj wszystkie oddziały zbiorą się w borze koło Diabelskiego Kamienia. Podciągniemy bliżej Pucka i zasadzać isię będziemy przy gościńcu na szwedzkie podjazdy.

— Może by się nam udało zniecka i Puck oswobodzić? — odezwał się jeden ze szlachty.

— Bez dział? — rzekł pan Piotr. — Nie damy rady! Jakby wojska królewskie nadciągnęły, mogliśmy się pospołu o to pokusić. Wždy tak imuru 'nie ugryziem. Puck warowny jest.

— I stoi tam pono już półtora tysiąca szwedzkiej załogi — zasumował się Kur.

— Tedy będziem ich jnękać dniem i nocą po wsiach

i drogach! — huknął Jówa bijąc pięścią w stół. — Żeby żaden nie ważył się wy leźć za puckie bramy.

— Taki jest i mój rozkaz — oświadczył Sulicki. — Zatem spotkamy się na święty Michał.

W oznaczony dzień w starym borze, opodal wielkiego głazu porośłego zielonym mchem zebrała się ćma ludzi. Komendant lustrował oddziały. Piechota składała się z dwustu silnych chłopów i rybaków, była też i konnica: kilkunastu bowiem zaściankowych szlachciców, podobnie jak bogaci kmiecie odargowscy, przybyło na koniach.

Pod koniec lustracji zadudniły podkowy. Na polanę

prycwalaowało trzech jeźdźców. Twarze ich wykrzywiał grymas grozy. Oczy płonęły żądzą zemsty.

— Zdrajca Bartosz Sulicki ze Szwedami grasuje w okolicach! — krzyczeli osadzając spienione rumaki. — Naszego najmłodszego brata ręką własną ubił. Trzech jest rannych. Walczą ze śmiercią. My ledwie unieśli głowy. Pomóżcie nam się pomścić. Łotr isię odgrażał, że i na was napadnie, co do

nogi was wytraci]

Byli to, jak Piotr natychmiast poznał, panowie Rybińscy, którzy w siedmiu gospodarzyli zgodnie we wspólnej wsi — Rybieniu.

— Gdzie ten grabieżnik i mężobójca — zapytał.

Trzy klingi błysnęły w smudze światła sączącego się przez gałęzie, wskazując kierunek.

— Ciągnie z łupem Pomorską Drogą.

— W tę stronę! — zatarł ręce Andrys Kur. — Prosto w wilczą paszczę!

— Ruszamy — zakomenderował przywódca. — Na skraju boru urządzimy zasadzkę!

Jówa wyciągnął zza pasa mgłowy róg i zabuczał przeciągle. Odpowiedziały mu żalosne rogi innych szyprów, W kilka pacierzy pochod ruszył w drogę. Dudniły kopyta. Suche gałęzie trzeszczały pod stopami rybaków i chłopów. Przebijali się przez gąszcz. Wreszcie las zrzedniał i ukazał się daleki trakt.

Tu przystanęli, kryjąc się wśród pni i krzewów. Komendant wysłał ku Sobieńczycom, skąd spodziewano się wroga, kilku konnych na zwiady. Nie od dziś wiedział, że Bartosz poprzysiągł sobie znieść jego partię.

— Po złupieniu Rybienia z pewnością będzie chciał przedawczyk dobrać się nam do skóry — rozmyślał czekając na powrót 'podjazdu w cieniu ogromnego modrzewia. — Wszelako zmyli się mniemając, iż mas pogromi, a łaskę admirała Gyllenhjelma i samego Gustawa Adolfa zyszcze. Pobjemy go, bo ostrzeżono nas w porę. A kiedy — jak chodzą pogłoski — chorągwie wojsk królewskich zbliżą się ku wybrzeżu...

Wtem zza pobliskiego wzgórza wypadli galopem wysłani zwiadowcy. W chmurze kurzawy zbliżyli się do partyzantów.

— Zagroda Domienika gorg! Szwedy plądrują dobytek! — krzyczeli, zatrzymując rozpędzone wierzchowce.

— Rata! — wrzasnął Jówa.

Nie czekał na rozkazy. Z toporem w ręku i z różańcem na szyi pognał wraz z całą maszoperią ku Domiemiko-wej chacie.

— Za mną! — huknął pan Piotr na konnych.

Ruszyli cwałem. Gdy minęła wzgórza i las, oczom ich

ukazało się straszne widowisko. Z zabudowań Miszkowego obejścia buchał dym, strzelały płomienie. Żołnierze w błyszczących hełmach i półpancerzach uganiali się za kwiczącymi prosiakami. Jakiś grubas popędzał rąpiem stado gęsi.

— Czeszka — jęknął nagle szyper wytrzeszczając oczy.

Za stodoły wybiegła pólnaga dziewczyna. Tuż za nią pędził wielki, płowy rajtar. Dopadł jej koło sadu, powalił na ziemię. Ale Jówa już był przy nich. Rozkraczył isię, podniósł topór i jednym cięciem rozszczępił napastnika na dwoje.

Długi Jakub wpadł tymczasem na podwórze. Stał pod bukiem koło studni.

— Dwóch tu wisi — krzyknął z rozpaczą.

Jówa pobiegł doń. Machnął toporem. Gałądz z dwoma wisielcami runęła na ziemię.

— Panno Swarzewska! — lamentował Dawid Kąkol. — Toć to Domienik i Czerwionka! Ratujcie ich!

— Już nie żyją! — stwierdził Pomieczynski spojrzawszy na zwłoki. — Nie ratować, jeno mścić tu trza się nam, wiara!

Nie trzeba było nikogo do tego zachęcać. Szczęk broni, krzyki, strzały, wypełniły obejście. Zaskoczeni Szwedzi ginęli pod wściekłymi razami partyzantów albo w (popłochu uciekali na oślep przed siebie. W tej chwili zsa węgła gorejącej checzy wyjechało kilku jeźdźców. Na czele sadił wąsaty szlachcic.

— Bartosz Sulicki — poznał go Kur. — Trzymajcie zdrajcę!

Ale on i jego towarzysze, widząc jak topnieje gromada Szwedów obstąpiona ciasno przez maszopów, zostawili konie objuczone łupem i z kopyta pomknęli do przeciwległego lasu.

Piotr Sulicki nie zauważył tego, bu pochylił się właśnie nad Czesławą.

— Gdzie Barbarka?

Szyprówna dyszała ciężko. Nie mogła odpowiedzieć.

— Gadaj, na Boga żywego — błagał podnosząc ją z murawy.

— W piecu się schowała — wycharczała wreszcie dziewczka. — Wraz z siostrami... W piecu chlebowym... Tam... Za jsadem...

— Jezus, Maryja! — złapał się za głowę spojrzawszy w tamtą stronę. — Tam się przecie pali] Dym idzie!

Pobiegł jak szalony ku piecowi, w którym zazwyczaj pieczono chleb i suszono len.

— Wody dajcie — krzyknął na całe gardło do Michała

i Zycha, bo wraz z dymem walącym przez otwór w piecu przypląnął ku niemu zdławiony jęk.

— Ratunku! — nie ustawało wołanie jakby spod ziemi. — Ratunku!

Zbiegli się rybacy. Spiesznie jęli wyrzucać z pieca płonący len. Brakło wiader i stągwi do noszenia wody, wszystkie bowiem naczynia zostały w płonących zabudowaniach. Przydźwigano więc od studni długie koryto do pojenia bydła i z niego szufłowano wodę w zadymioną głąb pieca. Piotr Sulicki patrzył na to jak skamieniały. Nie czuł, że pieką go dłonie, którymi wygarniał rozżarzone kłęby lnu. Zamieszanie rosło.

— Wody! — wołali Zych i Michał jeden przez drugiego.

Ludzie zwijali się jak w ukropie. Nosili wodę czapkami i hełmami.

— Ratunku, ratunku! — dochodziło wciąż głuche wołanie.

Udało się wreszcie zalać ogień. Z czeluści wyciągnięto zwłoki Anuszy i Helenjr, nieco później wydobyto jęczącą z bólu Zenobię.

— A Barbara? — jęknął Sulicki.

— Tam... W piecu — zai[^]rtusiła się dymem; widząc dwa zwęglone trupy, które chłopci oblewali wodą, jakby chcieli je przywrócić do życia, zemdląła z przerażenia.

Piotr bez namysłu wskoczył w piec. W furii wyrzucał gorący len, aż dotarł do 'tylnej ściany. Tam zobaczył Bar- barkę. Dziewczyna klęczała i pękiem lnu zatykała komin, przez co ogień nie miał ciągu, a dym wybijał otworem pieca. Dzięki temu i ona, i Zenobia, jako że najgłębiej zaszyły się w len — ocalały.

— Barbara — wycharczał, chwycił ją na ręce i wyniósł na dwór.

Tam w dalszym ciągu »panowało zamieszanie i lamenty.

— Gdzie reszta moich dzeusów? — krzyczał Jówa.

— Dwie leżą w lesie — odezwał się któryś z panów Rybińskich, podjeżdżając konno od strony boru. — Zabite.

— Moje córki — zawył olbrzym. — Nie daruję tego! Do «piekła wyślę szwedzkich uwodzarzy!

I pognał ku Pomorskiej Drodze.

W chwilę potem Piotr Sulicki, przekazawszy Barbarę, Czeszkę i Zenobię opiece znajdującego się na lekach Jakuba Długiego, wyjechał z kannym oddziałem. Wyprzedził szypra i wysłał Andrysa Kura wraz z braćmi Rybińskimi na zwiady, by się dowiedzieli, dokąd się nieprzyjaciel wycofuje. Daleko,

za oddziałem ipodażali piechotą chłopci z kosami, widłami, przeklinając przedawczyków:

— Bodaj ich lucyfer w smole smażył! Bodaj jutra nie dożyli!

Po krótkim czasie zwiadowcy wrócili z wieścią, że nieprzyjaciel, porzuciwszy po dradze resztę zdobyczy, schronił się za wałami krokowskiego zamku.

— Dopędzili my ich na gościńcu i gnali na ich karkach pad sam zamek — mówił rozwścieczony Andrys. — Było ich mendel, a zmykali przed nama trzema jak kusy purtk przed kropidłem.

— Uszli nam tym razem — trzaskali szablami dwaj Rybińscy. — Wždy do trzech razy sztuka.

Tu doścignął konnych Jówa idący z pieszą gromadą rybaków i chłopów.

— Wykurzimy zdrajcę z zamku — ryknął — pomścimy nasze dzieci!

—r Tego chyba nie dokażem — odezwał się pan Piotr. — Krokowo jeno fortelem dobyć można. Wszelako może uda się nam ich za wały wywabić. Naprzód!

Ruszyli. Wkrótce ukazał się ich oczom krokowski zamek. Ledwie jednak stanęli przed fosami, z wałów huknęły armaty i zmusiły wolontarzy do wycofania się za mury zboru, ściany folwarcznych zabudowań, potężne pnie buków i orzechów. Stamtąd palili z rusznic, skoro tylko kto pojawił isię w zamkowych oknach albo na basz

tach, ale rychło zrozumieli, że większej szkody nie uda im się obleganym wyrządzić.

— Toporami i widłami nie dobędziem tej warowni — powtarzał Sulicki.

Wszyscy w milczeniu przyznawali mu rację. Tylko brodaty osiłek nie mógł się z tym pogodzić.

— Wychodź ta, judasze, szwedzkie pachołki! — wołał ku zamkowej bramie, złożywszy dłonie przy ustach. — Wasz łój przyda się nam na skorźnie! Będziem w nich na stypie tańcować, jak was czarty za kudły do piekieł powleką.

Z zamku odjpowiadano na jego wymysły jedynie strzałami. Nikt nie pojawił się w (nie osłoniętym miejscu, nikt nie zamierzał wychylić się za bramę. Sulicki nakazał odwrót.

— Z białkami i (dziećmi umiecie wojować, purtkowi czeladnicy — grzmiał stołem z wściekłością i goryczą odchodząc od zamku. — Nie boicie jsię bezbronnych starców wieszać, wždy przed nami kryjecie :się jak tchórze. Kryjcie się! Kryjcie! Choćbyście się na dnie morza schowali, dostanę was prędzej czy później.

Odwrócił »się raz jeszcze ku warownej siedzibie krokowskich panów, którą osnuwał prochowy dym, i pogroził ogromną pięścią wałom, murom i basztom wyniosłym.

Wieczorem, o zachodzie słońca, u stóp Bożej Męki bielejącej pod czarną ścianą żarnowieckiego boru pogrzebano Kresztofa Czerwionkę, starego Miszka z Anuszą i Helenką, oraz obie córky Jówy.

Nie było przy tym pogrzebie księdza ani organisty. Nie było śpiewów żałobnych ni oracji. Ogromny szyper, rzuciwszy na mogiły garść ziemi, ryknął płaczem jak bóbr:

— Nie będziecie tu, córuchny moje, długo leżąc. Jak jeno Szwedów wygnamy, przewiozę was do Swarzewa na świętą plebańską gródź.

A potem wraz z Barbarą, Michałem, Zychem i Piotrem długo w noc klęczał nad grobami i modlił się gorliwie

o zbawienie dusz pomordowainych.

Następnego dnia odprowadziwszy obie ocalałe córki do Łupkowa nad Żarnowieckie Jezioro, gdzie kwaterowały jastarmckie białki z dziećmi i starcami, wrócił do wolontarzy. Około południa zaś ruszono z pogorzeli, kiedy nad

szwedzkimi trupami zaczynało kołować drapieżne ptactwo, pod Puck, w odwieczną Darżłuibską Puszcę. Kiedy tam rozbili obóz, Piotr Sulicki zdał komendę Pomieczyskiemu i zapytał narzeczoną:

— Masz ty, niebogo, jakichś jeszcze krom braci krewniaków, u których byś mogła bezpiecznie ten sztorm krwawy przeczekać?

— Mam ciotkę Martę w Kielnie.

— Kędy to?

— Za Wielkim Kackiem, w głębi lądu.

— Podjazdy z Pucka tam nie sięgną?

— Chyba nie.

— Tędy odwiozę cię do onego Kielna, a twej ciotce skarb mój najcenniejszy na przechowanie powierzę.

Pożegnał się z wolontarzami, siadł na zdobyczną kasztankę, posadził przed sobą na łęku swoją pannę.

— Szczęśliwej drogi! — wołali za nimi (partyzanci, kiedy ruszyli wąskim duktem na południe.

— Szczęśliwej^ drogi — powtarzały leśne echa.

Jechali w cieniu wysokich, szumiących drzew. .

— Piotrze — odezwała się wreszcie dziewczyna.

— Co, miła?

— Obiecay mi...

— Cóż takiego?

— Że jak pochwycisz Bartłomieja albo Henryka, nie pokalasz rąk braterską krwią, darujesz ich zdrowiem, puścisz wolno...

— Toć Bartosz żywcem spalił twoje siostry i...

— I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom... — dokończyła. — Zali nie tak jest w pacierzu, którego cię pani macierz uczyła?

Sulicki uderzył ostrogami klacz, która rzucała łbem opędzając się 'przed muchami dokuczającymi jej mimo jesieni. Długi czas znów kłusowali w milczeniu, a z gałęzi padały na ich głowy złote i czerwone liście. Dopiero gdy kłus przeszedł w stępa, Piotr powiedział:

— Nie żal ci to ojca i sióstr, że się za zdrajcami wstawiasz?

— To bracia twoi — odparła.

— W Zielone Świątki wyparli się mnie, a teraz jam się ich wyparł po wsze czasy. Niech szczezną, przedaw- czyki! Niech pamięć o nich zaginie!

— Może przecie uznają swą winę i nawrócą ze złej drogi.

—■ I jam tak zrazu mniemał, serce moje. Wždy dziś wiem, że nie ja, jeno Jówa miał rację powiadając, iż zdrajca za wždy zdrajcą ostanie.

— Jeśli naprawdę mnie miłujesz, to...

Przygarnął ją mocniej do siebie. Owionęło go ciepło jej młodego ciała. Poczuł, że nie (potrafi niczego odmówić swej wybrance, ale słowo przebaczenia dla tych, którzy ją niemal o śmierć przyprawili, nie chciało mu przejść przez gardło.

— No — nalegała — przyrzeknij, iż nie będziesz się mścił.

— Mówim o niedźwiedziej skórze, a niedźwiedź jeszcze w lesie — odparł wymijająco.

Krótko przed zmierzchem wjechali do Kielna. Przed chatą krewniaczki Domieników zsiadli z klaczy. Ciotka Marta, usłyszawszy tętent, wybiegła na próg i serdecznie uściskała siostrzenicę.

— U nas Sziwedów nie ma — rzekła, gdy wysłuchiwała jej smutnej opowieści. — Będzie ci bezpiecznie jak u Pana Boga za piecem.

Zapraszała też Piotra, by przenocował w jej checzy, ale Sulickiemu spieszyło się do partii i zaraz po wieczery zaczął się żegnać.

— Już odjeżdżasz — szepnęła Barbara odprowadzając go na drogę. — Ostawiasz mnie sierotę.

— Nie będziesz sierptą — obiecał i ucałował ją gorąco. — Niech jeno wojna minie, a zaraz damy na zapowiedzi.

Skinął jej z siodła czapkę i odjechał.

— Bywaj zdrowa! — krzyknął z daleka, wjeżdżając w ciemny las.

— Wracaj rychło i zdrowo! — odkrzyknęła tłumiąc szloch i czyniąc w powietrzu znak krzyża.

Nasłuchiwała jeszcze przez jakiś czas oddalającego się tętentu końskich kopyt, a kiedy wszystko ucichło w mrocznej głuszy boru, zasłoniła oczy rękami i łyzy wielkie jak groch zaczęły ciec jej przez palce.

Niedługo nabawiła Barbarka w gościnnej checzy ciotki, wszystko bowiem potoczyło się inaczej niż przewidywano.

* Po odjeździe pana Piotra opłakiwała ojca, siostry, ja- stamickie szyprówny i wesołego Kresztofa z Chlapowa, aż za ścianą ozwały się (pierwsze głosy kurów. Nie wiedziała teraz dobrze, czy (przez małe szybki okna sączy się do izby światło księżyca, czy też już świta, gdy wreszcie zapadły jej ciężkie «powieki.

Kiedy ją ciotka Marta przebudziła, był już jasny dzień. Odmówiła poranne modlitwy, umyła się, ubrała i wyszła na dwór. Lekki wiatr niósł z pól przędzę Matki Boskiej

i oplatał nią w sadzie drzewa, a słońce słało z nieba jaskrawy, ale już chłodny blask jesieni.

— Babie lato — pomyślała siadając na przyzbie. — Niedługo nadejdą słoty, potem mrozy i śniegi, a mój Piotr i bracia będą się tulać po lasach bez dachu nad głową.

Ogarnęły ją złe wspomnienia. Ukryła twarz w dłoniach. Przed jej oczami jawiły się krwawe łuny. Widziała wąsatą gębę Bartosza Sulickiego, który kazał powiesić jej ojca i starego Czerwionkę na buku przy studni, i srogie twarze rajtarów, co na jego rozkaz podpalili len w chlebowym piecu.

— Boże, odpuść mu — szepnęła i nagle wydało jej się, że znów słyszy dalekie krzyki i lamenty.

Podniosła głowę, ale hałasy nie ustały.

— Co to może być — myślała zaniepokojona. Weszła do ęhaty.

Staruszka krzątała się przygotowując śniadanie.

— Szwedów nie ma w okolicy — jęła uspokajać siostrzenicę i umilkła, bo naraz w izbie zrobiło się szarawo.

Barbara obejrzała się ku oknu. Szybki wypadły z brzękiem. Przez dziurę wsunął się najpierw

kapelusz z przygiętym piórem, a potem gęba chudego Szweda, kołnierz popatrzył w głąb izby i zarechotał, aż mu się żółta kozia broda zatrzęsała jak purtk do złej duszy.

— Poczekaj, zaraz cię, ptaszku, wsadzę do klatki!

— Sen to czy jawa? — przebiegło »przez myśl Domienikównie.

Nie chciała uwierzyć oczom. Półprzytomna z lęku cofała się krok za krokiem ku przeciwległej ścianie, blednąc z każdą chwilą i, tak jak ją przeorysza Barbara w żarnowieckim uczyła klasztorze, usiłowała odegnać szatańskie widmo niezrozumiałym zaklęciem:

— Apage, satanas!

— Chodź tu, Willisen! — krzyknął tymczasem rajtar, wycofując głowę. — Tu jest specjał, jakiego jeszcze nie widział na tej ziemi, chociaż ją (przeszedłeś od końca do końca.

Zadudniły czyjeś kroki.

— Boże, ratuj! — wrzasnęła ciotka Marta, bo drugi Szwed wsunął właśnie łeb porośnięty rzadką szczeciną koloru miedzi.

— Ta ślicznotka się nam przyda — rzekł do szczerbatego. — Sprezentuję ją kapitanowi Knutsenowi. Ucieszy się z tego daru. Umili sobie nim dni i noce długich rejsów.

— Skryj się — jęknęła staruszka. — Chcą cię porwać, te purtki!

Domienikówna rozbieganymi oczyma szukała kryjówki. Rzuciła się wreszcie ku drzwiom i wpadła prosto na rudowłosego wachmistrza o twarzy zeszpeconej piegami i rzadkim zarostem.

— ■ Nie wrywaj się, ptaszku! — zawołał. — Będzie ci u nas dobrze. Poznasz rychło, jacy to ze Szwedów mili i grzeczni kawalerowie.

— Matko Boska, ratuj mnie! — krzyczała dziewczyna, szarpiąc się w łapach napastnika niczym sarenka w pułapce.

Ten jednak trzymał ją jak w kleszczach, aż nadbiegli jego podkomendni. Chwycili Kaszubkę za ręce i nogi, wynieśli na drogę zatłoczoną stadami beczących owiec i szeregiem ładownych wozów, rzucili ją na jedną z fur, związali postronkami, potem zakryli ją końskimi skórami, a długowłosey rudzielec Willisen zatarł ręce:

— Jest (płochliwa i nie oswojona, ale stanie się potulna, jak ją ukołyszą morskie fale.

Usłyszała jeszcze rozpaczliwe błaganie ciotki Marty,

śmiech rajtarów odpędzających “starą czarownicę”, szloch jakichś kobiet i dzieci, a wreszcie trzaskanie z biczów.

Wozy ruszyły. Beczenie owiec i żałosny ryk bydła zagłuszyły płacz niewieści. Koła skrzypiały jękliwie, uginając się {pod ciężarem łupów i jakby skarżąc się na bezlitosnych grabieżców. Długo trwała ta dziwaczna muzyka.

Barbara, która z początku szarpała się i rzucała jak szczupak w sieci, poddała się woli bożej i zaczęła szukać pociechy w modlitwie. Przerywały ją jednak co chwila przekleństwa Szwedów. Świstały w ipowietrzu bicze.

— Boże, zmiłuj się — jęczeli poganiacze owiec i bydła.

Szwedzi smagali ich bez ustanku, by jak najprędzej dotrzeć z grabieżą za puckie bramy. Pochód zmieniał się w krzyżow^Tą drogę.

— Ale od wszelakich złych przygód racz nas zawsze zachować — szeptała Miszkówna.

Dusiły ją więzy. Znow więc próbowała się z nich uwolnić.

— Rzuca się, złota rybka — zażartował jakiś rajtar, przejeżdżający obok wozu. — Nie żal to panu wachmistrzowi dla kapitana taką wieź, miast samemu się nią nacieszyć?

Willisen mruczał gniewnie:

— Pewnie, żebym wolał, ale Knutsen obiecał mi za gładką Polkę dobrą zapłatę.

— Żeby was tylko nie oszukał, bo sfcnera zeń wielki.

— Panno święta — błagała w duchu Barbara — daj mi raczej grób na dnie morza niżli hańbę i niewolę.

Kiedy po długiej jeździe nareszcie stanęli, usłyszała szum fal przebijający przez trwoźny ibek owiec. Niebawem jacyś ludzie zdjęli ją z wozu i zawiniętą w skóry kędyś ponieśli. Po kilku krokach znów ją {położono, tym razem na wilgotnych deskach. Szumiało jej w uszach, świat cały zdawał się kołysać. Wtem zapluskaly wiosła. Pojęła, że jest w łodzi. Ledwie wszakże zdała {sobie z tego sprawę, a już znowu podniesiono ją i przy akompaniamencie klątw powleczono w górę. Trzasnęły drzwi.

— Zaraz się, kapitanie Knutsen, przekonacie, com przywiózł — zaskrzeczał głos rudego. — Chyba taka jedna jest tylko pod słońcem.

Złożono ją na podłodze, rozwinięto końskie skóry i rozcięto postronki. Dziewczyna ciężko odetchnęła, podniosła powieki. Nad nią kołysała się okrętowa latarnia i pochylało dwóch ludzi: rudy Willisen oraz wysoki oficer w kapeluszu ze strusimi piórami.

Pod szerokim rondem bielala wygolona twarz, zakończona zgrabną bródką. Rosłe cielsko opinał kolet, nieco snaidź na olbrzyma za krótki, 'bo sięgający mu zaledwie do pół uda. Spod tego kaftana, ozdobionego dużym koronkowym kołnierzem, widać było pluderki ściśnięte na kościstych kolanach kosztownymi podwiązkami. Stroju dopełniały brązowe pończochy i czerwone trzewiki. Ale pomimo

wymyślnego ubioru dziewczynie wydał się podobny do bociana brodzącego po mokradle.

— A co? Nie syrena? — tryumfował Willisen. — Czysta bałtycka syrena!

Kapitan pochylił się, aby z bliska popatrzeć na jej twarz. Barbara zerwała się i uskoczyła pod ścianę kajuty.

— Piękna dziewczka — rzekł — ale nie oswojona. Nie prędko nauczy się jeść z ręki.

— Grunt że urodziwa — odrzekł piegowaty. — Jak podniesieni kotwice i korab płasnąć pocnie, sama się wam położy na koi i za szyję was obłapię.

Dziewczyna rzuciła się ku drzwiom, lecz Knutsen zastąpił jej natychmiast drogę i jakby na szyderstwo skłonił się strojnym kapeluszem.

— Widzę, że mój towar przypadł do smaku — uśmiechał się wachmistrz.

— Nie przeczę!

— Tedy o zapłatę nie będziem się chyba targować?

— Uskarżać się na mnie nie będziesz miał przyczyny. Com obiecał, wyliczę ci na rękę gotowizną, a jeszcze talara albo dwa dołożę, jeśli się okaże, żeś mi we wszystkim dogodził.

— Do czarta! — zaklął Willisen, gładząc swój rudy zarost. — Warta jest ona większej ceny. Młoda, gładka jako róża. Będziecie z niej mieli długi pożytek.

— Długo bawić ©ię nią nie zamierzam — mruknął Knutsen. — Nie lubię przestarzałego inwentarza] Jak mi się inna natrafi, oddam ci tę dziewczkę. I to darmo! Zgoda?

Rudy wyszczerzył zęby uśmiechając się z zadowoleniem.

— Niech i ja tego specjału skosztuję, a kiedy mi za

cznie oczy parzyć niby morska meduza, wyprowadzę ją do lasu na ucztę wilkom.

— Rad bym i ja go skosztować choćby zaraz, wszelako muszę na zamek. Jego wielmożność admirał na ucztę mnie zaprosił.

Wyszli z kabiny. Knutsen przekręcił klucz w zamku. Barbarka, która zaraz po ich wyjściu podbiegła do okna kajuty, widziała, jak zeszli po “drabinie Jakuba” do szalupy. Siedzący w niej marynarz odbił od (burty i jął wiosłować ku brzegowi.

W pierwszej chwili ucieszyła się, że odpływają, ale zaraz przypomniawszy sobie izgrzytliwy skrzytp klucza w drzwiach, poczuła, że jest w niewoli, a gdy spojrzała na rozgrzebaną koję kapitańską, wybuchła głośnym płaczem. Jej lamentsy przerwało dopiero przeciągłe beczenie owiec. Podeszła znów do okienka. Spostrzegła, że marynarz, wiozący w szalupie Knutsena i piegowatego

wachmistrza, dobija już do brzegu, w stronę okrętu zaś zbliża się płaski załadowany prom pchany drążkami przez kilku tęgich chłopów.

— Pewnie te niebożątka za morze wywiozą — uzaliła się doli jagniąt, patrząc jak «marynarze wciągają jedno po drugim na statek.

W dali, za pasem wody widniała przysadzista fara, Brama Korabia i pucky zamek. Przez postrzępione chmury przebijały jasne smugi ukrytego słońca i padały na wyniosły brzeg Swarzewskiej Kępy, na której wciąż jeszcze królował drewniany kościół Pani Polskiego Morza, dziś na równi ze swymi poddanymi ukrywającej się w lesie przed najeżdźcą.

Uwięziona padła na kolaina i jęła odmawiać loretańską litanię:

— Panno łaskawa, módl się za nami...

Zapadał powoli zmierzch, kiedy do jej uszu doszedł znów beczący głos owiec. Zerwała się z klęczek, przycisnęła twarz do małego okienka. W zmroku sunęła ku okrętowi tratwa pełna czarnych owiec. Rybacy, pchający pod wiatr ciężką płytę, co chwila ocierali z czoł krople potu.

— Wróg zmusił ich do roboty nad siły — pomyślała. — Ale oni załadują statek i będą wolni, a mnie ten “bocian” stąd nie wypuści, aż...

Rozpłakała się w głos na myśl o tym, co ją czeka.

— Gorzej mi niżli tym zwierzątkom — szlochała skarżąc tsię niebu na swój los. — Im wszystko jedno czy będą zreć {paszę w ‘naszym kraju, czy za morzem. A ja? Żeby choć Piotr się dowiedział, kędym jest. Może pomyślałby

o mym ratowaniu. Przecie, jak powiadał, pospołu z tym szyprem Jówą zdobył już jedną szwedzką nawę...

Tu wpadła na pomysł, by poprosić rybaków na promie

o powiadomienie jej narzeczonego, że Szwedy więżą ją

i chcą do Szwecji uwieźć. Zastanawiała się właśnie, jak to uczynić, bo okno się nie otwierało, a bała się wybić szybę, kiedy niespodziewanie zaskrzypiał klucz w drzwiach.

Do kabiny wszedł młody koksmat. Postawił na stole miskę z jedzeniem, skrzesał ognia, izapalił świecę w cynowym lichtarzu, od niechcienia spojrzął na Kaszubkę i osłupiał. Stał przez chwilę i gapił isię jak wół na malowane wrota. W żaden sposób nie mógł od niej wzroku oderwać. Opanował się jednak, wskazał ręką miskę z pachnącą grochówką i nie powiedziawszy jednego słówka opuścił kapitańską kehite.

— A imoże bym go poprosiła, jak przyjdzie po miskę, by mnie wypuścił na pokład? — przyszło jej do głowy. — Wtedy mogłabym szepnąć rybakom kilka słów.

Świeca kociła. Objaśniła jej iknot i spojrzała na grochówkę. Choć nie miała tego dnia jeszcze nic w ustach, nie czuła głodu.

— Muszę jednak coś zjeść — zdecydowała i siadła do stołu.

Po pierwszych łykach smacznej stawy poczuła się lepiej. Wzrosła w niej nadzieja, że zdoła przesłać ukochanemu wieść o uwięzieniu i prośbę o ratunek. Jadła więc dalej. Gdy <w misce zaświeciło dno, uchyliły się ponownie drzwi. Do kabiny wszedł ten sam jasnowłosy Szwed, który - był tu poprzednio. Barbara spojrzała nań błagalnie. Zbliżyła się do progu i poprosiła:

— Mich raus.

Tyle umiała powiedzieć. Resztę starała się wyrazić gestami rąk.

Koksmat widocznie zrozumiał, o co chodzi, bo popatrzał na nią ze współczuciem, ale pokręcił głową na znak, że z tego nic nie będzie. Pokazywał też palcem zamek w drzwiach, a potem dotykał gardła i podnosił rękę w górę. Tłumaczył Barbarze w ten sposób, że kapitan

zakazał mu ją wypuścić na pokład, i że by go za to powiesił na rei.

Zaczęła płakać, składała ręce jak do modlitwy, prosząc, by jej pozwolił choć głowę wytknąć przez drzwi. Nic -nie pomogło. Marynarz znów pokręcił głową, szybko chwycił miskę i zatrzaskał drzwi. Zazgrzytał klucz, ucichły odgłosy kroków.

— Dla płaczącej nie ma litości — pomyślała. — Muszę innego chwycić się środka. Może uśmiechem prędzej go skaptuję niż łzami.

Zgasiała świecę. Przywarła twarzą do chłodnej szyby i wyjrzała na zewnątrz.

Rozjaśniło się nieco. Wiatr przepędził chmury. Z nieba zamrugały srebrne oczy gwiazd, a z zatoki wynurzyła się różowa tarcza księżyca. Daremnie wypatrywała sylwetek puckiej fary i zamku. Zauważyła natomiast, że znów nadpływa prom. Jęła oburącz szarpać okienko. Chciała je otworzyć za wszelką cenę, ale, na nic zdały się jej wysiłki. Tymczasem prom wyładował żywy towar i zawrócił do brzegu. Nie udało się brance zaalarmować rybaków* Wyczerpana osunęła się na ławę.

Księżyc się wzbijał 'powoli w górę, srebrna długa smuga odbijała się w toni Małego Morza i ciekawie zaglądała do kajuty zamienionej w celę więzienną.

— Broń minie, aniele stróżu, od wszystkiego złego... — szepnęła ostatkiem świadomości i skleiły się jej powieki.

Zapadła w głęboki, kamienmy sen.

Zbudziły ją pierwsze brzaski dnia, wpadające przez okna do ciemnawej kajuty. Wstała z ławy. Podeszła do wiszącego na ścianie zwierciadła i na nowo splotła potargane warkocze. Kończyła już, »kiedy na progu zjawił się znajomy koksmat z chlebem i miską rybiej zupy.

Odwróciła się od lustra. Wzrok jej spotkał się z jasnymi oczami Szweda. Pokazała w uśmiechu białe ząbki

— Dziękuję za śniadanie — powiedziała słodko po polsku i dygnęła dwornie, jak uczono ją w klasztorze.

Marynarz do reszty stracił głowę. Poczerwieniał jak burak i wyrzał przez okno w kierunku lądu, czy kapitan nie wraca, ale ujrzał jedynie znów podpływający prom z owcami. Zbliżył się więc do branki, wyciągnął rękę*

Tak mu się jednak zgrabnie wywinęła, że nie zdołał jej dotknąć. Zawód osłodziła mu bez zwłoki nowym uśmiechem.

— Wypuść mnie na moment, a nie zapomnę ci tego do grobu. Chcę jeno dwa słowa rzec moim znajomkom — mówiła wskazując prom. — Tylko dwa słowa.

Pokazała mu dwa palce i dotknęła nimi warg.

Uczciwą twarz marynarza zasepił smutek. Rozłożył bezradnie ręce.

Barbara nie dała za wygraną i wciąż patrzyła z uśmiechem prosto w jasne oczy koksmana. Zwiesił głowę.

— Wyjdę tylko na chwileczkę — szeptała gestykulując z ożywieniem branka. — Zaraz tu wrócę. Nikt z waszych ludzi nie spostrzeże, żeś iminie wypuścił. Proszę cię, zaklinam na wszystko, co ci święte!

Marynarzowi zakręciły się łzy w oczach.

— Nie mogę, inie mogę — powtarzał Szwed. — Mam w domu matkę i dwie siostry. Rozumiesz: matkę i siostry... dwie —■ starał się wytłumaczyć jej na migi, gadając jednocześnie pół po szwedzku, i pół po niemiecku. — Żeby nie to, chętnie bym zginął «dla ciebie, aniele. Ale tak Bóg widzi, że nie mogę. — I nie chcąc dłużej słuchać daremnych próśb uwięzionej wyszedł czym (prędzej z kabiny.

Zasmuciła się Domienikówna niepowodzeniem, lecz przecież w sercu jej zaiskrzyła się odrobina pociechy, że znalazła w bliskości, i to nawet wśród nieprzyjaciół, kogoś, kto jej współczuje.

— Nie wiadomo, na co się jeszcze mi może przydać ta znajomość — pocieszyła się stając przy oknie. — Poznałam, że mi sprzyja i że rad by mi dopomógł, gdyby się stryczka nie lękał. Tym razem nic nie wyszło, ale kto wie czy następnym nie zdołam go ubłagać.

Stała długo patrząc na morze. Białe mewy nisko krążyły nad wodą łapczywie szukając żeru. Rybacy nie tylko na ich okręt, ale i na inne statki stojące w pobliżu na kotwicach, dowozili owce, barany, krowy.

— Ci złodzieje grabią wszystko, co im pod rękę podejdzie — oburzyła się w duchu.

Potem znów zaczęła rozmyślać o swym położeniu i wpadła na myśl, że to co nie powiodło się z koksmatem, może się udać z kapitanem.

— Mile go powitam — planowała. — Będę tłumaczyć,, że chcę odetchnąć świeżym powietrzem, a może poruszę

jego skamieniałe serce jak rzeczna woda ciężki kamień młyński. Może pozwoli mi wyjść na pokład mim korab odpłynie z puckiej redy.

Kajpitam wrócił dopiero przed wieczorem. Kiedy niebo -pokryło się chmurami, a na szybach pojawiły się drobne krople deszczu, zauważyła, że od brzegu zbliża się łódź w której siedzi pstro odziany "bocian". Kiedy wiosłujący marynarz przybił do burty, kapitan wspiał się ma pokład i od razu ryknął na marynarzy:

— Zamykać luk! Wychodzimy w imorze!

W tej chwili podpłynął jeszcze jeden prom z owcami.

— Do diabła! — zaklął Knutsen. — Prędeej! prędeej! Kończcie załadunek!

Z ponurą twarzą zjawił się w kehicie, że zaś branka ma jego widok uśmiechnęła się jak najuprzejmiej, stanął niby kamienny posąg, wybałuszając szkliste ze zdziwienia oczy.

— Wczoraj uciekając przede mną, w ogień by skoczyła, a dziś wita mnie niczym Wenera Adonisa. Skąd ta nagła odmiana? — głowił się, szukał rozwiązania zagadki. — Może to obecność Willisena tak ją mierzyła? Po prawdzie szpetny to człek i nie mierzyć mu się ze mną. Trza przyznać, iż matka natura pod żadnym nie postponowała mnie względem. Nie dziwota, zem tej dziewczce do gustu przypadł.

Spojrzał w lustro, wygładził ma ramionach biały kołnierz, poprawił koronkowe mankiety i butny jak paw stąpił do dziewczyny. Pogłaskał jej grube warkocze, uszczypnął ją w policzek.

— Szkoda, ślicznotko, że muszę iść na pokład — powiedział uśmiechając się do niej. — Późno już, a przed nocą trzeba na Bałtyk wyjść. Wszelako skoro jeno wyprowadzę statki między zdradliwymi mieliznami na pełne morze, wrócę do ciebie i już do samego ranka asystować ci będę.

Skłonił się jej, kapeluszem zamiatając podłogę i narzuciwszy opończę ruszył ku drzwiom. W progu raz się jeszcze obejrzał i uśmiechnął spostrzegłszy, że świdruje go nadal pięknymi oczkami. Zamknął za sobą drzwi, ale albo zapomniał, albo też nie chciał Barbary zamykać. Snadź nabrał do niej całkowitego zaufania.

— Poczekaj, goliacie — szepnęła. — Będiesz, będziesz ty się miał z pyszna.

Po chwili ostrożnie otworzyła 'drzwi. Wyjrzała na pokład. Okręt z wydętymi żaglami ^przebył już spory kawał. Kierował się ku pasmu helskich wysp. Obok sunęło kilka innych statków, również rozwinąwszy żagle. Promu nigdzie już nie było widać. Nadzieja ucieczki lub innego ratunku znikła.

— Wszystko przypadło — jęknęła i zawróciła do kasztelu.

Czuła się, jakby ją skazano na śmierć. Serce waliło jej jak młot. Niepokoiło ją każde stuknięcie i skrzypnięcie. Zapadł już zupełny mrok, kiedy postanowiła raz jeszcze wyrzeć na ipokład. Padał gęsty deszcz i ciemno było jak w miechu. Ciemność zatarła liny wantów, maszty, reje, schodnie, galeryjki na kasztelach.

— Mogłabym się ukryć w jakim kącie, żeby jeno tak nie lało — /pomyślała i zaraz sobie (przypomniała, że w kajucie wisi na haku stary, skórzany kolet kapitana.

Błyskawicznie odnalazła go w narożniku opodał zwierciadła.

— W tym okryciu mogę kpić z ulewy — szepnęła, wymykając się z ciężkim koletem pod pachą na pokład.

Rękami macała reling, aby nie wypaść za burtę. Nagle natrafiła na linę wanty biegnącą w górę jna maszt do bocianiego gniazda.

— Gdybym na nią się wspięła — błysnęła jej nagle myśl — inikt by mnie w tej gęstej ciemności tam u góry nie zobaczył, bo też i komu przys złoby do głowy szukać dziewczyny na wantach? Mogą przepeinetrować całą nawę, a mnie nie znajdą.

Przewycięzając lejki zaczęła się wspinać coraz wyżej. Nagle ciężki kolet wymknął się jej spod pachy i poleciał w dół. Spadł widocznie za burtę, bo woda głośno plusnęła.

— Człowiek za burtą! — krzyknął kapitan sterczący mimo niepogody na kasztelu. — W prawo ster! — r wydał natychmiast rozkaz sternikom. — Wykręcamy do wiatru!

Okrętnicy wybiegli na pokład. Przynieśli płonące latarnie. Wychylali się za reling. Przyświecając sobie patrzyli na -wodę pełną świetlistych krążków wzbudzonych przez ciężkie krople deszczu.

— Kto utonął? — dopytywali jeden drugiego.

— Wszyscy są! — zakrzyknął logsmat po przeliczeniu załogi.

— Jest tam kto? — huknął kapitan w górę, w kierunku 'bocianiego gniazda.

— Jest — odezwał się wachtowy tuż nad głową Barbary.

Przeleżała się Miszkówna. Zrozumiała, że jej kryjówka

wcale nie jest bezpieczna, jak się jej to poprzednio zdawało.

— Jezusie miłosierny — wyszeptała. — Tamten wracając z góry wpadnie na mnie i dostanę się znów w łapy kapitana.

— Kto to mógł być — zastanawiał się w dole Knut- sen. — wyraźnie słyszałem plusk, jakby

człowiek wpadł do wody.

Tu przypomniała mu się piękna branka. Zbiegł z kasztelu i wpadł do kabiny.

' — Światła dawajcie! — rozkazał. —r Do stu tysięcy diabłów! — zaklął, gdy przyniesiono latarnię. — Nie ma jej tu! Nigdzie nie ma!

Zajrzał .pod koję, pod stół, przepenetrował wszystkie kąty i wrócił na pokład rycząc jak biały niedźwiedź przed nadejściem nocy polarnej:

— Kto z was, łotry, wypuścił tę dziewczkę?! Zaraz poślę go na reję! Plemię szatańskie! Bóg mnie pokarał tą załogą!

— Nikt jej nie wypuszczał — odezwał się koksmat. — Jak nosiłem jej wieczerzę, siedziała uśmiechnięta :na koi. Chyba jegomość kapitan sam zabaczył zawrzcć drzwi. Inaczej nie może być.

— O przekłeta, zdradziecka Polka! — miotał się Szwed. — Wywiodła mnie w pole. Wolałbym tę nawę niż ją utracić. Na co czekacie gamonie? Szukajcie jej! Może gdzieś tu na pokładzie się skryła?

— Po co szukać — mruknął flegmatycznie logsmat — skoro skoczyła za burtę.

— Kto tu rozkazuje? — pienił się kapitan tupiąc nogami.

Marynarze świecąc latarniami zaglądali do wszystkich kątów, szukali branki nawet w ładowni między owcami. Ale ani śladu jej nie znaleźli.

— Zostaw luk otwarty — rzekł logsmat do okrętowego chłopca, kiedy ten wynurzył się z ładowni. — Taki tam zaduch, że się owce mogą podusić.

— Niech to diaibli — przeklinał kapitan powróciwszy na kasztel, by naprowadzić statek na prawidłowy kurs.

Deszcz wciąż padał. Lekki pochłust fal o burtę wtórował pluskowi deszczu. Barbara trzymała się oburącz szorstkich, mokrych lin w bezmiernej, wilgotnej ciemności. Pokład opustoszał. Marynarze zaszyli się w kubryku. Czuwali jeno wachtowi, Knutsen i sternicy.

— Jesteś taan?... — wołał co chwila z dołu kapitan, sprawdzając czy okrętnik na maszcie nie zasnął.

A z góry, z bocianiego gniazda, pod którym dygotała przemoczona uciekiniarka, padała nieodmiennie przeciągła odpowiedź wartownika:

— Jest! Jeeest...

\ apitain Knutsen nie miał szczęścia w tym rejsie. Nie tylko bowiem postradał dziewczynę, której straty nie mógł przeboleć, ale w dodatku jego statki ugrzęzły jak wozy w błocie. Lekki podmuch, który wyprowadził je wieczorem aż za Rozewską Głowę, ustał jakby rozplukany upartą słotą, a ciemności egipskie trwały, choć już dawno powinien wzejść księżyc.

Szwed co chwila wyteżał wzrok ku szarzącym żaglom. Mógł dojrzeć zaledwie dolne ich części. Zwisały martwo. Wielkie krople deszczu ściekały po nich na pokład.

— Nie ma rady! — mruknął i zdawszy służbę szturmanowi położył się do swojej koi.

Ale nie mógł zmrużyć oka. Wciąż się mu przypominała piękna branka, która znikła jak zaczarowana. Przewracał się z boku na bok, aż na koniec wstał i wytknął głowę na dwór.

Deszcz nadal lał jak z cebra. Zamierzał narzucić stary łośiowy kolet i w nim wyjść na pokład, ale jak na złość nie mógł go po omacku znaleźć.

— Do stu »diabłów — przeklinał krzesząc ogień i zapalając świece. — Czyżby ta polska panna skradła go i w nim skoczyła za burtę?

Przypomniał sobie, że przed laty wróżyła mu w Sztokholmie pewna wróżka, iż z przyczyny starego kaftana

119

!

I

l

i

zgubi najcenniejszy swój klejnot. Strzegł się więc i nigdy nie wkładał do kieszeni jkoletu jakichkolwiek wartościowych przedmiotów. Nosił go zresztą tylko na pokładzie. A mimo to wróżba się spełniła co do joty.

— Miałem uriańską perłę i przepadła, nim nasyciłem źrenice jej blaskiem — wściekał się, naciągając odświętny przydziewek i wychodząc z kajuty na śródokręcie. — Co mnie za pech prześladowuje w tej podróży! A tyłem sobie po niej zysku i przyjemności obiecywał.

Okręt kołysał się lekko, choć wiatru nie było ani na lekarstwo. Barbara stercząca w drewniakach na wantach, dojrzała smugę, która błysnęła z uchylonych drzwi kasztelu.

— Co to będzie, jak mnie ten czart tu złapie? — przeraziła się, czując, że kostnieją jej dłonie i stopy. — Skoro jeno ta słota ustanie i zza chmur zaświeci księżyc, zaraz mnie tu spostrzegą. Chyba że do tego czasu ręce mi omdleją i runę na pokład lub w morze.

Słabła. Zaczynała ją męczyć morska choroba, jako że toczące się po morzu martwe fale uderzały o burty, ■a wierzchołki masztów chwiały się mocniej niż pokład.

— Co to będzie, jak wiatr nadejdzie? — uświadomiła sobie z trwogą. — Zginę tu tak czy owak. Może raczej zejdem i się ukryję gdzieś w dole?

Powoli, z trudem zaczęła schodzić po linowej drabinie. Długo trwało, nim 'Stanęła na pokładzie. Zdjęła drewniaki i po omacku doszła do grotmasztu. Tam znalazła zwój lin, ale nie dość duży, by można się było za nim ukryć. Wtem zaskrzypiały drzwi kubryka. Do jej uszu doszły odgłosy zbliżających się kroków.

— Boże, ratuj — wyszeptała.

Jednocześnie niemal usłyszała skrzypienie want, z których zeszła przed chwilą.

— Najwyższy był czas — pomyślała — boć oto zmieniają wachtę. Już by mnie mieli.

Radość ta była jednak krótka, gdyż deszcz i ziąb coraz silniej jej doskwierały, a noc zdawała się wiecznością.

— Żeby to Piotr wiedział, kędy mnie szukać — powtarzała sobie w duchu — już by tu był z jastamicką maszoperią. Podpłynęliby łodziami, boć się przecie ten okręt zbyt od brzegu nie oddalił, i wyzwoliliby mnie z tej srogiej niewoli.

Skuliła się zziębnięta, gdy w ładowni załośnie zabeczały owce i jagnięta. To naprowadziło ją na nową myśl:

— Lepiej im niżli mnie, bo pod pokładem sucho. Może tam pośród nich warto poszukać schronienia?

Uklękła i na czworakach, kierując się według pobekiwania trzody, podpełzła pod otwarty luk. Pochyliła się, wyciągnęła ramię, dotknęła palcami pierwszego stopnia spadzistej schodni. Zstępując w dół, podniosła głowę. Deszcz ustawał, niebo zaś tak pojaśniało, że można było rozróżnić wanty, maszty i żagle bezwładnie zwisające z belek rejowych.

— Jeno patrzeć, a wzejdzie miesiąc — pomyślała. — W ostatnim momencie znalazłam tę mową kryjówkę.

Stanąwszy na dnie rozepchnęła leżące tu owce, skopy i jagnięta. Zamierzała ukryć się w głębi ładowni, lecz nie sposób było się tam przepchać. Ułożyła się więc wśród ciepłego wełnistej stada i zasnęła jak na królewskim pościeli.

Kiedy się przebudziła, przez nie domknięty luk sączyło się do ładowni księżycowe światło. Na morzu musiał wciąż panować sztyl, bo korab leżał spokojnie, jedynie fale z lekkim pluskiem uderzały o burty.

— Dobrze mi — przeciągnęła się Barbarka, czując miłe ciepło owczych oddechów. — Cóż jednak będzie — zastanawiała się — jeśli przyjdą tu okrętnicy?... A przyjdą na pewno. Ktoś przecie musi karmić trzodę... Czy długo się tu uchowam?

Nadchodzący świt wzbudził w niej jednak pogodniejsze myśli:

— Może uda mi się wyjść niepostrzeżenie na ląd, jak statek dobije do szwedzkiego iportu.

Poczekam, aż kapitan do miasta ruszy i wymknę się na ląd. Bałtyk nie jest przecie bez kresu. Można go obejść. I tak z bożą pomocą uczynię. Choćbym miała pięć років wędrować, wrócę na nasz brzeg do mego miłego.

Dzień wstawał chmurny, bezwietrzny. Cisza morska trzymała nawę w dalszym ciągu na uwięzi, a żaglami nie poruszał najmniejszy powiew.

— Przy takim sztylu — zatroskała się znów branka — żegluga może trwać parę niedziel i pomrę tu z głodu* nim do lądu dobijem.

Wtem odsunięto pokrywę'luku i w otworze zaczerniał jakiś cień. Kaszubka wcisnęła się głębiej między owce. Wstrzymała oddech, bojąc się, by jej nie zauważono. Skrzypiały stopnie. Przybysz zszedł po schodni do ładow- ni, jał przepychać się między beczącymi zwierzętami.

— Kto tam? — zapytał w pewnej chwili półgłosem.

Struchlała, bo podszedł do niej, pochylił się nisko. Z bijącym sercem podniosła głowę. Odetchnęła z ulgą poznawszy młodego koksmata.

— Nie wydaj mnie — prosiła go ze łzami.

Szwed pokiwał głową i jszepnął coś niezrozumiale. Potem chwycił ją czule za ramię i zaprowadził w najciemniejszy kąt.

Znów coś szepnął, chwycił za runo pierwszą z brzegu owieczkę, wspiał się jz nią na górę i izasunął częściowo pokrywę na luk.

— Zabrał ją do kuchni — domyśliła się. — Tam ją zarzną, ugotują na obiad...

Poczuła głód.

— Długo tu nie wytrzymam bez jedzenia — przełknęła ślinkę. — Ach, żebym to miała choć kawałek suchego chleba.

I oto jak na skinienie czarodziejskiej różdżki koksmat z beczącym jagnięciem na karku znów zjawił się w ładowni. Położył owcę, przedarł się ku dziewczynie, wyjął z zanadrza zawiniątko z chlebem, a z kieszeni duże rumiane jabłko.

Nim zdążyła mu podziękować, zarzucił na ramiona sporego baranka i wyniósł go na pokład.

— Oby mu Bóg stokrotnie wynagrodził to, co dla mnie uczynił — modliła się w duchu, zajadając smaczny owoc. — Są jeszcze dobrzy ludzie na świecie.

Dzień włókł się powoli. W półmroku rumu nic się nie działo.

Dopiero po jakiejś godzinie usłyszała głosy kilku okręt- ników, otworzyli luk na całą szerokość i zaczęli zrzucać siano w dół na owcze grzbiety. Bała się, czy nie zejda, ale obawa okazała się płonna.

Zarzucili ją tylko pękami siana, z czego była rada, bo dzięki temu niełatwo było ją dostrzec, a potem byle jak zasunęli luk.

Nastąpiła cisza. Potulne zwierzęta spoglądały zda się z li

tością na towarzyszkę swej niedoli, ocierały się o nią» pobekiwały cichutko. Ogarnęła ją nowa rozleniwiająca fala senności i zdrzemnęła się sama nie wiedząc kiedy*

Tym razem ocuciły ją bryzgi wody wdzierające się przez nie domknięty luk. Była noc i sztorm. O burty waliły fale, aż jęczały wręgi. Korab tańczył jak szalony i za każdym przechyłem rzucał dziewczyną to w tę, to w inną stronę.

— Jezus, Maryja — jęczała dławiona mdłościami.

Zaniepokojone owce żałośnie beczwały. Barany podnosiły

się, stawały na rozkraczonych nogach, ostrymi kopytami tratowały jej bosc nogi, gdyż podczas ucieczki zgubiła gdzieś drewniaki. Chwytała się wełnistych kudłów, padała i wstawiała i znów padała objając się boleśnie. U góry zatrzaśnięto luk.

— Teraz już jakby się wieko truchła nade mną zawarło — jęknęła z rozpaczą.

Przewidując rychły koniec, poleciała duszę Bogu... Pomyślała, że wnet spotka się z rodzicami i siostrami. Żal jej tylko było, że «nie ujrzy swego miłego. Westchnęła.

Naraz korab przechylił się gwałtownie na bakburtę, a stępka uderzyła o dno morza. Nastąpił nowy huk i nawa przewaliła się na sterburtę. Popękały wręgi i klepki. Woda zaczęła się sączyć do wnętrza. Barbara puściła kudły barana, ziwaliła tsię na gromadę owiec. Na szczęście miękkie runo złagodziło siłę uderzenia. Podźwignęła się z upadku. Słyszając jęk okrętowego dzwonu, huk grzywaczy, świst wichru, pospieszne kroki, gwizdki bosmańskie i krzyki na pokładzie, pojęła w jednej chwili okrutną, prawdę:

— Toniemy!

Przygniotła ją beznadziejność sytuacji. Sama w zamkniętej ładowni zginęłaby na pewno, lecz wtem otworzył się luk. Na schodni ukazał się koksmat z latarnią w dłoni. Błady jak trup zbiegł na dół, strwożonymi oczami szukając branki.

— Choć! — krzyknął spostrzegłszy ją w kącie ciemnej: ładowni. — Prędzej! Jesteśmy gdzieś w strądzie. Okręt zaraz pójdzie w drzazgi.

Pochwycił oszołomioną dziewczynę wpół, powlókł ją po stromych stopniach w górę na pokład.

— Za późno! — jęknął.

Szalupa odbijała od burty.

Knutsen stojący u steru łodzi zauważył dziewczynę, wzniósł obie pięści w górę, ryknął na rozbitków, by zawrócili do okrętu, ale przeszkodził mu wykonać ten zamysł ogromny grzywacz, który wszystko przesłonił. Koksmat, trzymając Barbarę prawą ręką, lewą objął maszt, a gdy przewaliła się denega, wskazał pannie szalupę przewróconą dnem do góry oraz kilka głów kołyszących się opodal niej w wodzie. Druga fala zakryła je i połknęła. Szwed zaś skorzystał z krótkiej przerwy w falobiciu i zaciągnął Barbarę iza tylny kasztel. Tam było bezpieczniej, bo okręt leżał "z falą", dziobem do strądu, który rysował się niewyraźnie za preskiem w gęstej mgle.

— Nie zginiemy — pocieszał półprzytomną. — Fale przybijają nasz statek szybko do strądu i wyrzucą nas na piaszczysty brzeg.

Nie pojęła, co gada. Uniosła głowę, 'Spojrzała w kierunku przewróconej szalupy. Nie zobaczyła już nikogo. Silny prąd porwał rozbitków w głębinę.

— Co to za ląd? — spytała, z wysiłkiem dźwigając się na łokciu i wyciągając drugą rękę ku zamglonym wyębom.

Szwed domyślił się o co pyta dziewczyna. Wytłumaczył na migi, że to jeszcze jej kraj, Polska.

Ucieszyła się, widząc ojczyście brzegi; ale oczy jej rozszerzył lęk, kiedy dostrzegła zwłoki topielców, które fala wyrzucała na zoloj.

— Kapitan — koksmat wskazał jednego z nich w kaftanie z białym kołnierzem.

— Boże, zmiłuj się nad jego duszą — przeżegnała się pobożnie. — Nie pamiętaj mu niczego złego i grzechy odpuść mu racz w miłosierdziu swoim.

— Nie bój się, już nie wstanie — począł uspokajać ją marynarz, widząc przerażenie w oczach «dziewczyny. — I morze także nam krzywdy nie uczyni. Popatrz: przybiło nas już przed ostatnią mielizną.

Korab stał na płytkiej wodzie zasłonięty 'mielizną, o którą się rozbijały groźne fale, tak że do burt dochodziła jedynie piana powoli pchająca kadłub do zoloju.

— Serdeczne dzięki — uścisnęła dłoń zbawcy. — Niech

ci Bóg nagrodzi, żeś pamiętał o mnie i w największym ratował niebezpieczeństwie.

Wzruszył się Szwed. Czule pogłaskał długie, mokre, rozplecione warkocze polskiej dziewczyny. Pokochał ją od pierwszego wejrzenia. Wiedział, że muszą się rozstać. Ona pójdzie swoją drogą, a on swoją, ale nie zapomni do grobu, iż ratując bezbronną Polkę ocalił dzięki temu własne życie.

— Bóg odpłaca dobrocią za dobroć — pomyślał patrząc w pochyły dek. — Dlatego ostatek żyw. Prawdę mówi Biblia: "Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie".

Mgła rozchodziła się z wolna. Z sinych oparów coraz wyraźniej wynurzały się garbate wydmy i krzywe sosny. W pobliżu na wschodzie widać było ujście niedużej rzeczki.

— Czarna! — poznała ją Kaszubka, uśmiechając się radośnie na widok znajomych miejsc.

Starła się wytłumaczyć Szwedowi, że ma tu krewniaków, którzy go ugoszczą i ukryją, ale ten tylko kręcił smutnie głową, dotykając palcem grdyki, na znak, że swoi za dezercję powiesiliby go na pewno.

Pieniste fale dopchały tymczasem wrak aż do zoloju. Wzdłuż strądu rwał gwałtowny żoch.

Koksmat podniósł linę, jednym końcem obwiązał się sam w pasie, drugim obwiązał Barbarę. Dziewczyna natychmiast zrozumiała, co zamierza obcy marynarz.

Kiwnęła głową i spojrzała ku brzegowi. Dziwiło ją, że nie widzi na strądzie karwiańskich łodzi.

— Pewnie wyciągnęli je przed nadejściem tej nordy między wydmy — myślała. — A może też ukryli je wcześniej jeszcze, odchodząc do partyzantki w żarnowiecki bór, tak jak mój brat z dębkowskiimi maszopami. Bratowa z dziećmi została pono w Dębkach. Pójdę do niej — postanowiła. — Poproszę o gościnę...

Sziwed tymczasem spuścił za burtę “Jakubową drabinkę” i wyczekiwał sposobnej chwili. Kiedy fale przyległy, szybko zsunął się do wody i po kilku susach stanął na suchym piachu. Stamtąd patrzył na mioty fal. Czyhał na moment, gdy kipiel nieco przycichnie.

— Już! — dał znak Domienikównie.

Ale dziewczyna jak to dziewczyna. Nie (potrafiła dorównać koksmatowi. Nim dobiegła na bosaka do zoloju,

nadeszły nowe fale i żoch ją porwał. Na szczęście przezorny rozbitek szarpnął linę, wyciągnął Barbarę na strąd, podniósł ją z piachu i zaprowadził w zacisze, między pagórki wydmy.

Podziękowała mu raz jeszcze. Pożegnali się i rozstali* Dziewczyna pobiegła ku Dąbkom. Koksmat stał jeszcze przez jakiś czas, pa/trząc na widniejące w piaszczystych zwiewach ślady jej bosych stóp, a gdy znikła w dali, odwrócił się i samotnie, przygarbiony ruszył w stronę Pucka.

Dębki zastała puste, jakby przez nie przeszła zaraza. Z kominów rybackich checz (nie unosił się dym. Po strą- dzie nie chodzili starcy wypatrujący bit przyniesionych przez mordę. Snadź i oni wraz z białkami i dziećmi ruszyli w ślad za maszopami do lasów’.

Barbara, nie znalazłszy bratowej, machinalnie skierowała się ku ojcowskiej izagro^zie. Minawszy mokradła, nad którymi krzyczały dzikie gęsi, brzozowy gaj, stojący niby gromada dziewcząt w chustkach wyszywanych złotem, obejrzała się raz jeszcze ku wsi i wydmom. Nie zobaczyła żywej duszy. Życie, zda się, wymarło. Kiedy polami doszła na skraj boru, na przeciw jej wybiegł z gąszczy kudłaty pies, niegdyś biały wesoły jej druh, a teraz czarny od sadzy stróż ostygłych zgliszcz. Buk po dawine- mu pochylał się nad studnią. W opuszczonym sadzie, ciężarnym owocem grusz i jabłoni, bieleły dwie owieczki beczące żałośnie. Z zabudowań ocalał jedynie chlebowy piec, w którym znalazły śmierć jej siostry.

— Pomodlę się za inie, iza ojca — (pomyślała i poszła przez blekę pod las ku wysokiej Bożej Męce.

Padła przed nią na kolana i pogrzyła się w modlitwie.

Skończył się dzień. Wiatr, rozwiewający popioły ze zgliszczy pogorzeli, przycichł. Chmury zeszyły z nieba i na wschodzie błysnął biały księżyc. Oświetlił samotny okopcony komin spalonej chałupy, krzyż pod ścianą milczącego lasu i modlącą się u jego stóp dziewczynę.

— Pójdę chyba do Żarnowca, do matki Knutówny,

o gościnę w klasztorze prosić — postanowiła Miskówna skończywszy modły. Nagle usłyszała tętent.

Zerwała się z klęczek. Tuż przy niej osadził konia samotny, nocny jeździec.

— Barbara, mój aniele! — krzyknął nie wierząc oczom.

— Piotr? — wyszeptała. — Skąd ty tutaj?

— A ty? — izapytał biorąc ją w objęcia, całując po oczach, ustach, policzkach... ^

— Szwed mnie porwał, wżdy sztorm nawę jego w strąd wpędził.

— Za Sławoszynkiem?

— Skąd wiesz?

— Zaraz po rozprawie, którą my ze Szwedami mieli, rozeszła się wieść, iż tam w strądzie stoi okręt z czarnymi owcami. Jastarnicy jak to jastarnicy. Mało im było łupów wziętych na nieprzyjaciela. Polecieli na strąd do okrętu po bity. Jam ipojechał za nimi, by ich z oka nie spuszczać, a przy sposobności postanowiłem tu zajrzeć, by na grobie bliskich twych się pomodlić.'

— Bóg cię tu przywiódł.

— Czuję w każdym momencie Jego nad nami opiekę. Takoz w bitwie pod Starzynem...

— Tam starliście się z nieprzyjacielem.

Skinął głową.

— Było już z nami krucho. Zginęło sporo najszych, ale na szczęście wsparły nas w samą iporę wojska pana Melchiora Wejhera i pobili my Szweda na głowę.

— Powiedz, miły, jako tam było? Wiele krwi się polało? Kio zginął?

— Powiem ci, serce moje, jeno nie tu, a w O dar go wie, kędym o północy miejsce spotkania

Jówinym mastzopom naznaczył.

Posadził ją na łęku, włożył stopę w strzemień, skoczył na konia, potrząsnął uździenicą. Wierzchowiec ruszył stępą księżycową, szarosrebrną drożyną ku niedalekiej wiosce — siedzibie dzielnego rodu Kurów.

— Barbaro, moja Barbaro — powtarzał szlachcic, przygarniając pannę do swej piersi. — Zali nie słusznie ludzie powiadają, iż śmierć i żona od Boga przeznaczona? Porwał cię wróg, za morze uwieźć chciał, a przecież opatrność mi cię wróciła.

Nie odpowiedziała, tylko przechyliła głowę w tył i musnęła włosami jego policzek. Chlupotały kałuże pod kopytami. Zza wysokiego krzyża zaś, z mrocznej głębi ostępu dochodził raz po raz głuchy przytłumiony ryk jeleni.

imny, północny wiatr ścinał rosę w szron, zapowiadając wczesną zimę. Jadąc przez pola, nad którymi dawno już przebrzmiał klangor odlatujących żurawi, Piotr i Barbara wymijali gromady zgarbionych, gwarzących cieni.

Wieść o zwycięstwie pod Starzynem rozeszła się już po okolicy, bo odargowscy zbiegowie, kryjący się po lasach, odetchnęli głęboko jak po ciężkim grzmocie i wynurzyli się z ciemnej kniei, gdzie dokuczać im poczynały desze że i chłody jesienne. Wracali do opuszczonych zagród, w których gospodarzyły wilki i kuny.

— Szwed pobity — gadali z ożywieniem.

— Po tej klęsce zawrze się chyba w Pucku na trzy spusty.

— Nie odważy się więcej grasować po okolicy, a jakby spróbował, to mu nasi znów skórę postrzępią. Możem spokojnie dama siedzieć.

Z daleka płynął szum morza. Księżyc świecił jasno nad zagrodami Odargowa. Piotr Sulicki, wjechawszy do wsi, zauważył między zabudowaniami Andrysowego obejścia stado ciemnych owiec.

— Bacz — rzekł do Barbary. — Już zdołali maszopi je tu przypędzić ze strądownego szweda.

— Ocalały jak ja — odparła cicho. — A miały także za morze być uwiezione.

Sulicki zeskoczył z konia i zsadził z siodła (narzeczoną tuż przed checzą bogatego Kura, z której okienek sączyło się światło. Weszli do rojnej izby, gdzie maszopi chłapowscy, wielżeńscy i jastamiocy sprzeczali się, czy dać chłopom part z łupy z szwedzkiego okrętu, czy nie.

— Pospołu bijem nieprzyjaciela, tedy też sprawiedliwie łupy między wszetkich podzielimy — zdecydował potężnym głosem Jówa oparty o ciężki topór, a odziany w bogaty, dziwnie Barbarze znajomy, kolet.

Zauważywszy w drzwiach komendanta z narzeczoną wypuścił z rąk toporzysko i poskoczył ku przybyłym.

— Żyjesz, dziecko moje — przygarnął Barbarkę do szerokiej piersi. — Żyjesz, a Czeszka i Zenobia już na tamtym świecie.

Dwie wielkie łzy zwisły mu na spłowiałych rzęsach. Szybko otarł je kułakiem. Zwiesił kudłatą głowę.

— Lepiej im tam, niżli nam tutaj na tym padole — próbowała go -pocieszyć matka Andrysa Kura.

— Jak przyszło do tego nowego nieszczęścia? — jęła biadać Barbara. — Toć ostały w Łupkowie, w spokojnym i bezpiecznym miejscu...

— Ostały — przytaknął zgnębiony szyper. — Wždy skoro nadeisza wieść, iż Szwedy wyszli z Pudka i ciągną w żarnowieckie bory, kto żyw siadał do łodzi, by uciec przez jezioro do Nadola. Sami wiecie, jaki wiatr dziś z rana dął. Fale zalały przeładowaną łódź z mymi córami. Poszły na dno. Nie ma ich. Samostałem na świecie. Jedno mi jeno pozostało: mścić się za moje dzieci na tych przeklętych lutrach-morzkulcach!

Milczenie zapadło w izbie. Ciszę mąciły jedynie ciężkie oddechy i skwierczenie świecy (płonącej w zaśniedziałym świeczniku).

— A gdzie mój Andrys? — zaniepokoił się stary Mi-kołajk Kur.

— Dołączywszy swą jazdę do wojsk ipana Melchiora ściga Szwedów uciekających do Pucka — odpowiedział Sulicki.

— Żeby wrócił jeno szczęśliwie — westchnął gbur.

— Powinni imy byli wszyscy ścigać nieprzyjaciela — zganił komendant niesfornych maszopów. — Ale wy na wieść że okręt w strądzie, gotowicie się zerwać z łańcucha. Ani bacząc na me komendy tpopędziliście przez Bielawskie Błota za bitą na strąd. Zakarbujcie sobie dobrze w pamięci, iż drugi raz nie puszcę płazem takowej niesubordynacji.

Wyprostował się i położywszy dłoń na rękojeści szabli toczył wzrokiem po surowych, półdzikich twarzach maszopów.

— Zgrzeszyli my — uderzył się w piersi Jakub Długi. — Wszelako tak to nama je. Skoro usłyszym: “okręt w strądzie”, to bieżym, choćby my mieli księdza w kościele podczas podniesienia odbiec.

— Waćpan nie rozumie rybaika — tłumaczyła Piotrowi stara Żelewska ze Swiecina. — Jak wilka do lasu, tak maszopa do bit ciągnie.

5 — Krwawy sztorm

— To je prowda — potwierdził Dawid Kąkol. — Na morzu okręty dobywać, to nasze rzemiosło.

Ale na tej rozmokłej glinie kołowacieje człowiek. Rąbie, co się pod topór nawinie i ani słyszy komendy.

— Mimo to stawali my dobrze — wtrącił Rochów Klemens. — Osobliwie nasz szyper. Narąbał tyle szwedziny, że cała maszoperia na swoich botach by jej nie zwiozła.

— Tęgi zeń żołnierz — przyznał szlachcic. — Tedy daruję wam naruszenie dyscypliny. Szczególnie, że spotkała mnie dziś wielka łaska niebios. Powiedz, miła, co ci się przytrafiło — dodał sadzając narzeczoną na ławie przy piecu.

W kominku pod trójnogiem trzaskał ogień. Kipiał garnek z baraniną. W mrocznej izbie wszystkie oczy zwróciły się na Miskównę, kiedy drząc z przejęcia zaczęła opowiadać o swym cudownym wybawieniu.

— I tam to pod Bożą Męką — zakończyła cicho — szczęśliwym opatrności zrządzeniem znalazł mnie pan Piotr...

Zaraz po posiłku zmęczoną Barbarę ułożono w alkierzu, w izbie zaś trwały rozmowy. Młody komendant rozstawiwszy warty tłumaczył Kaszubom zasady lądowego wojowania, szyper zaś kazał Piotrów Józkowi i Rochowi rznąć barany, bo z lasu wracało coraz więcej zbiegów.

Dobrze po północy przed checzą rozległ się tętent.

— Szwedy! — krzyknął Piotrów Józk.

— Na dwór! — zakomenderował Sulicki.

Maszopi chwycili za topory. Wybiegli na podwórze, gdzie chłopstwo piekło nad ogniskami oprawione barany. We wrótnie wjeżdżała gromada jeźdźców.

Andrys! — krzyknęła z radości gospodyni poznając Fyna wracającego na czele oddziału. — I Maciej nasz z nim...

— Gdzie reszta? — zapytał komendant policzywszy zsiadających z koni wolontarzy.

— Polegli — raportował Kur. — Z pięćdziesięciu przyprowadziłem tylko dwudziestu.

— A wróg znaczne poniósł straty?

— Chyba mało kto z grabieżców ocalał — odparł Andrys. — Docimali my wspólnie z pana Mielchiorowymi po- spolitakami tych, co uszli, aż pod samymi bramami miasta. O włos nie wpadł nam w ręce sam oberszter Fryc.

— Szkoda, żeście go nie ułapili —■ mruknął Piotr. — On to przecie dowodził pod Starzynem.

— Wróciwszy bezkarnie z wielkimi łupami z kartuskiego i kościerskiego powiatu, pokusił się, by nas zgnieść — dodał Ustarbowski.

— Ale pokazali my mu zęby i wziął za pas nogi — zaśmiał się Pomieczyski.

— Ledwie pludrów nie pogubił w ostatniej ucieczce — zawtórował mu Żelewski ze Swiecina, a spostrzegłszy w progu chaty swą matkę podszedł do niej i pochylił się do jej rąk.

— Głodnyś pewnie, synku — rozczuliła się ściskając mu głowę. — Chodź do izby. Jadła nie brak.

Niebawem przybysze, »posiliwszy się, ułożyli się do snu na podłodze suto wysłanej słomą. Wkrótce w izbie rozległo się głośnie chrapanie.

Jedynie Sulicki czuwał siedząc pod piecem na ławie. Tłący płomyk oświecał jego stroskaną twarz, ściągnięte brwi, bruzdy żłobiące wysokie, podgolone czoło. Wsparł głowę na splecionych dłoniach rozmyślając, co ma jutro uczynić. Męczyło go poczucie odpowiedzialności za tyłu ludzi. Lękał się, że nie dość ima doświadczenia, aby mierzyć się ze szwedzkimi strategami, którzy na wojowaniu zęby zjedli, aby utrzymać w ryzach chętną do walki, lecz nie wyćwiczoną, lada jak zbrojną, niesforną zbieraninę chłopów, rybaków i szlachetków. Przecież pod Starzynem byli o krok od klęski. Najlepiej więc chyba będzie odszukać wojsko pana Melchiora i poddać się pod komendę chełmińskiego wojewody.

— Tak uczynię — szepnął i podniósł głowę.

Na podwórzu wciąż biwakowali wygłodzeni zbiegowie. Beczały owce. Czerwona poświata biła o szybki. Pod ścianami stały topory, beki, rusznice. Na skrzyni i zydlach leżały szlacheckie szable, a podłogę zaścielali pokotem śpiący wolontarze, których chrapanie wypełniło izbę aż po wybrzuszoną pułap. Wtem posłyszał przez pobekiwanie skopów i pochrapywanie rozpaczliwy jęk z alkierza:

— Szwedy! Szwedy!

W jednej chwili znalazł się tam i pochylił nad łożnicą, na której jego narzeczona miotała się w niespokojnym śnie.

— Barbaro! — dotknął ostrożnie jej ręki.

Otworzyła oczy,

— Co ci, najmilejsza?

— Śniło mi się, że Szwedy palą Odargowo i cię wieszają — wyznała ciężko dysząc.

Piotr pokiwał głową.

— Będą się nam owe Szwedy długo po nocach śnić i niby zmory. trapić 'nasze białogłowy. Bardzoś się przelękała? Drżysz cała.

— Nie boję się niczego, gdyś ty przy mnie.

— Ostanę tu. Śpij spokojnie, ja niby szyldwach nad snem twym czuwać 'będę.

— Nie zasnę już — potrzęsnęła głową i podniosła się z posłania. — Ot, wiesz co, miły: siądźmy społem przy kominku i pogwarzymy sobie. Czas nam do świtania prędzej zejdzie.

Ostrożnie wymijając śpiących w izbie poznała wśród nich młodego Kura.

— Andrys wrócił? — ucieszyła się.

— Wrócił — odrzekł Piotr. — Wszelako połowa jego ludzi wyginęła podczas ‘pościgu.

— Puze straty przyniosła wam ta bitwa.

— Zaiste, niemałe.

— Powiedz, jako do tego starcia doszło?

—*■ Chętnie, serce moje, jeno wprzódy dREW do ognia dołożę, bo robi się chłodno. f

J>orzu<cił kilka szczap do kominka, a gdy płomień buchnął wyżej i ozłocił blade liczka Barbary, siadł obok narzeczonej i ujął ją za rękę.

— Kiedym odwiózł cię tylko do twej ciotki Marty w Kielnie — rozpoczął opowieść — powróciłem bez zwłoki do Darżlubskiej Puszczy. Szybko odnalazłem tam naszą partię zaszytą w ciemny bór między Mechową i Sta- rzyńnem, naradziłem się z Ustarbowskiem, Jówą, Pomie- czyńskim i Andrysem i wysłałem na trakty zbrojne podjazdy...

Wysłannicy młodego komendanta przez dwa dni myszkowali konno i pieszo po gościńcach daremnie wypatrując nieprzyjaciela. Szwedzi po Bartoszowej kłęsce woleli nie wychodzić z warowni na grabież. Ostatnim z ich wypa

dów był podjazd Willisenowy, któremu ku zgryzocie partyzantów udało się ze ństadami zrabowanego bydła przemknąć nadmorskimi drogami koło Rzucewa do Pucka.

Trzeciego dnia, kiedy zaczęła dąć wściekła norda, przed leśnym szałasem Sulickiego zatrzymał spienionego konia Andrys Kur, wysłany na zwiady w stronę Połczyna.

— Szwedy w kilka secin piechoty i rajtarów wyszli z Pucka — zameldował zeskoczywszy z siodła, z trudem łapiąc powietrze. — Prowadzi ich wasz brat i Hemest z Krokowa.

— Daleko są stąd?

— Widziałem ich koło Warblina.

— Przeciw nam ciągną — zasępił się swarzewski sołtys, targając sumiaste wąsisika.

Ten i ów poczuł, że ciarki chodzą mu po grzbiecie, ale Jówa ucałował tylko krzyżyk różańca i zawołał tak donośnym głosem, że usłyszała go cała ńmaszoperia:

— W imię Ojca i Syna, i- Ducha Świętego. Tero czas prac. Święty Wojciechu, dopomóż nam w zbożnym dziele.

Komendant zaś zwoławszy dowódców, jął wydawać rozkazy: Jówie kazał stanąć naprzeciw Sulic po lewym brzegu rzeki Czarnej nad traktem od strony morza. Chłapo- wian i wielżan ze szyprami Kołaczem i Żelką dołączył do gromady jastarników. Pomieczyńskiemu, który dowodził pieszymi chłopami, wyznaczył miejsce w gęstych krzakach, również po lewym brzegu wezbranej rzeczki, ale od południowej strony drogi. Do nich doszuisowali rybacy z Tupadeł, Ostrowa, Karwi i Dębek. Kur natomiast miał pozostać na prawym brzegu Czarnej, ukryty w gęstej kniei pod Połchówkiem.

— Stamtąd — brzmiał rozkaz — wypadniesz na nieprzyjaciela już w toku bitwy. Nie za wcześnie i nie za późno. Pojmujesz?

— Pojmuję — sprężył się Andrys po żołniersku.

W nadciągającej mgłę zaczęły się manewry. Najpierw chłopci przeszli mosjtek na szeroko rozlanej rzeczce. Za nimi ruszyli rybacy, przypominający w swych czapkach z foczych skór i grubych siwych kabatach watahę dzikich Tatarzynów. Jeden oddział po drugim zajmował wyznaczone stanowiska. Olbrzymi Jówa biegał między krzakami, wydając polecenia (poszczególnym maszoperiom.

— Jak liii który z Was skrewi — groził bez przerwy — ze mną będzie miał do czynienia.

Umilkł dopiero, kiedy wynurzywszy się z oparów, wjechały na most forpoczty nieprzyjacielskie: konna szlachta wiedzona przez zdradzieckich dziedziców Krokowa i Su- lic. Za nimi kroczyła rota piechurów w pękatych hełmach, zbrojna w długie muszkiety* Ukryci partyzanci liczyli »siły wroga,

— Dwie kopy Szwedów już przeszły most — mruknął w pewnej chwili brodaty szyper do stojącego obok komendanta. — Nie rachując owych konnych. Mamy prac?

Piotr Sulicki skinął głową.

Jówa podniósł do ust mgłowy róg. Zabuczał cicho. I oto zafalował błotnisty łęg. Z dwóch stron wylała się na szeroką drogę ława maszopów z toporami i rusznicami. Podnieśli się chłopci z kosami ina sztorc.

— Bij pludraków! — ryknęli.

Uderzenie ich było podobne do gwałtownej nordy szturmującej brzeg grzywiastą, huczącą falą. Partyzanci zalali drogę obalając konie i tratując jeźdźców. Chłopci kosami rozpruwali brzuchy wierzchowców ze stajen panów z Krokowa, Sulic i Poczernina. Maszopi toporami cięli po łbach wielmożnych zdrajców i ich służalców.

Bartosz legł jeden z pierwszych, ale zaraz podniósł się z ziemi i korzystając z gęstniejącej mgły pomknął w stronę lasu. W ślad za nim zbiegli jak zbite psy pozostali painowie. Ich pocztowi potracili głowy. Zaczęli rzucać broń, uciekać, wołać:

— Pardon!

— Podda jem się!

— Oszczędzajcie nas!

Szwedzi wszakże 'nie myśleli kapitulować, choć zwałisty szyper ze swoją maszoperią wyrąbywał sobie między nimi drogę siekąc toporem na prawo i lewo. Chciał za wszelką cenę przedrzeć się do mostu i zagrozić przejście rajtantom pułkownika Fryca, który usiłował przedostać się na lewy brzeg Czarnej, by wesprzeć ginących tam piechurów. Dokoła osiłka narastał wał trupów.

— A mota, diachle, za Staszkę, za Zenobię, za Bolkę, za Czeszkę! — wył JÓwa w krwawej furii.

Wiatr rozwiewał opary. Dzięki temu pan Piotr zdołał dojrzeć, że nieprzyjaciel otoczył jazdę Kura i usiłował ją

doszczętnie znieść, a część piechurów, którym nie udało się przebyć mostu, położywszy długie lufy muszkietów na podpory gotowała się do salwy.

Wspiął konia. Przycwałował do maszopów.

— Baczcie! — krzyknął. — Tamci zaraz będą strzelać. Z rusznic do nich! Z rusznic!

Huknęły strzały. A kiedy rozwiął się dym, znów ukazała się w dali kotłowanina jeźdźców.

— Tam giną na*^*i! — Piotr Sulicki wskazał szablą podleśne pola na drugim brzegu rzeki. — Andrys za wcześnie wystąpił. Zgniotą ich! Wybiją do nogi!

Czuł, że bitwa wymyka mu się z rąk. Dokoła ipanował zgiełk i zamieszanie, kwiczały konie biegające po łągu z pustymi kulbakami, ranni walili się z mostu w wodę. Maszopi strzelali z rusznic na prawy brzeg. Stamtąd zaś grzmiały szwedzkie salwy, uniemożliwiające przebycie rzeki i ruszenie na odsiecz partyzanckiej konnicy. Na próżno Sulicki miotał się od oddziału do oddziału, porywał do rozpaczliwych ataków rybaków i chłojpów krzycząc:

— Naprzód! Naprzód, w imię Boga!

Nie udało się sforsować wezbranych nurtów Czarnej.

— Pogina! — gryzł wargi w bezsilnym gniewie.

Wtem tstało się coś nieoczekiwanego. W dali pod borem

zaszumiały wysokie krzaki żarnowca i niby owe śpiące wojsko, o którym krążyła po Kaszubach legenda, że W chwili najcięższej opresji zbudzi się, by ruszyć Rzeczypospolitej na pomoc, wypadły z gęstwiny konne chorągwie wojewody Wejhera.

— Bij zabij! — rozległ się ryk z tysiąca gardzieli.

Jak piorun uderzyli na rajtarię i zmienili klęskę

w zwycięstwo. Szwedzka piechota zaczęła pierzchać wzdłuż prawego brzegu Czarnej w kierunku Parszkowa, rajtarzy również podali tył, uciekając drogą do Pucka ścigani przez jeźdźców pana Melchiora i Andrysa Kura.

— Za mną! — krzyknął Piotr do swych piechurów — odetniemy odwrót Gustawowym muszkietierom!

Maszopi i chłopci walili ławą na przełaj przez pola w stronę Małego Starzyna. Zdawało się, że zdążą zastąpić zbiegom drogę. Niestety tuż za Kłaninem wpadł między nich jakiś zbiedzony rozibitek.

— Skąd — huknął zdumiony Jówa — wziął się tu ten okrętnik?

— Okręt w strądzie? — krzyknął Jakub Długi. — Gdzie? Powiadaj.

Szwed widocznie domyślił się, o co go pytają, bo wyciągnął rękę ku wydmom bielejącym za Karwią.

Otoczyło go kilku jastarników.

— Koło ujścia Czarnej — odgadł Piotrow Józek.

Kosynierzy Pomieczyńskiego wyprzedzili rybaków i pognali dalej pod wodzą sadzącego na kasztance szlachcica, który nie zauważył od razu, co się święci.

— Okręt w strądze — wołał tymczasem Dawid Kąkol zatrzymując przebiegających »maszopów.

Pierwszy zawrócił Rochów Klemens, a za nim wszystkie maszoperie. Popędzili przez Bielawskie Błota ku brzegowi, poniechawszy jeńca zdumionego tym obrotem sprawy. Ogarnął ich szal. Nie zatrzymały ich ni mokradła, ni wezbrana rzeka, ni rozkazy i przekleństwa komendanta, który musiał w pół drogi zatrzymać i zawrócić sołtysowych kosynierów, gdyż z tak uszczuplonym oddziałem nie mógł przeprowadzić poprzedniego planu wybicia zbiegów szwedzkich co do nogi.

— Kazałem ludziom Pomieczyńskiego zebrać rannych a pobojojiska, a Michałowej maszoperii pogrzebać trupy — kończył pan Piotr. — Sam zaś pocwałowałem za rybakami. Doścignąłem ich na wydmach przy ogołacaniu wraka. Nie słuchali, oom gadał. Jówa, gdym go gromił za ucieczkę, nawet mi nie odpowiedział, jeno ściągał ko- let z wysokiego topielca.

— Pewnie z tego kapitana, co za morze uwieźć mnie chciał — szepnęła Domienikówna. — Boć ten wzrostem był mu niemal równy.

— Być może. Nie przypatrywałem się ja temu umrzykowi, jako że insza zajęła mnie rzecz.

— Jaka?

— Ujrzałem na wydmach ślady stóp, całkiem takie jak te, które twe nożeta ostawiały, kiedy my pierwszy raz pospołu do Dębek poszli. Ścisnęło mi się serce na to wspomnienie. Naznaczyłem maszopom miejsce spotkania w Odargowie, sam zaś pocwałowałem naprzód na dęb-

kowski strąd, a potem pod bór żarnowiecki, iżby odwiedzić kąty owe, które świadkami narodzin afektu naszego były i pomodlić się u grobu tego, którego dozgonnym jestem dłużnikiem.

— Dłużnikiem? — nie rozumiała znaczenia ostatnich słów i podniosła oczy na ukochanego.

— Ano tak — wyjaśnił — bo (przecie nie kto inszy jeno rodzic twój nieboszczyk, niby najszczodrzejszy wierzyciel, bezcenny skarb mi powierzył. Skarb, którego do śmierci jak żrenicy oka strzec i admiirować będę.

Zarumieniła się i aby ukryć zmieszanie, dorzuciła drew do kominka.

— Nie przystoi .mnie, prostej a ubogiej sierocie, takowych słucać komplementów — powiedziała zawstydzona. — A i tobie, miły, nie godzi .się wciąż o afekcie naszym gadać, kiedy tyle dokoła nieszczęścia.

— Wciąż? — oburzył się chwytając ją za rękę i patrząc w jej oczy zaszklone łzami. — Toć, dalibóg, niewiele chwil pospołu spędzamy. Kto wie zali jutro znów nie będziem musieli się rozstać, bo jeśli jeno uda mi się z wojewodą chełmińskim skomunikować, pożegnam cię, serce moje, i Bóg wie, kiedy znów się ofoaczym.

ednakże nie udało się Piotrowi Sulicfkiemu wejść w porozumienie z chełmińskim wojewodą. Pan Melchior, rozgromiwszy obersztera Fryca, pociągnął pono na południe i nie sposób było go odnaleźć. Sulicki więc ze swą partią zaszył się znów głęboko w darżlubskie bory.

Część chłopów opuściło go wprawdzie, by powrócić przed zimą do swych rodzin i chat, mimo to zatrzymał pod swą komendą około stu osiemdziesięciu wolontarzy, z czego jedną trzecią stanowili konni. Oni to przede wszystkim dawali się we znaki nieprzyjacielowi, który ochłonawszy po starzyńskiej porażce, podjął wkrótce na nowo grabieżcze wyprawy z Pucka i grasował po okolicy jak zgłodniały wilk.

Któregoś dnia, pod koniec października, wpadł szwedzki oddział do Chłapowa i popędził wszystkich zastanych

we wsi starców do sąsiedniego Cetniewa, gdzie kazano im młócić zboże zrabowane ,na wywóz do Szwecji. Zabrzmiała cepowa muzyka na klepischkach. Równocześnie odezwały się krzyki, świsty biczów i jęki. Szwedzi chcieli jak najszybciej załadować czekający w Pucku statek i poganiali starych rybaków batami. Rybacy nie znający tej roboty mpdlili się głośno:

— Od Szwedów i półtora drewna wybaw nas Panie...

Ale nastąpił wieczór, niepełny księżyc błysnął- z granatowego nieba, a modlitwa nie odniosła skutku i źle zharmonizowana muzyka cepów wciąż grała na klepiskach. Wtedy niespodziewanie wybuchł w dworskiej stodole pożar. Umilkły cepy. Zziajani rybacy zdołali wyskoczyć na dwór. Zawarli wierzeje, podparli je drągami, zamykając swych dozorców, ryczących wśród płomieni niby sfera potępieńców. Zginęli okrutną śmiercią, ale jnie współczuł im żaden z Kaszubów — uważano, że najeźdźcy zasłużyli sobie na taki los.

Nazajutrz komendant puckiego garnizonu, Sython, zaniepokojony tym, iż podjazd nie wraca, wysłał na zwiady kapitana Kaspersena. Ten, ujrawszy w Cetniewie spaloną stodołę i nie zastawszy we wsi nikogo żywego, ruszył ze swymi rajtarami do sąsiedniego Poczernina, którego dziedzic zdradził mu, co zaszło.

Kaspersen zaklął, dosiadł konia i pognął do Chłapowa, by pomścić śmierć szwedzkich żołnierzy. Wpadłszy do spalonej wsi zauważył kilku ludzi drzemiących przy osiodłanych koniach. Oparci o ścianę kuźni obojętnie zwieszali głowy, jakby czekali na śmierć. Kiedy wszakże kapitan zawrócił patrol, by podjechać na Sikorki, rzekomo śpiący poderwali się jak na komendę i skoczyli na swoje szkapy, które poniosły ich niemalże dotykając brzuchami ziemi. Uciekający gnali na przełaj przez pola w kierunku Rudnika.

Szwedzi natychmiast ruszyli za nimi w pogoń.

Kapitanowi zdawało się, że przestrzeń między uciekającymi a goniącymi się zmniejsza, toteż coraz częściej i mocniej bódł swą klacz ostrogami. Nagle uciekający zniknęli mu z oczu. Zanurzyli się w wąwozie i pogalopowali wzdłuż nurtu rdzawej strugi, pluskającej ina dnie Rudnika, ku morzu. Nim Kaspersen znalazł zjazd do głębokiego jaru, odsadzili się od pościgu, przystanęli.

— Nie darujemy im! — zawołał Szwed zjeżdżając do parowu. — Za mną! Cwałem!

Pomknęli naprzód. Skoro się jednak nieco przybliżyli do stojących jeźdźców, tamci ruszyli znów z kopyta.

— Naprzód! — ryczał kapitan z nagą szpadą w rękę, aż się odbiło echo po zboczach wąwozu.

Nagle huknęły strzały. Jednocześnie z urwisk potoczyły się na głowy rajtarów kamienie. Pod kapitanem padł koń, kilku Szwedów runęło w rwącą wodę. Kaspersen piorunem dosiadł konia jednego z zabitych rajtarów i zawrócił ku Chłapowu.

— Zasadzka! — krzyczał pół żywy z trwogi. — Ratuj się, kto może!

Ale mało kto mógł posłuchać tego rozkazu. Ginęli jeden po drugim. Kapitan cudem zdołał wymknąć się śmierci: gnając przez Chłapowskie zgliszcza wśród złowrogiego krakania wron, co chwila oglądał się, czy nie widać pościgu.

— Z mendla rajtarów uszło mam jeno trzech — meldował Sulickiemu tego wieczoru dowódca owych śpiących jeźdźców chłop Demruza, który wraz z sołtysem Kołaczem i Chłapowskimi rybakami urządził tę pułapkę na Szwedów.

— Do Pucka nadciągają szwedzkie posiłki — ozwał się Andrys. — Gustaw Adolf ma tam pono przysłać ober-sztera Horna, swego krewniaka, bo nadeszły wiadomości, że od południa nadciąga wojsko królewskie įpod hetmanem Koniecpolskim.

— Skąd 'masz te nowiny? — zapytał pan Piotr.

— Przeprowadziłem języka — wskazał Kur rybaka stojącego przy nim. — Udało mu się wymknąć

z miasta i przystąpił do nas.

— Słyszałem, iż część zamożnych mieszczan przystąpiła do nieprzyjaciela? — indagował Sulicki.

— Marcin Rokitka dał nawet swoją piękną córę za białkę szwedzkiemu komendantowi Sythonowi — skinął głową pucki rybak Piotr Fabisz patrząc śmiało w oczy dowódcy. — Zdrajcę Heinego zrobili Szwedy burmistrzem, ale rządzi wszystkim pan Bartosz Sulicki. On to każe pędzić rybaków i biednych mieszczan, by ładowali zagrabione zboże i bydło na statki.

— A dużo jest Szwedów w Pucku?

— Jak ropuch w stawie. A żyją! Wieczorami, skoro się jeno pierwsza gwiazda (pokaże, na zamku rozbrzmiewa kapela, bo tam admirał Gyllenhjelm urządza ucztę za ucztą. Córy biednych i Polsce wiernych panów rajców płaczą i kryją się przed żołdactwem, a przedawczyki ze swymi białkami hulają do upadłego.

— Możecie odejść — odprawił ich Piotr Sulicki, sam zaś jął przechadzać się między ogniskami i szałasami obozu.

Zmartwiły go zasłyszane nowiny. Wiedział, jaką nienawiścią dyszy doń starszy brat i był pewny, że rej wodząc obecnie w Puoku nie omieszka przy pierwszej lepszej sposobności podjudzić któregoś ze szwedzkich przywódców do wyprawy na partyzantów. A o sposobność, zwłaszcza teraz po zagładzie dwóch podjazdów, nie będzie mu trudno. Zresztą nie tylko Szwedów należało się obawiać. Nadchodzące przymrozki coraz bardziej dawały się wolontarzom we znaki. Nocami nikt się nie mógł oddalić od obozu, bo zgłodniałe wilki rozszarpałyby go jak szatani złą duszę.

Młody komendant deliberował nad tymi sprawami całą niemal dobę, aż na koniec postanowił zwołać naradę.

— Przyzwałem was tu — powiedział, gdy podkomendni zebrali się dokoła ognisk — aby wam przedłożyć sprawę nie cierpiącą zwłoki. Owo tutaj grozi nam zagłada, jeśli nie od miecza, to od zimy, głodu i chorób. Zali nie lepiej wycofać się w lęborskie lasy? Tam nie ma nieprzyjaciela, wsie nie spalone...⁰

— Jak nie «ma Szweda, to i nas tam nie potra — przerwał Jówa. — Kogóż bić będziem?

— Zrozum, że zginiem marnie.

— Zginiem, to zginiem! Byleby przedtem nieprzyjaciół nabić i drogo żywot swój przedać!

W tej chwili wjechał na polankę Ustarbowski wracający z podjazdu. Prowadził z sobą dwóch młodych ludzi.

— Są nowiny — krzyczał z daleka. — O tu tych dwóch pucan, opowie wam, co na własne oczy widzieli.

— Co to za ludzie? — spytał Piotr.

— Puccy rybacy! Spotkałem ich na celbowskiej drodze. Powiadają, że nasi .podpłynęli dzisiejszej nocy okrętami

pod Puck i chcieli go zająć. Nie udało się im ta impreza, tedy wylądowali pod Gnieźdzewską Górą.

— Powiadajcie żywo — rozkazał Sulicki.

Rybacy spojrzeli najpierw po sobie, a potem zagapili się na Jówę i na jego ogromny topór. Nie wiedzieli od czego tu zacząć, czy też bali się mówić, r

— Gadajcie — wrzasnął szyper. — Czyście języki pogubili? ~

— Godota, dresze! — rzekł Fabisz, który w tej chwili nadszedł. To są nasi ledze, a mie zdrajcę.

— Wczorajszej nocy wysłał nas pon Heine na połów śledzia — zaczął mówić starszy z rybaków. — Wysłał nas, bo śledziona ławica pojawiła się cna Małym Morzu. Ledwie jeśmy kawał od brzegu odbili, a przed nama ukazały się nagle jakieś nawy i szalupa pełna wojska: “Stój!” — krzyknął ktoś po polsku. Wtedy ten Szwed, co nas pilnował, zerwał się z ławki. Kazał wiosłować do strądu, ale nam, na dźwięk polskiej mowy ręce zdrętwiały. Wyciągnęli my wiosła z wody i łódź stanęła. “Swoi jesteśmy, a to Szwed” zawołałem wskazując na brodatego żołnierza. Ów chciał się rapierem bronić, ale jakiś wojak ciął go w kark polską t szabłą, a Tona, mój dr eh — wskazał na towarzysza — wiosłem go pchnął. Plusnęła woda i zamknęła się nad morzkulcem na wieczny czas. Potem jwa szalupa nas .zabrała na okręt. Tam nas doprowadzono lo komendanta. ,

** >

— Jak się zwał? — spytał Piotr Sulicki. +

— Jegomość Appehnan — rzekł rybak. On to wypytał nas o Szwedów w Pucku. “Jest tam ich więcej niżli diabłów w piekle “ odparłem. — I czują się tak pewni, że w dzień nawet bram nie zamykają”. “A w nocy?” — zapytał. “Na noc zamykają — odpowiedziałem — i trzymają strażę na murach”. Zasepił się na to, ale mruknął, że jednak spróbują.

— Co dalej było? — naglił Sulicki.

— Żołnierze z naw jęli siadać do szalup i zjeżdżać na strąd. My naszą łódką też jeśmy ich zwozili. Jak już część wojska była na 'brzegu, jegomość Appelman kazał nam podprowadzić jedną rotę pod zamek, a drugą pod Wodną Bramę. Skoro jeśmy minęli Młyński Staw i podeszli do mostu i fosy, z ciemności wyległo Szwedów jak purtków

z piekła. Odcieśli nam odwrót do morza. — Rybak odetchnął ciężko i umilkł.

Koło przybyszów gromadziło się coraz to więcej wo- lontarzy. Wylazili z krytych darnią szałasów i ziemianek, podnosili się od dymnych ognisk, nad którymi pieczono na roznach półcie mięsiwa. Zarośnięci i zbrojni przypominali leśne zjawy raczej niż ludzi.

— Szwedy snadź spostrzegły lądowanie i zrobiły zasadzkę — mruknął Pomieczynski. — A co na

to Appel- man?

— Spostrzegłszy, iż jego piechurzy muszą się bronić .tak od strony .morza jak i bramy, za plecami zaś mając rozmokłe łąki i bagna — podjął rybitwa — zaklął, żeśmy w paść się dostali. Wtedy jam się ofiarował przeprowadzić ich znajomą Stegą przez puckie mokradła pod Gnieźdzewską Górę. Przystali. Tona został przy komendancie, a piechota gęsim marszem szła za mną, aż jeśmy doszli na swarzewską drogę. Tam jeśmy stanęli i czekali na kapitana, który z resztą piechoty bił się u zamkowej bramy.

— Siła poległo żołnierzy? — wypytywał pan Piotr.

— Gwesno, bośmy słyszeli z dala okropny szczęk broni i krzyki srogie.

— Ale imć Appelman ocalał?

— Tona przywiózł go z rozbitkami pod Gnieźdzewską Górę. Tam jeśmy doczekali ranka. Nadszedł spokojnie. Na morzu glada była równa jak deska, a niedaleko nas stało kilka naw z obwisłymi żaglami. “Nasze — objaśnił kapitan i zaraz zwrócił się do nas: — Idźcie we dwóch pod Rzucewo, a jakbyście spotkali moich piechurów, co nie zdążyli się wycofać na okręty, przyprowadźcie ich tutaj”. Potem dał nam po dwa czerwieńce i ruszyli my w drogę. Wszelako okrążając z daleka Puck, popadli my w ręce waszych ludzi, a ci ani słuchając, co powiadamy, gwałtem nas tutaj przywiedli.

— Żleście uczynili — zgromił komendant Ustarbow- skiego.

Szlachcic, urażony naganą, tym bardziej że spotkała go ona publicznie wobec chłopów i rybaków, wyprężył się i spojrzał w oczy komendanta.

— Wedlem rozkazu waćpana postąpił — odparł. — Zali to waćpan nie kazał każdego spotkanego na drodze

bez względu na jego tłumaczenia przyprowadzić do obozu?

— Racja — przyznał Sulicki. — Wždy zło odrobić trza. Pojedziesz wać w dziesięć koni pod Gnieźdzewską Górę i doniesiesz kapitanowi Appelmanowi, że w Puszczy Dar- żlubskiej stoi stu osiemdziesięciu wolontarzy gotowych na jego rozkazy. W tym sześćdziesiąt jazdy i dziewięćdziesiąt tęgich rybaków, którzy wielce przydatni w morskiej wojnie okazać się mogą.

— Na rozkaz waćpana — odrzekł Ustarbowski.

Zaraz też wyruszył ze swym oddziałem w kierunku

Małego Starzyna, aby z daleka ominąć Puck i bez utarczki dostać się na Swarzewską Kępę. Ledwie zaś tętent kopyt ucichł na leśnej drodze, Sulicki podszedł do pucczan grzejących się przy ogniu.

— Umiecie jeździć konno? — zapytał.

— Nie potrafią — odrzekł za nich stary Fabisz. — Rybak i pół pacierza nie utrzyma się na kobyli grzbiecie.

— Szkoda! — mruknął i pan Piotr. — Posłałbym was pod Rzucewo, byście mogli swoje spełnić zadanie. Ale piechotą stąd za daleko. Wyślę tedy oddział naszej jazdy.

Poleciał załatwić tę sprawę Maciejowi, bratu Andrysa Kura. Nakazał mu, by nie zwlekając ruszył w kierunku Osłonina i stamtąd «skierował Appelmana i jego rozbitków pod Gniezdźewską Górę. Odjechali, a młody komendant obszedł strażę i wrócił do szałasów. Nie zmrużył tej nocy oka, bo żaden z oddziałów nie wracał, choć aż poza północ świecił księżyc i łatwo było znaleźć drogę.

— Czemu ich dotąd nie ma? — pytał Jówy, którego co chwila budził ze snu.

— Wrócą nad ranem — ziewał brodac. — Kapitan Appelman z pewnością ich u siebie na nocleg zatrzymał.

— Wszelako Macieja Kura, którego pod Rzucewo wyprawił, także nie widać.

— Maciej tęgi knop. Nic mu się nie stanie — huknął olbrzym, przewrócił się na drugi bok i znów zachrapał donośnie.

Sulickiego wszakże -dalej dręczyły niepokoje. Wstał z postania i wyszedł na dwór. Na polafcie dogasały ogniska. Lekki podmuch budził leśne szumy, strącał rdzawe liście z odwiecznych buków. Księżyc zaszedł i noc nad

ranem zrobiła się ciemna. Sulicki oparł się o pień potężnej sosny. Myśli jego pomknęły w stronę Dębek, gdzie przed wyruszeniem z Odargowa posłał z rybackimi białkami swoją Barbarę.

— Żeby ta przeklęta wojna już się raz skończyła — westchnął. — Ona tam pośród wydm, ja tu w głuchym borze, a między nami śmierć i zgliszcza. Ej, niebogo moja, kiedyż to się wreszcie ipołączym wieczystymi ślubami.

Zaczynało świtać. Kłębiaste chmury ciągnęły ze wschodu nad szpicami czarnych świerków, koronami sosen i buków. Wilgoć kapiała z konarów. Z bud i szałasów powoli wychodzili ziewający maszopi. Wtem krzyknęły strażę ukryte w gęstwinie. Zaszleściły opadłe liście pod kopytami. Na drodze pojawił się w porannych oparach duży huf konnicy w czerwonych koletach.

— Jakieś obce wojsko! — krzyknęli Michał z Zychem.

Jówa zadał w mgłowy róg. Maszopi z toporami w rękach poderwali się na równe nogi.

— To nasi — uspokajał Jówę pan Piotr. — Na przodzie jedzie przecież Maciej. O tam, obok tego oficera dragonów. Trza ich godnie powitać.

Postąpił kilka kroków naprzód, zbliżył się do czoła kawalkady.

— Z kim mam honor? — zapytał obcy oficer wstrzymując konia.

— Piotr Bonin — Sulicki, komendant tej partii wolontarzy — przedstawił się młody szlachcic. — Wolnoż zapytać, kogo mam zaszczyt witać w mym obozie?

Oficer popatrzył na partyzantów, wygasłe ogniska, nędzne szałas i wychudłe konie przywiązane do pni drzew i usiłujące skubać zwiędłą trawę. Podniósł dłoń w łosiowej rękawicy, by podkręcić wąż i rzekł:

— Jestem Krzysztof Faliński, rotmistrz dragońskiej chorągwi spod komendy pana Lanckorońskiego.

— Czołem, mości rotmistrzu!

— Czołem, mości komendancie!

Faliński zeskoczył z kulbaki, uścisnął dłoń S Ulickiego. Potem długo rozmawiali w szałasie o bitwie pod Starzym, o utarczkach w Cetniewie, Chłapowie, Pucku...

— Chcieliby my połączyć się z wami — wyznał na koniec Piotr Sulicki.

— Nasze wojska stoją między Sławutowem a Połchowem...

— zaczął rotmistrz, kiedy zameldowano, że powrócił Ustarbowski wysłany z podjazdem ku Gnieźdzewu.

— Dawajcie go tu! — krzyknął Sulicki.

Wszedł szlachcic.

— Kapitan Appelman chętnie wcieli naszych chłopów i maszopów do swej morskiej »piechoty — mówił wysłannik. — Ale jazdy nie chce brać pod swą komendę,

— Konnicę waszą — przerwał Faliński — pan Lanckoroński chętnie jako wolontarzy przyjmie.

— Tedy rozstać się nam wypadnie — powiedział Sulicki do Jówy i Pomieczyskiego.

— Spotkamy się znów po wojnie — huknął osiłek. — Tero zaś jedno leno je ważne: żeby tych szwedzkich purtków z kraju wyżenąć.

Wieczór był spokojny i gwiaździsty, gdy grupa rybaków maszerowała z Małego Starzyna w stronę Łebcza, aby się przez tę wieś dostać do Gnieźdzewa. Zaraz za Łebczem na drodze zjawił się oddziałek piechoty. Kapitan Appelman wysłał go na spotkanie rybackim powstańcom. Razem weszli do pół spalonego Gnieźdzewa. Tu wyznaczono maszoperiom kwatery. Jówę zaś jako dowódcę zbrojnej kompanii zaprowadzono do chaty nad stawem, w której nad mapą rozłożoną na stole pochylał się kapitan Appelman i przy blasku ogarka przyglądał się planom puckiej warowni.

— Ty dowodzisz tymi wolontarzami, co dziś do nas doszlusowali? — podniósł się na widok stojącego w progu brodacza.

— Nie! Jom je szyper jastarnickiej maszoperii i mam leno z półtora mendla maszopów — odparł wielkolud. — Było nas pół kopy, a reszta zginęła pod Wielkim Starynem. Inne maszoperie mają swoich szyprów.

Oparł o ścianę ipotężny topór i zbliżył się do stołu. Głowę musiał pochylić, by nie zawadzić o belki powały. Kapitan z podziwem spojrział na roslą postać odzianą w łosiowy kolet z białym kołnierzem — spadek po kapitanie Knutsenie, a potem zwrócił oczy na topór.

— Gdzieś zdobył ów katowski oręż?

— Pod Sztokholmem, na szwedzkim okręcie, jak wojowałem o dziedziczny tron naszego króla jegomościa,

— Toś służywał we flocie?

— Prałem na szwedzkich wodach nieprzyjaciół naszego pana. Ludzie tam padali jak imuchy. Okręta ginęły, ale mnie i mój topór Bóg uchował. Snadź .po to, bym dalej prał tych morzkulców.

— Rezolut z ciebie — pochwalił go kapitan. — Mianuję cię tedy starszym nad tymi ludźmi, którychś przywiódł. Będziecie pełnić służbę :na brzegu i na morzu, boć przecie morscy z was żołnierze.

— Jo jem szyper mojej, jastarmickiej maszoperii — powtórzył z uporem Jówa. — Inne maszoperie mają swoich szyprów, a chłopami z nama przybyłymi komenderuje sołtys Pomieczynski ze Swarzewa. Tak je i tak niech ostanie!

— Dobrze — zgodził się komendant. — Ostaniecie szyprami, a każdy będzie podlegać jeno mojej komendzie Masz jeszcze jakie życzenia?

— Mam!

— Jakie?

— Żebyśmy się mogli na morzu bić, bo na tej przeklętej glinie jeśmy się już dosyć nałazili. Wilcy po borach na nas zęby wyszczerzali...

— Zgoda i na to — uśmiechnął się dowódca. — Szkoda by było, gdyby takiego jak ty stolema wilcy zjedli. Ale, ale... jam jako wilk głodny. Zjesz ze mną wieczerzę?

— Gwesno!

— No to siadajmy do stołu.

Zgarnął mapy. Żołnierze wnieśli misy i dzban dubeltowego, okrętowego piwa. Szyper pił i jadł za siedmiu, gadając jak to nawigował do Szwecji, służył na korabiach pana Wejhera, napadał .na szwedzkie nawy i krypy. W końcu opowiedział o swych ostatnich przejściach w Jastarni, na morzu i lądzie.

— Zginęły moje cztery córki — wzdychał. — Ostałem sam z moim toporem na tym świecie. Będę nim Szwedów prać, póki nie pomszczę moich dzeusów, nieboszczyka Kresztofa i Miszka Domienika, którzy mnie uczyli okręt- niczego rzemiosła.

Była już późna noc, gdy Appelman pożegnał osiłka i kazał go odprowadzić sztyldwachowi do kwatery.

Wyszli. Księżyc przyświecał z jasnego nieba. Między ocalałymi chałupami grzali się żołnierze przy ogniskach, nad którymi kołysały się okopcone sagany ze strawą go

towaną na wieczerzę. Okno chałupy odbijało się w stawie żółtą smugą. W dali na puckim gościńcu, w stronie mostu na Płutnicy nawoływały się warty.

— No i jak tam było? — zapytał Jówy Pomieczynski, który nie mógł zasnąć w kwaterze i wyszedł przed chatę, by popatrzeć ku swemu niedalekiemu Swarzewu.

Dobry chłop z tego Appelmama — odparł stołem. — Przystał na wszystko, czegom zażądał. Wieczerzą mn)e' ugościł. Tęgiego piwa dał. Ludzki człek, nie ma co gadać. Szkoda jeno, że luterskie miano nosi.

I pobożnie ucałowawszy krzyżyk długiego różańca jał odmawiać wieczorne modlitwy.

inał dzień świętego Marcina. Puckie pola pokryła gruba warstwa śniegu. Nisko po. bławym niebie toczyło się chłodne, choć oślepiające słońce niecąc srebrne iskry na lodzie, który skuł nocą zatokę. Dął -mroźny óst. Daleko za lodową taflą siniało Małe Morze i białe żagle. To szwedzkie okręty, nie mogąc już dobijać po łup do Pucka, czekały na odwilż i zachodni wiatr, który oczyszczał Wik z gęstej kry.

Pod wieczór zaczęły się śnieżne łany mrzezińskie. Jak sztorm sunęli nimi dragoni obersztera Lanckorońskie- go, odkomenderowanego przez pana Koniecpolskiego do oswobodzenia Pucka. Jechali przez spalone, wyludnione i obrabowane wsie, gdzie daremnie byłoby szukać wiwen- dy czy kwatery. Spieszyli o głodzie i chłodzie pragnąc jak najspieszniej odebrać wrogom stary, nadmorski gród.

Rotmistrz Faliński szedł zer swą chorągwią na czele. Strzemię w strzemię z nimi jechali Piotr Sulicki i Andrys Kur. Przebyli smoliński wawóz i stanęli na żelistrzew- skim wzgórzu. Zmordowanym koniom waliła para z nozdrzy. Nad zgłiszczami Żelistrzewa krążyły czarne wrony i białe mewy. W dali w. ostatnich blaskach zachodu czerwieniała opodal zamku, nad zatoką przysadzista fama dzwonnica.

— Puck — wyciągnął rękę Kur.

-r- Zaraz będzie zmierzch, najlepsza ipora, by zająć znienacka miasto — dodał Sulicki. — Zawždy o zmroku Szwedy wracają z łupami i czekają «na nich bramy na ścieżaj otwarte. Jeno czy wszystko gotowe do wykonania naszego zamysłu? ^ *

— Skoro staniem w mieście, reszta «dragonów skoczy nam w sukurs — zapewnił rotmistrz. —

Wysłałem też gońca pod Gnieźdzewską Górę do kapitana Aippelmana* by stał w gotowości. Błota zamrożnięte. Łatwo mu będzie przyjść w porę z pomocą. ^

Gdy mrok poczerzył pucką farę i zamkowe mury, a na niebie błysła pierwsza gwiazda, wojsko ruszyło. Pod końskimi kopytami skrzypiał śnieg. Sulicki z polecenia rotmistrza wysłał Andrysa z małym podjazdem na darżlub-ską drogę, bo tamtędy najczęściej wracali w ostatnich dniach Szwedzi z towarami zagrabionymi w okolicy Lęborka.

— Po ciemku z kolumną wozów i stadami bydła łącno dostaniem się za mury — obiecywał pan Piotr Faliński, kiedy Anidrys Kur, wróciwszy ze zwiadu, doniósł, że długi wąż zrabowanego bydła i ładownych furgonów zbliża się pod eskortą rajtarów ku Gdańskiej Bramie.

Faliński natychmiast wydał rozkazy. Podjechali ukradkiem pod Pucką Wieś i rozdzielili się na oddziały. Piotr Sulicki wysłał Andrysa w dziesięć koni na placówkę położoną o jakieś dwie kopy sążni przed bramą, sam z resztą wolontarzy ułożył się za ruinami spalonej chaty na końcu wioski, dragoni zaś stanęli w pobliżu, w odwodzie, by w ślad za partyzantami wsunąć się do miasta.

Wschodni wiatr wiejący za dnia teraz całkiem osłabł. Zaległa wieczorna cisza.

— Niedobrze — mruknął któryś z żołnierzy Kura. — Słysząc każdy krok, każde skrzypnięcie śniegu.

— Cicho — syknął Andrys. — Już ciągną.

Z ciemności wyłoniły się pierwsze wozy, za nimi rajtarzy ppgamali tabun porykującego bydła. Gdańska Brama otworzyła się na oścież. Kur dał znać Sulickiemu:

— Czas!

W tej chwili jeden z wozów ugrzązł po osie w zaspie. Woźnice podnieśli krzyk, jęli trzaskać z biczów. Piotr Sulicki korzystając z zamieszania podjechał z resztą wolontarzy do Andrysa. Jeźdźcy ukryli się za końskimi

grzywami, wysuwnęli się na drogę i w ciemności, razem z ipędzonym bydłem, dopchali się pod bramę przez nikogo z wrogów nie zauważeni. Wtem zagrzmiały podkowy. To chorągiew Falińskiego ruszyła galopem.

— Polacy! — krzyknął któryś z rajtarów. — Polacy od wsi szturmują!'

Sulicki, Kur i jeden z dragonów zdołali przedostać się do miasta, ale przed nosami reszty nadjeżdżających zatrzasnęły się wierzeje. Sulicki natychmiast osadził konia i zawrócił do bramy, Kur wraz z dragonem rąbali szablami po łbach szwedzkich furmanów i poganiaczy, by utorować sobie odwrót i otworzyć wrota wojsku polskiemu. Ale Szwedzi sypali się jak z miecha. Z muszkietami i berdyszami w rękach pchali się na mury, biegli ma pomoc kamratom broniącym zamkniętej bramy.

— Brać ich! — krzyczał Heine, świeżo przez wroga kreowany burmistrz pucki. — Chwytać! Łapać, a złapawszy ubić!

On to spostrzegł z muru zbliżające się wojsko i spieszenie zatrzasnął wzniciądzę, a teraz zasuwiał rygle, ukryty w bramnej wnęce za wozem z kwiczącymi wieprzami.

Trzej nasi jeźdźcy zeskoczyli z koni, by rozsiekać zdradzieckiego mieszczanina.

— Ubijem cię, łyku przeklęty — zagrozili, lecz natychmiast osaczyły ich dziesiątki Szwedów[^]

Oparli im o piersi długie lufy muszkietów, wykręcili im ramiona, wydarli szable.

W głębi ulicy zamigotały pochodnie. Od zamiku przy- cwałował z kilku rajtarami wąsaty kapitan Kaspersen.

— Żywcem ich brać! — krzyknął z dala. — Potrzeba nam języka!

Oburzył się ma to Heine.

— Ubić! — sprzeciwił się głośno. — W sztuki rozsiekać! Obrazili mnie srodze! Łykiem przeklętym nazwali f Nie daruję im tego!

— Łeb ściąć szelmie, co moim się sprzeciwia rozkazom! — ryknął rozwścieczony oficer nie poznając po ciemku szwedzkiego służalca.

Zdradzieckiemu burmistrzowi pysk zdrętwiał.

— Za twoje myto jeszcze cię obito — mruknął i przestraszony dał nurka między wozy i bydłota.

Tymczasem Kaspersen skinął na jednego z rajtarów, by mu poświecił żagwią i zajrzał do oczu Sulickiemu trzymanemu przez kilku knechtów.

— Kto wy? — zapytał jeńców. — Co to za wojsko przyjechało pod bramę?

Odpowiedzieli mu głuchym milczeniem.

— No, zabiorę was na zaanek! Tam rozwiążą się wam języki! Będziecie śpiewać jak kanarki — zagroził i zwrócił się do żołnierzy stojących iprzy bramie. — Któż to tak gracko zawarł wrzeciądzę?

— Nie wiemy — odparli. — Nie było nas tu, panie kapitanie.

Na to odezwał się jakiś stary woźnica, który stał w pobliżu, tuż koło narożnej 'kamieniczki, trzymając krótko przy pysku swoją spłoszoną szkapę zaprzęgniętą do sań.

— Jegomość burmistrz uczynił to!

— A gdzie on?

— Uciekł, by ratować głowę, którą kazaliście mu uciąć. Zasłużył dobrze na to!

Ale Szwed udał, że nie spostrzega tej złośliwości. Nie miał czasu na dalsze rozmowy z chłopem.

Kazał jeńców odprowadzić na zaimek i wdrapał się na wały, gdzie muszkiety trzeszczały jak płonący jałowiec.

— Puszkarze do dział — zakomenderował. — Ognia! Zahuczały armaty.

— Cofają się — zabrzmiały niebawem radosne okrzyki Szwedów.

Rzeczywiście, Krzysztof Faliński, przekonawszy się, że nie uda mu się zająć zniemacka Pucka, dał rozkaz odwrotu na Żelistrzewo. Kaspersen zszedł z wałów. Przypomniawszy sobie zajście z Heinem i zasępił się mocno.

— Do stu czartów! — zaklął pod wąsem.

Wiedząc, że komendant Pucka, podpułkownik Sython, któremu niedawno bogaty mieszczanin Marcin Rokitka dał swoją urodziwą córkę za 'żonę, wysoko ceni puckich sprzedawczyków, polecił odszukać burmistrza. Po dłuższym czasie odnaleziono zdrajcę przyczajonego w jakimś kącie.

— Omyliłem się był — przeproszał go kapitan. — Myślałem, iż to ktoś inny głos podnosi. ^

I uściskał mu prawicę z taką siłą, że łyk zapiszczał jak szczur.

— Chodźmy na zamek — ciągnął Szwed. :— Opowiem komendantowi o waszym czynie, któremu ocalenie miasta zawdzięczamy.

Objął burmistrza z udaną przyjaźnią i prowadził ku zanikowi. Ulice były puste. Gdzieś jeno błyskało światło w oknie. Nie spotkali po drodze nikogo. Dopiero koło fary i plebanii wyłoniło się z ciemności kilka osób.

— Kto tam? — zapytał kapitan sięgając po pistolet.

— Komendant Sython — odezwał się głos po przeciwnej stronie. — A wy?

— Nie poznaliście mnie? To ja, Kaspersen.

— Z kim idziecie?

— Prowadzę burmistrza! On to dziś w samą porę zatrzaskał bramę i ocalił na® przed napaścią. Jemu zawdzięczamy, że nas Polacy nie wiodą w łykach!

Kulawy Sython uściskał rękę zdrajcy.

— Nie ma w tym kraju dla nas chwili spokoju — rzekł ponuro. — Tu grom może uderzyć każdej minuty. Tym bardziej wiernych a oddanych ludzi cenić należy.

Heine, zadowolony z uznania, pokraśniał jak słońce

o zachodzie.

— Żeby nie Rokitka z tą córką, byłbym pierwszym w całym Pucku — pomyślał.

Razem podeszli do zamkowej furty. Zakołatali, podali hasło:

— Kalmar!

Zazgrzytały odsuwane zawory.

— Posłałem w chwili napadu knechta do waszej żony

i teścia, by się schronili na zamek — chwalił się Kaspersen.

— Bogu dzięki, niebezpieczeństwo już nam nie grozi — odrzekł komendant. — Ale dobrze, że przyjdą! Będziemy ucztować do samego rana. Obiecałem żonie biesiadę wyprawić jna jej pożegnanie z Puckiem.

— Pożegnanie? — powtórzył Heine.

— Skoro lód choć na chwilę odpłynie, każę ją wywieźć na jakiś czas do Szwecji. Tu w tym kraju człek ciągle jedną nogą w grobie. Ot i dziś! Gdyby inie nasz burmistrz, już byśmy byli w rękach wroga. A nie wiadomo, co jeszcze uknują Polacy. Nigdy po prawdzie nie pobiją naszego przesławnego wodza, jego królewskiej mości Gy-stawa Adolfa, ale Puck mogą zająć.

Heine usłyszawszy te słowa .poczuł się tak, jakby go kto przebił puginałem.

— Maryja, Józef! — przeląkł się. — Co będzie, jak nasi Puck zajmą? Wtenczas, chyba, jak dwa a dwa cztery, rozdziobią mnie wrony na szubienicy.

Weszli przez strzeżoną furtkę na ganek zamku. Pod ponurym ceglanym sklepieniem ipaliły się świece w miedzianym pająku. Kaspersen otworzył boczne drzwi i wkroczyli do dawnego refektarza, a dziś sali sądowej lub też w razie potrzeby — biesiadnej. Tu przed stołem stał młody żołnierz pilnujący trzech jeńców ze związanymi rękami. Słaby blask świec padał na ich zacięte posępne twarze.

— Tych przyłapano już za bramą — rzekł kapitan do Sythona. — Kazałem ich (sprowadzić do tej komnaty, byśmy mogli wziąć ich na spytki.

Szwed zmierzył jeńców surowym wzrokiem od głów do stóp, zdjął szerokoskrzydły kapelusz, poprawił długą perukę i nie zdejmując koletu siadł w poręczastym krześle, wskazując sąsiednie Kaspersenowi i Heinemu. Rozparli się w nich. W tej chwili zaskrzypiały drzwi. Do sali wkroczył kłamiając się niisko Marcin Rokitka — krępy i łysawy mieszczainin z obleśnym uśmiechem na czerwonej gębie. Przy nim stąpała jego córka w powłóczystej, niebieskiej szacie i białej, rurkowanej krezie.

— Dobry wieczór, miły panie zięciu — giął się przypoehlebnie pucki łyk.

Młoda mieszczka widząc blade twarze i (związane ręce jeńców, posmutniała. Ojciec zaraz

chwycił ją pod rękę i posadził na zydlu obok komendanta, jakby składał ofiarę pogańskiemu bogu. Smukła, wątła, białolica wyglądała przy Sythonie — szpakowatym kulasie z olbrzymim nosem i rudą brodą — niby upolowane zwierzątko przy niedźwiedziu. Rokitka rozsiadł się przy Heinem i wpatrzył się w zięcia niby w bożka, ten ibowiem przyrzekł mu w dzień zaślubin, że obdarzy go wsiami po nieboszczyku Wejherze.

— Zaczynamy przesłuchy! — zagrział kulas.

Jak najprędzej pragnął się dowiedzieć od jeńców, co to za wojsko podeszło pod Puck. Nie czekał więc na przybycie reszty starszyny, tylko sam zaczął po niemiecku wypytywać jeńców. Ci jednak zmówili sędę snadź, że nie

rozumieją tego języka. Zniecierpliwiony ich milczeniem zlecił przesłuchiwanie burmistrzowi.

— Co to za wojsko usiłowało zająć Puck? — zapytał głośno i dobitnie sprzedawczyk.

— Oto my trzej — odrzekł szlachcic w poszarpanym żupanie.

— Co on mówi? — zapytał Sython.

— Powiedział, że to oni trzej — przetłumaczył burmistrz.

— Spytaj drugiego! Zaraz nauczymy ich po ludzku odpowiadać.

— Skąd tu wasze wojska przybyło? — ryknął Heine do Kura.

— Za ojczyznę — odpowiedział Kur.

— Co wy gadacie? — zniecierpliwiał się gruby mieszczuch. — Nie wiecie, że możem was za krnąbrność powiesić? — I zwrócił się do dragona: — Tyś jest w wojskowym mundurze! Ty powiesz nam prawdę bez wykrętów jak żołnierzowi przystało.

— Oto prosto — rzekł trzeci jeńiec wyprostowany po żołniersku.

Gdy Heine przetłumaczył odpowiedź dragona, Sython zerwał się z krzesła, chwycił raipier, rąbnął klingą w dębowy stół, aż zadygotały płomienie woskowych świec. Kulejąc podszedł do Kura i ryknął:

— Skąd tu przybyliście?

Andrys nie drgnął. Spojrzał kuternodze prosto w źrenice i wypalił jednym tchem:

— Za ojczyznę!

— Nie potrafisz mówić? — wściekł się Sython, tupiący w pasji o posadzkę. — Poszaleliście, kipy? Powiadajcież!

— Oto prosto — odpowiedział dragon podnosząc dumnie głowę i drwiąc z komendanta w żywe oczy.

Wtem znów skrzyknęły drzwi. Do komnaty wszedł sędziwy podpułkownik Ziethen prowadząc ospałego burgrafa Karlsena i trzeciego z puckich renegatów — rajcę Żelka.

— Co tu się dzieje? — zaimamrotał jbezzębnymi ustami.

— Mamy jeńców, ale słowa nie można z nich wydostać.

Stary weteran, nie wiadomo ilu wojen, spojrział na jeńców.

— Niech ich przepyta Karlsen — mruknął pod wusem. — On zna ich język. A jak «nie uda się z nich nic wydobyć, wyprowadzimy ich za mury i powiesimy» na suchych gałęziach, na postrach wrogom.

— Co to za wojsko się pojawiło w okolicach? — zapytał burgraf Piotra Sulickiego.

— Oto my trzej — padła odpowiedź.

— Czy on nie rofeumie po polsku? — zwrócił się gruby burgrabia do Andrysa.

— Za ojczyznę — odpowiedział Kaszuba.

— Co to za ludzie? — zagadnął zniecierpliwiony już Ziethen dragona.

— Oto prosto — odpowiedział żołnierz w czerwonym kaftanie.

Rudobrody Sython przestał do reszty panować nad sobą i krzyknął, aż się echa rozległy pod żebrowaniami gotyckiego sklepienia:

— Jutro nim słońce wzejdzie, będzie was huścić wiatr na gałęziach drzew przy gościńcu,

— Sprawiedliwy wyrok — powtórzyli trzej puccy mieszczanie.

Jeńcy stali bez drgnienia na środku refektarza.

— Źle by było, gdyby Polacy zdobyli Puck, a ci trzej byłiby jeszcze przy życiu — szepnął Heine do Żelki. — Świadczyliby przeciw nam.

Tymczasem siwy Ziethen rzekł:

— Poczekajmy lepiej z tą egzekucją.

— Dlaczego?

— Zmienił się wiatr. Idzie odwilż. Kra znika z zatoki, każdej chwili może tu wrócić admirał i oberszter Horn. Niech oni zadecydują o losie tych ludzi, a my do tego czasu może coś jeszcze z tych

milczków wyciągnięciem.

Sulicki zrozumiał te słowa i ucieszył się, że mają przed sobą kilka dni. W duchu spodziewał się, że Polacy wkrótce powtórzą szturm i zdobędą miasto, nim Gyllenhjelm, który wraz z Hornem pojechał do Piławy na pożegnanie Gustawa Adolfa odpływającego do Szwecji, powróci do Pucka, a Horn, królewski krewniak i faworyt, obejmie rządy na tutejszym zamku.

— Każ odprowadzić ich do więzienia — zwrócił się kulawy komendant do burgrafa.

Wyprowadzono ich.

Syhtonowa- odetchnęła jakby z ulgą, słudzy zaś szybko zastawili stół tęgimi trunkami i misami jadła. Rozpoczęła się uczta. Pito zdrowie Gustawa Adolfa, wznoszono toasty po kolei na cześć szwedzkich pułkowników, pamiętano też o burmistrzu, który mimo tych względów siedział osowiały u końca stołu.

O grube okrągłe szybki wysokich okien komnaty uderzał ostry wiatr, niosący chrobot kry na Wiku. Dygotały płomyki świec, dzwoniły konwie i ipuchary.

— Wychylmyż zdrowie naszego wiernego burmistrza.— powtarzał raz. po raz Sython. Niech nam żyje!

Zdrajca jednak nie rozchmurzał czoła. Podniósł wprawdzie kielich, lecz oczy wbił ponuro w dębowe deski stołu.

Nieco późno przypomnieli sobie o minie — myślał. — A przecie jam tu powinien być dzisiaj najważniejszą personą. Jam ocalił zamek i miasto!

Sython rychło zauważył, że Heine nie ma humoru. Poklepał, go po ramieniu i rzekł, z pijacką otwartością:

— Szczęście, że waść w porę zatrzasnął bramę. Nam by było źle, ale wam gorzej. Polacy z pewnością obłupiliby was ze skóry!

Heine wychylił puchar, przetarł rękawem usta, bo wydawało mu się, że miód zaprawiony jest goryczą.

A tom popadł w kabałę — zżymał się w duchu. — Bodajbym się raczej .z Belzebubem niżli z tymi Szwedami pokumał. Straszysz mnie, nosalu? Poczekaj. Będę służył odtąd na dwie stromy. Diabłu ogarek, a Panu Bogu świeczkę zapalę. Może wtedy -pucainie zapomną, zem ich batem napędzał do szwedzkich szarwarków.

Pili zrabowany miód, jedli skradzione kury. Popuszczali pasów, nie troszcząc się, że w Pucku z dnia na dzień szerzy się coraz większy głód.

— Na sławę naszemu panu! — wołali. — Na zgubę Zygmunтови!

Gdański zegar Stojący w rogu komnaty wskazywał już północ, gdy pułkownik chwycił młodą żonę i powiódł do swej kwatery. Trzech mieszczan Kaspersen kazał odprowadzić do ich kamienic, bo cna ulicach nie było bezpiecznie.

Na rynku przed ratuszem palił się ogień. Szweda smażyli byka tna różnie. Z sizynkowni wytaczano, mimo próśb

szynkarza, beczki piwa. Po zaułkach sanuły się cienie, rozlegały żołdackie klątwy i krzyki niewieście.

— Sodoma i Gomora — mruknął burmistrz i przyświecając sobie latarnią jął co tchu kołatać do drzwi swego domu. — Otwierajcie! Otwierajcie żywo!

hłodny, porywisty wiatr od morza pędził z wydm żółtawe tumany piachu, targał czuby pochyłych sosen, bił w ściany starej checzy, gdzie Barbara pomagając w gospodarstwie Michałowej białce z .niecierpliwością czekała wiadomości od swego narzeczonego. Martwiła się też o swoich braci, którzy służyli w morskiej piechocie pod dowództwem kapitana Appelmana. Nic dziwnego, że wielka była jej radość, gdy kiedyś o zmierzchu ujrzała przez okno zgarbioną postać Michała zmierzającego strą- dem od strony Rozewfckiej Kępy. Ale wnet uciecha jej zgasła.

— Twój Piotr i Aindrys Kur w niewoli — powiedział zaraz w progu młody szyper. — Ułapali ięh pod Gdańską Bramą! Siedzą pano w lochu w puckim zaimku. Tak gadał mi Maciej Kur, którego onegdaj był spotkał.

Zdrętwiała dziewczyna. Wiedziała pd ojca, jak okrutnie Szwedzi się obchodzili z wziętymi do niewoli kaprami. Padła na ławę pod piecem i zalała się łzami. Wnet wszakże błysnęło jej «w głowie, że płaczem narzeczonemu nic nie pomoże. Wpadła na pomysł, by udać się pod Rozgard na pucki brzeg, gdzie w samotnej checzy mieszkał jej wuj, skutnik Selin.

— Będę bliżej Piotra — mówiła do krewnych — może mi też tam Swarzewska Panna nadarzy sposobność jakowej pomocy.

I nazajutrz ruszyła z Dębek. Był mglisty poranek. Pokrzywione sosny .na wydmach okrywał siwy szron. Błotne kaczki opuszczały mokradła i leciały nad morze szukać żeru. Ona zaś szła przez Odargowskie Błota, aż dostała się na trakt wiodący z Żarnowca do Pucka.

Zaczął padać drobny deszcz. Mgła rzedła. Domieników- na rozglądała się po gościńcu, czy jakie sanie mę posuwa

ją się w stronę miasta. Ale okolica była jak wymarła. Nad zgliszczami spalonych wvsi królewskich i klasztornych krakały zgłodniałe wrony. Nie tknięto jedynie włości renegatów, gdzie z kominów chat i dworów snuły się niskie dymy.

Postanowiła okrążyć z daleka te zdradzieckie gniazda, bojąc «się, by ją tam coś złego nie spotkało. Zeszła z drogi, lecz głębokie rozmokłe śniegi zmusiły ją do powrotu na trakt. Wędrowała dalej czamosmym żałobnym Gościńcem Pomorskim. Śnieg topniał i opadał z gałęzi przydrożnych

drzew. Deszcz gęstniał i ciał ją po twarzy.

Przyspieszyła kroku, by nim wieczór nadejdzie stanąć u wuja. Minęła, przez nikogo nie zatrzymywana, ośnieżony zamek krokowski, minęła pogorzelnisko Sławoszyna, którego mieszkańcy co do jednego uszli w lasy, za Lębork. W Sulicach zajrzała przez uchyloną wrótnię, by zobaczyć dwór, w którym urodził się i wyrósł jej miły. Cofnęła się jednak prędko. Na dziedzińcu koło studni pachołcy poili konie, przed gankiem kręciło się kilku rajtarów w szerokoskrzydłych kapeluszach.

— Pewno Bartosz Sulicki znów zamierza pospołu z wrogami na rabunek ruszyć — pomyślała i chyłkiem wymknęła się z wioski.

W dalszej drodze napotkała jedynie okopcone gruzy

i zwaliska spustoszonych osad. Za Połczynem ujrzała wieże i dachy Pucka. Ominęła z daleka warowną siedzibę Szwedów i brnąc w topniejących zaspach, na przełaj polami dotarła do brzegów zatoki.

Deszcz zamienił się w ulewę. Znużona i przemęczona wlokła się skrajem skaipy, aż spostrzegła w dali samotną checz swego wuja, przy której czerniały wręgi

i kadłuby łodzi. Serce zaczęło jej raptem bić szybciej. Pobiegła w stronę skutniczej zagrody. Zdziwiona, że nikt nie wychodzi na jej spotkanie, wezła przez wyrwane drzwi do chaty i stanęła jak wryta.

W izbie fruwały białe pióra z rozprutych pierzyn, pod piecem zaś leżał skrwawiony trup starego skutnika. Pochyliła się nad nieboszczykiem. Dokoła poniewierały się rozbite sprzęty, zerwane ze ścian, (zbezczeszczone wizerunki świętych z wyklutymi oczami, »połamany krzyż. Rozpłakała się jak małe dziecko.

— Panie Jezu — szlochała z rozpaczą. — Boże, któryś

pozwolił się siepaczom szarpać za włosy, bić i krzyżować, nim zwycięsko wstałeś z grobu, długoż jeszcze będziesz cierpliwie z niebios patrzył na szwedzkie gwałty

i zbrodnie?

Uklękła i ukrywszy twarz w dłoniach długi modliła się za duszę zabitego. Zrobiło się już chłodno i w izbie zapanował mrok, kiedy wreszcie podniosła się z klęczek. Wyszła na dwór, sama nie wiedząc dokąd iść. Przystanęła obok czarnego szkieletu skutny i przy swemu przerażeniu zauważyła, że od strony Pucka csbliża się do checzy oddziałek rajtarów. Na jego czele jechał wachmistrz w podeszłym wieku, otulony w mokrą opończę. Nim zdążyła zerwać się do ucieczki, już ją otoczyli i pojмали.

— No, mamy przynajmniej kogoś r—- mrucał wachmistrz. — Kazali mi przywieźć języka, pół dnia szwen- dałem się po okolicy i dopiero teraz powiodło mi się kogoś spotkać. Wolałbym jakiego chłopca, ale na bezrybiu

i rak ryba! Dobrze, iż nie powrócimy z pustymi rękami

Kazał dziewczynie iść przed oddziałem i zawrócił roz* grzęzłą stęgną do zamku widniejącego na północy. Kopyta końskie zapadały głęboko w zmieszany z błotem, pociemniały śnieg. Ptactwo krzychało nad lodowiskiem bielejącym w dole na Wiku. Wiatr targał rajtarskie opończe i suknie branki.

— Krasna dziewika — zachwycał się któryś z rajtarów patrząc na zarumienioną Barbarę (kroczącą przed końmi).

— Kwitnie jak róża, choć to przecie zimą — przytaknął drugi.

Domienikówna domyśliła się, że prowadzą ją do Pucka, tam gdzie w zamkowym więzieniu siedzi pan Piotr,

i myśl, że z każdym krokiem zbliża się do ukochanego, osładzała jej niedolę. Szła tak szybko, aż dziwili się żołnierze.

— Branki, któreśmy iprzędtem prowadzili tą samą drogą, ledwie się wlokły i wyrywały sobie z rozpaczny włosy z głowy, a ta spieszy się jak na wesele.

— Żeby kapitaın Kaspersen nie wydał tak surowego rozkazu, by czym . prędzej z językiem wracać, 'mogliby my jej zaraz tu wesele wyprawić.

jt" O tym pewnie już panowie oficerzy pomyślą, bo warta grzechu. Ba, urodziwsza niżli żona samego Sythona!

Tak gwarząc przeszli zwodzony most i weszli Rybacką

Braimą do miasta. Na uliczkach, pomimo zmroku i deszczu, aż się roiło od Szwedów, natomiast mieszczan daremnie byłoby tu szukać. Kryli snadź się po domach i unikali spotkań z nieproszonymi gośćmi.

— Stój — krzyknął wachmistrz, gdy dotarli do zamku.

Rajtarzy zsiadli z koni i opowiedziawszy się sztyldwachom wprowadzili Barbarę w głąb zamkowej bramy.

Kapitaın Kaspersen siedział właśnie w izbie cekhauzu, oświetlonej przez ogień płonący na kominie, gdy wachmistrz wprowadził Barbarę.

— Kto to? — krzyknął ujrzawszy dziewczynę i wlepił w nią swoje rybie oczy.

— Pojmali my ją w domu skutnika za Rozgardem — zameldował wachmistrz. — Nikogo innego nie udało się nam schwytać. Drogi puste, jaik wymiecione.

— Możesz odejść, Karl — odprawił go Kaspersen i zaczął wypytywać dziewczynę.

Na próżno jednak kapitan się do niej łagodnie uśmiechał i cierpliwie powtarzał pytania. Barbara w odpowiedzi bezradnie wznosiła ramiona na znak, że nic nie rozumie. Wziął ją więc pod rękę i poprowadził z cekhauzu na zamek, do refektarza, gdzie tego wieczoru zebrali się oficerowie puckiego garnizonu, by raz jeszcze przesłuchać dziwnych jeńców, kórych lada moment miano dostawić z zamkowego więzienia.

— Nasz podjazd — zaczął kapitan — przywiódł brankę z dzisiejszego patrolu. Wždy trudno się z nią rozmówić. Nie zna naszej mowy.

Siwy, pomarszczony Ziethen spojrzał na Miskównę, której kształty ciasno oblepiały do cna przemoczone suknie. Drgnął. Poprawił swój biały, ozdobiony niderlandzkimi koronkami kołnierz.

— Ja z nią pogadam — rzekł. — Znam trochę ich mowę. — Skąd ty? — zwrócił się do dziewczyny stary weteran.

— Spod żarnowieckiego boru — odrzekła.

— A jam mniemał, że z rajy — uśmiechnął się zgrzybiały galant. — Boć też bardziej do anioła niżli do białogłowy jesteś podobna. Wierzę też, że nie pokalasz kłamstwem ślicznych swych usteczek.

— Zaprzysięgnijcie ją — poradził szeptem tłusty burgrabia. — Oni tu są bardzo religijni. Skoro jeno dwa palce na kurcyfiksie położy, z pewnością powie całą prawdę.

— Ale skąd krzyż wziąć? — zafrasował się Ziethen.

— Zaraz przyniosę — ofiarował się burgrabia Karl- sen. — Był tu niegdyś, alem kazał go zabrać do komory.

Wyszedł. Po chwili wrócił z krucyfiksem w rękę. Ziethen kazał Barbarze powtarzać słowo w słowo za sobą:

— Obiecuję, iż wszystko co powiem, szczerą prawdą będzie. Tak mi dopomóż Bóg i Święta Jego Męka.

Domienikówna złożyła ślubowanie.

— Powiedz, dziewczeczko, zali nie napotkałaś po drodze jakiego wojska? — natychmiast ją indagować Ziethen.

— Tak — odparła.

— Kędy?

— Tutaj, niedaleko Pucka.

— Go to było za wojsko?

— Konnica.

— Polska?

— Nie, szwedzka!

Ledwo Ziethen zdążył przetłumaczyć odpowiedź branki, a już wszyscy oficerowie zerwali się i jęli wypytywać jeden przez drugiego, zapominając, że dziewczyna nie rozumie, o co ją pytają.

— Szwedzka konnica?

— Nie może być!

— W których stronach ją spotkałaś?

— A siła ich była?

Stała przed nimi wyprostowana, wpatrzona w krucyfiks postawiany na środku długiego dębowego stołu. Długie warkoczki zwieszały się jej niemal do posadzki. Szwedzi z radością patrzeli na piękną zwiastunkę dobrej, jak mniemali, nowiny.

— Snadź generał Wrangel przysłał nam posiłki — pogładził rudą brodę kuternoga. — Przyda nam się regiment rajtarów.

— Dobrze się tedy naszym w tej wojnie wieść musi, skoro jęneralicja może garnizon nasz wzmocnić.

— Gdzie spotkałaś to wojsko? — pytał dalej Ziethen, dając znak pozostałym, by się uciszyli i nie płoszyli dziewczyny.

— Opoдал Bładzikowa — wyjaśniła spokojnie.

Dużo ich było?

— Nie rachowałam.

— W jaką stronę wojsko to zmierzało?

— Na Puck ciągnęli — odparła zgodnie z prawdą.

Tu otworzyły się drzwi. Młody dozorca wprowadził na

salę trzech więźniów ze związanymi rękami. Sython nie mogąc się doczekać powrotu admirała postamowił po raz wtóry wziąć /na spytki krnąbrnych Polaków.

Ziethen wskazał Barbarze ławkę włókiennej niszy:

— Poczekaj taim, ipanno miła, póki nie przesłuchamy tych trzech łotrów.

Posłusznie poszła ku oknu i przycupnęła na skraju kamiennej ławy. Spojrzała na więźniów i serce podeszło jej pod gardło. Poznała Piotra. Zarośnięty, obdarty, wynędzniały, z rękami związanymi na plecach, stał obok Anid-rysa Kura. Trzeciego jeńca w diragońskim kolecie nie znała.

— Darc — krzyknął komendant jna dozorcę, który zatrzymał się z więźniami tuż przy drzwiach — podprowadź ich bliżej!

— Wedle rozkazu — odparł.

Dziewczyna drgnęła, bo głos wydał się jej znajomy. Wychyliła się z niszy. Tak! Nie omylił jej słuch. To był koksmat z Knutsenowej nawy!

Dotarł widać po rozbiciu do Pucka i tu mianowaino go więziennym strażnikiem. Uśmiechnęła się doń, skinęła lekko ręką. Nie uszło to wzroku pana Piotra, który poznał Barbarę, skoro jeno tylko wszedł do sali.

— Zaczynajcie — rozkazał burgrabi rudy Sython siedzący za krucyfiksem, ustawionym na stole między dwiema płonącymi świecami.

— Z jakiego jesteście wojska? — izapytał szlachcica gruby Karlsen.

Sulicki rąbnął bez wahania:

— Oto my trzej!

— Za ojczyznę — odrzekł Kur na «drugie zapytanie,

— Oto prosto — potwierdził dragon, gdy z kolei zwrócono się do niego.

— Co z nimi zrobić? — rozłożył ręce tłuscioch. — Odpowiadają, jakby byli niespełna rozumu.

Rudy nosał zapałał gniewem.

6 — Krwawy sztorm

— Dosyc tej krotchwili! Ja ich taim rozumu uczyć nie będę! Przebrała się miara mej cierpliwości! Rozkazuję nie czekając na powrót jego wielmożności admirała i «szlachetnego obersztera Horna obwiesić wszystkich trzech W najbliższym terminie za miejską bramą! Powiedz im, waćpan, to — zwrócił się do Karlsena uderzając pięścią w stół.

Jeńcy spokojnie przyjęli ten wyrok, Barbara zaś błagalnie spojrzała na Darca i ukradkiem złożyła ręce jak do modlitwy. Koksmat spostrzegł to. Zarumienił się lekko. Potem twarz mu stężała, jakby powziął jakieś mocne postanowienie.

— Wyprowadzić osądzonych! — nakazał mu zasapany burgraf i zwrócił się do Kasipersena. — Jutro rano każesz, mości kapitanie, powiesić tych ludzi na półczyńskiej drodze.

Barbara uśmiechając się przez łzy, prosząco spojrzała na młodego strażnika, a ten obejrzawszy się w progu, popatrzył na nią ze współczuciem, nim zniknął z więźniami w mrocznym krużganku.

— Znasz tę dziewczynę, co się do ciebie uśmiechała? — zapytał po niemiecku Sulicki, kiedy znaleźli się za drzwiami i wstąpili na schody.

Koiksmat skinął głową.

— Znam! Uratowałem ją na jednym szwedzkim statku od śmierci i hańby — mówił zapalając latarnię. — Dziwię się, skąd się ona tu pojawiła.

— To moja narzeczona — wyznał z zaufaniem pan Piotr. — Mniemam, że przyszła niebacznie za mną się wstawić, sędziów o litość upraszać.

Darc odemknął drzwi celi, postawił na posadzce latarnię, odwrócił się i odszedł bez słowa ceglanymi, wąskimi schedami.

— Nie zamknął drzwi? — zdziwił się Andrzej.

— Jeśli się wkrótce nie pojawi, bierzemy nogi za pas — zdecydował szlachcic. — Może ipó ciemku uda nam się wymknąć z zamku.

Czekali w napięciu, aż znów usłyszeli kroki wracającego dozorca.

— Idźcie przede mną — rzekł. — Powiedziałem straż-^{nikom}, że mam was wyprowadzić na stracenie.

— I uwierzyli?

— Uwierzyli, bo pułkownicy przed chwilą wyszli iz zamku i hurmem pospieszyli do Wodnej Bramy. Warty więc mniemają, że na ulicy czeka eskorta, która was zaprowadzi na strąd, gdzie będziecie tej nocy straceni na oczach starszyny.

Strażnicy w bramie rozstąpili się przed nimi bez słowa. Na dworze było ciemno jak w miechu. Kropił gęsty deszcz. Szumiały nagie drzewa otaczające czarne mury kościoła Świętego Piotra. Darc doprowadził jeńców pod dzwonnice. W ciemnym kącie między potężnymi skarpami wyciągnął z pochwy krótki, żeglarski kord i przeciął im więzy.

— Jesteście wolni — szepnął.

Tak byli zdumieni tą nagłą zmianą losu, że nie znaleźli słów, by podziękować swemu dobroczyńcy.

— Bóg jiiich ci odpłaci — rzekł wreszcie Sulicki.

Deszcz wciąż padał, a przez jego strugi mętnie świeciły

zamkowe okna.

W refektarzu, skoro tylko dozorca odszedł z więźniami, oficerowie zaczęli znów wypytywać Barbarę o ową szwedzką konnicę, jktóra miała ciągnąć na Puck. Niedługo to jednak trwało. Do sali wszedł bowiem żołnierz z meldunkiem, że (pod Wodną Bramą zjawilo się jakieś wojsko.

— Oto potwierdza «się zeznanie tej zacnej dziewczki — podniósł się rudy komendant. — Nadciągnęły posiłki! Pójdźmy powitać ich dowódcę!

Przypasał rapier i utykając mocno! na jedną nogę skierował się do drzwi.

Za nim ruszył gruby burgraibia, sędziwy Ziethen i ka-» pitan Kaspersen, narzucając w pośpiechu opończę na ko- let. W zamieszaniu zapomnieli o -bramce, która też nie namyślając się wiele .postanowiła skorzystać ze sposobności i wymknęła się w ślald za odchodzącymi, z ponurej sądowej komnaty, gdzie wciąż jeszcze* migotały świece gorejące na stole po oby stronach hebanowego krucyfiks.

Drżąc na całym ciele przebiegła pusty korytarz, schody i podwórze. Deszcz i ciemności egipskie pomogły jej wydostać się z zamku. Nad zatoką koło Wodnej Bramy głucho rozbrzmiewały trąby, skrzyła więc ku farze.

i

— Pomodlę się u jej progu o ocalenie Piotra i jego towarzyszy od haniebnej śmierci — ipomyślała. — Może Bóg natchnie mnie jaką szczęśliwą myślą.

Pobiegła ku zamkniętym drzwiom kościoła i natknęła się na kilka przyczajonych cierni. Ktoś ją pochwycił w ramiona. Zaczęła się szarpać.

— Bądź cicho, a nic ci się nie sitanie — usłyszała znajomy, choć zdławiony głos.

— Piotr — szepnęła nie wierząc uszom. — Toś ty wolny?

— Dopiero co nasiz stróż z więzienia nas wyprowadził — odparł. Darc! Ten ,sam, co ciebie na okręcie ratował.

— Zacny to człek, wždy co teraz uczynimy? Bramy zawarte, a w mieście ostać nie mozem.

— Nie bój się, Bóg nas nie opuści, zesłał -nam nowego sojusznika. Jest tu rybi twa Fabisz. Poznałem go przed kilku dniami w darzłubskim lesie. Przyszedł pod farę się pomodlić, jako że w dzień Szwedy nikogo nie dopuszczają do kościoła. Mówi, że jego chlew przytyka do muru, że spuści nas na linie do zamarzniętej fosy. Pójdzie z nami, bo nie ma po co tu ostawać, żona mu umarła, a synów wymordowali Szwedzi.

Od morza dobiegł znów ryk trąb, donośne głosy, zgrzyt odmykanych wrzeciędzy.

— Spieszmy się, spieszmy — nalegał Fabisz. — Słyszycie te surmy?, Ani chybi admirał z

oberszterem Hornem przybyli nawą z Piławy. Komendant powiezie ich na zamek.^v Spostrzegą, żeście zbiegli. Będą was szukać.

Posłuchali -dobrej rady i po chwili kilka zgarbionych, ciemnych postaci posuwało się mrocznymi uliczkami ku Młyńskiej Bramie, w pobliżu której mieszkał stary rybak. „Odemknął furtę przy domostwie, wiprowadził ich na ciasne podwórko, przyniósł drabinę.» Wleźli po niej na słomianą strzechę chlewu, a stamtąd przedostali isię na mur, z którego zeszli Szwedzi, by do ona niee .przemoknąć w jesiennej słońce.

Fabisz stanąwszy wśród blanków spuszczał na rybackiej linie jednego zbiega za drugim. Potem przeżegnał świętym krzyżem swój opustoszały domek, doszłusował do reszty i ruszył na czele gromadki przez lód, śnieg, błoto. Kończąc wieczorne modlitwy, z różańcem w ręku pro

wadził w stronę Darżlubskiej Puszczy .parna Piotra z uko- chają, za którym brnęli Andrys Kur, dragon i koksmat.

— Zdrowaś Maryjo łaski pełna, Pan z Tobą... — mamrotał stary rybitwa mieznużenie odmawiając zdrowaśkę za zdrowaśką.

A wiatr świszczący na polach i szum niedalekiego boru wtórowały jego modłom.

Do Darżlubia, gdzie stał kwaterą rotmistrz Krzysztof Faliński ze swą dragońską chorągwią, dotarli późną nocą pół żywi ze zmęczenia. Warty .przepuściły ich do wsi, Faliński zaś kazał zbiegów nakarmić i zakwaterować w ciepłej izbie. Kiedy już się posilili i wysuszywszy przy piecu mokrą odzież rozłożyli się na posłaniach ze świeżej słomy, Kur leżący obok koksmata zapytał go po niemiecku:

—Powiedz, człowiecze, czemuś to 'niby anioł świętemu Piotrowi, więzienia drzwi naim otworzył?

Darc bez namysłu wskazał oczami Barbarę drzemiącą za ramieniem Sulickiego pod glinianym piecem, oświetlonym blankiem łuczywa.

— Dla niej to uczyniłem, bom się lękał, że mnie za katowskiego pacholka weźmie.

— I nie wahałeś się swoich porzucić?

— Żal mi jeno matki i sióstr. Ojca nie mam. W dzieciństwie monie odumarł.

— Skąd on był?

— Kędyś z południowego brzegu Bałtyku.

— A macierz twoja?

— Ze sztokholmskich szkierów, ze starego rybackiego rodu.

— Tedy snadź odezwała się w tobie nasiza krew, bo mniemam, iż twój rodzic^nieboszczyk z

Kaszubów pochodził.

— Nazywał się Darc.

— Albo Drawc, jeno że mu tam u was miano przeinaczono. Drawców tu na Kaszubach w każdej wsi pełno.

■*— Jeno, że ja nie znam waszej mowy — rzekł koks- mat. — Macierz z nami zawsze mówiła po szwedzku.

— Ale ojc twój gwesoio po maszemu gadał — twierdził Andrys. — Musiał ci on do Szwecji z wojskaimi króla

Zygmunta trafić i tam upodobawszy ©obie twą matkę, na zawsze ostał.

— Może to być przyznał Darc. —Bo \przecie nie ma dymu bez ognia, a minie zawsze coś do was nieprzeparcie ciągnęło.

Dogasało łuczywo. Piotr Fabisz chrapał jak stara piła, a Barbara wsparta o swego narzeczonego uśmiechała się błogo przez sen.

azajutrz, kiedy zbudzili się zdrowi i dobrej myśli, Piotr Sulicki wyprowadził Barbarę z dusznej izby na dwór,

— Wczoraj o tej po^ze — szeptała dziewczyna — zatroskana o twój los brnęłam rozmokłą drogą do Pucka, a dziś stoję tu przy tobie. Takam szczęśliwa...

— Jeszcze nie wiadomo co ˆnas czeka — otoczył ją ramieniem przystanawszy w progu chaty. — Wojna trwa! Rotmistrz Faliński już :z raina pojechał do Sławutowa, do kwatery pana Lanckorońskiego na naradę.

— O czym radzić tam będą?

— Dałbym głowę, że o wydarciu Pucka z chciwych rąk szwedzkich. Po to przecie Koniecpolski, wódz zwycięstwami na Ukrainie wsławiony, wojska te tu przysłał, boć z puckiej warowni wróg łącno samemu Gdańskowi może zagrozić.

Zdawał sobie sprawę, że przyjdzie mu jeszcze ippospołu z wolontarzami w niejednej wziąć udział potyczce albo też długo stać pod bramami obleganego miasta, chciał więc zaproponować coś Barbarze. Dlatego z podwórza, na którym dragoni czyścili i poili konie, poprowadził ją do sadu między nagie jabłonie, grusze, śliwy.

Stanęli pod starą gruszą na śniegu twardo udeptanym kopytami. Z gałęzi porwały się chmury szarych wróbli i odlatywały na dalsze drzewa lub opadały na ziemię pod płotem, kędy wczoraj obrokowano wierzchowce i leżało jeszcze sporo rozsypanych ziaren. Piotr chwycił narzeczoną za rękę i spojrzał jej głęboko w oczy.

Posłuchaj, miła — rzekł. — Powiadał mi pan Faliń-

ski, że jest u nich w wojaku przednia kapela. Jest także wielce nabożny kapelan wojskowy. Pójdziemy doń, poprosimy, aby «nam ręce stułą związał. Wyprawimy weselisko. Co ty na to, -serce imoje?

Barbarze mocno zabiło serce.

— Przystaję na twą wolę — odrzekła zarumieniona. — Tyś mnie przecie z wilczej uratował paszczyki, ty życiem moim rozporządzać masz prawo.

— Co powiadasz — bronił się całując jej ręce. — Nie wierzycielem jeno dłużnikiem twym jestem, boś się przecie mię wahała dla ratowania minie skoczyć w samą gardziel szwedzkiej ibestyi. A to większa stokroć rzecz niżli do wilka z rusznicy wypalić!

— Nic bym nie zdziałała, żeby Swarzewska Panna owego koksmata Darca wam jnie zesłała.

— Modestia sama przez usta twe gada. Jeśli bowiem i tak było, jak mówisz, to jeno dla twych modłów Matka Boża raczyła na imnie grzesznego łaskawym spojrzeć okiem. Niechaj ci za to podziękuję, orędowniczko moja najmilej sza.

To mówiąc przygarnął ją i jął serdecznie całować.

— Nie czyń tego — obejrzała się trwożnie, czy kto ich nie podpatruje. — Chodźmy lepiej poszukać ojca kapelana.

— Pójdziemy, skoro jeno rotmistrz Krzysztof powróci — obiecał. Ofiarował się on 'dziś za świadka przy naszym ślubie stając.

— Trzeba by Kura i Darca także poprosić — wtrąciła. — Niemało im zawdzięczamy.

— Niech i tak 'będzie — zgodził się skwapliwie. — A wiesz ty, że Faliński chce prosić pana Lanckorońskiego, iżby na najbliższym sejmie o nobilitację naszego Andrysa zabiegał. Cieszysz się?

Pokazała w uśmiechu białe ząbki, poprawiła chustkę na głowie.

— Bodaj nikogo ze sprawiedliwych nie minęła nagroda.

— Ja moją jeszcze »dziś, da Bóg, odbiorę — ścisnął jej rączkę. — Gbaczmyż, zali pan Krzysztof nie przyjechał ze Sławutowa.

— Tak ci pilno?

— Pytasz, jakbyś saima nie wiedziała.

Opuścili sad, przeszli podwórzec zatłoczony końmi i żołnierzami, pchnęli drzwi chałupy.

— Są jakie nowiny? — zapytał Sulicki wchodząc do izby.

— Wrócił podjazd — odrzekł Kur z ławy pod oknem. — Krążyli wokół Pucka, ale ani jedno Szwedzisko nie pokazało się na murach.

Ogień w kominku trząsał wysoko. Buchał smakowity zapach smażonej wieprzowiny. Nie dane im jednak było zjeść spokojnie śniadania. Zasiadali właśnie do stołu, gdy przycwałował goniec z kwatery Lanckorońskiego.

— Ma się stawić natychmiast ów 'młody Szwed, który wybawił trzech naszych ludzi z puckiego więzienia — zameldował Piotrowi Sulickiemu.

— Stawić się, stawi — odezwał się Andrys — ale nie Szwed, jeno Kaszuba taki dobry jak my.

— Pojedziesz z mim — rozkazał szlachcic. — Bo, acz Kaszuba, -po polsku ani w ząb gadać nie umie.

Kur z Darcem dosiedli więc koni i pokłusowali do Sławutowa.

Szybko przeleciał krótki grudniowy dzień. Słońce, które tuż przed zachodem wypełzło z ciemnych chmur, wnet zaszło. Wiatr wykręcił się ku północy. Ukazał się niepełny, biały księżyc. Sunął powoli nad Darżlubską Puszcza ku zachodowi. Rozmokłe śniegi ścinał imróż. W mrocznej izbie oświetlonej słabo przez łuczywo i płomień z kominka siedzieli skracając sobie czas rozmową Piotr Sulicki z Barbarą i kilku dragonów z chudym wachmistrzem.

— Skąd jesteście? — pytała go dziewczyna.

— Z Chmielnik — odparł. — Zza Lublina. Biliśmy Turków na jednym krańcu Rzeczypospolitej, a teraz przybyli my tu na Pomorze, żeby was od szwedzkiej opresji ratować.

— Taka to dola żołnierza — zauważył Sulicki. — Dziś tu, jutro tam, kędy jeno nieprzyjaciel się pokaże. Chciałem i ja w wasze strony ruszyć, zaciągnąć się do wojsk Ukrainy broniących, ale takowe nastały czasy, że tu szabla moja bardziej się przyda.

— Pewnie — mruzczał wachmistrz. — Myślę, że rot

mistrz, skoro tylko ze Sławutowa wróci, bez ochy by na wymarsz trąbić każe.

Czas mijał, siedzący dorzucali szczapę za szczapą do kominka, ale ani rotmistrz, ani Kur z Darcem nie wracali.

— Co się z nimi mogło stać? — niecierpliwiła się i martwiła Domienikówna przyciskając oczy do małych szyb okna. — Zali ich jaka zła przygada nie spotkała?

— Wróć, wróć — uspakajał ją narzeczony.

Jakoż wkrótce zaskrzypiał zmarznięty śnieg pod kopytami koni. Do izby wszedł Faliński i Kur z

koksmatem, ten ostatni miał dawnego stroju /miał na sobie czerwony kolet dragona, a za nimi wąsaty człek, dźwigający na plecach spory garniec miodu.

Był to Julian* Leśniewski z Warbliina, jakiś zubożały krewniak dziedzica Leśniewa wysługującego się obecnie Szwedom. Zawołany bartnik, dowiedziawszy się, że w Darżlubiu kwateruje polskie wojsko, opuścił swą zagrodę i przybył tu, by sprzedać swój tęgi lipiec.

— Kupiłem odeń trunk — podkreślił wąsa pan Krzysztof — by z tobą, panie Piotrze, ostatni kawalerski toast wznieść. Udało mi się też w pułkownikowej kwaterze parę flasz gdanki zdobyć. Wesóło spędzić wieczór ten się godzi, bo jutro, jeśli jeno pod Puck nie ruszym, w dozgonną tej oto panny — tu skłonił się Barbarze — popadniesz niewolę.

— Gadałeś, waszmość, z księdzem kapelanem? — zagadnął Sulicki.

— I z kapelanem, i z kapelmistrzem. Sam pan oberszter przy ślubie waszym personaliter asystować obiecał i pannę młodą do pierwszego tańca poprosić.

Odkorkowano butelki, rozlano miód i gwarno się zrobiło w darżlubskiej chacie. Wypróżniali kubki za kubkami, języki im się rozwiązały. Andrys zaraz jął prawić

o śmiałym postępku Barbary, która gotowa była życie poświęcić dla ratowania narzeczonego.

— Matka Boska mii dopomogła — tłumaczyła skromnie zawstydzona dziewczyna.

— Czyżby to ona radziła ci zwodzić młodego Darca? — zażartował Sulicki.

Zarumieniła się i opuściła powieki, ale zaraz podniosła oczy i odrzekła:

— Nie zwodziłam go, jeno .prosiłam, iżby miał nad wami miłosierdzie.

— Tedy pijemy za zdrowie młodej pary — wznosił toast Faliński — a osobliwie tej panny nadobnej, bo żeby nie ona, jako żywo, dziobałyby wais dziś wrony i kruki.

— Nie moja to zasługa, jeno koksmata — usprawiedliwiała się młnąc rąbek chusteczki.

— Dragona — poprawił Kur. — Już od dziś dragona!

— Zapędzałaś, waćpanma, w kozi róg biblijną Judytę — ciągnął Krzysztof nie zważając na słowa Andry- sa. — Bo nie tylko jeńców wprowadziłaś, ale i stróża!

— Co taim Judyta! — wtrącił Leśniewski. — Ona chytrzejsza jest od owego złodzieja, o którym po dziś dzień u nas w Warblinie głośno.

Barbara znów się zarumieniła, że ją .porównują ze złodziejem. Kur .zaś wypił kubek za zdrowie narzeczonej pana Piotra i zwrócił się do wąsatego bartnika.

— Jak to 'było z tym warblińskim złodziejem?

Szlachcic poprawił parciany pas, na którym zwisała

stara szabla, i spojrzał na rotmistrza, jakby pytając czy ma opowiadać. Faliński, któremu już wrócił humor po nieudanej próbie zajęcia Pucka, zachęcił go:

— Powiadajcie. Wszyscy chętnie posłuchamy!

Gawędziarz rozsiadł się wygodnie na ławie pod bielonym piecem sięgającym pocerniałego pułapu. Napił się miodu, otarł wąsiska, odchrząknął i zaczął gadać: ^c

— Było to tak: Jeden chłop we Warbliinie miał trzech synów. Jak we wsi nastąpiła sroga bieda, rzekł do nich:

— Musita iść w świat, naleźć sobie fach i sami na swój codzienny chleb zarobić.

Posłuszni synowie powędrowali tedy w daleką krainę. Chłop długo oczekiwał na ich powrót. Nareszcie się zjawili.

— Czego te się wyuczył? — zapytał ojciec najstarszego.

— Jem jo strzelec — odpowiedział syn. — Jak tatki mnie nie wierzy, niech rzuci jaje w powietrze, a ja je zestrzelę.

Ciekawy Kaszuba wziął kurze jajko i wysoko cisnął w powietrze. Strzelec podniósł lufę rusznicy. Powstał huk, a jajko się rozleciało w odrobiny.

— Dobry z ciebie myśliwy — pochwalił go stary. Zarobisz na chleb.

Faliński zaciekawiony opowieścią bartnika kazał dorzucić świeżych szczap do pieca, nalał żłachcioowi miodu i zapytał:

— A czego wyuczył się drugi syn?

Leśniewski otarł znów wąsy po nowym kuszyku lipca. Uśmiechnął się dobrodusznie:

— Ten, jak go ojc o rzemiosło zagadnął, rzekł mu tak:

— Jo jem bednarz, jeżeli tatki się chce dowiedzec o moich zdolnościach, to jo to rozstrzelone jajko zestawię i nikt nie pozna, że było stłuczone w kawałki!

Chutko też wziął się do roboty, pozbierał z trawy skorupki i raz dwa jajko było znów jak świeżo z kurnika wyjęte.

— Te masz dobry fach — pochwalił go stary i pyta trzeciego najmłodszego: — A czego, synku, te się węż świece nauczył?

— Jo jem tatku złodziej — nadyma się ów z okrutną dumą. — Jeżeli tatki nie wierzy, to jo wykradnę

spod błotnej kaczki jajko, a ona tego ani nie spostrzeże!

Kaszuba dobrze wiedział, jak czujnie siedzi błotna kaczka na jajkach, tedy jeno pokręcił głową:

— To ci się, knopiku, nie uda.

Trzaskał ogień w kominku. Skwierczało łuczywo.. Cienie snuły się po stropie i bielonych ścianach izby.

Andrys Kur, któremu nigdy nie brakło ochoty do żartów, spojrział na Miszkównę:

— Ty byś, Barbarka, gwesno i tego dokazała, skoro potrafiłaś nas spod czerwonego nosa tego pluldry Sythona wykraść.

Dziewczyna skinęła ręką, by nie przerywał i opowieść warblińska snuła się dalej:

Trzeci syn udał się na Bielawską Puszcę i tam ostrożnie wyciągnął jajko spod kaczki, a ta nawet nie drgnęła. Wtedy Kaszuba wielce zdumiony zręcznością syna rzekł doń:

— Tak długo wodę dzban nosi, aż się ucho urwie! Złodziejstwo to lekki fach, ale jak rzezimieszka złapią, to tedy on swoim ciałem nie tylko kaczkom, ale i wronom za grzech zapłaci.

Wszakże najmłodszy niewiele sobie robił z przestróg

ojca i kradł dźtlej, aż dowiedział się o tym Warbliński sołtys.

— Ja go od tego odzwyczaję — rzekł do swej białki. Kazał zawołać złodzieja na sołectwo i tam mu powiedział: — Słyszałem od gospodarzy, że siła to rzeczy ostatnimi czasy ginie. Podobno twoja to sprawka, jeno że nikt nie łąmoże cię na gorącym uczynku schwytać. Zrobimy tedy próbę. Jeśli skradniesz dwa psy z mojego podwórka, dam ci sto czerwieńców. Ale jeśli ci się to nie uda, pamiętaj, że dostaniesz oto odlewanych batów. — Strzelił z długiego 'batoga, aż zaświszczało powietrze i zapytał: — Stoi uimowa?

— Zgoda! — skinął głową łotrzyk.

Tego jeszcze dnia ukradł rzeźnikowi cielecą wątrobę i włożył ją do miecha. Jak się ściemniło, podszedł do sołtysowej zagrody i potrzywał otwarty worek tuż przy dziurze w kamiennym murku. Dwa psy, czuwające na podwórzu, poczuły »natychmiast świeżą cielecinę. Jeden za drugim skoczyły do miecha po smaczną strawę. Złodziej związał worek, a rano wysypał psiska na sołectwie. Sołtys z kwaśną miną wypłacił mu sto czerwonych złotych, ale poprzysiął nie darować swojej krzywdy.

— Jeśli skradniesz mojego siwka, wypłacę ci jeszcze sto czerwieńców — obiecał knując zemstę. — Stoi układ?

Odrzymiech na to z radości aż podskoczył.

— A jakże! — krzyknął. — Zgoda!

Nie zwlekając wrócił do checzy, wlażł do komory, otworzył skrzynię i przebrał się w niewieście szatka. Potem wziął butelkę tęgiej wódki, zakropił ją ziołami sprowadzającymi sen, w nocy zaś podkraidł się pod wiejską szynkownię i stamtąd zawrócił ku wsi lamentując i przeklinając na przemian:

— Siedzi w karczmie stare pijaczysko, chleje i nie wie, kiedy czas wrócić do domu — żalił się babskim głosem, przechodząc koło sołectwa. — Ani dba, że białka i dzieci w checzy czekają, płaczą wniebogłosy.

— Co wam, nenko, jest? — odezwał isię parobek, którego sołtys .postawił przy swej bramie na straży.

tt- Mojego chłopca .nie mogę wyciągnąć z gospody. Zabrałam mu tedy pełną butelkę wódki, iboby się na śmierć zapił, a nie chcę być jeszcze wdową.

— Licho wam — rzekł parobek. — Cierpicie przy tym waszym chłopie, nie wiada za czyje grzechy.

— Przynajmniej ktoś mi współczuje — rzekoma baba wyjęła spod fartucha kanciastą butelkę z wódką i podając ją stróżowi poprosiła piskliwie: — Maisz i wypij, duszo życzliwa! Chyba zimno ci tu stać, tedy trunek wyjdzie ci na zdrowie, nie tak jak mojemu pijaczynie tam w karczmie.

Stróż wyciągnął korek. Poczował mocny zapach wódki. Przytknął szyjkę do ust. Zabułgotało w butelce.

-r- Dobra gorzałka — rzekł oddychając głęboko i chciał białce oddać flaszę.

— Jak ci smakuje, to ją zatrzymaj!

— Dla mnie byłoby za wiele, ale zaniosę moim drehoan, którzy pilnują stajni.

— Nie omyliłam się — pochwaliła go. — Masz dobre serce, że o drehach pamiętasz.

I poszła niby to do swej checzy, a on opuścił bramę ruszając do chlewu. Poczęstował tam dreha stojącego przy drzwiach i zalecił mu, żeby nie pokrzywdził nikogo. Strażnik podał więc butelkę parobkowi siedzącemu na siwku. Nie pokrzywdzili również otroka, który trzymał konia za grzywę.

Parobkom zrobiło się niebawem wesoło na duszy, a noc zaczęła im szybko mijać, ale równocześnie zaczęły się im języki plątać, a głowy opadać. Złodziej tylko na to czekał. Wyciągnął parobków na gnój, wyprowadził siwka ze stajni, a rano musiał mu sołtys znów sto ' czerwień- ców wypłacić.

— Przestań zakładać się z tym złodziejem — zgromiła sołtysowa strapionego męża. — Przegrasz cały nasz majątek!

Ale sołtys się zaciął.

— Nie daruję mu mojej krzywdy! Odpokutuje za wszystko — huknął i po raz trzeci wezwał złodzieja. — Jeśli skradniesz mojej białce pierścień z palca — oświadczył — dostaniesz jeszcze sto czerwieńców, a jeśli nie, to wiesz, że czeka cię sto batów, ale takich, że w niebie wrzask i płacz twój słyhać będzie. Stoi układ?

Przystał na to hultaj bez chwili wahania.

— Zgoda! — roześmiał się drwiąc z gbura w żywe oczy.

Wesoły jak szczygieł poszedł do ojcowej chałupy, wlaźł do stodoły, ukręcił ze słomy kukłę chłopca i w nocy poczołgał się pod isołty/sa okno. Zajrzał w głąb izby. Sołtys z rusznicą gotową do strzału siedział na brzegu łóżka swej żony. Złodziejaszek uniósł powoli słomianego chłopca, zbliżył go do szybek.

Huknął strzał. Posypało się szkło. Złodziej puścił kukłę i uskoczył w bok. Przerażony gbur myślał, że zabił hul- taja. Wybiegł na dwór, by ukryć trupa, a kiedy szukał po demku nieboszczyka, jego przeciwnik jak duch wsunął się przez otwarte drzwi i podszedł do łóżka sołtysowej.

— Daj mi ten pierścień — szepnął białce. — Zakopię go razem z trupem. Ludzie będą imyśleli, że chytry pacholek zbiegł z twoim pierścionkiem.

Wystraszona niewiasta nie dała się dwa razy prosić. Zdjęła złotą obrączkę z palca.

— Masz!

Złodziej jak purtk z dobrą duszą czmychnął ze zdobyczą. Ledwie uniknął z izby, wpadł sołtys.

— Białko, masz jeszcze ten pierścień ma palcu? — krzyknął już od proga.

— Przecie przed chwilą ci go dałam.

— Maryja, Józef! To on go już ma! Znów jakbym w ogień wrzucił sto moich czerwonych złotych!

— Ale teraz chyba przestaniesz się już zakładać, bo na ostatku przegrasz mnie i będziesz słomianym wdowcem — jęknęła białogłowa.

Zaniechałby pewnie sołtys gry ze złodziejem, gdyby nie starzyński organista, który każdej niedzieli, skoro się tylko gbur zjawił w kościele, drwił z niego na potęgę. Rozgniewały sołtyskę drwiny aniechodmucha ze Starzyna.

-r- Ty mu tego nie daruj — rzekła do zmartwionego małżonka. — Wiesz co? Obiecuj złodziejowi, że damy mu naszą córkę, byle tylko poskromił tego przekłętą dławidudę.

Wezwano młodego franta po raz czwarty na warblińskie «sołectwo.

— Czego żądacie? — zapytał stanąwszy przed checzą.

— Posłuchaj — rzecze gbur. — Jeśli skraidniesz Starzyńskiego organistę, dam ci prócz stu czerwieńców moją jedynaczkę za białkę. Stoi układ?

Odrzymiech popatrzał ,na nadobną sołtysównę i podskoczył trzy razy z uciechy.

— Zgoda — 'krzyknął na całe gardło.

Pobiegł do rzeki, nachwytał raków, kupił kilka woskowych świeczek, ubrał się w białe iprześcieradło, wziął duży wór i pod wieczór ruszył z tym wszystkim ma Starzyński cmentarz. Taim wysypał raki ;na mogiły i zapalając jedną świeczkę -po drugiej przyklejał je roztopionym woskiem do rącznych grzbietów. A kiedy roje raków z płonącymi świecami zaczęły się powoli ;poruszać po grobach, stanął w białych szatach wśród tych żywych migających w mroku światełek, otworzył wór i zaśpiewał przeciągle:

Jem! jo anioł z nieba, jesz dziś wrócę do nieba, każdego zabiorę ze sobą, kto sę <nie wstydzi do imiecha wejść.

Miechodmuch (miał lekki sen, wnet więc usłyszał dziwne śpiewa'nie. Zerwał się ;z łóżka, wyrzwał z okna organistówki i ma własne oczy zobaczył wśród ;krzyży pod kościołem białego amioła zapraszającego ludzi wdzięczną pieśnią do nieba. W koszuli i szlafmocy wybiegł z domu, pchnął cmentarzowe wrota, zbliżył się do anioła i zaczął błagać:

— Mości aniele, czy i ja mógłbym się dostać do niebios z tego ziemskiego padołu? Zmęczonym jest i stary, od lat żyję cnotliwie i skwapliwie odejdę iz tej grzesznej ziemi po niebieską nagrodę należną bożemu słudze.

Anioł jednak nie przerywał śpiewu, zdawało się zrazu, że nie zwraca uwagi na błaganie organisty. Dopiero gdy ten coraz głośniej prosił, wysłannik niebios odwrócił się do niego i wyrecytował:

Zabiorę do iraju każdego,

kto się nie wstydzi wejść do miecha tego!

Uradowany miechodmuch nie namyślał się aini chwili i dał nurka do wora. Złodziej strząśł go na samo dno miecha i dobrze zawiązał swą zdobycz. Zebrał raki z mogił, pogasił świeczki. Zarzucił na bairki worek ze izłośli-

wym dławidudą i zawrócił do Warblina wyśpiewując po drodze:

Jem jo anioł z nieba, jesz dziś wrócę do mieba...

Kościelny muzykus siedział cicho jak ;mysz ˘pod . ˘miotłą, czekając niecierpliwie na rajskie rozkosze. Nie odezwał się słowem podczas tej całej długiej i niezbyt wygodnej drogi do nieba. Złodziej zaś wróciwszy do domu, postawił miech w kącie izby i położył się na spoczynek. Śnił o pięknej sołtysównie całą noc, a rano zaniósł zdobycz na sołectwo.

Tu zebrała isię już cała wieś z sołtysem na czele. Młody frant wszedł do izby, wytrząsł “girola” jak prosię na podłogę i rzekł do niego:

— Nie będziesz odtąd chyba więcej drwił z nieszczęścia ludzi, bo nie wiesz, co cię może spotkać!

— I za cztery niedziele przygrywał nasz miechodmucha złodziejowi na organach w dzień ślubu ze sołtysówną — zakończył Leśniewska.

— To się temu frantowi udało — zaśmiał się Faliński. — No, ale jutro wieczorem także stairzyński dławiduda zagra pannie Barbarze “Veni Creator” za to, że wykradła swego narzeczonego i dwóch jego towarzyszy Szwedom niby wilkom z gardła.

Niestety, nie spełniło się pana Krzysztofa proroctwo. Nazajutrz rano, kiedy Sulicki wyszedł na dwór i, przecierając zaspane oczy, popatrzał na drogę ledwie widoczną w tumanach śniegu, kłębionego przez ostrą norde, zagrzmiały na gościńcu podkowy.

— Gdzie tu kwatera rotmistrza? — krzyknął konny posłaniec osadzając klacz przed checzą. — Mam doń pilny rozkaz pana obersztera Lanckorońskiego.

Nie minął pacienz, a zatrąbił trębacz, zahuczały bębny na alarm.

— Wsiadanego trąbią! — wołali dragoni wybiegając z kwater, siodłając w pośpiechu konie.

Ruszyła chorągiew, ruszyli wolontarze.

- Spróbujęm wszystkimi siły dobyć Pucka — zwierzył się Faliński jadącemu obok niego panu Piotrowi. —

My zaatakujemy Gdańską Bramę. Chorągiew pana Boguszowa natrze na obwarowanie od strony Bramy Rybackiej.

— A piechota? — zapytał Sulicki oglądając się ku Barbarze powiewającej mu ina pożegnanie chustką z progu chaty.

— Kapitan Appelman tudzież pan Tomasz Duplesis mają przypuścić szturm od zatoki i młyńskich stawów.

— Bodaj się nam powiodło to przedsięwzięcie.

— Wziąłbyś wtedy, panie bracie, ślub w puckiej farze, a weselisko urządziliby my w tej samej zamkowej komnacie kędy na śmierć cię osądzono.

Minęli ostatnie opłotki wsi i wjechali w bór.

Tego ranka olbrzymi Jówa, który ze swymi maszopami stał przy zamarznętym stawie młyńskim, na strzał z muszkietu od Pucka zauważył w śnieżnej zamieci, że na murach pojawiły się białe

chorągwie. Spozrzegli to i jego ludzie.

— Poddają się pludraki! — krzyknęli. — Zaraz otworzą bramy!

I bez komendy, na przełaj przez lodowisko ruszyli wszyscy ku obwarowanemu miastu. Biegli niosąc długie drabiny, machając toporami, rusznicami, bosakami, kiedy naraz Szwedzi otworzyli z muszkietów i armat morderczy ogień.

— Zdrada! — ryknął stołem.

Zdołał już dotrzeć z jastarnikami pod samą bramę. Chciał ją toporem wyważyć, ale jego ludzie zaczęli padać trupem tak gęsto, iż postanowił się wycofać, zwłaszcza że i reszta jmorskiej piechoty rozpoczęła bezładny odwrót.

— Imć Appelman zabit! — rozległy się przerażone głosy. — Ubili go podstępem, morzkulce!

Jówa ujrzał z dala, że koń dowódcy runął i przygniótł kapitana. Skoczył mu na pomoc, ale nim dobiegł, już się kapitan zerwał z ziemi. Dosiadł innego wierzchowca i jął wydawać rozkazy:

— Naprzód! Do szturm!

Wskazywał rapierem mury spowite prochowym dymem. Wiedział dobrze, że nie ma odwrotu, bo zatoka wzburzona nordą wystąpiła z brzegów i wdarła się niespodziewanie na mokradła między Puckiem, Połczynem i Gnieźdżewem.

Co gorsza, w dwóch miejscach: za Młyńską Bramą i od strony Rzucewa woda podeszła pod same niemal obwarowania.

— Przeklęty potop! — klęli piechurzy brnąc po kolana w rozlewiskach i rzucając się raz po raz do szaleńczych ataków.

Ale grzmiące działa i muszkietowa palba zmuszały ich za każdym razem do ustąpienia. Nie udawało im się przedrzeć przez fosy, przystawić drabiny do muru, wyłamać warowne bramy. Na zamkowej baszcie wciąż powiewała w ostrej wichurze chorągiew Gustawa Adolfa, a Appelmanowi żołnierze musieli zadowolić się ostrzeliwaniem Szwedów z dala, nie czyniąc wśród nich większej szkody. Za to oblegający padali jak koszona trzcina. Z każdą godziną rosły jstraty. Na szczęście krótki grudniowy dzień szybko minął i wraz ze śnieżycą pędzoną gwałtownymi podmuchami nordy nadeszła ciemna noc. Ustała strzelanina, ale ostre wicherzysko jśrodku dawało się we znaki szturmującym. Dopiero po północy przycichło nieco. Wzburzony Wi'k uspokoił się i woda zaczęła opadać. Nad ranem Andrys Kur, znający Stegny biegnące przez moczary, zdołał się przedrzeć do odciętych rot.

— Wytrwajcie — mówił stanąwszy przed Appelma- nem. Już niedługo nadciągną posiłki, a na rano oberszter Lanckoroński zarządził jemeralmy szturm!

Jeszcze przed świtem nadpłynęły szJkuty z posiłkami dla piechoty, o brzasku zaś piętnastego dnia grudnia ozwały się bębny i trąby, zahuczały wszystkie polskie armaty. Dym osnuł dachy i wieże

Pucka. Zajączwały farne dzwony. W murach powstawały szczyrby i wyłomy. Natarcie ruszyło z kilku stron. Dudniły kopyta jazdy i ciężkie stopy piechurów.

— Najprzód! Naprzód!

Jówa biegnąc jak zwykle w przodzie, by pomścić swoje córy, przedarł się z Michałem, Zychem, Klemensem, Dawidem i Jakubem przez wyłom za mur. Obskoczyli ich zbrojni Szwedzi i kto wie czy tym razem jastarmicki wielkolud nie położyłby głowy, gdyby nie wsparli go kosynierzy sołtysa Pomieczyskiego.

— Tyś minie uratował w Swarzewie, ja cię w Pucku — dyszał szlachcic siekąc szablą po szwedzkich łbach i torując maszopano drogę do odwrotu.

Szwedzkie działa grzmiały, aż trzęsły się mury, tryskała woda i falowała błotnista ziemia. Nacierający wyraźnie słabli. Pod Appelmanem padł drugi koń. Jęczeli ranni, walili się zabici.

— Maryja, Józef! — ryknął naraz Jówa. — Dosięgły minie te purtki!

Lewa ręka zboczona krwią zwisała mu bezwładnie. Prawą jednak wciąż wznosił topór i rwał się do walki. Michał i Zych Domienikowie siłą musieli ściągnąć go z wyłomu, bo pan Lanckoroński nadesłał był właśnie nowego gońca z nakazem przerwania bezowocnego szturmu i wycofania się na swarzewską drogę, poza¹ zasięg działowych pocisków. Kapitan Appelman kazał trąbić na odwrót.

— Tyle ofiar i wszystko na nic — przeklinał brodaty szyper patrząc na zwłoki czerniejące na śniegu, lodzie i w ogromnych kałużach, które połyskiwały w chłodnym słońcu grudnia.

Obok niego brnęli w szlamie i mokrym śniegu piechurzy dźwigając rannych kamratów bądź ina długich szturmowych drabinach, bądź na własnych barkach.

— Nie poszczęściło nam się dzisiaj — sapał Pomieczyski targając z frasunkiem sumiaste wąsiska. — Odparły nas psia juchy! Ale co się odwlecze, to nie uciecze! Przyjdzie dzień, że my będziemy górą, a oni — tu wskazał zamek i owianą dymami dzwonnice Świętego Piotra — zmykać poczną przez wodę, pludry gubiąc w ucieczce.

Przebyli most na Płutnicy, dotarli do Swarzewskiej Kępy, poczęli wspinać się na jej zbocze.

W dali na darżlubskim trakcie wił się od Gdańskiej Bramy długi wąż jazdy. Czerwieniwały dragońskie kolety. Nad lodowiskiem i wodą żałośnie pokrzykiwały mewy. Zachodziło słońce. Drugi dzień krwawych walk o nadmorską warownię miał się ku końcowi.

d chwili pożegnania z ukochanym Barbara nie mogła znaleźć «obie miejsca. W 'poniedziałek mimo śnieżnej zamieci co chwila wychodziła z checy na drogę,

nasłuchiwała przynoszonego przez morde pomruku dział i dalekiego trzasku muszkietów. We wtorek, gdy śnieżycą ustała, pojawiły się w dali nad płonącym Puckiem chmury dymu, błysnęły wody szeroko rozlane na puckich łąkach i mokradłach ciągnących się w głąb torfowisk.

— Znów wylało Małe Morze — szeptali starzy darż- lubianie.

Krótko przed wieczorem ucichła nareszcie długa strzelanina. Domienikówna zaniepokojona tym wyszła po raz nie wiadomo który na pucky trakt Wraz z nią podążył wąsaty bartnik z Warblina. Rozmawiali z sobą wypatrując oczy w dal, ku ginącemu w lesie gościńcowi:

— Nie widać ich?

— Ani śladu, ani (popiołu.

— Ach, żebym wiedziała, czy się co złego panu Piotrowi i braciom mym w tej bitwie nie przygodziło.

— Jeno ich tu patrzeć!

Ale słońce zapadało za wysokie bory, a na drodze nikt się nie pojawiał.

— Chyba nasi zajęli Puck — pocieszała się Barbara. — Jakby ich pobito, byłiby już dawno tutaj z Szwedami na karkach.

Po zachodzie * niebo zaiskrzyło się gwiazdami, mróz przybierał na sile.

— Zmarzniesz tu, córko, nim kogo się doczekasz — zaczął przekonywać Leśniewski. — Wróćmyż do kwatery. Tam ciepło! Ogień strzela w kominku.

— Słuchajcie — ścisnęła mu rękę w odpowiedzi.

Usłyszała tętent, serce jej mocno zabiło. Pierwsi jeźdźcy wyłonili się z ciemności. Poznała wolontarzy. Jechał Ustarbowski, Zalewski, Maciej Kur, jechali trzej bracia Rybińscy, daremnie jednak wypatrywała swego Piotra, który zazwyczaj kłusował na czele oddziału.

— Gdzie pan Sulicki? — krzyknęła do przejeżdżających.

Wtem ujrzała¹ Andrysa. Odargowianin jechał stępa na wysokiej klaczy. Przed sobą zaś trzymał na kulbace jakieś bezwładnie zwisające ciało.

— Piotr zabit! — jęknęła przeraźliwie i oparła się

o ramię bartnika. — Panno Swarzewska! Ustrzelili go!

— Żyw! — odkrzyknął Andrys. Przystanął poznając Miskównę. — Jeno ranion i osłabł z upływu krwi.

Półprzytomna z lęku zdawała się nie rozumieć tych słów. Chwyciła zwieszoną dłoń narzeczonego*

— Zimna! Boże, zmiłuj się nad jego duszą.

Kur się przelał, bo w pierwszym momencie uwierzył, iż komendant zmarł po drodze. Wnet się jednak przekonał, że Sidieki dają znaki życia.

— Nie gadaj byle czego — uspokoił dziewczynę. — Zmarł, bo taki dziś mróz, że i zdrowy drętwieje, ale żyje i żyć będzie.

— Co mu jest? — zapytał Leśniewski*

— Jak wiódł nas do szturmów na puckie mury, kula mu przeszła na wylot ramię.

— Trza go opatrzyć — szlochała Barbara. — Wieź go do chaty.

Kur uderzył konia ostrogą i ruszył, a ona szła obok nie puszczając ręki Piotra.

— A gdzie dragoni? — pytał tymczasem bartnik.

— Po śmierci rotmistrza posłano ich na kwaterę do Smolna.

— To imć Faliński legł?

— Zwłoki jego powieziono ku Sławutoiwu -na rozkaz samego obersztera Lanckorońskiego.

— Wczoraj się z nami weselił, a dziś spoczywa na desce — mrucał stary szlachcic. — Co za czasy, jedni giną za ojczyznę, drudzy ją zdradzają — dodał myśląc o swym krewniaku z Leśniewa.

Stanęli przed kwaterą nieboszczyka Krzysztofa. Barbara pomogła zdjąć rannego z konia i ostrożnie podtrzymywała mu głowę, gdy go nieśli do checzy. Trzymała się dzielnie, skoro jednak Leśniewski obnażył Piotrowe ramię, zemdląła na widok rany. Wynieśli ją do sieni. Niebawem wróciła jej przytomność. Siłą wdarła się do izby. Sulickiemu opatrzono już ranę, co więcej: po wypiciu kubka miodu wróciła mu przytomność i poznał narzeczoną.

— Serce moje — szepnął z wysiłkiem. — I oto znów nic z naszego wesela.

— Nie troskaj się, miły — odpowiedziała klękając przy krawędzi jego łoża. — Najważniejsza rzecz, iżeś żyw, bo mógłbyś z inszymi na poboju ostać, a cóżbym wtedy ja, nieboga, poczęła?

— Zachował mnie Bóg, bym obaczył jak sprawiedli

wość nad nieprawością zatryumfuje, nieprzyjaciół naszej Polskiej Korony pogrążon będzie, a zdrajcy na kolana padną przed majestatem Rzeczypospolitej.

— Do tego daleko — odezwał się Kur. — Poznałem waścinego brata Bartosza na miurach /pośród szwedzkich puszkarzy.

— Tak, tak i jam go widział ■ — pokiwał głową Sulicki. — On to przestrzelił mi ramię, gdyśmy Gdańską Bramę szturmowali.

— Bratobójca! — krzyknęli jak jeden trzej Rybińscy. — Niech jeno w ręce nam ipopaidnie, a zda rachunek j z napaści na Rybienko, i z tej ostatniej zbrodni] ^

— Snadź szatan mu \służy, że dotąd żyw — huknął Ustarbowski. — Może zapisał się nie tylko nieprzyjacielowi, ale i piekłu?

— Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy — wtrącił sentencjonalnie Leśniewski. — Przyjdzie i na pana Bartosza kreska!

— Wždy na razie jest puckim starostą — zauważył »pochmurnie Amdrys.

— Jeden zdrajca starostą, a druigi burmistrzem — dodał brat jego Maciej. — Kiedyż to tym purtkom zajrzy sprawiedliwość w oczy!

Domienikówna nie brała udziału w rozmowie. Przez łyzy, które się toczyły spod jej długich rzęs, patrzyła na rannego; Ten, choć rana w ramieniu mocno mu dokuczała, dobrej był myśli.

— Niedługo inam już chyba, mój Macieju, na to czekać przyjdzie — powiedział cicho. — Dziś po prawdzie odparli nas Szwedzi, wszelako i oni «niemałe ponieśli straty. Pan Lanckoroński zebrał przeważające nad wrogiem siły. Nie wypuści on już adwersarzy naszych z Pucka. A oni skoro jeno pojmą, że należeli się niby w saku, na kim będą się mścić? Kogo kozłem ofiarnym uczynią? Głowę dałbym, że przede wszystkim złość ich na sprzedawczykach się skrupi.

— Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada — przytaknął warbliński pszczelarz.

— Bodaj sami sobie grób wykopali — huknął zapal- czywszy Andrys. — Inaczej ispod naszych szabel łbów nie uniosą! Dopadnem ich i wytępm do ostatniego! Niech

rogate ipurtki w piekle kásają tych, co dłoń macierzy swojej zdradziecko ukásili!

Żelewski szarpnął go za ramię i palcem dotknął warg.

— Cicho! — szepnął — nie widzisz, że ranny zasypia?

Umilkli. Piotra bowiem, osłabłego po krwi utracie,

zmogły dwa dni ciężkich trudów. Opadły mu powieki, zwiśla na bok głowa. Usnął.

— Może pić ci się chce, a może być coś zjadł? — zapytała troskliwie Barbara, gdy jej narzeczony otworzył nazajutrz rano oczy.

Uśmiechnął się do niej.

— Nie wyspałaś się, najmilsza. Czuwasz nade mną niby anioł stróż.

Pochyliła się nad łóżkiem, aż warkocze jej opadły mu na ciężko poruszające się piersi. Przycisnęła wargi do jego policzków, głaskała go po kłującym zaroście nie ogolonej brody, poprawiła poduszki

pod jego głową.

— Nie opuszczę cię ani na chwilę, mój Piotrze złoty. Eędę cię pielęgnować, aż przyjdiesz do dawnych sił.

— Ojczyzna w potrzebie — odparł — muszę szybko wrócić do zdrowia, by na nowo stanąć w szeregach jej obrońców.

Za oknem parskały konie. Słysząc było głos Andrysa rozkazującego wolontarzom dobrze zaobrokować wierzchowce przed nowym podjazdem.

— Sama czuwałaś przy mym łożu? — pytał chory.

— Pan Julian mi kompanii dotrzymywał i drew do ognia podrzucał, byś /nie zmarł — odrzekła.

— Zacny zeń człek!

— Lepszy niż mniemasz. Obiecał nas swoim wozem do Dębek odwieźć.

— Do Dębek?

— Tu ostać nie można, a tam będziemy siedzieć w spokoju i bezpieczeństwie. Jest tam Mikołajk, ojciec Andrysa i Macieja, który tyle ryb złowi, że głód nikomu nie zagrozi.

— A Szwedy?

— Torfowiska i Błota Odargowskie zalała woda. Nieprzyjaciel nie ma dostępu do Dębek.

— To i Leśniewski -tam nie dojedzie — przerwał, patrząc w czeluść wygasłego kominka.

— Nie dojedzie — tłumaczyła — ale zawiezie nas do

żarnowieckiego klasztoru, a tam często przyływa na roraty łodzią stary Kur. Zabierze nas tedy do czółna i Piaśnicą dotrzemy na dębeckie wydmuchy.

— Dobra myśl — pochwalił szlachcic. — Widzę, że obmyśliłaś wszystko jak strategu« tęgi.

Zza szyb, które mróz powłókł lodowymi paprociami, dobiegło końskie rzenie i brzęk uprzęży.

— Pan Julian zajechał! — krzyknęła Barbara.— Czas gotować się nam do drogi.

Sulicki zdał dowództwo nad wolontarzaimi. Andrysowi, serdecznie pożegnał druhów, obiecując rychło powrócić do nich.

Po południu wjechali do Żarnowca przyczajonego w łagodnym wąwozie. Przeorysza Knutówna serdecznie przyjęła dawną wychowankę. Mniszki troskliwie zaopiekowały się rannym, słały mu łoże w infirmerii, biegały po driakwie do apteczki. Domienikówna zaś długo w noc opowiadała matce

Barbarze o swych przejściach, a równo z porannym dzwonem wybrała się na roraty do świątyni i pierwszą osobą, jaką minawszy gotyckie krużganki, ujrzała w chłodnej, mrocznej nawie, okazał się stary Mi-kołajk Kur — nestor odargowskiego rodu.

Po śniadaniu spożytym w gotyckim refektarzu (klasztornym Leśniewski odjechał do Warblina, a Mikołajk z Barbarą ostrożnie sprowadzili pana Piotra ze zbrocza, na którym czerniał klasztor. Przy moście kołysała się łódź. Na mokradłach czerniały nagie krzewy wśród białej kry.

— Jak całkiem zamarznie, mogą Szwedy do Dębek dotrzeć — zmartwiła się Miskówna.

— Nie wyjdą z Pucka — uspokajał ją Piotr siadając do czółna. — Nie martw się bez potrzeby.

Stary Kur przeżegnał się i jał pchać łódź wiosłem w dół rzeki. Zrywały się przed nimi spłoszone czarne kaczki i machając szybko skrzydłami leciały ku morzu. Coraz wyraźniej dochodził poszum Bałtyku i zawrodozenie sosen na wydmach smaganych śnieżycą przez wschodni wiatr, aż na koniec ukazało się kilka dymiących checz na ośnieżonym wybrzeżu.

— No, tak jesta w domu — mruknął Kur i dobiwszy do brzegu wyciągnął czółno na strąd.

Tuż przed Godami w rybackiej checzy Dómiemika zeszło się kilku sędziwych masizopów. Przybyli zapytać

o zdrowie młodego szlachcica leczonego się tu od kilku dni z ram i pogadać z jczyprem Jówą, który dziś mimo ryczącej nordy przywędrował istrądem ze Swarzewskiej Kępy, by odwiedzić dawnego komendanta.

Siedli na zydlach i ławach pod ścianami wstrząsanymi szturmem wichury, a brodaty stołem rozparłszy się na pniaku koło kominka przekazał im pozdrowienia od Michała, Zycha i młodych rybitwów służących w Appelma- nowej piechocie, po czym tak prawił:

— Na razie je u ma:s spokój!. Jeno że, dresze, długo ten spokój nie ipotrwa. Szelmy Szwedy szykują się do obrony, a nasi — do zdobycia Pucka.

Chory niespokojnie poruszył się na łóżnicy.

— Kiedy? — Rzucił gorączkowo^ — Kiedy szturm przypuścicie?

— Nikt nie zna godziny ani dnia, ale chyba nie będzie to później niżli za dwie niedziele.

— Ruszę tedy z tobą, drehu.

Tu wmieszała się Barbara.

— Przez Gody musisz jeszcze, miły, w łóżnicy poleżeć. Febra cię przecie trzęsie, a rama źle isię goi! Nie puszcę cię przed Nowym Rokiem.

Sulicki .popatrzał na swą rękę leżącą na temblaku.

— Nowy Rok za dziesięć dni — huknął Jówa, by pocieszyć pana Piotra. — Poczekam tedy na cię, bo mogę tu ostać jeszcze przez kilka dni i pójdziem razem do Pucka. Ja do mych maszopów, ty do swoich woiontarzy, by prać szwedzkich morzkulców jak wściekłe psy.

Wicher szarpał starą checz, pchał się wszystkimi szparami do izby. Monze ryczało, jakby chciało przez dę- beckie wydmy się przedrzeć i połączyć z zalanymi torft> wiskanji.

— Takiego presku już dawno nie było — mówił Mi- kołajk.

— Szedłem brzegiem od Wielkiej Wsi aż po Dębki, wszędzie fala rwie wydmy — przytaknął Jówa.

— Że też żadnej bity po drodze nie znalazłeś — zdziwił się zgrzybiały Okoń.

— A ty?

— Jo jem wyszedł ramo ma strąd, ale wicher chciał

mi brodę ukręcić. Nie było rady! Wróciłem do domu z niczym.

— Żeby to jakiś statek ze zbożem wszedł w strąd — westchnęła Michałowa białka. — Te zamorskie piekiel- niki tak ogołociły wszetką okolicę, że już chleha nam brakuje.

Barbarka, która ̃przedła na kołowrotku, przerwała na chwilę robotę.

— Przeżyjemy bez tego — powiedziała. «— Okręt w strądzie, to i topielcy. A przecież wojna dosyć pożera ludzi.

— Szwedów żałujesz? — zagrzemiał Jówa.

— Toć to ludzie, a trafiają się między nimi niezgorsi. Choćby ów koksmat Darc! Dorna czekają na nich matki, siostry, córki...

— Na mnie też by czekały moje dzeusy, żeby ich te purtki nie pomordowały.

— Pan Jezus kaizwał płacić za kamień chlebem.

— A ja ci powiadam, że nie można bardziej Pana Jezusa ucieszyć, niżli bijąc tych heretyków gdzie popadnie i do piekła, kędy Luter z Lucyperem o party się spiera, jednego po drugim wyprawiając.

Wtem huknęło jak z działa. Z komina posypały się czarne sadze na sagan. Zadzwończyły małe szyby okien. Jówa z ławy się zerwał, chwycił topór, zarzucił na ramię muszkiet. Sulicki uniósł się na posłaniu, wyciągnął} zdrowe ramię ku szabli zawieszzonej na ścianie.

— Boże, ratuj! — wołały białki ręce załamując w trwodze śmiertelnej, a Mikołaj Kur przeżegnał się świętym krzyżem.

Nim ochłonęli, huknęło po raz .drugi.

— To okręt jakiś z dział -bije — poznał barczysty ja- starnilk. — Ratunku wzywa!

Wybiegł z Okoniem i Kurem. Piotr chciał pospieszyć za nimi, ale Barbara pochwyciła go za ramię i przytrzymała.

— Masz gorączkę, musisz leżeć, bo nie wydobrzejesz na czas i insi bez ciebie Pucka dobędą. Nie na twoje siły wychodzić na taką nordę.

— Jo — przytaknęło dwóch starców, którzy właśnie wrócili z dworu. — Nie sposób kroku uczynić! Wichur z nóg zwala...

Jówa saon jeden szedł strądem wypatrując rozbitków w miocie fal. Gdy dotarł do ujścia Piaśnicy, zobaczył czółno czerniejące w kipieli. Ukrył się za krzakami, nie wiedząc, kto może być w łodzi.

Wtem wysoka denega rzuciła łódź z rozbitkami na piaszczysty brzeg. Ale ledwie dwóch rozbitków z niej wyskoczyło, żoch porwał czółno. Uratowani zaś zaczęli wspinać się na wydmy, by ująć groźnym grzywaczom, które spiętrzaną pianą wdzierały się głęboko w plażę. Jówa siplunął w ręce i zastąpił Szwedom drogę. Ci na widok brodatego olbrzyma krzyknęli z trwogi i chwycili za rapiery. Ale wojownik z morskiej piechoty uprzedził ich cipsy. Jednym cięciem toipora rozwalił hełm i łeb pierwszemu z rozbitków. Ten rozkrzyżował ramiona, zwałił się jak ścięty »pień, potoczył o kilka stóp w dół po ośnieżonym zboczu. Drugi wrzasnął w śmiertelnym strachu i nie próbując stawić czoła wielkoludowi zeskoczył z wydm na strąd.

Nadleciała właśnie nowa fala. Pod urwiskiem tryskały wysokie fontanny. Odmęt połknął zdobycz. Szyper pod-⁶ szedł do trupa pierwszego rozbitka, pochylił się nad nim.

^ Żołnierz — mruknął. — Musiał tedy to być wojenny okręt. Ale — zastanowił się na moment: — gdzie się ich szalupa podziała?

Minął zasypane ujście Piaśnicy i poszedł po wydmach w kierunku zachodnim, tam, dokąd rwący żoch poniósł łódź. Zbiegłszy w dolinę między dwa {piaszczyste wzgórza usłyszał nagle niewieści płacz i wołanie:

— Matko Boska Swarzewiska, ratuj mnie!

To wołanie niewieście wydało mu się tak niezwykle, że struchlał i natychmiast zawrócił ku dalekim checzom. Ale oto znów ujrzał szalupę. Denega niosła ją z szybkością błyskawicy na strąd. Na szczęście fala nie doszła aż pod urwiska i łódź, z której dochodził szloch kobiecy, stanęła na piachu. Jówa nie zważając na niebezpieczeństwo podbiegł do czółna. Dojrzał, że wyskoczyły z niego dwa cienie i znikły wśród garbów wydm. Nie gonił ich. Do- skoczył do szalupy, chwycił wzywającą ratunku i do cna przemoczoną białkę, zaniósł ją na rękach jak dziecko ku dolinie, by tam jak w wąwozie schronić się z nią przed chłostą wichru.

— Co to był za statek? — zapytał, gdy znaleźli się w zacisznym wądole.

— Szwedzka nawa kupiecka — odpowiedziała drżąc z zimna białogłowa.

— Zdawało mi się, że byli z tobą żołnierze? \

— Byli.

— Skąd wzięli się na kupieckim korabiu?

— Zaokrętował ich taim komendant Pucka, by mnie i jego bogate łupy cało odwieźli do Szwecji.

— Ten kulawy purtk Sython?

— Znacie go?

Nowy podmuch nordy zagłuszył jego odpowiedź, ale uratowaną ośmieliły snadź dźwięki kaszubskiej gwary bo zaraz zapytała: —

— Gdzie jestem?

— Koło Dębek — odparł brodacz.

— A wy kto?

— Zowią mnie Jówa. Byłem w Jastarni szyper, a teraz służę w morskiej piechocie pana Appelmana.

Zaczęła dzwonić ząbkami. Wstrząsnęły mię dreszcze.

— Zimno mi — szepnęła — zmarznę tutaj.

— Chutko się ogrzejesz — zapewnił szyper, pochylił się, chwycił ją pod ramię i poprowadził ku Domienikowej checzy.

— Słyszałam wasze nazwisko w Pucku — mówiła po drodze. — Gadano, że się was nie imają kule. Szwedzi drwili, że macie grubą skórę jak pancierz, a pucanie powiadali, iż chroni was różaniec, który nosicie na szyi.

Olbrzym zdumiał się na te słowa.

— Ktoś ty, dzeusie? — huknął.

— Córka Rokitki.

— Czyja? — powtórzył, bo słaby jej głos przygłuszał świst wiatru i szum morza.

— Marcina Rokitki, mieszczanina z Pucka] Mój ojc siłą mnie wydał za obensztera Sythona, choć ten jest bodajże odeń starszy i kulawy jak diabeł.

— Toś ty córka tego judasza?

— Ano tak — zanosła się płaczem. — Ale ja niewinna! Nie chciałam takiego małżonka. Wolałabym śmierć niżli taki los. Serce moje chowałam dla jednego naszego okrętника.

Wzruszył się jastarnik. Pogłaskał ją po ramieniu i zagadnął:

— Siła było załogi na tym statku, któryim cię wieźli?

— Nie wiem — odparła tłumiąc szloch. — Ale wszyscy marynarze wraz z żołnierzami wsiedli do dwóch łodzi.

Opowiadała jak z początku oba czółna schroniły się za statkiem, a gdy ten zniknął w falach, jedna łódź zaraz się przewróciła, drugą zaś wiatr popędził ku lądowi. Znaleźli się w pienistym i buczącym presku. Kilku rozbitków rzuciło się za burtę by prędzej osiągnąć zbawczy strąd. Zniknęli na zawsze w kipieli. Pięciu pozostało w czółnie. Z tych dwaj wyskoczyli, kiedy kil łodzi uderzył o brzeg. Reszta nie zdążyła tego uczynić.

— Porwał nas zoch — skończyła relację — jak drugi raz rzuciło najs na strąd, wyście się zjawili jak anioł posłany mi na ratunek.

— Jaki tam ze mnie anioł — Jpurknał. — Ale nie bój się, dzeusie. Przy mnie ci się nic złego nie stanie! Zaprowadzę cię do dobrych ludzi. Będiesz mogła u nich ostać, póki ta okrutna wojna nie przeminie.

— Dziękuję wam — ehlipnęła i zmów się przelekła. — Co to?

Doszli właśnie do Piaśnicy. Przez wał tarasujący ujście przelewały się z hukiem potężne fale.

— Nie bój się — powtórzył Jówa, wziął białkę na plecy i przeszedł z nią w swiodch długich butach przez wodę jak święty Krzysztof niosący dzieciątko. — Zaniosę cię aż do checzy — rzekł po tej przerwie. — Prędzej zaj-¹ dziemy.

— Was to chyba zesłała mi sama Swartzewska Panna — dygotała wystnaszona Rokitkówna. — Żeby »me wy, utonęłabym albo też chwyciliby mnie ci dwaj żołnierze, co na brzeg skoczyli i znów bym popadła w ręce kulasa Sythona.

— A mają broń te dwa morzkulce? — zaciekawiał się szyper.

— Muszkiety ostawili w szalupie.

— To dobrze!

— Czemu?

— Bo inaczej mogliby wypalić do nas gdzieś zza krzaka.

— Jezus, Maryja! — przeraziła się — żeby nas jeno nie napadli i mnie nazad do Pucka nie zaprowadzili!

— Nie bój się — powtórzył po raz trzeci — mam topór pod pachą i rusznicę na plecach. Sython cię już nie dostanie! Daj Boże, żebym go spotkał w Pucku, a odechce mu się na zawsze nasze dzeusy niewolić.

W dali wśród wydm błyskało już jak przewodnia gwiazda okienko starej checzy.

W izbie Michałowej furczał kołowrotek, trzaskały płonące drwa. Chory szlachcic, kobiety, starcy i dzieci czekali z niepokojem na powrót Jówa. Naraz zaskrzypiały drzwi i oczekiwany stanął w progu sionki.

— Jezus, Maryja! — krzyknęła rybaczka widząc szczupłą i drobną niewiastę ma plecach olbrzyma.
— Co ten jastamik przydźwigał?

— Wodną pannę chwyciłeś? — zdziwił się siwy Okoń.

— Uratowałem białkę — odrzekł brodacz, wszedł do izby i złożył swoje brzemię na ławie pod piecem.

Mikołaj Kur chwycił łuczywo, oświetlił bladą twarz ciężko oddychającej białogłowy.

— Toć to małżonka puckiego komendanta — poznał ją Sulicki podnosząc tsię na posłaniu. — Skąd ona tu? Czy może Szwedy...

— Nie bójta się — zagrzmiął Jówa. — Wysłał ją do Szwecyi ten purtk Sython, ale Bóg zrządził, że nadszedł sztorim, nawa isię rozbiła i jam tę miebogę z presku wyciągnął.

— A kędy reszta załogi? — spytał przezornie Okoń.

— Nic nam od nich inie grozi — uspokajał go szyper. — Czterech jeno wysiadło na ląd! Jeden powąchał mój topór, drugiego fala zabrała, a dwóch igolców między wydmy uciekło.

Tymczasem kobiety otoczyły uratowaną mieszczkę. Ze współczuciem patrzyły na jej białe jak śnieg lica, potargane włosy, moikre suknie.

— Zimno ci? — pochyliła się nad nią Barbara. — Drżysz cała...

Rokitkówna płacząc pokiwała głową.

— Chodź tedy do alkierza. Przyobleczesz się w suche

szatki — 'powiedziała Kaszubka. Pomogła jej wstać z ławy i wywiodła ją z izby.

Kiedy wróciły, mieszcza miała już na sobie zbyt obszerne suknie gospodyni. Przyczesła zmierzwione włosy, a z oczu jej zniknął lęk. Zrozumiała, że (nic jej tu nie grozi, że młody szlachcic,

którego po raz pierwszy ujrzała podczas przesłuchów w refektarzu puckiego zamku, nie zamierza pociągnąć jej do odpowiedzialności za postęпки rudego Szweda.

— Jako się zwał ów okrętnik, którego umiłowałaś? — spytała ją Miskówna, kiedy razem przysiadły na skrzyni koło milczącego kołowrotka i zaczęły się posilać rybią polewką.

— Mainuszewski.

— Bosman ina szkucie Malotki, dawmego burmistrza Pucka? — zaciekawil się Sulicki, wychylając się z łóża i wspominając wiosenną wyprawę do Gdańska.

— On sam — odparła. — Jemu serce oddać chciałam. Acz pan ociec na to nosem kręcił, byłam pewna, iż na koniec zięciem go uzna. Ninie zaś wszystko przepadło! Innemu poślubiona! Wrogowi i grabieżcy!

— A kto wam ślub dawał? — zagadnął 'basem Jówa. — i Pleban od puckiej fary?

— Nie — (pokręciła głową. — Jakiś luterski predykant. — Polowy kaznodzieja ze Szjwedy przybyły.

— Tedy nie¹ płacz, dzeusie — orzekł stołem. — Psu na buty takowy heretycki ślub. Jesteś wolna jak ta mewa nad Wielkim Morzem latająca i skoro jeno chcesz, możesz mnie na zrękowiny z bosmanem twoim zaprosić!

Podniosła na niego źrenice błyszczące nadzieją.

— Nie drwicie ze mnie? — szepnęła. — Albo też nie mijacie się z prawdą, by jmnie w strapieniu pocieszyć?

— Jo nie łzę! — uderzył pięścią w stół. — Tako je, jako powiadam.

I A potem ułożył się do snu, bo równo ze świtem zamieć ' rzał wyjść na strąd, zobaczyć, czy fale nie wyrzuciły jakich bit z zatopionej nawy wiozącej Sythonowe skarby.

iatr odmienił kierunek. Powiał z zachodu i sprowadził odwilż. Stopiły się kry na zalanych odargowskich mokradłach. Dębczanie mogli nie bać ,się najazdu Szwedów. Odcięci od świata wesoło spędzili Gody. Jedli wigilijne ryby, śpiewali /podczas świąt kolędy

O Dzieciątku w stajni -narodzonym, na które na próżno dybał okrutny Herod. Jedno ich tylko martwiło. Rana Piotra Sulickiego nie chciała się goić i Jówa w przed* dzień Nowego Roku saim musiał ruszyć na Swarzewską Kępę. Bez brodatego olbrzyna obchodzili więc sylwestrowy wieczór. A był on ipogodny i radosny.

Skoro się jeno ściemniło, dębeckie wyrostki przebrały się za gwiazdora, dziada z niedźwiedziem, zwinną kudłatą małpę i pstrego bociana «z -koszykiem w dziobie. Pierwsi wtargnęli do Michałowej checzy niedźwiedź opleciony grochowiłą i dziad, trzymający go na linie. Staruch przyśpiewywał, a niezgrabny miś płaśał. Za nimi z całą powagą wszedł siwobrody gwiazdor odziany w starą opończę.

Niósł na plecach wór i groził dzieciom, że je zabierze, jeśli nie będą 'umiały pacierza. Małeństwa na jego widok jęły niezgrabnie żegnać się krzyżem świętym, on zaś obdarowawszy je podszedł do Bairbarki.

— Życzę ci, dzeusie, byś tego roku za mąż wyszła — mrucał z głębi bnodziska. — Toć wojna je okrutnie na rycerzy młodych łakoma. Trzymaj tedy swojego i o nowych mu się staraj.

Tu stojący obok bocian wyciągnął dziobem z koszyka coś białego, niby to w pieluszki owinięte niemowlętko

I podał je Domienilkównie. Zarumieniła się dziewczyna. A gwiazdor zaczął życzyć Rokitkównie, by wrogowi nie mnożyła żołnierzy. Bocian wyciągnął dla niej z koszyka obrazek Matki Boskiej. Z kolei do izby wskoczyła ziwina małpa, zrobiła kilka susów po ławie, skrzyni i zydlach, pogroziła palcem Rokitkównie, wyciągnęła z gwiazdorowego miecha miecz, wręczyła go Sulickiemu i wyskoczyła na dwór. Potem dziad wyprowadził niedźwiedzia, wyszedł też obdarowany jabłkami i suszonymi śliwkami siwy gwiazdor. Jak nakazywała stara tradycja, ruszyli

w obchód pozostałych dębeckich chałup, by życzyć szczęścia i prosić o dary.

W izbie natomiast zasiedli wszyscy mieszkańcy do zastawionego stołu. Jedli w blasku (płonących łuczyw. Nawet pan Piotr podźwignął się z łóżnicy i z jedną ręką na temblaku siedział wśród rybaków.

— Teraz dalej do ołtarza — żartował Mikołajk Kur i wskazał białe zawiniątko na skrzyni. — Wróżba musi się sprawdzić.

Na twarzy Miskówny wykwitły rumieńce, a Michałowa zgromiła starego gburę, wstawiając się za powinowatą.

— Dajcie jej spokój. Sromota słuchać, co godoce!

— Ech! — machnął ręką Mikołajk.

— I grzech!

— Jaki tam grzech! Nie słyszałaś, co gwiazdór godoł? Młodzi wojownicy giną, trza tedy Pannie Swarzewskiej nowych rycerzy, obrońców przysporzyć.

Uparł się staruch i nie chciał białce ustąpić]

Wrócił do tego tematu za kilka dni, w środę, kiedy u schyłku święta Trzech Króli cienki sierp księżycy zaszedł za wierzchucińskie bory, gwiazdy zamigotały nad wydmami, a lekkiemu poszeptowi morza, wygładzonego zimową gładą, wtórowały chrapliwe głosy nieznużonych północnych nurów.

— Wiedno w ten wieczór — mówił — w każdej nadmorskiej wsi zbierali się reboce na maszoperskie festa, by maszoperie odnowić. Dziś nie ma knojpów. Poszli (pod Puck albo pogimęli.

W taki czas nie ma co ze ślubem zwlekać. Kto się ma żenić, niech się żeni, żeby ludzki ród na Kaszubach do ona się nie wytracił.

Piotr zrozumiał, do kogo Kur ipije.

— Ba — rzekł — do tego naglić mnie nie potrzeba. Rad bym choćby dziś przed ołtarzem stanąć. Już niejedyn raz naznaczaliśmy z Barbarką termin, ale zawsze coś stawało na przeszkodzie i pewnie dopóty nic z tego nie wyjdzie, dopóki wróg ojczystą ziemię deptać będzie. Zresztą zdrowym już i muszę do moich wolontarizy wracać. Odwieziecie mnie jutro pod Żarnowiec?

Umilkł Mikołajk na te słowa. Skinął poważnie głową.

Nazajutrz, ledwie wschodzące słońce rozjarzyło długie,

7 — Krwawy sztorm

193

lodowe sople zwisające z dębeckich strzech, czekał już przy łodzi gotów do drogi.

Piotr i Barbara, która postanowiła odprowadzić narzeczonego, pożegnali się z Michałową, Rokitkówną, zgryźliwym Okoniem, wsiedli do czółna i odjłynęli w górę Piaśnicy.

Gdy dobili do Żarnowca, Barbara uprosiła Mikołajka, by na nią zaczekał w klasztorze pobożnych mniszek.

— Czemu? — zdziwił się stary rybitwa.

— Pójdę z nim — wskazała szlachcica — aż minie Krokowo i Sulice. Wtedy dopiero wrócę do Dębek spokojna, że mu po drodze nic się nie przydarzyło, boć sulicki dziedzic tak jak i krokowski na żywot miłego mojego dybią.

— Bartosz w Pucku! — uspokoił ją Piotr. — Oblężon! Już się z tej fortecy nie wydostanie, póki nie dobieżem jej. Wtedy wszelako ten starosta piekielny wpadnie w nasze ręce.

Spojrzała ma niego z troską, a kiedy pożegnawszy Kura u klasztornej bramy podążyli krokowskim traktem, znów ją prosić, by darował bratu winy i nie mścił się na nim.

— On się jeszcze nawróci — przekonywała. — Odpokutuje grzechy swoje.

— Ba — odparł — wszyscy przedawczycy się nawrócą po naszej wiktorii. Słyszałem, iż pan Hemest już dziś przeklina Szwedów, bo szala wojny na naszą stronę przechylać się zaczyna. Nie inaczej ima się rzecz z panami z Bożego Pola i Kłanima. Jeny, że psie głosy nie pójda w miebiosy.

— Piismo święte uczy...

— Że Kain zabił Abła — przerwał.

— Aleć też Kain na wieki za to potępion został. Nie idź Kainowym tropem. Daruj bratu!

— Skoro prosisz oto — zgoda! Ale czy Bóg mu przebaczy?

Tak rozmawiając szli, aż minęli Krokowo i Sulice. Tu Piotr chciał się pożegnać z narzeczoną, ale ona uprosiła go, by mogła mu jeszcze towarzyszyć do Starzyna. Przystał na to, dopiero więc pod Darżlubsłą Puszczą zaczęli się żegnać.

— Żeby pan Lanckoromski ową grudniową bitwę o Puck

o jeden jedyny dzień później zaczął, zegnałbym cię już jako miłą mą zoneczkę — mówił szlachcic ściskając narzeczoną pod ogromną sosną na skraju puszczy.

— Adwent był podówczas — przypomniała. — Czas zakazany. Przez to Bóg nie dopuścił do naszego ślubu. Teraz jak Puck dobędziecie, a Szwed za morze ucieknie, z pewnością przed Wielkim Postem staniemy przy ołtarzu.

— Bodaj ziściły się twe słowa — ucałował ją w policzki. — Bywaj zdrowa, miła moja.

— Niech cię Panna Swarzewska ima w swojej opiece — westchnęła, uścisnęła go i skoiro tylko zniknął w ciemnym borze, ruszyła w powrotną drogę, by przed wieczorem stanąć w domu. Coraz to przyspieszała kroku bojąc się, że Mikołajk zniecierpliwiony czekaniem sam odpłynie. Gdy przechodziła jkoło Odairgowa, zerwała się z pól chmara wron.

— Kra, kra — przeraźliwie krakały kołując nad jej głową.

Kraczące wrony nic dobrego nie wróżą — pomyślała z mimowolnym lękiem. Z ulgą weszła ipomiędzy pierwsze zabudowania Żarnowca i podążyła ku obrotnemu klasztorowi, którego czerwone mury różowiały za mgłą unoszącą się nad wielkim, wiejskim stawem. Przeżegnawszy się w bocznej kruchcie weszła do strzelistego mrocznego kościoła. Pod wieczną lampką na kamiennej posadzce klęczał przed ołtarzem Kur. Kończył odmawiać ostatnią część różańca.

— Ojc — szepnęła.

Zerwał się i poszli po łagodnym zboczu w dół nad rzeczkę do łodzi. Prąd Piaśnicy, która znowu przerwała sobie ujście przez wydmy, poniósł czółno ku Dębkom.

— Zdrzeta le, co to za kłębiasta mgła wisi tam nad checzami — wyciągnęła w pewnej chwili rękę ku wydmom.

Stary rybak ani nie spojrział w tamtym kierunku.

— Ja mam wzrok tak wypatrzony, że sięga ledwo na dwie kopy lepra — mruknął.

Podniosła dłoń do oczu.

— Jezus, Maryja! — jęknęła. — To Dębki się palą! Płomień bije ze strzechy Michałowej checzy.

— Rzeczywiście! — porwał się Mikołajk teraz dopiero spostrzegając niebezpieczeństwo. — Gore!

— Co robić? — chwyciła się za głowę. — Co robić jna Boga żywego?

— Zawracamy!

— Czemu?

— Tam Szwedy! Grabią! Mordują. Lepiej schronić się nam w żarnowieckim klasztorze.

— Nie! Płynmy do Dębek. Trzeba ratować naszych...

— Po śmierć swoją chcesz tam spieszyć?

— Jak nas Matka Boska nie ustrzeże, to możemy i w Żarnowcu zginąć...

Popchnął więc czółno w dół rzeki. Wiosłowali z pasją. Im bliżej byli wydm, tym straszliwszy widok im się ukazywał. Czarne cienie migwały między płonącymi chatami.

— Prędeż! — nalegała zrozpaczona Barbara, a kiedy wreszcie stanęli w gęstych krzakach naprzeciw Dębek, wyskoczyła z iszalupy i pobiegła ku osadzie.

Z daleka widziała, co się tam działo, bo zachodni wiatr unosił kłęby dymu w stronę Karwi. Ciemne postacie napastników gdzieś znikły. Nad brzegiem pod karłowatymi sosnami zgromadzili się przerażeni ipogorzelcy. Na gałęzi najwyższego drzewa kołysał się nad nimi w wietrze jakiś wisielec.

— Kto to? — jęknęła Barbaira dopadłszy do strwożonej gromady.

— Stary Okoń — odparła zapłakana bratowa.

— Co tu się stało?

— Szwedy porwały pucankę. Gonili przedtem po wiszetkach checzach. Odpłynęli dopiero co stąd na łodziach. O tam — wskazała ręką. W przerwie między dwiema wydmami widać było okręt z rozwiniętymi żaglami. Oddalał się powoli od brzegu, uwożąc łupy i Sy-thonową małżonkę.

— Grabili?

— Szukali jakiegoś olbrzyjna... Okoń jął tłumaczyć, że nikogo obcego u nas nie było, a te diachle go z miejsca powiesiły. “Łże — krzyczeli do Rokitkówmy. — Widzieli my zza krzaków, że cię ów olbrzym niósł na plecach!”

Na to zbliżył się Mikołaj z wiosłem ma plecach.

— Mój Boże, sjprawa niby ‘słońce jasma — odezwał się posepnie. — To te dwa Szwedy, co przed

Godami uciekli ze szalupy, ściągnęli ma was nieszczęście.

Miszkówna pokiwała głową.

— Snadż przedostali się do Pucka, donieśli o wszystkim Sythonowi, ten kulas wysłał na poszukiwainde żony statek. Biedna pucanka! Znowu popadła w niewolę.

Buchały snopy dymu i rudych iskier. Waliły się krokwie.

Mikołajik kazał wyrostkom przynieść drabinę i odciąć starego rybaka. Michałowa zaś białka, ocierając załzawione i czerwone oczy rąbkiem fartucha, lamentowała żaląc się nad losem młodej mieszczi:

— Żebyś wiedziała, jak się szarpała i wrzeszczała, gdy ją inieśli do morza! Kamień by jzmiękł. Ale oni się nie zlitowali nad »niebogą. Rzucili ją do czółna razem z zagrabionymi kurami. Szczęście, że Jówa i twój narzeczony na czas stąd odeszli — pocieszyła rybaczka Barbarę — ani chybi położyliby tu głowy w bitce z tymi morzkulcami.

— Wiele ich było?

— Blisko kopy! A może jeszcze więcej! Jedni skierowali lufy muszkietów na nas, insi myszkowali po checzach jak opętani przez purtka.

Mrok zapadał. Dogasały zgliszcza. Rozlegał się coraz głośniejszy płacz bezdomnych. Nie było gdzie *spać ani co jeść.

— Twój panicz Piotr i ów jastarnicki sizyiper zaręczali, że Dębki są bezpieczne — narzekali dębczanie. — Ufali my im. I oto co się stało? Nie imamy gdzie się schronić. Zginiemy tutaj!

— Bóg nas nie opuści — pierwsza opanowała się Do- mienikówna. — Zabierzem zwłoki Okonia do łódki i po- płyniem do Żarnowca. Tam panny żarnowieckie nas wspomogą, a miłosierni chłopci przyjmą do swoich checz.

— Ale kto nas zawiezie?

—Toć Okoń zabit!

— Po nocy zbłądzim na rozlewiskach.

— Mikołajk nie zmyli drogi — zapewniała. — Dowiezie nas pod sam klasztor.

Zabrali zesztynniałe zwłoki rybaka, złożyli je na dnie czółna. Zaczęli wsiadać do łodzi. Kur patrzył na to z frasunkiem.

— Będzie nas z nieboszczykiem prawie mendel ludzi — mrucał. — Czy nasz bot to poradzi?

— Bot je długi i szeroki — odrzekła żooia dębeckiego

szypra wsadzając swe dzieci jedno za drugim do łodzi. — No, odbijaj? Na co czekasz, storku?

Obladowane, głęboko zanurzone czółno (powoli ruszyło w mglisty mrok.

Dębczanie znaleźli w Żarnowcu (przytułek. Rozeszli się po chłopskich chałupach i klasztornych zabudowaniach. Starego Okonia miano pogrzebać nazajutrz na cmentarzu przy starym kościele. Barbaira nie czekając na pogrzeb podążyła skoro świt do Darżlubia, aby donieść jnarzeczonemu, co zaszło w Dębkach. Spotkał ją jednak zawód, wszedłszy bowiem do rozległej wsi nie spotkała ani jednego żołnierza.

— Dziś wczesnym rankiem wszetcy pociągnęli na Puck — mówili jej darżlubianie, gdy pytała o wojsko.

— Pewno zanosi się na bitwę — domyślała się dziewczyna. — Żeby to naszym powiodło się zdobyć nareszcie tę warownię.

Kiedy zaś do jej uszu doszedł daleki grzmot armat, wyszła jza wieś, na pucką drogę. Stała. Koło niej zbierało się coraz więcej Kaszubów i Kaiszubek. Z trwogą nasłuchiwali rosnącego huku dział. Z trwogą patrzeli na chmurę dymu, którą południowy wiatr pchał nad Małe Morze, a która rozciągała się aż do Wielkiej Wsi.

— Zachowaj, Boże, mego ukochanego od kul nieprzyjacielskich — szeptała Barbara. — Osłoń go tarczą swej opieki.

Długo stali na trakcie pod nagimi drzewami.

Zza czarnych, podartych chmur co chwila wynurzało się słońce, jakby i ono chciało ujrzeć, czy Puck już wyzwolony. Łoskot armat trwał jednak nadal. Przed wieczorem dopiero nadjechał jeden z wolontarzy. Twarz miał rozciętą rapierem. Na długiej brodzie czerwieniła się zastygła krew. Domieinikówna poznała Żelewskiego. Podbiegła doń niecierpliwie.

— Dobyliście Puck? — zapytała dziewczyna drżącym głosem.

— Jużesma byli wtargnęli wyłomem do miasta — odparł — wżdy Szwedów tam taka kupa i tak się zaciekle bronią, że trza naim było na odwrót trąbić.

— A pan Sulicki zdrów?

— Niby rydz! ^

— Niebiosa was strzegły.

— Nie wszystkich — skrzywił się i machinalnie podniósł rękę ku zranionej twarzy.

— Opatrzę wam ranę — ofiarowała się d ruszyła z Że- lewskim na dawną Piotrową kwaterę.

Nie opuściła jej już tego wieczoru, bo po chwili zjawilo się dwóch rannych braci Rybińskich, a gdy

całkiem się ściemniło, nadjechał Sulicki z resztą wolontarzy. Wszedłszy do izby zdziwił się niemało na widok Barbary, wysłuchawszy zaś jej relacji o Dębkach zmarszczył czoło:

— Prosisz zawždy, żeby «się nie mścić, a wróg coraz to nowych dopuszcza się zbrodni.

— Diabły wcielone! — fukał Andrys Kur.

— Żywej nogi z nich do Szwecji nie puścimy — odgrażał isię brat jego Maciej, 'mocno /Zaciskając w garści rękojeść szabli.

Domienikówna spojrzała na mich błagalnie. Zamierzała prosić ich, by litościwsi byli niż nieprzyjaciele, wytłumaczyć, że wtedy syprijać im będą niebieskie moce, ale nim to uczyniła, nadjechał goniec z rozkazem od Lancko- rońskiego, by rankiem wolontarze ipołączyli się ze stojącą w Połczynie chorągwią Falińskiego i zajęli pozycję przed Gdańską Bramą.

— Gdzie ty się teraz, niebogo, (podziejesz — zatroskał się Sulicki. — Nie wróciłabyś ido Żarnowca do bratowej?

A może przeoryszy Knutówny o azyl w klasztorze poprosisz?

Barbara spojrzała na rannych leżących w izbie. Dyszeli ciężko i ^bijali w nią mętne oczy.

— Ostanę tutaj —(postanowiła. — Będę dch pielęgnować. A i tych, co jeszcze pod Puckiem od kul albo ra- pierów szwank poniosą.

Sulicki ucałował jej rękę.

— Anioł z ciebie, miła — rzekł cicho. — Wszelako tu- ' szę, iż jutro nieprzyjaciel się podda!

— Po takiej strzelaninie wnet im. chyba municji zabraknie — dodał Ustarbowski gładząc wąsy. — Dalibóg, koniec ich już niedaleki.

— Kładźmyż się tedy do inu — ziewnął Maciej. — Północ blisko, a skoro zakwita, “wsiadanego” nam zatrąbią.

— Musim wypocząć — przytaknął pan Piotr. — Siły zebrać do ostatecznej, da Bóg, rozprawy.

Posilili się wołowiną, którą gospodyni wyjęła z sagana kijpiącego na trójnogu w czeluści kominka, odmówili pacierze i posnęli. Tylko Barbara czuwała przy rannych.

Jeszcze (przed brza*skiem ruszyli pod Połczyno, gdzie się mieli spotkać z dragonami, którymi po śmierci Krzysztofa Falińskiego dowodził porucznik Paweł Karpiński. Domie- nikówna, znużona czuwaniem, przespała ich odjazd. Dopiero około południa zbudziło ją dudnienie armat donoś- niejsze niżli wczoraj. Nie ustawało ono prizez cały dzień. Przybywali ranni.

— Puck jeszcze się broni — mówili, kiedy obmywała i bandażowała im krwaiwe rany.

Taką sarnią wiadomość przyniósł wieczorem Sulicki.

— Piechota nasza podciągnęła szanice pod same fosy, a Jówa wnet by wysadził miną bramę — opowiadał siadłszy przy stole do zasłużonej wieszery. — Dużo legło, ale jego jakby się kule nie miały. Może jutro dokona tego, cę dziś mu się nie /powiodło i dobędziem miasta.

Z nadzieją więc nasłuchiwała Barbara palby, której echa przyniósł nazajutrz do Darżlubia wschodni wiatr. Niestety, wkrótce rozhulała się gęsta śnieżyca i zaraz po południu strzelanina ucichła. O zmroku powrócił z wo- lontarzami pan Piotr. Otrzepał z burki .gru/be płaty śniegu i powiedział chmurnie:

— Znowu nic! Oblężonym ta psia pogoda w sukurs przysła. Musimy szturm zaniechać.

— Znów tedy odwleka?

— Co się odwlecze,/to nie uciecze! Jutro zmieniam^ na rozkaz porucznika Karpińskiego kwatery.

— Dokąd pociągniecie? — zapytała.

— Do Bładzikowa.

— Nie wiesz czemu właśnie tam? Toć tu zaciszniej. Kwatery lepsze i wiwendy więcej. A w tamtej stronie... — drgnęła na wspomnienie tego, co ujrzała w checzy wuja Selima.

— Dowództwo przenosi nas bliżej murów, by żaden Szwed się nie wydostał z Pucka — odparł Sulicki czyszcząc połą żupana damasceńską klingę swojej szabli. —

Odetniemy im wszystkie drogi i jeśli inie siłą ich weź- miem, to głodem. Aleé to dłużej imoże potrwać, niż się spodziewamy.

Następnego dnia odezwała się trąbka. Stu niemal wo- lontarzy dosiadło koni i pod wodzą pana Piotra podążyło drogami przez zaśnieżone pola ina oznaczoną placówkę. Na końcu oddziału sunęło kilka sań ze spyżą i rannymi, którymi opiekowała się Barbarka otulona w barani kożuszek. Twarz miała bladą, zatroskaną. Na .próżno wesoły Andrys Kur jadąc koło jej skrzypiących sanek usiłował ją rozchmurzyć ucieszną, kaszubską piosenką:

Idz, dzeuse, do dom i nence ipowiedz, na tą niedzielę pierwsza zapowiedz.

Za trze niedzele będzie wiesele.

Będą tam krewni i przyjacele...

Nie wierzyła już w to prorocstwo...

początkiem stycznia nadeszły ostre mrozy i śnieżne zamiecie. Małe Morze zaimarżło aż het do Jastarnickiego Kolana. Ani jeden okręt nie mógł dobić do puckiej przystani, a wojska polskie okrążyły fortecę od lądu tak ciasno, że nawet mysz by się z niej nie wydostała. Po zamarznętej zatoce krążyły

gęsto 'patrole morskiej piechoty, bacząc by Szwedzi tamtędy nie oprowadzali do Pucka żywności lub wojskowych posiłków. Rokitce udało się kiedyś wypędzić puckich rybaków z niewodem na połowy pod lodem czy na łowy fok, ale czujny Jówa wziął ich do niewoli, ledwie wyszli za Wodną Bramę. W rezultacie jeńcy postanowili wstąpić do rot parną Ap- pelmanowej piechoty, bo od dawna już szwedzina "szła im z gardła". Sam Marcin Rokitka mimo namów Heinego nigdy nie zaryzykował nosa wysunąć za puckie bramy.

Obawiał się jastarnickiego stolema. Nieraz z blanków Widywał jak ów mocarz ciężkim toporem rąbał Szwedów pad murami niby wielkainoone prosiaki i wołał się nie narażać na jego cios.

— U was w Pucku głód aż piszczy — narzekali rybacy, gdy Jówa prowadził ich lodowiskiem pod Gnieźdzewską Górę. — Nie ma co jeść ami czym palić w piecach. Marzniemy, zaciskamy pasy...

— Toó z puckich kominów wali dym, aż okolicy nie widać — przerwał sizyper wskazując buroczarne smugi nad miastem.

— Bo Szwedy obcinają gałęzie z drzew i nimi palą. Przez to im się kopci jak dziadom. Ale i tego drzewa rychło zabraknie. Municji i żywności też nie mają wiele. Przed wigilią obeszli nasze checze. Zagrabili nam wszet- ko do ostatniego solonego węgorza i śledzia. Tegoż roku we wigilię trza się było 'bez ryb naim obejść.

Kapitana Appelmana ucieszyły te nowiny przyniesione przez rybaków.

— Wygłodzimy ich — zacierał ręce chodząc ipo swej kwaterze. — Jeszcze trochę, a bez naszych szturmów chętnie się poddadzą.

Do kapitulacji wszakże jakoś nie dochodziło.

Po dwóch tygodniach ostrego i mroźnego wiatru ze wschodu nadciągnął łagodniejszy west. Mróz zelzał. Padający wciąż śnieg topniał, ledwie legł ma połach. Zaczynały na nich czernieć łysiny obnażonej ziemi. Lód :na Wiku popękał. Wzmagający się wicher oczyszczał zatokę z kry.

— Jenó teraz dobrze pilnujcie, by obłożonym nie podesłano wodą pomocy — nakazywał Appelman swym żołnierzom.

Patrolowali przeto dzień, i moc czółnami po Małym Morzu, póki wiatr nie wykręcił do południowego wschodu, a Wik tak »się rozbujał, że trzeba było zmykać, do brzegu. Tam od kilku już dni grzmiały ciężkie kartamy przysłane Polakom przez wierny Rzeczypospolitej magistrat królewskiego miasta Gdańska.

Któregoś ranka Jówa z kilkoma rybakami podkradł się przez mokradła, między nagimi krzakami pod pucki mur, by stwierdzić, jakie wyłomy uczyniła w mim .polska artyleria. Skradali się długo i ostrożnie, aż zauważyli przed

sobą ptasie kotłowisko. Białe mewy i czarne wrony kłębiły się krzycząc i bijąc skrzydłami nad jakąś zamarzną kałużą.

— Pójdziema zajrzeć, co tam je — i powiedział Jówa do swoich.

— Może zdechła foka — mruknął Dawid Kąkol.

Gdy jednak doszli do owego kotłowiska, stanęli jak

wryci. W torfowym dole w świeżo zamrożonym lodzie czerniała ludzka głowa w kapeluszu ze strusimi piórami.

— Tu chyba jakieś Szwedzisko zgubiło swój głupi łeb — orzekł brodaty szyper. — Miarkuję po kapeluszu, że to morzkulc!

— Ale jak on się dostał tutaj? — zastanawiał się Jakub Długi.

Rochów Klemens ułamał brzozową gałąź, by głowę przygarnąć do brzegu zlodowaciałego lekko torfowiska, ale stracił tylko kapelusz.

— Nie dasz rady, drehu — pokręcił brodą Zych Do- mieinik. — Przymarzło na amen!

Jówa przykląkł, by lepiej przyjrzeć się zsiniałej twarzy trupa.

— Jakaś znajoma gęba! — mamrotał. — Chyba już gdzieś ten pysk widziałem. Żeby nie miał tego kapelusza i długich włosów, rzekłbym, że to ów brat naszego pana Piotra.

— Bartosz? — poddał Kąkol.

— Nie! Ten drugi, młodszy, co też przystał do Szwedów.

— Poznają go — krzyknął Jakub. — Toć on przyprowadził był wtedy tych heretyków do Swarzewa, jak my naszej Najświętszej Pannie na odsiecz pospieszyli. Jak mu to było na imię?

— Sołtys Pomieczysfei powiadał, że Hajnrych — przypominał sobie Michał Domienik.

— Hajnrych — powtórzył w zadumie szyper machinalnie obciągając zbyt krótki Knutsenowy kolet.

— Jo! Pomnę, że nasz pan Piotr tak go nazwał tam w Swarzewie, pod drzwiami kościoła. Nie byłby uszedł mojemu toporowi, ale komendant za nim prosił.

— Miał wtenczas podgolony czub — wspomniał Piotrow Józk — a teraz zapuścił na szwedzką modłę włosy długie, jak nie przymierzając białka.

— Wyciągnijcie go — rozkazał olbrzym.

Zych, który niósł kawał liny, bo w większej grupie niebezpiecznie było iść przez mokradła bez powroza, zawiązał pętlę i zarzucił ją trupowi jak arkan na szyję. Inni otłukli dokoła topielca lód.

— Zamarzł, aż po samą szyję — mówili.

— Zamarzył, ale teraz już grzeje się za wszystkie czasy w piekle!

— Święty Piotr gwesno zdrajcom bramy niebieskie przed nosem zatrząska.

— I słusznie, bo miast bronić naszej wiary przed heretykami, pomagają im łupić kościoły.

— Starosta Bartosz Źpotno zamknął pucanom farę Świętego Piotra. Za to Bóg brata jego pokarał srogo.

— A może ów Hajnrych do nas uciekał?

— Głupstwa gadasz!

— Czemu?

— Boby przecie nie laźł w szwedzkim kapeluszu, jeno w ludzkie szatki się przebrał.

Tak gwarząc wyciągnęli trupa na twardy grunt.

— Ma białą chustkę w ręce — krzyknął Dawid. — Snadź ten knop szedł tedy jako poseł do naszego kapitana!

— Tedy musimy go zabrać — zadecydował Jówa. — Bierzta go, knopi! Zaniesieni go do Gnieźdzewa.

— Zdrajcy nie nosim! — obruszyli się rybacy.

— Choba Bartosz chce się poddać? — zgadywał Klemens. — Albo przejść na naszą stronę?

— W to nie wierzę — pokręcił głową Jakub Długi. — Póki go nie chwycimy za gardło, będzie się bronić do upadłego. Za wiele ma grzechów na sumieniu.

— To niech mu świeci kat — huknął zapalczywie Jówa. A tego obszukać — wskazał czerwoną łapą leżące U jego stóp zwłoki długowłosego szlachcica. — Obaczcie, co tam ma w torbie!

Pochylili się nad nieboszczykiem. Mewy i wrony, które na widok (zbliżających się maszopów uniosły się w powietrze, znów zniżyły lot i jęły krzykliwie protestować, że przybysze wydzierają im łup. Nie zwracali uwagi na ich wrzawę. Jedni odpinali trupowi rapier, inni wyjmowali mu z kieszeni złote dukaty. Jóźk zaś, który ob- szukiwał skórzaną torbę, krzyknął:

— Tu są jakieś (papiery!

— Gwesno na zamku coś 'knują — zasępił się szyper.

— Co? — zaciekawiał się Michał.

— Kapitan z tych pergaminów wszelko czarne na białym napisane wyczyta. Trzeba mu duchem tę

torbę zanieść.

— Az trupem co zrobimy? —zapytał Długi.

— Niech się nim pożywiają mewy i zgłodniałe wrony — orzekli rybacy. — Tyle będzie zeń pożytku.

— Wždy zmówimy za niego choć wieczny odpoczynek, to nie będzie na*s straszyc — radził Dawid.

— Pomnijcie takóž, dresze, iż to pana Piotra brat.

— Taki brat od diachla gorszy — machnął ręką stołem. — Jakby mógł, to (pospołu z Bartoszem wydałby naszego pana samemu ancekrestowi.

Kiedy jednak Kąkol zaczął odmawiać “Wieczny odpoczynek”, zdjął zdobyczny kapelusz, przyklęknął i złożywszy ręce powtarzał za rybakami słowa modlitwy.

W kilkanaście pacierzy ipóźniej złożył relację Appel- manowi i wręczył mai papiery iznalezione przy Henryku Sulickim.

— Tak — rzekł kapitan (przejrzawszy pisma. — To był parlamentarkiisz! Szwedzki . pułkownik Horn prosi

o dwudniowe zawieszenie broni. Ale, ale... Czy wyście tego wysłańca nie zabili?

— Nie!

— Mówisz szczerą prawdę?

— Jo nie łżę — oburzył się Jówa. — Co dzień przecie różaniec odmawiam...

— Jo! — ^potwierdził Jakub.

— W każdym razie musicie go tu iprzynieść — zatroskał się Appelmain. — Oddamy go Szwedom, by nie powiedzieli, iż nie szanujemy wojennego prawa!

— Bóg by nas chorobą iskarzał, gdybyśmy tego judasza dźwigali — odparł trwoźnie Długi.

Kapitan Appelman .popatrzał na jastarndków mnących w dłoniach czapy uszyte z foczych skór. Uśmiechnął się pod wąsem i nim zasiadł do stołu, aby wygotować pismo z meldunkiem do kwaterującego w Sławutowie ober- sztera Lanckorońskiego, przyobiecał maszopom:

— Dobrze, pošlę ipoń flisaków! Ci nie wiedzą, że to sprzedawczyk. Możecie odejść.

— Dziękujemy — rzekł Jakub.

Wyszli z checzy. Kiedy dochodzili do swych kwater, minął ich koniny pošlaniec cwałujący ku Sławwtowu. Biodra objiała mu Skórzana torba Henryka.

— Żeby jeno oberszter nie przystał na zawieszenie broni! — mruknął Jówa. — Te purtki czują się ju słabo. Gwesno chcą mieć dwa dni spokoju, żeby dziury w murach załatać! Jak to zrobią, znów izaczną do nas z dział bić, a my będziemy po próznicy krwawić nad fosami.

Stało się tak właśnie, jak Jówa przewidywał. W niedzielę ósmego lutego, kiedy tylko minął termin zawieszenia broni, Szwedzi rozpoczęli ogień z naprawionych murów. Polska artyleria odpowiedziała na to silną kanonadą wybijając w obwarowaniach nowe wyłomy. Po trzech dniach ostrzeliwania, przy głuchych werblach bębnow piechota ruszyła do ataku. Szwedzkie działa i muszkiety zamilkły. Brodaty olbrzym, dźwigający ciężki topór, wdarł się więc bez trudu na czele swej maszoperii do miasta. Za nim przebyło wyłom trzystu piechurów. Pognali ulicą. Po nieprzyjacielu nie było śladu.

— Uciekli? — »dziwili się żołnierze. — Czy mór jaki ich wybił?

Nagle, gdy wojsko polskie dotarło na rynek, z góry posypał się na nie grad kul. To wróg wciągnął na farną dzwonnice dwa działa, nabił je muszkietowymi kulami i siekł Polaków żelaznym deszczem. Strzelano też z dachów, zza kominów, z dymników i okien. Padał gęsto trup.

— Łotry! — krzyknął Pomieczyski. — Wciągnęli nas w pułapkę]

— Cofać się — zakomenderował blady z wściekłości Appelman. — Cofać się, bo tu nas wybija do nogi!

Nagim rapierem wskazał drogę odwrotu ispod ratusza — na wąską uliczkę, między kamieniczki i spichlerze z pruskiego muru. Ale i tam jeły się pojawiać szwedzkie kapelusze i kalety.

— Jo wam, morzkulce, tego nie daruję — odgrażał się w bezsilnym gniewie Jówa, to pozierając na zwłoki poległych kamratów, to znów oglądając się ku osnutej modrym dymem i huczącej strzałami farnej wieży. — Wła

snymi rękami zrzucę te ryczące smoki ze świętego miejsca! Obaczysz, Sythonie, purtku kulawy!

Przebili się bu wyrwie koło Młyńskiej Bramy, uszli przez zasypaną gruzem fosę ina mokre łąki, gdzie chłopci z okolicznych wsi wozili furkami piach i mościli żołnierzom groblę przez mokradła.

Wieczorem szyper zameldował kapitanowi o swym postanowieniu.

— To niemożliwe — zmarszczył brwi Appelman. — Szwedzi dobrze pilnują murów. Skoro jeno wyłom powstanie, zaraz stawiają w nim kilku muszkietarów. Nie przemkniesz się. Ubiją cię, człowiecze! A to byłaby dla nas strata niepowetowana.

Jówa odszedł, nie poniechał wsizakże raz powziętego zamiaru. Trzynastego lutego podczas nocnego szturm doszedł aż do podnóża dzwonnicy, ale że atak został przez wroga odparty, musiał zrezygnować z wykonania swego zamysłu. Potem w przeddzień świętego Macieja znów wtargnęła morska piechota do Pucka, lecz i tym razem zamiary Jówy spełzły jma niczym, bo szwedzki kuternoga urządził tak chytrze obronę, że strzelców nie było nigdzie widać, a kule padały z wszystkich stron.

Nadszedł marzec z mroźnym wschodnim wiatrem', twierdza zaś broniła się jeszcze. Oblegający klęli ze złości, bo choć w dzień już nieco słońce przygrzewało, nocami ciął mróz, jakby ludziom dusze chciał zamrozić.

Małe Morze poinowinie zamarzło aż po Hel i Gdańsk. Jówa z maszoperią co noc patrolował po lodowiskach. Czuwał, by nikt się Wodną Bramą nie wydostał z fortecy. Baczył też, aby, jak chodziły słuchy, generał Wrangel spod Elbląga nie podesłał oblężonym sań z żywnością.

— Dziś nie pójda patrol na zatokę — mówił w dzień świętego Grzegorza Appelman, patrząc na Wik z Gniezdzewskiej Góry. — Lód może oderwać się od brzegu i odpłynąć na pełne morze.

— Tedy popłyniemy w czólnie — odrzekł jastarnik. — Poprzysiągłem, że tym diachlom nijakiej pomocy nie dopuszczę!

— Dobrze — zgodził się kapitan, gdyż rzeczywiście krążyły wieści, że za helskimi wyspami czekają na Bał

tyku szwedzkie inawy, aby skoro tylko z Wiku tspłynie lód, dowieźć do Fuicka proch, kule działowe i wiwendę.

Wieczorem, kiedy śnieżyca ustała, niebo trochę się rozjaśniło, a ;na zatoce pojawiła się sima woda, spod stoku Gniezdzewskiej Góry odbiło samotne czóln z jastarnika- mi. Jówa siedzący przy rudlu wpatrywał się w Szeroką Depkę, czy tamtędy nie wypływają z Wielkiego Morza jakieś okręty.

— Nick nie je wiidzeć — mrucał.

Wiatr się uspokoił, tylko słaba brytza biegła po morzu. Płynęli ku warowni. Nagle tuż sprzed nimi na jasnoszarej wodzie zaczerniała łódź.

— Wer da? — krzyknął wielkolud.

— Swoi — -padła odpowiedź.

— Dobijema do inich! — rozkazał półgłosem szyper. — Wzięli -nas za swoich.

Był szeroki, ale wydał się jesizcize szerszy, kiedy rozkraczył się na rufie, aby zasłonić swoich maszopów gdyż z całej załogi tylko on jeden, brodaty, odziany w kole-t i kapelusz zdobyty na kapitanie Kimitsemie mógł ujść za Szweda.

— Cofać się rufą do nich! — szejpnął.

Gdy jastarnickie czóln zbliżyło się na sążeń do obcej łodzi, ujrzał siedzącego na rufie szwedzkiego żołnierza, a przy wiosłach czterech puckich rybaków.

Szwed wytrzeszczył oczy gapiąc się na rzekomego kamrata, który trzymał ciężki topór z ostrzem ukrytym pod lewą pachą, a trzonem wysuniętym ku niemu.

— Ktoś ty? — zapytał Jówę, lecz zamiast odpowiedzi topór świsnął w powietrzu i dziobnął go w czoło między oczy.

Żołdak otworzył usta, rozłożył ręce, wypieszczając z nich rapier, który z pluskiem wpadł do wody, kiwnął się raiz w przód, raz w tył i runął za burtę i w ślad za swym orężem.

— Witojtaż, dresze — pozdrowił Jówa puckich rybaków, jakby nic nie zaszło. — Ceż wa letrom służyce?

Wioślarze równie zdziwieni jak wystraszeni nie mogli przyjść do słowa. Paczeny wypadły im z dłoni. Podnieśli ręce. Stołem zaś spojrział na dno łodzi, kędy błyszcząły okazałe brzany.

— Jesta wa nasi? — odezwał się wreszcie jeden z rybaków.

— Jesma Kaszebi — uspokoił ich jastarnicki szyper. — I dobrzy katolece! Nie tacy jaik wy, co w dzień świętego Grzegorza wracacie z połowu. Mota w boce sporo ryb.

— Ten pairzech Morcen Rokitka przymusił nas do wyjazdu na połów — kajali się rybacy. — My nie z własnej woli na tę łowitwę ruszyli.

— W mieście taki głód, że nam kiszki jak muzykusy grają! — skarżył się jeden.

— Mieszczanie zastawiają na dachach klepce i chwytają w nie wrony i mewy, żeby mieć co w garnek włożyć — dodawał drugi.

— Kulawy diachel, co na żarniku siedzi, kazał swojemu knechtowi nas pilnować, byśmy do was nie uciekli — powiadał trzeci.

— Tego jednego strażnika mogliście pchnąć za burtę, żeby się za nim woda zaimkła — roześmiał się brodac. — A co więcej w Pucku słyszać? Powiadajcie.

— Toć mówię, że u nas głód, jakiego świat me widział — odpowiedział jeden z rybitwów. — Zgoła i zdrajcy pochudli, bo im Szwed zagrabił wszetką żywność. Nikogo nie oszczędzają! Samemu Rokitce dukaty zabrali. Do kościoła nikomu nie pozwolą wejść, ludzie umierają bez księdza...

— Przecie mata plebana od fary!

— Ubili go niedawno, jak wstawiali armaty na dzwonnice. Nie chciał do tego dopuścić i rozrąbali mu głowę rapierem.

— Kto to uczynił?

— Kapitan Kaspersen, ten co kazał owe przekłete działa windować.

Jówie błysnęła nagła myśl. Popatrzał na puckich rybaków.

— Słuchajcie no, dresize! — rzekł do nich. — Ja te armaty ze świętego miejsca zrzucę, jeżeli wa

mnie do tego dopomożece.

— Cez ma mozem uczynić?

— Przesiądę do waszego botu, niby ów szwedzki purtk, co utonął, wrócę z wami pod Wodną Bramę i wejdem do miasta.

— Ale jaik Szwedy cię złapią, to nas powieszą — prze

lękli się rybacy. — Dla nich zamordować człowieka, to jak dla mas kęs chleba »przełknąć.

Szyper zrozumiał, że strach ich oblatuje, kazał im przeto bez zwłoki przesiąść do swego czółna, a sam z czterema maszopami skoczył do puckiej łodzi. Rozstali się. Puccy rybacy wraz z jastarnikami poipłynęli pod Gniezdzewską Górę, a Jówa ze swymi maszopami dobił do przystani pod zamkiem. Wyszli z łodzi, wzięli dwa kosze ryb i swobodnie minęli Wodną Bramę. Strażnicy nie zatrzymali ich. Wiedzieli, że nocą mają powrócić rybacy wysłani na połów przez Sythoinowego teścia.

— Ryby zjedzą oficerowie na zamku — mruźli Szwedzi sprawujący strażę, patrząc z niechęcią na okna refektarza błyskające w mroku. — Dla nas ości co najwyżej ostaną.

Rybacy poszli dalej. Stanęli pod spichlerzem, w ciemnym zaułku portowym.

— Wysypcie tu ryby — nakazał szyper — i wracajcie bramą do łodzi niby po resztę połowu. Bądźcie każdej chwili gotowi do ucieczki.

— A ty? — zapytał Rochów Klemens.

— Przybiegnę do was, jeno wypłatom tym morzkulcom dobrego figła.

— Długo mamy na cię czekać?

— Jak nie wrócę za dwa różańce, tedy sami odbijcie.

Zaczekał, aż odeszli i ruszył pod mury kościoła. Panowały tu takie ciemności, że nie widział własnej wyciągniętej ręki. Zaczynał siąpić drobny deszcz, a przy farze zaszumiały nagie drzewa, bo znów ruszył silny wiatr. Kaszuba przystanął 'pod dzwonnica. Ostrożnie otworzył boczne drzwi.

— Są tu — mruźnął usłyszawszy chrapanie śpiących.

Wyciągnął dłoń. Tuż przed nim siedziało na ławce

dwóch żołnierzy. Wspierali się o siebie plecami jakby grzejąc się nawzajem, a głowy opuścili ma piersi.

— Pomagaj mi, święty Piotrze — westchnął pobożny Jówa i niewiele namyśla jąc się, dziobnął jednego w "słuch" a drugiego w czoło.

Obaj padli pod ciosami topora, nim zdolali jęknąć. Bluz- neła krew, on zaś jął ipowodi wspinać się schodami, uważając, by stopnie nie skrzypiały pod jego ciężkimi, długimi skorzniami. Minał farmę dzwony. Cicho podniósł

drewnianą pokrywę i wynurzył się na szczycie, gdzie wiatr jęczał wśród krokwi otaczających wieżowy wierzchołek.

Tu znów usłyszał jakieś głosy. Dwaj puszkarze, wpatrzeni w daleką lunę jaśniejącą kędyś w stronie Gdańska, rozmawiali głośno. Skradając się, jakby chciał wróble chwycić, zrobił dwa kroki, położył na deski topór. Potem błyskawicznie chwycił obu szyldwachów za pośladki i strącił z dzwonnicy.

— Lecta do groma! — huknął za nimi i zaraz zabrał się do dział.

Ale nie była to łatwa s\prawa. Dopiero kiedy oderwał mocną żerdź, udało mu się przy jej pomocy dotoczyć armaty na sam brzeg wieży. Miał siłę za trzech tęgich chłopów, a jednak zasapał się przy tej spiesznej robocie. Odetchnął więc i z łatwością już zepchnął za krawędź jedno działo po drugim w ciemną, wilgotną przepaść. Jęknęła ziemia farnego cmentarza. Kaszuba ucałował krzyżyk od różańca i czym prędzej zbiegł po skrzypiących schodach na dół. Przeskakując 'zwłoki zabitych dopadł drzwi.

— Wer da? — krzyknął jktoś tarasujący wejście.

Było ciemno choć oko wykol, lecz ostrze wiernego topora celnie ugodziło żołdaka. Runął pod istopy wielkoluda, któremu niebacznie chciał zagrozić drogę.

— Mosz te, zeżerco świętych! — sapnął szyper. — Niech cę purtce zeżrą na zapusty!

Kopnął przeszkodę, minął cmentarz, wybiegł na ulicę

i chciał dotrzeć do Wodnej Bramy, za którą w przystani mieli go oczekiwać czterej maszopi. Ale przed nim rozległy się kroki. Kilkunastu żołnierzy ibiegło z pochodniami ku portowi. Musiał więc skręcić w boczną uliczkę. Dostrzegli go jednak inni Szwedzi. Pognali za nim. Przywarł tedy plecami do muru jakiegoś domostwa, podniósł swój oręż... Pierwszy ze ścigających padł jak rażony piorunem. Drugi machnął na oślep rapierem, ale i on klęknął pod jajstarnifckim toporem na zwłoki poprzedniego. Trzeci, czując co się święci, zdążył czmychnąć.

W mieście tymczasem rozległy się krzyki. Trąbiono na alarm. Bito w bębny. Strażnicy, wypatrujący z blanków nieprzyjaciela na zewnątrz muru, dopiero w ostatniej chwili spostrzegli, że Jówa odszukał wyłom i wydostał

się z miasta. Rzucili się za nim z gołymi rapierami. Ktoś strzelił z musizkietu i chybił.

— Tam, tam! — wskazywali sobie cień zbiega, który ogromnymi susami sadził ku zatoce.

— Brać go żywcem! — krzyczał z dala jakiś oficer.

Rozciągnęli się w długi szereg i ipędzili za uciekającym.

Jówa musiał się co chwila obracać, jby zadać cios najbliższemu z prześladowców. Ginęli, lecz skrzydła pościgu zaczęły wyprzedzać uciekiniera. Matnia zamykała się powoli, ale 'nieubłaganie. Szyper stanął' na brzegu. Czólno nie było. Maszopi snadź odpłynęli. Bez namysłu więc wszedł w lodowate morze, jak łoś (pierzchający przed goniącymi go wilkami. Niektórzy najzaciętsi z wrogów skoczyli za nim, ale szybko się cofnęli, bo woda, sięgająca tuż 'przy brzegu zaledwie po kolana stolema, ich zalewała po pas. Wielkolud, rozwaliwszy jeszcze obuchem łby dwom czy trzem śmiałkom, zniknął w mroku. Strzelali za nim spod Wodnej Bramy, biegali z kopącymi pochodniami szukając śladów, aż ustały dalekie pluski.

— Nie człowiek to był, jeno szatan — szczękali zębami przemoczeni żołdacy wracający z pościgu do miasta. — Szedł wierzchem po wodzie jak po ziemi, a kule go się nie imały.

Jówa brodził jeszcze jakiś czas po rozciągających się wzdłuż wybrzeża płyciznach, kiedy zaś woda zaczęła mu się przelewać za cholewy wysokich, sięgających aż po pachwiny skorzni, (postanowił zbliżyć się do brzegu. Trafił na jakiś duży, oblepiony wodorostami głaz.

— Choba to Opoka Świętego Piotra — szepnął w duchu, domyślając się, że dotarł do jednego z dwunastu wielkich kamieni leżących w pobliżu Bładziikowa, a ochrzczonych mianami Pańskich Apostołów. — Ja wypędziłem ipurtków z kościoła niebieskiego klucznika, a teraz on mi przytułek daje!

Wspiął się na mokry głaz, ucałował krzyżyk różańca

i zaczął przebierać paciorki. Odmawiał część bolesną prosząc Boga o rychły ratunek, bo chłód doskwierał mu coraz mocniej. Wysłuchano go. Zaledwie odmówił pierwszą dziesiątkę zdrowasiek, ukazała się od strony Depki duża, ciemna łódź. Puścił tedy różaniec i chwycił toporek.

Przeogął się, iprzyczał na głazie, by go tak od razu nie zauważono. Szaluypa pchana kilku wiosłami szybko się zbliżała ku kamieniom.

— Stój — krzyknięto po szwedzku z łodzi. — Rafa przed nami.

Ale czólno było już o krok od głazu. Jówa wyprostował się na całą iswoją wysokość. Z góry dojrzał w łodzi same tylko kapelusze, spod których jpatrzyły przerażone ślepia wbite w zwalistą postać stojącego na wodzie olbrzyma.

— Boże, ratuj! — krzyknęli. — Szatan!!!

Kaszuba dał jeden tylko krok. Łódź się przechyliła, a on wzniósłszy topór stanął między struchlałymi żeglarzami. Rąbał gdzie (popadło .nie oszczędzając nikogo. Wioślarze nie (próbowali jnawet się bronić. Byli pewni, że tu na środku morza mógł im chyba tylko szatan wleźć do łodzi, a przeciw takiemu jnapastnikowi nic -nie pomoże oręż. Jęczeli tylko i pozwalali się zabijać jak barainy przyproawdzone na rzeź. Kołysała się łódź. Wypadły wiosła z martwiejących dłoni.

— No, gotowe — odsapnął brodacz załatwiwszy się z ostatnim Szwedem.

Otarł z czoła pot, wyrzucił trupy za burtę i postanowił popłynąć do swoich. Znalazł jednak tylko

jedno wiosło. Próbował dosięgnąć nim dna. Nie udało mu się to. Był już na głębokiej wodzie. Czółno odpłynęło od Dwunastu Apostołów, a wiatr się z każdą chwilą wzmaczał.

— Żeby miał dwa wiosła — rozważał — może bym jakoś dowiosłował pod Gnieźdzewską Górę. Ale jednym — nie ma mowy! Samson by nie upchał nim czółna pod takie wietrzysko!

Spróbował i przeto dobić do wysokiej skarpy Rzucewa, gdzie stacjonowały konne chorągwie obersztera Lancko- rońskiego. Lecz i to mu się nie powiodło. Pocił się i bił wiosłem wodę, a wiatr odipędział go coraz dalej od lądu.

O świcie znalazł się w takiej odległości, że nie było nadziei, aby go ktokolwiek z wybrzeża zauważył. Zatarła się błękitna skarpa i czarne czuby kamiennych apostołów. Nieludzko zmordowany żeglarz położył wiosło

i postanowił się przespać w łodzi, pewny że wiatr go w końcu zapędzi na helskie wyspy, skąd już łatwiej będzie mu powrócić pod Puck do swoich maszoipów.

Daleko przy warowni ł polskie kartamy zaczynały już codzienną rozmowę ze szwedzkimi działami.

— Szczekaj, szweczci pse — mruknął szyiper. — Mosz już dwa zębe mniej, a ta reszta ł nasi wnet tobie webiją!

Mewy śmieszki, krążące nad łodzią, zdawały się śmiać

i szydzić z nowej łpopaźki zamorskich najeźdźców, z rozbitych dział, z popłochu, w jaki popadła łpucka załoga na widok kaszubskiego osiłka. A Jówa łupewniwszy się, że fala nie przeleje się łprzez wysokie burty szalupy, ucałował krzyżyk różańcowy, legł na wilgotnej płychie

ł modlił się, aż chwiejba zatoki ukołysała go do sniu.

Śnił mu się święty Piotr z kluczami w rękach. Marzyły mu się złote, otwarte na oścież wierzeje nieba, z których jego białka, synek i córy, wszyscy w śnieżno białych szatach z pierzastymi skrzydłami, uśmiechali się do niego żeglującego w dole po morzu w samotnej, czarnej, zbryzganej krwią łodzi.

arbara od kilku niedziel mieszkała w opuszezo- łnej checzy Selinów. Nie była tu łsama. Z lasu bowiem wróciła wdowa po szkutniku i dwie jej córki, a z niedalekiego Bładzikowa, gdzie kwaterowali kaszubszy wolon- tarze, niemal co wieczór przyjeżdżał pan Piotr. Nieraz zjawiali się z nim Rybińscy, Kurowie albo też porucznik Paweł Karpiński, dowódca dragonów stacjonujących w sąsiednim Żelistrzewie.

Opowiadali o wyczynach maiszopów Jówy, o podjazdach; chwalili pana Lamckorońskiego; prawili komplementy Domienikównie, od której rączek miały się zablźniać najcięższe rany; żartowali z wesołych podkrakowskich flisów, którzy zeszłej jesieni łprzywiózłszy zboże, popiół, smołę czy masztowe sosny na Motławę, porzucili tu przy Zielonym Moście swych retmamów i łtłumnie zaciągnęli się w szeregi piechoty skuszeiji lafą, wojskowym przyodziewkiem, no i chętką

dobrania się do szwedzkiej skóry.

Te miłe wieczory skończyły się jednak dość niespodziewanie. Nadeszła wieść, że Szwedzi korzystając z zadymki wyroili się z Gdańskiej Bramy, jniby (pszczoły z ula,

i obertszter Lamckorońsk-i .postawił całe swe wojsko na nogi, by zetrzeć się z wrogiem w otwartym polu.

Barbara wyszła przed chatę, oiparła się o wręgi ośnieżonej łodzi, której 'nieboszczyk Selin nie zdążył dokończyć, i patrzyła na przeciągające w śnieżycy oddziały jazdy oraz rotы gdańskich piechurów.

Grały trąby, dudniły kopyta, .niosły się echa armatnich wystrzałów. Od strony Połczyna, z podmiejskich pól, dochodziły odgłosy potyczki, migały w zadymce czerwone kolety dragonów uganiających się po równinie za zwijającymi się w pobliżu imurów rajtarami. Natomiast na bładzikowskiej drodze pojawiła się długa kolumna ładownych wozów. Furmani popędzali 'konie lgnące w błocie

i topniejącym śniegu, podpierali drągami koła grzęznące po osie.

— Żywność wiozą dla naszych — powiedziała Selinka stanąwszy obok Barbarki.

— Przyda się — odparła dziewczyna. — Po bitwie wrócą głodni jak wilki.

Patrzyły ku Bładzikowu i nie spostrzegły, że z Rybackiej Bramy wypadł podjazd rajtarski. Jeźdźcy gnali polem jak wichur. Nie minęły dwie dziesiątki rózańca, a byli już przy checzy. Nagle jeden zeskoczył z konia

i rzucił się na Barbarę jak jastrząb na gołąbka.

— A mam cię, ptaszku! — krzyknął z radością — zetnę; ci twoją kokoszą główkę. Podnosiłaś ją, tuirkaweczko, zbyt wysoko, tedy ci ją ku ziemi opuścić przyjdzie!

Zabije imnie! — jęknęła w śmiertelnym »strachu, poznając wąsatą twarz Bartosza Sulickiego.

— Nie od razu, gołąbeczko — dyszał. — Wprzódy przed szwedzkim pułkownikiem odpowiesz za to, żeś więźniów uprowadziła z zamku. A i ja chętnie pogadam z panną Barbarą na Gnojewie Wozignojówną, j którą mój brat niecnota do rodziny naszej chciał wprowadzić! Teraz zaś na dyskurs czasu mi nie staje. Insze mam sprawy na głowie!

Tu szwedzki starosta oddał branę ipod straż dwóch żołdaków i skoczył na kulbakę:

— Odstawić ją do Pucka! A idźcie lodem, bo na lądzie łacno możecie w tej śnieżycy natknąć się - na wroga —r

rozkazał i pognał ze swoją zgrają ku wozom ładownym żywnością.

Zbrojni (pachołkowie popychając dziewczynę sprowadzili konie z wysokiego brzegu na zmarznięty Wik.

— Prędeż, prędeż — poganiali Barbarę, bo zostawszy sami czuli się nieswojo i pragnęli jak najrychlej znaleźć się w twierdzy.

Oddalili się o kilkadziesiąt sążni od brzegu, gdzie na skarpie wśród bezlistnych jarzębin, białych brzoź, czarnych łodzi i szkieletów skut dymiła samotna chałupa. Szybko znikła im z oczu w gęstniejącej zawiei.

Wiatr dał, że ledwie mogli się utrzymać na lodzie, a śnieg im ciął /niemiłosiernie prosto w oczy. Ślizgały się konie prowadzone za uzdy. Potykała się młoda branka.

— Musimy być już chyba koło Wodnej Bramy — rzekł jeden z rajtarów ippo dłuższym czasie.

Skręcili pod wiatr ku brzegowi i szli, póki nie zagrodziła* im drogi szeroka szczelina, w której czerniała woda.

— Sztorm oderwał nas od strądu! — przerazili się konwojenci.

— Wracajmy tam, gdzieśmy weszli .na lód. Inaczej zginiemy J

Barbara nie podzielała ich strachu. Przeciwnie: ucieszyła się, że jej nie doprowadzą do Pucka.

— Wyjdziemy na ląd i tam uratują mnie nasi — myślała. — Może Piotr albo Andrys wrócą do tego czasu...

Tymczasem Szwedzi wraz z branką (pospieszyli ku Bładzikowu, lecz przejścia na ląd nie znaleźli. Co gorsze: wznastająca fala świadczyła, że dryfują na ogromnej krze coraz dalej na morze.

— Boże miłosierny — lamentowali raz po raz. — Gdzie nas zapędzi ten szatański wicher?

Dcimienikówna nieraz z checzjr wuja patrzyła na helskie wyspy i teraz przypuszczała, że tam właśnie zagna ich wiatr. Nie martwiło jej to ani trochę.

— Stamtąd — 'pocieszyła się — w żaden już sposób nie uda im się wrócić do zamku. Skoro wstąpią na Swa- rzewską Kępę, natkną się na naszych ludzi, na morską piechotę... Nie chciałabym być wtedy w szwedzkiej skórce, osobliwie gdyby się z moimi braćmi albo Jówą spotkali...

Uśmiechnęła się na myśl o dobrodusznym dla swoich, lecz strasznym dla nieprzyjaciela stolemie.

Szwedzi pół żywi z trwogi dostrzegli ten dziwny uśmiech, który iprzemknął po jej twarzy.

— Niemożliwe, żeby w takim położeniu mógł się zwykły człowiek jeszcze uśmiechać — 'pokręcili głowami. — Mówią, że w Laponii każda starucha jest czarownicą, ale w tej przeklętej Polsce chyba i dziewczki parają się nieczystymi praktykami.

Utwierdziło ich w tym przekonaniu to, że jeden z koni pośliznął się był właśnie, złamał nogę i trzeba go było dostrzec, a drugi przerażony hukami ipomknął -przed siebie i runął do wody.

Klnąc na czym świat stoi, zawrócili w kierunku Pucka. Szli i szli. Oczy im poczerwieniały od wysiłania wzroku pod wiatr. Omdlewały im strudzone nogi. Wreszcie zelżało wichrzyisko, chmury się rozeszły, ustała zadymka. Ukazał się daleki ląd z pucką farą i basztą zamkową. Ale od niego dzieliła ich o wiele większa niż poprzednio czarna tafla wody.

— Do brzegu nie dojdziemy — rzekł jeden Szwed.

— Ani też nas nikt z lądu nie zobaczy — dodał drugi. — Jesteśmy za daleko od naszych.

Zachodziło słońce. W jego promieniach biało i różowo łyssały piaszczyste wyspy pokryte śniegiem w tych miejscach, gdzie nie zdmuchnął go wiatr. Szwedzi przystanęli i coś do siebie niezrozumiale zamamrotali, po czym skierowali się ku porwanej »przesmykami mierzei. Branka, o którą iprzestali się troszczyć, szła w niewielkim odstępnie za rajtarami, ci zaś, przywykli do konnej jazdy, kroczyli niezgrabnie niby kaczkami. Mogła skręcić i pójść swoją drogą, ale bała się pozostać sama na tej niewielkiej lodowej pustyni, zwłaszcza że znowu zadał silny wiatr, a pierwsza kwadra księżycy, która pokazała się na zachodzie, nikła w czarnych obłokach. Przejął ją strach.

— Oto ja służebnica Pańska, niech mi się stanie według słowa Twego — szepnęła ipatrząc na niebo, które zalewała sunąca od zachodu lawa mrocznych chmur.

Zakurzyło się lodowisko śnieżną zadymką. Wkrótce jednak zamieć ustała i zaczął kropić drobny deszcz.

Zatrzymali się znużeni Szwedzi, nie wiedząc dokąd iść. Stracili orientację. Barbara przystanęła za ich plecami, by schronić się choć na chwilę przed zimnym, wilgotnym wiatrem, który przewiewał jej odzież i mroził krew w żyłach.

Nagle przed nimi rozległ się łoskot. Huki następowały za hukami. Spiętrzyło się jakieś jasne wzgórze. Nie wie*- dzieli co zrobić? Uciekać czy stanąć? W tej chwili lód roz- pękł im się pod nogami. Przechylił się i zsunął na ów lodowy zawał. Kra rozszczepiała się ma coraz miniejsze kawałki. Jeden Szwed wpadł w szczelinę. Chwycił się sukienki Barbary. Dziewczyna ujęła go za rękę.

— Ratunku! — ryknął.

Dłonie mu zdrętwiały. Rozwarły się palce. Puścił spódnice.

— Zmiażdżył go lód — jęknęła i załamała ręce w grozie.

Drugi z rajtarów, wspinający się ma szczyt zwału, pośliznął się, przewrócił, padł głową w dół, między szczeliny brył lodowych, nie zdążywszy nawet krzyknąć.

— Wieczny odpoczynek racz im dać, Parnie — zaszlo- chała dziewczyna stając na płaskiej płycie lodowej.

Ta nasuwała się coraz wyżej na zwał, aż stanęła. Tylko w dole trwał przez jakiś czas łoskot jej tarcie kry, a kiedy wiatr ustał, tak raptownie jak nadszedł, wszystko ucichło.

Barbara najpierw podziękowała Bogu, że żyje. Potem przypomniało się jej z opowiadań ojca, że gdy lód podczas sztormu zachodniego i północno-zachodniego rusza z zatoki, zatrzymuje się, jakby żał mu było opuścić Małe Morze, tutaj właśnie na Mewich Rewach, gdzie wtedy powstają wysokie zwały lodowe.

Reszta nocy wydała się jej wiecznością. Deszcz przestał padać, ale chmiury nadal zakrywały niebo. Dopiero nad ranem znikły, znikły jakby je ktoś zmiotł z niebieskiego stropu. Zabłysła różowa zorza nad piaszczystymi wyspami i zgliszczami Jastarni, za którą błękitniał helski bór. Powiał wiatr. Zbudziły się mewy. Krzycząc i bijąc skrzydłami unosiły się chmurą nad lodowiskiem i poszarpanymi zboczami szklistych pagórków.

— Śmierć blisko — pomyślała. Mewy czują już, że wnet fala rozplucze zwał lodowy i zgirę. Mewie Rewy — to ich królestwo! Kto tu popadnie, staje się ptasim łupem...

Dziewczyna wdrapała się na szczyt lodowego zwału i spojrzała przez Małe Morze w stronę lądu, gdzie widniał kościół Świętego Piotra w Pucku.

— Mój Boże — wyszeptała. — Tam za murami pewnie już jnasi. Armat nie słyhać, tedy Szwed chyba pobita Jeno czy mój Piotr dożył zwycięstwa?

Stała w porywistym wicherze i obojętnym słońcu, roziskrzającym zatokę, która wyszczerzyła na nią lodowe zęby niby ogromny łuskowaty smok. Piętrzące się bałwany zaczynały rozrywać usypisko. Spod jej stóp potoczył się długi biały strumień lodów spływających ku jastarnickim wydmom. Wiatr szarpał spódnicę, przewiewał kabat, aż na koniec zerwał chustkę z głowy, rozplątał długie warkocze i targał bujnymi włosami. Obróciła się ku ledwie widocznej Swarzewskiej Kępie.

— Painno Mądra — westchnęła — ty, któraś tyle ludzi w nieszczęściu poratowała, spojrzij na mnie łaskawym okiem. Wyprowadź mnie z tej lodowej pustyni, tam kędy miły mój czeka...

Słońce wzbijało się w górę i przygrzewało coraz mocniej. Długie szeregi zębatach zwałów lodu rozplukiwane falą znikły jeden za drugim. Nieuchronnie zbliżała się zguba. W pewnej chwili Miskówna ku swemu przerażeniu zauważyła w pobliżu jakiś pełznący po wodzie czarny podłużny kształt. Krzyknęła, niebawem jednak poznała* że to tylko foka wylazła z wody na kry. Mimo woli zaczęła zazdrościć zwierzęciu, które czuło się na tym pustkowiu jak w domu i beztróska wygrzewało się w słońcu przedwiośnia. Podeszła ku focie, której mokra sierść połyskiwała w słońcu, spłoszyła ją niebacznie.

Znów znalazła się sam na sam z mewami. Te gromadziły «się i kołysały nad nią, jakby upatrzyły ją sobie na ofiarę. Drapieżny ich krzyk mroził jej krew. Spojrzała na swe czerwone spierzchnięte dłonie. Przeraziła się widząc paznokcie zsiniałe od zimna.

— Boże, ratuj — jęknęła w rozpacz. — Jeśli nie utonę tu, to zmarznę, skostnieję na śmierć.

Znalazła sobie zaciszne miejsce po zawietrznej stronie zwałów. Marcowe słońce nieco ją ogrzało, ale za to jął jej dokuczać głód i pragnienie. Zresztą nie długo mogła tu pozostać, nagle bowiem oberwała się lawina brył lodowych i zmusiła ją do ucieczki. Wspięła się przeto znów

na szczyt zwału. Ten robił się coraz węższy i niższy. Lód topniał. Jasne płytkie dno morskie przeświecało przez toń. Nie było tu głębiej niż na łokieć, ale przez mieliznę przelewały się piany fal, a lodowato zimna woda groziła dziewczynie rychłą śmiercią.

— Przynajmniej nie będę się długo męczyć — pocieszała się.

Dzwoniąc zębami i czując, że nadchodzą jej ostatnie chwile, obejrzała się w kierunku Pucka, by (posłać Piotrowi pożegnalne spojrzenie. Znieruchomiła, w dali bowiem dostrzegła coś z kształtu podobnego do łodzi, która to się pokazywała, to znów ginęła za falami. Zamierający wiatr pchał ją powoli naprzód. Barbara zaczęła machać ręką, ale na czólnie nie było widać znaku życia. Dryfowało bez jakiegokolwiek załogi.

— Żebym mogła się do niego dostać! — myślała, ale mało na to było nadziei.

Fala w ślad za wiatrem ustawała, lecz reszta lodowych brył rozpływała się bezustannie. Sytuacja stawała się coraz groźniejsza. Domienikówna wchodziła na najwyższe szczyty zanikającego wału, wczepiała palce w śliskie bloki, uciekała (przed tonią. Chciała żyć lub przynajmniej odwlec moment <skonu.

Bezlitosny los zdawał się szydzić z jej (przerażenia. Czarna szalupa kołysała się w (pobliżu, a ona nie mogła jej dosięgnąć. Ostatnie bloki i płyty kruszyły się jej pod stopami. Wreszcie pozostała jedyna kra o średnicy nie większej niż siedem łokci. Na niej zejpnął ją podmuch z rewy na głębsze morze. Stojąc z rozwianymi włosami patrzyła na dryfującą łódź, która mijała bokiem jej taflę.

Wiatr, jak to nieraz bywa wiosną na Małym Morzu, całkiem zamarł. Znieruchomiały sąsiednie bryły lodu. Potem znów nadszedł lekki (podmuchał wiatru, ale tym razem od helskich wydm i (popchnął kry w stronę wysokich urwisk Oksywia.

— Może przecie Bóg mnie jeszcze wyratuje, poda mi rękę jaik tonącemu Piotrowi, wyciągnie z topieli na ląd — przemknęło Barbarze iprzez myśl.

Pół klęcząc, a pół leżąc na kurczącej się (pływie, trzęsła się bliska omdlenia. Oczy jej przesłaniała mgła, uszy drażył rosnący szu/m, krew stygła. Niezdolna do dłuższej

walki zamknęła oczy i opuściła głowę. Poddawała się nieubłaganemu losowi.

Raptem przez ten rosnący szum usłyszała swe własne imię: — Barbara, Barbara! — wołał czyjś głos. Nie uniosła głowy, nie otworzyła oczu — wiedziała, że nikt tu na nią w tym lodowym pustkowiu wołać nie może.

— To przed śmiercią zwidu ją się ludziom różne rzeczy — przemknęło jej ostatkiem świadomości.

Ale głos nie ustawał, przeciwnie, (przybierał ma sile, stawał się coraz wyraźniejszy.

Przemogła ogarniającą ją słabość, uniosła lekko głowę i spojrzała.

— Barbara! — wołał jakiś człek, który wyrósł nagle w szalupie.

Wiosłem dopchał łódź do kry, a gdy burta uderzyła

o lód, porwał dziewczynę jak pisklę i wciągnął do czółna.

— Jak się tu dostałaś? — pytał całując jej zimne czoło.

— Jówa, Jówa — powtarzała bełkotliwie Barbara.

Leciała mu jprze* z ręce.

— Poczekaj — rzekł — cmam tu kędyś jmanierkę z gorzałką, którą wzięłem w spadku po załodze tej szalupy.

Odszukał połową flaszkę, przechylił ją do ust dziewczyny. Pociągnęła kilka łyków.

— Lepiej ci?

Skinęła głową, lecz dygotała jak trzcina. Ściągnął więc łosiowy kalet, owinął weń Piotr ową brutkę i ułożył ją na płytcie osuszonej i rozgrza<nej ciepłym promieni. Nie pytał już o nic, by nie męczyć ledwie żywej dziewczyny, która rozcierała skostniałe dłonie.

— Prześpij się, dzeusie! — mruzczał. — Odpocznij sobie, a potem pogadamy

Zmrużyła powieki, otuliła się «szczelnie kabatem, skuliła w kłębek i wyczerpana do ostateczności zasnęła. Tymczasem brodaty stołem rozejrzawszy się dokoła pojął, że nie pozostaje mu nic innego niż popychać czółno, choćby jedną paczeną, w stronę Oksywskiej Głowy. Zabrał się do wiosłowania, co chwila jednak zerkał na uratowaną i próbował odgadnąć, w jaki sposób znalazła się tu na topniejącej krze.

Oksywski brzeg wciąż był daleki, zdawałoby się nieosiągalny, bo chociaż szyper pracował, aż się wiosło uginało, wielka i ciężka szalupa ledwie się poruszała. Ka

pryśny wiatr wykręcił zrazu w prawo, (później błyskawicznie zmienił kierunek i nim się wiosłarz spostrzegł, dmuchnął silnie z południa. Łódź pchnięta gwałtownym podmuchem zawróciła i (popłynęła ku mierzei.

Jówa pomagał wiatrowi wiosłem co sił w garści i przed zachodem dobił do piątej z rzędu helskiej wyspy, rachując od »strony Wielkiej Wsi. Wyciągnął czółno na brzeg* Zbudził dziewczynę.

— Jeisime w strądzie — rzekł.

— Szwedy — zabełkotała jnieprzytomnie. — Lód Szwedów miądzdy... Panno Swarzewsika...

Głowa jej zwisała, piersi falowały szybko.

— Ma febrę — domyślił się szyper. — Co tu robić? Ta wyspa jest bezludna. Najbliższa wieś to Jastarnia. Mogliby my tam się dostać, ale po co? Żywej duszy nie spotkamy pośród zgliszczy.

Zastanawiał się, czyby nie pohołować szalupy ku Wielkiej Wsi, lękał się jednak, że fale nie pozwolą mu przebyć głębokich przerw między wyspami. Bezradnie spojrzął na Miskównę.

— A może — przyszło mu do głowy — na Wielkim Morzu nie ma fali? Wiatr tam nie będzie mi przeszkadzał, bo zasłonią mnie wydmy, że zaś Bóg nie poskąpił mi sił, przeciągnę bot na wielki strąd i popłynę z dziewczyną do wielżanów. Oni gwesno ją uratują.

Okrył pieczołowicie Barbarę i po piaskach twardych jeszcze od mrozu pobiegł nad Bałtyk. Z daleka już dosłyszał jego huk. Minał garby wydm, na których gdzieniegdzie chwiała się krzywa sosenka, i przystanął na brzegu. Po nocnym sztormie wciąż jeszcze szła długa fala, przewracająca się w pniań na zoloju. Zmartwił się, lecz tylko na krótko, gdyż zaraz spostrzegł coś, co go (pocieszyło.

— Wrak! — krzyknął nie wierząc oczom.

Na strądzie czerniał rozbity statek. Z jego rej i masztów zwieszały się liny i strzępy żagli, ale burty były w dość dobrym stanie. Ruszył ku nim, wspiał się na pokład i wszedł do kasztelu. Trafił do kapitańskiej kabiny. Ucieszył się na widok koi z pościelą, miedzianych naczyń, rozrzuconych po podłodze, i pieca, przy którym leżała kupa porąbanego drzewa, a radość jego wzrosła, gdy po chwili wyszperał w kambuzie skrzynię sucharów, beczkę

z solonym mięsem, w komorze zaś jakieś świece, liny, bosaki.

— Jest co jeść i gdzie spać — zatarł ręce. — Przyniosę tu Piotrową brutkę. Odpocznie, prześni się, a skoro wyzdrowieje i wróci do sił, popłynę z nią pod Gniezdzewską Górę, niech tylko wiatr wykręci do wschodu.

Postawił topór i pobiegł nad Wik po dziewczynę. Przyniósł ją na plecach do kajuty, położył w kapitańskiej koi i troskliwie okrył. Zatkanął, jak tylko mógł najlepiej, wybite szybki, rozpałił ogień w piecu i nim się całkowicie ściemniło, wyszedł na pokład. Popatrzał na cztery strony świata, wszędzie jednak było pusto, przyjrzał się więc uważnie wrakowi, który udzielił im przytułku.

— Leży chyba już tu od ostatniej grudniowej nordy, podczas której my Puck szturmowali — orzekł. — Wtedy tylko wysokie wody mogły go rzucić tak idaleko na sferad, a załoga go opuściła, bo nie było nadziei, by udało się komukolwiek ściągnąć go z piachów wybrzeża.

Pociemniało niebo i morze. Szła noc. Wrócił więc do kabiny, wymyszkował świecę, skrzesał ognia, zapalił knot i z światłem zbliżył się do łoża. Barbara patrzyła nań szeroko otwartymi przerażonymi oczami.

— Gdziem jest?! — spytała ochrypłym głosem.

Pochylił się nad nią. Dotknął przegubu jej dłoni. Puls

uderzał nierówno.

— W bezpiecznym miejscu!

— Gdzie?

— Na holenderskim wraku, który sztorm wpędził na piachy jednej z helskich wysp.

— Jakom tu trafiła?

— Jam cię, dzeusie, zdjął z kry na Wiku. Płynęłaś na niej jak ta mewa, a dokoła nie było nic, jeno woda.

— Niech was Bóg za to pobłogosławi — szepnęła oddychając spiesznie. — Zginęłabym bez waszej pomocy.

Barczysty brodacz przysiadł na krawędzi koi.

— Możesz mi rzec — zagadnął — jakim sposobem znalazłaś się na owej lodowatej płycie?

— Starosta pucki porwał mnie z checzy Selinów — odpowiedziała. — Kazał mnie odprowadzić po zamrzniętej zatoce do Pucka... Tymczasem — dyszała cicho — lód oderwał się od brzegu... Niósł mnie z dwoma Szwedami, co mnie wiedli, na morze... Tamci poginęli...

Jówa zerknął na swój topór stojący w kącie kajuty.

— Zdechnie i zdrajca Bartosz, bylebym szybko się dostał pod Puck. Zduszę go własnymi rękami i utopię jak parszywego josa. Nie wart innego losu, judasz przeklęty!

Barbara spojrzała błagalnie na jastarnika, którego ogromny cień rósł na ścianie, załamywał się na pułapie.

— Nie sądźcie, a mie będziecie sądzeni — szepnęła. — Jeśli go pojmacie, oddajcie go w ręce sprawiedliwości. Niech go sądzą ci, których król jegomość, pam święty a sprawiedliwy do tego powoła.

Poruszała jeszcze spiekły mi wargami, lecz szept zamarł na jej ustach.

— Co ci? — zatroskał się Kaszuba.

— Pić mi się chce — wyszeptała po chwili ledwie dosłyszalnie.

Jówa wyszedł bezradnie na dwór.

— Skąd tu wziąć wodę do picia? — mruknął. W strą- dzie wciąż jeszcze “siedział mróz”, szyper więc mie mógł wygrzebać dziury, w której wnet by się zebrało trochę wody o wiele mniej gorzkiej niż w morzu. Na szczęście z czarnych chmur zaczęły padać pierwsze, ciężkie krople deszczu.

Wystawił więc na pokład duży sagan i okopcony kocioł, a kiedy zebrało się w nich trochę deszczówki, napoił chorą. Potem ruszył do kambuza, rozpałił ogień i ugotował zupę. Przysiadłszy ma koi karmił dziewczynę znaną cynową łyżką jak małe dziecko.

— Już dosyć — podziękowała po kilku łykach.

— Najadłaś się? — zapytał. — Może ci sucharów podrobić ma okruchy jak dla wróbla?

— Nie potrza!

— Jak ci teraz?

— Głowa okrutnie mnie boli.

— Przeziębłaś — kiwnął łbem. — To ci, dzeuse, przejdzie! Żebyś mógł cię w chlebowym piecu wyparzyć, zaraz byłabyś zdrowa, ale gdzie tu pieca szukać?

Nie odpowiedziała. Zmożył ją sen. Oddech jej był krótki i nierówny, twarz to się rumieniła, to znów bladła. Z rozchylnych warg dobywały się niezrozumiałe poplątane słowa i westchnienia.

— Nieborak — mrucał współczująco Jówa odgarniając z jej spoconego czoła kosmyki włosów.

Przyniósł sobie posłanie z kabiny logsmata, rozesał je

na, podłódze, by być blisko chorej, i klęknął gotując się do odmówienia radosnej części różańca.

— W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego — przeżegnał się ucałowawszy zaśnieżony krzyżyk.

Za drewnianymi ścianami kasztelu szumiał wiatr i łomotało morze, a o okrągłe, wpuszczone w ołów, szczęśliwie podczas awarii ocalałe szybki okien, dzwoniły rozpryskujące się deszczowe krople.

Barbarka zbudziła się z bólem głowy i pleców. Dręczyło ją pragnienie.

— Pić — /poprosiła cicho.

Czujny Jówa zerwał się z posłania i podał jej kubek wody.

— Lepiej ci? — zapytał.

Mimo dotkliwych cierpień uspokoiła go, że się cziuje

o wiele lepiej niż wczoraj.

Wiatr, który dmuchał przez całą noc z jednakową siłą, teraz gdy słońce wybijało się nad morzem, wzmógł się jeszcze. Znad lądu uniosły się kłębiaste chmury. Pędziły jak szalone nad morzem w kierunku wschodnim, pokrywając błękitne niebo i słońce.

— Gdyby wczoraj wiał taki sztorm jak dziś, już by płucały nas morskie fale — mruknął szyper. —

Ma cię Bóg w swojej opiece, bo tak kierował wiatrem, że zapędził moją łódź tam, gdzieś ty dryfowała na lodowej płycie.

— Bez woli bożej nikomu włos z głowy nie spadnie — szepnęła ochryple.

— To je prawda — przytaknął Jówa. — Mnie też pomógł Bóg zrzucić działa z wieży Świętego Piotra! Każdego kto powie inaczej, mój topór nauczy rozumu!

Barbara popatrzała na jastarnika. Nie powiedziała ani słówka, tylko w duchu pomyślała: jaki to dziwny człek! Ogromny, dziki, a dobry. Prawdziwy święty Krzysztof, który drzewa wyrывał z korzeniami, a małe dzieciątko przeniósł przez rwącą rzekę. Zmrużyła oczy i ujrzała wizerunek świętego wielkoluda, który kiedyś przeorysza Knutówna pokazała jej w grubej, pobożnej księdze.

8 — Krwawy sztorm 225

— Pójdę na pokład, odtakluję statek, bo liny, żagle a bloki mogą «się przydać maszoperii — {powiedział brodacz.

— Obaczcie, co się dzieje pod Puckiem — prosiła go Domienikówna, gdy już zamykał drzwi kehity.

— Co stąd można obaczyć? — wzruszył ramionami.

— Choćby dymy!

— Dużo ci te dymy powiedzą!

— Dużo!

— Jak to? — nie rozumiał.

— Jeśli ich nie ma, to pewnie nasi zdobyli' miasto. Pójdziecie obaczyć?

Jówa na znak zgody pokiwał głową i zamknął «drzwi. Zszedł z wraka, wspiął się na najwyższe wzgórze wydmore. Popatrzał w stronę Pucka, ale niczego ciekawego nie dojrzał. Usłyszał natomiast daleki, zgłuszony (pomruk dział.

— Bronią się! — stwierdził gniewnie.

W następnych dniach nic się nie zmieniło. Wiosenny wiatr, dmący z zachodu, nie ustawał ani na chwilę, tak jak to nieraz już bywało w marcu, kiedy rybacy spodziewali się wielkich ławic łososia. Szyper kilka razy dziennie wychodził na wydmy i wyteżał wzrok ku Puckowi, skąd dochodziły echa bijących armat. Zaciskał tedy w ręce topór i zżymał się na los, jaki mu przypadł w udziale:

— Szkoda, że mnie tam nie ma! Przyszło mi niby biał- ce doglądać chorej dziewczyny, zamiast prac Szwedów!

Wiatr się nie zmieniał i nie było mowy, by popłynąć czółnejn do Wielkiej Wsi. We wtorek dwudziestego trzeciego marca brodaty stołem zauważył dalekie, nikłe błyski ognia, migające kędyś na puckim brzegu.

— Pewnie to nasza artyleria wali do murów, a ja tu gniję — złościł się. — Żebym mógł na dzień, dwa zostawić chorą, popłynąłbym do Pucka prać Szwedów. Może by mi się teraz udało wysadzić bramę zamkową? Beze mnie nasi w żaden sposób nie zdobędą zamku. Utkwiłem tu jak stary gwóźdź w belce!

Niecierpliwie śledził kierunki wiatru. Postanowił wreszcie:

— Kiedy powieje z nordu albo z ostu, zaraz ruszę pod Puck. Chorą by się później przywiozło. Ostawię jej wodę i jadło. Nie zginie! Mnie zaś nie Iza tu dłużej czasu marnować. Pod Gnieźdzewską Górą opłakują (mnie maszopi. Żalują, zem zginął. Toć kapitan wiedno powtarzał, że się przydam przy ostatecznym »szturmie.

Domienikównie nie zwierzał się wszakże ze swoich zamysłów. Opiekował się nią jak matka. Gotował jej jadło* którego zresztą przeważnie nie chciała brać do ust. Zastawiał klepce na mewy, by zdobyć dla 'niej świeże mięso. Przynosił wodę, rąbał drwa, a kiedy nie miał innych zajęć, siadywał przy niej i opowiadał jej długo w noc

o swoim życiu, połowach, żeglugach, morskich walkach...

— Nie masz to jak okrętniczy żywot — rzekł był jej któregoś dnia. — Ech, żeby nadarzyła się jeno sposobność, a zaraz bym się zaciągnął do królewskiej wodnej armaty!

— Niedługo stąd ruszymy — odparła. — Będziecie mogli zamustrować do floty.

Zdjął ze ściany zwierciadło i podał jej.

— Popatrz jak zbiedniałaś! Jeszcze nie tak rychło opuścimy ten wrak.

Spojrzała w lustro. Tylko bujne włosy, łuki brwi i oczy świadczyły o jej dawnej urodzie. Twarz jej pobladła, zapadły policzki, wychudły ramiona, a dłonie stały się niemal przezroczyste.

— Okrutnie zesłabłam — szepnęła. ,

— Żeby wiatr się zmienił, tobym cię dowiozł na tamten brzeg, ale przy tym weście nib dam rady...

— Może zjawi się kto i nas zabierze?

— Dawniej jak nastał sztyl, przyplływali maszopi w te strony po bity, teraz wszakże chyba tylko purtk tu zagłada! — mruknął i opuściwszy wrak wszedł na zwiewy wydmn oznaczone tropami mewich stopek.

Po niebie ciągnęły strzępiaste chmury. Małe Morze sfalowane grzywaczami wyglądało jakby je oibsiadły białe łabędzie. Koło Rewy płynęło sześć naw pod rozwiniętymi żaglami. Zapatrzył się na

tę flotyllę. Zrazu nie wiedział co to za statki, ale gdy zbliżyły się do skarpy Rzucewa, poznał, że to polskie okręty stacjonujące zazwyczaj w porcie przy Gdańskiej Latarni. Te, o których wspominał kiedyś kapitan Aippelman, iż skoro tylko odmarznie Wisła

i 'kra zniknie z zatoki, przyplyną z Mindy, by wspomóc od strony morza wojska oblegające pucką warownię.

— Marzec -się kończy, łąkwiot nastaje — mamrotał przejęty żalem — a ja tu kradnę Bogu czas zamiast let- rów bić...

Tymczasem wojenne korabie minęły Bładzikowo, samotną checz Selinów i stanęły na trawersie Pucka w pewnej odległości od brzegu.

— To są gwesno nasi — upewnił się i wrócił na wrak, by się podzielić wesołą nowiną z Barbarką.

— Nasza flota pod Puckiem! — krzyknął, skoro tylko otworzył drzwi do kajuty.

Poderwała się z posłania i oparła na łokciu.

— Tedy Puck zajęty?

— Jesz nie! Wszelako jak okręta zaczną strzelać, wnet się Szwed podda. Mają przynajmniej po dwadzieścia dział.

To coś znaczy! Mury się pokruszą, 'nasi wejdą do miasta i zamku, jeno że mnie z nimi nie będzie]

Spojrzał ma swój topór i pokiwał smutnie głową.

— Tylu nieprzyjaciół tobą zarąbałem — mruczał przygnębiony — a nimie jak się mają Ważyć losy Pucka, w ką- ■ cie stoisz i rdza cię zreć poczyna.

Domienikówna wsparła dłońmi głowę. Namyślała się przez chwilę.

— Wiecie co — odezwała się wreszcie. — Mnie już trochę lepiej. Mogę z łóżka wstać i strawy sobie ugotować. Ostawcie mnie i ruszcie pod Gnieźdzewską Górę. Jeno nie zapomnijcie, żeby tu po mnie wrócić albo kogo przysłać.

— Sam za trzy dni, boć chyba dłużej się te purtki nie ostoją, przyplynę po ciebie z moimi maszopami — obiecał uradowany szyper.

— Tedy was zwalniam ma trzy dni uśmiechnęła się blado.

Olbrzym podziękował jej i postanowił jakoś dopchać szalupę aż za Rozparowiec, a stamtąd ruszyć piechotą na Swarzewską Kępę.

— Ostatnią przerwę koło Wielkiej Wsi przejdę w bród — mówił z ożywieniem. — A to się moi zdziwią, jak mnie zdrowego obaczą!

Przez następne dmie gotował mewie mięso, nosił do antańka w kącie kehity wodę (deszczową, pomagał osłabionej

Barbarce stawiać pierwsze kroki, czyścił swój katowski oręż, wieczorem zaś dwudziestego dziewiątego dnia marca, gdy wiatr nieco przycichł, zepchnął czółno ze strądu i ruszył w drogę.

Pchał łódź wiosłem po przybrzeżnej płyciźnie. Nie żegluga była to jednak, lecz nieludzka mordęga. Wiatr wykręcił do nordwestu i tak dmuchnął, że Jówa skapitulował. Nie mógł ani o sążeń posunąć ciężkiej szalupy i nim dopłynął do Szerokiej Depki, wychodzącej z zatoki na Bałtyk między drugą a trzecią wyspą od strony Wielkiej Wsi, musiał zawrócić. Dobił z wiatrem na dawne miejsce* Spocony i zadyszany wrócił do wraku.

— Wy tutaj? — zdumiała się Miskówna.

— Bóg mnie przeznaczył, dzeusie, na twego opiekuna — sapnął jak miech kowalski. — Nie mogę się wydostać z tej wyspy.

Przy migotliwym płomyku świecy opowiedział jej, jak to zmogło go wichrzysko i legł do snu. Był już jasny dzień, kiedy zbudził go huk wstrząsający kasztele. Wybiegł co tchu nad Małe Morze. Ogień i dym buchał z burt dalekich okrętów.

— Grzmocą z wszetkich dział! — ucieszył się. — Dziś chyba tam w Pucku uklęknie kulawy purtk Sython i jego czeladnicy.

Ale po kilku salwach okręty przestały strzelać. Jedyne dym jeszcze przez jakiś czas snuł się pędzony przez wiatr nad miasto.

— Co to? — głowił się Jówa.

Następne chwile * udzieliły mu odpowiedzi, nawy bowiem rozpięły żagle i dobiły do puckiej przystani pod farną dzwonnica, wiatr zaś powoli wykręcał przez nord do nordostu. Kaszuba jak szalony pobiegł do wraka.

— Puck w naszych rękach — krzyknął do Barbary — królewskie korabie weszły do portu! Wiatr się odmienił! Odmieni się nasza dola. Pożegnamy są, dzeusie, dzisiejszego wieczora, ale nie na długo!

Dziewczynie wzruszenie zaparło oddech. Łzy zabłyły w jej oczach, stoczyły się po białych policzkach.

— Nareszcie — szepnęła. — Dzięki ci, Boże, za tę wiktoryę!

Ale dopiero w Wielki Czwartek, pierwszego dnia łą- kwiota nocą Jówa opuścił piaszczystą wyspę. Przy sprzy

jającym wietrze bez trudu pchał szalupę Małym Morzem ku Wielkiej Wsi. Gdy słońce wzeszło, był już ma przybrzeżnych płyciżnach w pobliżu Swarzewa. Nad zatoką kołowały mewy. Opuszczając się

raz po raz na wodę krzykliwie łowiły okazałe śledzie i małe szproty.

— Wielka ławica ryb weszła podczas sztormów na Wik — pomyślał samotny wioślarz.

Skowronki unosząc się nad polami, gdzie dawniej o tej porze zieleniło się żyto, a teraz wyrastała jeno trawa i chwasty, wypełniały powietrze śpiewem. Zdawać się mogło, że pokój panuje na ziemi, choć nieprzyjaciel spalił wszystkie wsie, mieszkańcy ich puciekali w dalekie bory, a pola leżały odłogiem.

Dopłynąwszy do Swarzewa, szyper dobił do brzegu, by się pomodlić przed kapliczką i podziękował Królowej Rybaków za opiekę. Ledwie jednak zrobił kilka kroków, spotkał gromadę starców i kobiet.

— Szwed pobit! — krzyczeli z daleka. — Cudowna figura znów w kościele. Nasi chłopci zaciągnęli się na polskie okręty stojące pod Puckiem.

Zawrócił, pobiegł do łodzi, a znalazłszy na brzegu drugie wiosło (powiosłował z taką siłą, że za łodzią woda wirowała. Zmierzał do statków zakotwiczonych na puckiej redzie. Stały szeregiem z żaglami zwiniętymi na podniebnych rejach. Pierwszym z nich okazał się “Święty Jerzy”, wielki i dumny okręt admirałski. Na gro-tmaszcie powiewała czerwona bandera z białym orłem. Z ambrazur sterczały działa.

— Jówa! — krzyknął ktoś z pokładu. — Nasz Jówa! Dobij do burty, knopie!

Jastarnik obejrzał się i ujrzał przed kasztelem znajomą postać. Przez reling wychylał się kapitan Appelman. Kiwał ręką, machał kapeluszem. Rybak sam nie wiedział, kiedy wszedł po “Jakubowej drabinie” na pokład. Tu dowódca piechoty wyściskał go serdecznie, aż się dziwili marynarze tej niezwyklej konfidencji oficera ze zwyczajnym rybitwą nie mającym żadnej rangi.

— Oplakali my cię, a tyś żyw — mówił klepiąc osiłka po ramieniu. — Aż dziw, że cię nie ustrzelili.

— Jeszcze ta kula nie ulana, co ma mnie trafić — odparł.

— Bodajby nigdy takowej nie ulano! Przydasz się jego 230

królewskiej mości, panu naszemu Zygmuntowi. Za to zaś, coś już dla Rzeczypospolitej uczynił nie minie cię nagro-r da. Powiedz: jakiej żądasz?

— Chętnie zamustrowałbym do wodnej armaty, bo obmierzło mi deptać tę przekłętą glinę.

— Zgoda — rzekł kapitan i zaprowadził go do kasztelu, gdzie przy zastawianym stole siedzieli i pan Dickman i pan Mora.

— To wasz -nowy bosman — wskazał Appelman zwalistego Jówę z ciężkim toporem pod pachą. — Tęgi chłopci To on zrzucił Szwedom działa z farnej dzwonnicy. Od dziś zaś będzie służyć na “Świętym Jerzym”.

Oficerowie z zainteresowaniem popatrzeni na brodatego stolema. Jów opowiedział im krótko o tym, jak uciekł Szwedom, wdrapał się na Opokę Świętego Piotra, zdobył szalupę, uratował Barbarę i dobił do helskiej wyspy. Potem poprosił o wolny dzień, by odszukać pana Sulickiego i zanieść mu wiadomość o narzeczonej.

Udzielono mu permisji i odstawiono czółnem do przystani. Wkrótce minąwszy Wodną Braimę przechodził już koło kościoła. Na ulicy i cmentarzu mieszczanie zbierali gruzy. Spojrzał na wieżę, z której Szwedzi zdarli dach. Wspomniął, jak to spychał z niej działa, bo szczątki ich jeszcze 'poniewierały się przy cmentarnym murze.

— Na Wielkanoc — mruknął sam do siebie — będzie tu chyba dziękczynne nabożeństwo. Przyjdę i ja podziękować Bogu za to, że mnie tylekroć od śmierci ocalił.

Idąc dalej rozpytywał o kwaterę porucznika Karpińskiego. Wskazano mu kamienicę w rynku naprzeciw ratusza. Wszedł na piętro. Powitawszy dowódcę dragonów zapytał o Piotra Sulickiego.

— Nie masz go — odparł porucznik Karpiński. — Ję- .gomość hetman, który krótko przed ostatecznym szturmem personaliter tutaj przybył i objął nad nimi komendę, wysłał go, jako człeka znającego wszystkie trakty, na podjazd.

— Gdzie?

— Pod Słupsk.

— Tak daleko?

— Chodzą słuchy, iż od zachodu ciągną Szwedom w sukurs zaciężne rotty Niemców — wyjaśniał oficer. — Panu

Sulickiemu tedy zlecano wybadać, zali wiadomość owa jest prawdziwa.

— Kiedy wróci z tej wyprawy?

— Bóg to wiedzieć raczy!

— Maryja, Józef! — zafrasował się rybak po wyjściu z kwatery. — Co to będzie z Barbarą? Ja na statku, jej narzeczony gdzieś daleko w polu jak wilk idzie w trop za nieprzyjacielem... Kto po nią popłynie?

Rozmyślając o tym skierował się do narożnej szynkowni, gdzie spotkał Jakuba i kupę swoich maszopów rozprawiających z kuflami w garściach. To odwróciło bieg jego myśli.

— Dobrą wzięliście, dresze, bitę przy zdobyciu Puc- ka? zagadnął,

V— Ani krzty łupu nie było — oburzył się Pługi.

— Czemu? *

— Skoro jesteśmy wtargnęli w Puck i weszli do zamku jak lisy do dziury, Szwedy skapitulowały, ale hetman Koniecpolski pozwolił im wyjść ze wszystkim, co miały. Tyle, że musiały maszerować przed nami z opuszczonymi sztandarami.

— Kędy pociągnęli?

— Do Elbląga — wtrącił Klemens. — Tam ich główne siły.

— Może to dobrze — podrapał się w łeb Jówa. — Przyjdą tam i powiedzą swoim, że lepiej brać nogi za pas, póki czas.

— A niech zmykają — machnął ręką Kąkol. — Niech usiądą na te szwedzkie kamienie jak mewy, byle nas tu zostawili w spokoju!

— Jak te mewy sarnę nie odlecą, to je przepędzimy — huknął olbrzym. — Wiecie, dresze, iżem od dziś bosmanem jest na “świętym Jerzym”?

— Tedy i my się zaciągniem do wodnej armaty! — krzyknęli churem.

— Jutro zaraz po mszy, na którą jegomość hetman ma przyjechać, pójdziemy do portu i przedstawię was mojemu kapitanowi — ucieszył się szyper. — Wszelako dziś musim jeszcze naleźć knopa, co by ku helskim wyspom popłynął.

— Po co? — zaciekawiał się Piotrków Józk.

— Po pana Piotrową brutkę — wyjaśnił brodac i zamówił nową kolejkę okrętowego piwa.

ego samego dnia, gdy maszopi pili w puckiej szynkowni, Piotr Sulicki jechał na czele oddziału wolontarzy w kierunku Słupska. Jeniec, którego przyprowadził podjazd wysłany w celu zdobycia języka, wyjawiał, że oberszter Teufel, dowódca zaciężnych rot ciągnie pod Puck, by zaskoczyć polskie wojsko oblegające to miasto. Pan Piotr natychmiast wysłał gońca z relacją do hetmańskiej kwatery, sam zaś ruszył dalej na zachód, pragnąc pomścić się za Barbarę, której nowe porwanie nappełniło go głuchą wściekłością.

Niedaleko Słupska pod wsią Gąbinowo wolontarze ujrzeni znów podjazd nieprzyjacielski powracający z północnego wschodu. Ukryli się w krzakach na pagórku, a gdy wróg się zbliżył, uderzyli nań jak piorun z czystego nieba. Ale tym razem nie powiodło się im wziąć języka. Nieprzyjaciel bowiem, posuwający się otoczoną lasami doliną, wzdłuż krętej Słupi, na widok atakującej konnicy rzucił się do ucieczki. Przebył w bród szeroką rzeczkę i zniknął w wysokim borze ciemniejszym łakami.

Andrys Kur, który był iprawą ręką komendanta, pognał za nimi na czele przedniej straży oddziału, lecz Sulicki rozkazał mu zawrócić, nim dopadli do skraju lasu.

— W gęsiwinie łącno im będzie urządzić zasadzkę — wytłumaczył niezadowolonemu Andryśowi i skierował wolontarzy w górę nurtu Słupi.

Jechali łągami płosząc zające baraszkuje wśród młodej trawy, słuchając klangoru żurawi, które zrywały się znad wody i kołowały nad rzeczną doiUną. Jeźdźcy ostrożnie penetrowali wszystkie zarośla wiedząc, że wróg znajduje się w okolicy.

— Stój — zakomenderował nagle Sulicki.

Zatrzymali się. Przed nimi bieleła długa checz połączona ze stajnią, chlewem i stodołą. Przy niej zieleniło się wschodzące żyto* a w pobliżu pod borem chłop poganiał wołu zaprzęgniętego do sochy i orał ziemię, z której bruzd snuła się w słońcu lekka mgła. Na widok obcej rajtarii porzucił zaprzęg i uciekł do lasu. W gnieździe na strzesze

podniósł się bocian, wyciągnął czerwoną nogę i zaklekotał.

— Kto na ochotnika przepenetruje tę checz? — zapytał Sulicki, w którym zachowanie chłopu wzbudziło podejrzliwość.

Zgłosił się Żelewski, Rybińscy, miody szlachcic Robakowski, który miedawno przyłączył się do oddziału» oraz bracia Kurowie. Piotr wybrał Macieja, bo ten jeżdżąc dawniej z komni na targ do Słupska, poznał dobrze tutejszych ludzi i ich gwarę, podobną zresztą wielce do kaszubskiej gadki.

Maciej Kur zawrócił konia i przez mostek na rzece podjechał do chałupy, z której dymnika snuła się modrą smuga.

— Ktoś tam jest — pomyślał.

Rzeczywiście, w okienku pokazała się jakaś twarz, a gdy jeździec, wymijając wilczy ół czerniejący nie opodal checzy, zbliżył się do zagrody, dwa psy wyskoczyły zza węgła. Biegając koło końskich nóg wściekle ujadły* aż w drzwiach ukazała się młoda białka w chuście i parcianej sukni. Na rękę trzymała dziecko, które przerażone zjawieniem się obcego zasłaniało się rąbkiem matczynej chusty.

— Kogo Bóg prowadzi do naszej checzy? — zapytała z przestachem, nim ją Kur zdążył pozdrowić.

— Suich ledzy! — uspokoił ją Maciej.

Usłyszawszy znajomą mowę odetchnęła z wyraźną ulgą:

— Dobrze, że nie kwekrów.

— Nieprzyjaciół? Byli tu u was?

— Jak tu poznać kto nieprzyjaciel, a kto swój? Musisz być z daleka, skoro nie wiesz co tu u nas się dzieje! Sam widzisz, że na podwórzu nie ma ani jednej kury. Wczoraj wieczorem jacyś żołnierze ściągnęli dwie gęsi siedzące ma jajkach i zjedle je suchemy peskami. Tyle pociechy, że gąsior im uciekł. Ale, ± jeszcze nie wrócił* myślę, że chyba też go złapali.

— Gadaj, białko, kto tó zrobił.

— No kwekrzc! Za borem aż się od nich roi. Mówią wszelako, że wnet pójda do jakiegoś taim Pucka. Chwała Bogu, bo mie mamy przez nich spokoju w dzień ani w nocy.

Zawrócił Maciej i zdał relację komendantowi. Ten natychmiast cofnął swój oddział w las.

— Ukryjemy się między jpniami — mówił do Ustarbowskiego. -r- Tam będziemy czatować. Może znów zjawi się jaki grasant w tej zagrodzie. Cajpniemy go i weźmiemy na spytki.

Czekali do wieczora, lecz żaden rajtar ani piechur nie wynurzył się z przeciwległego lasu. Tylko gospodyni zjawiła się na zoranej roli i pognała do obejścia wołu z (porzuconą sochą.

Umilkły nad łąką skowronki, ustały gwizdy drozdów wśród splątanych gałęzi. Rzeka po zachodzie słońca zaczęła dymić mgłą. Oziębilo się powietrze. Czas jbyło myśleć

0 ntfdegu.

— Zakwaterujemy się chyba w tej zagrodzie — postanowił Sulicki. — Niemcy zabrali już chłopu, co miał

1 pewnie tu nie wróca.

— Kto wie — pokręcił głową przezorny Andrys. — Przecie ów podjazd, na który my uderzyli, wrócił do obozu i doniósł o nas swemu dowódcy. Mogą tedy nas tu szukać.

— Dziw, że dotąd się nie wyprawili na te (poszukiwania — wtrącił jeden z Rybińskich.

— Ba — musnął wąs pan Piotr. — Podjazd ten spod Pucka, jako mniemam, (powracał i chyba niepomyślnie przywiózł wieści, bo inaczej już by węszyli za nami po okolicy.

— O wilku mowa — szepnął Ustarbowski i wskazał jakąś postać, która wysunąwszy się z boru spiesznie podążała ku chacie.

Był to jednak, jak się okazało, zbiegły oracz. Przeto kiedy nad doliną Słupi rozbłyły gwiazdy, oddział wjechał na podwórze zagrody. Chłop wybiegł z checzy i patrzył ze zdziwieniem na to wojsko. Jedni byli w kapeluszach i koletach zdobytych na Szwedach, inni nosili żupany i lisiury, inni jeszcze proste samodziałowe kabaty i sukmany, ale wszyscy mieli u boków szable, a na plecach rusznice lub muszkiety. Na ich zarośniętych, dzikich twa rzach malowała się zaciętość. W oczach błyskała żądza zemsty za spalone wsie, za głód, za zbrodnie wroga.

— Weźmiecie po pięć koni — rzekł komendant do Andrysa, Ustarbowskiego i Żelewskiego. — Podjedziecie

z kilku stron pod nieprzyjacielski obóz. Może schwytaście jakiego ipludraka-lancknechta.

Wolontarze odjechali w bór szumiący wieczorną «modlitwą». Reszta na komendę zsiadła z koni.

Rozkielzali je, napoili, podrzucili im siana ze stodółki. Sulicki, poleciwszy Maciejowi rozstawić straże, wszedł do chałupy.

W środku dużej izby na kamieniach paleniska palił się ogień. Dym owiewał sprzęty, snuł się pod strzechą i uchodził otworem w dachu. W drugiej połowie pomieszczenia, odgródzonej od części mieszkalnej korytem, stał wół i żuł siano.

— Mieli my dwa woły, dwie krowy, wiele kur i gęsi — wzdychała białka kołysząca do *snu dziecko — ale kwe- krzy mam prawie wszystko zagrabili.

— Daleko oni stąd? — zapytał Sulicki.

— Za Słupią — odpowiedziała. — Za lasem.

— W niespełna dwa ipacierze tam zajedziecie — dodał gospodarz, który w ślad za szlachcicem i paroma wolon- tarzami wszedł do zadymianej izby.

— Co to za wojsko?

— Sami kwekrze. Mówią, że dowodzi niani jakiś Jan- cekrest Teufel czy sam Lucyper

Uśmiechnął się ma to Sulicki. Siadł na ławie i słuchał ponurych prorocत्व chłopa:

— Jancekrest się pojawił, tedy wnet będzie koniec świata. Biedni my ludzie. Wpierw zeżarli naim bydło, kury, gęsi, a lada dzień i nas zeżrą.

— Obronimy wa*s — zapewnił Maciej Kur.

Białka wstawiła ma ognisko trójnóg, przyniosła garnek z wodą, a gospodarz wspiął się ma drabinę i wyciągnął spod strzechy kawał wieprzowiny.

— Ugotuj go tym żołnierzom — powiedział — bo to swoi, dobrzy ludzie.

— Czym chata bogata — skinęła głową. — Nagotuję mięsa, a ty, knopie, zmiel krup! Wieczera będzie jak za dawnych czasów.

Chłop ruszył w narożnik izby i zaczął huczeć żarnami. Żołnierze pomogli mu obracać ciężkie kamienie. Kobieta tymczasem ugotowała mięso, później przyrządziła zmieloną kaszę i postawiła ją w garnkach na glinianej podłodze. Wolontarze wyciągnęli zza cholew drewniane łyżki. Jedli, aż iim się uszy trzęsły.

Po wieczery, kiedy przygasły płomienie ogniska, a dym ulotnił się z izby, ze zwiadów wrócił Andrys Kur.

— Mamy języka — rzekł wprowadzając niemieckiego muszkietera. — Przycąpnęli my gp, kiedy się włókł za oddziałem.

— Tedy wyszli z obozu? — zerwał się Sulicki.

— Cofają się kii Słupi. A czemu, to niech ten luter sam powie.

Pchnął Niemca. Muszkieter zeznał, iż oberszter Teufel otrzymawszy wieść, że Puck zdobyty, postanowił wycofać się za Słupię.

— Mieli my iść na południe — mówił spiesźnie. — Obejść polskie wojska, by się połączyć nad Wisłą z armią jego królewskiej mości Gustawa Adolfa.

— Puck wzięty — powtórzył Sulicki i bez zwłoki rozkazał: — Weź, Andrys, pięć świeżych koni! Pocwaj do hetmańskiej kwatery z tym jeńcem i wieściami o nowych zamysłach przekłętego pułkownika Diabła!

— Wedle rozkazu — sprężył się służbiście odargowia- nin.

Wybiegł na podwórze, wybrał pięciu spośród biwakujących w stodole żołnierzy, kazał im siodłać wierzchowce. Tuż przed odjazdem podszedł do niego komendant:

— A jak będziesz, Andrys, w Pucku — poprosił półgłosem — to zapytaj porucznika Karpińskiego, zali mojej Barbarki w zamku nie odbito i czy ów stołem Jówa się odnalazł.

Kur na znak zgody pokiwał głową, skoczył na siodło i ruszył brzegiem dopływu Słupi na północny wschód, by się przedostać najkrótszą drogą na trakt wiodący w stronę Lęborka. Zniknęli w ciemności. Piotr zaś długo stał oparty ó słup wrótni, nim wrócił do izby i ułożył się do snu.

Rano zawarczał bęben na podwórzu zagrody. Wolontarze pożegnali gościnnych kmieci, dosiedli koni. Niby wilki za stadem dążyli tropem wroga, który jak twierdziła okoliczna ludność, zarekwirował wszystkie szkapy, po- wsadzał na nie piechurów i spiesznym pochodem zmierzał ku południowi, zostawiając za sobą wozy ze spyżą ugrzęzłe w rozmokłych wiosennych drogach.

Gdy Kur ze swymi ludźmi wjechał na szeroki trakt, na wschodzie nieba ukazała się tarcza niepełnego księżyca. Ruszyli kłusem, by rankiem stanąć w Lęborku, Tam mieli zmienić wierzchowce i na wypoczętych koniach ruszyć w dalszą drogę.

— Jutro musimy stanąć w Pucku — powtarzał Andrys jadąc na czele podjazdu.

Choć powieki mu isię kleiły, a kołysanie kulbaki uspo- sobiało sennie, baczył, by się nie zdrzemnąć i pilnie lustrował gościniec zalany «miesięczną poświatą. Nie spotkali jednak żywej duszy. Dopiero krótko przed świtem w dali na drodze ukazało się siedmiu jeźdźców. Z gołymi szablami w garściach cwałowali prosto na podjazd. .

Zatrzymali się, Wymierzyli w nadjeżdżających nabite rusznice, lecz wtem jeden z wolontarzy dojrzał czerwone kolety.

— To nasi — zawołał. — Dragoni nieboszczyka Krzysztofa!

Wachmistrz dragonów również .poznał Andrysa i jego podkomendnych.

— To wy?! — huknął. — Nie zgmiotły was pludraki?

— Gdzie wasz dowódca? — przerwał niecierpliwie odar-
gowianin.

— Ot, zbliża się właśnie — odparł basem wachmistrz wskazując wyruszające zza zakrętu wojsko.

Na jego czele sadył porucznik Paweł Karpiński. Ujrawszy wysłannika wolontarzy zatrzymał się, wysłuchał jego relacji i zawrócił wraz z nim do Lęborka, którego fara, baszty i zamek błękitniały już na widnokręgu*

Przed, miejską bramą musieli stanąć, iby przepuścić wyjeżdżających z grodu roślących, gibkich kozaków zbrojnych w piki i samopały. Za nimi ciągnęli husarze. Jechali na tęgich bachmatach. Opancerzeni stalowymi blachami, strojni w skóry lampartów i tygrysów, trzymali w dłoniach długie kopie, u których końców trzepotały jedwabne proporczyki. Kurowi śmiać się zachciało z orlich skrzydeł szumiących na plecach rycerzy.

— A to co? — zakrzuszył się.

— Tymi skrzydłami husaria płoszy nieprzyjacielskie konie — tłumaczył porucznik Karpiński.

— Jadą jak na wesele — orzekł gbur. — Ho, ho... Zgoła i wędzidła mają srebrne albo pozłacane.

Jeszcze raz się obejrzał na skrzydlate wojsko, ale długo nie mógł się mu przypatrywać, bo Karpińskiemu pilno było do hetmana.

Ujrzeni go ma rynku ˆpod lęborskim ratuszem. Siedział na białym rumaku i otoczony gromadą oficerów pozdrawiał skinieniem buławy maszerujące przed nim roty piechurów i oddziały artylerzystów kroczących przy armatach, których koła turkotały głucho na nierównym bruku.

Zaraz po tym przeglądzie wysłuchawszy wieści przesłanych przez Sulickiego zwołał rotmistrzów do swej kwatery na krótką naradę. Karpińskiemu polecił ruszyć pod Bytów w przedniej straży koronnych wojsk, do pana Piotra zaś podyktował list z nowymi instrukcjami.

— Odszukaj wasz oddział — rzekł wręczając Kurowi zapieczętowany papier. — Oddasz to pismo do rąk własnych waszego komendanta! Niechaj Teuflowi następuje na pięty, a ze mną łączności nie traci i o każdym kroku nieprzyjaciela natychmiast znać mi daje.

Następne dni upłynęły Andrynowi w ciągłych rozjazdach. Ledwie odnalazł wolontarzy ciągnących za korpusem Teufla na południowy wschód, a już znowu wysłał go Sulicki z następnym meldunkiem do hetmana, że za- ciężne oddziały zmierzają w stronę miasteczka Czarne. Kur zmienił więc tylko konia i zawrócił szukać Koniec- polskiegoL

Spotkany po drodze podjazd powiadomił go, że główne siły polskie szybkim pochodem ciągną z Bytowa na Brusy i Chojnice. Pokłusował goniec we wskazanym kierunku, lecz gwałtowna burza zmusiła go do schronienia się w jakiejś chłopskiej chałupie. Przeczekał tam noc, rankiem zaś dopadł

hetmańskich szyków, w chwili gdy wkraczały do Chojnic.

Hetmań natychmiast skierował jazdę na Czarne, każąc piechocie i artylerii podążać za sobą. Pod wieczór, kiedy konnica stanęła na nocleg w przydrożnej wsi, nadjechał szlachcic Robakowski ze świeżą wieścią od komendanta kaszubskich wolontarzy. Pan Piotr donosił, że zaciężni Niemcy stanęli w Czamem.

— Zgotujemy im w tym Czarnem czarny dzień — mruknął Koniecpolski i wysłał Andrysa z kolejnymi instrukcjami do Sulickiego.

Kur dotarł do swego dowódcy nad ranem, w momencie, gdy Ustarbowski, wysłany na podjazd pod samo miasteczko, wrócił z nowiną, że jakieś oddziały wymaszerowały z Czarnego i ciągną w ich stronę na wschód.

— Cofniemy się, by puścić ich pod miecz hetmana — zdecydował Sulicki i chciał gońców śłać z meldunkiem, ale właśnie na drodze zaczerwieniały kołety dragonów Karpińskiego.

Porucznik powitał starego znajomka, a usłyszawszy co się święci, sam wyekspediował umyślnego do naczelnego dowództwa i rozwinął swoich dragonów w długą linię. Wolontarze zajęli jej prawe skrzydło.

— Naprzód! — padła komenda.

Ruszyli przez rzadki las. Na wielkiej polanie doszło do starcia, skoro bowiem wjechali na nią, z przeciwnego krańca wynurzyły się przednie straże najemników. Siły były mniej więcej równe: po tej i po tamtej stronie około trzystu rębajłów. Karpiński błysnął szablą.

— W nich! — krzyknął wskazując Niemców jadących stępa na brzuchatych kobyłach.

Jednocześnie podniósł raipier dowódca rajtarów.

— Naprzód!

Zagrzmiały kopyta, zajęczała tratowana ziemia.

Zbliżyli się ku sobie gwałtownie niby dwie fale, jedna pędzona przez wiatr, druga odbita od urwistego brzegu. Zwarli się w trzasku kling, w kwiku koni, które wspinały się jak grzywacze rozbite na głazach. Zawrzał zacięty bój.

Dragoni, zaprawieni w wojennym rzemiośle na Dzikich Polach w ustawicznych walkach z Tatarami i Turkami, dorównywali sprawnością rajtarom wyćwiczonym podczas trzydziestoletniej wojny, ale wolontarzom trudno było się z nimi mierzyć. Toteż załamało się iprawe skrzydło. Niemcy brali górę. Polacy jeden za drugim padali z koni na trawę polany.

— Zginiem — jęknął najmłodszy z Rybińskich.

Wtem zaszumiał wiatr. Nadleciała skrzydlata chorągiew».

Husarze jak burza uderzyli w kotłowisko prawego skrzydła. Położyli wroga niby cięte kosami zboże. Niemcy gęstym trupem zasłali (murawę. Nieprzyjaciel został rozgromiony.

— Siła uszło? — zapytał brodaty hetman objeżdżając ze swą świtą pobojuwisko.

— Jeno jeden rajtar! — odparł Andrys, który znalazł się w pobliżu.

— Szkoda — zasepił się Koniecpolski. — Oberszter Teufel i imć Sztrajf dowiedzą się odeń o przybyciu naszych wojsk. Będą się w Czarnem okopywać. Trza nam nie zwlekając otoczyć ich!

I dał rozkaz okrążenia miasteczka.

Kozacy i husaria podeszli pod Czarne od południa, a dragoni i wolontarze od północy. Oberszter Teufel, spostrzegłszy że go otoczono, wysłał silną rajtarię, by przerwała polski pierścień. Ale kozacy, wolontarze i dragoni odepchnęli Niemców ku miastu, hetman zaś wysłał podjazd, który miał rozbić nieprzyjacielskie oddziały wyprawione do okolicznych wsi po żywność.

Nadszedł wieczór. Rozpalono ogniska, rozbito namioty. Żołnierze grzali się przy ogniu, posilali się z kotłów i patrząc ku miasteczku, gdzie Niemcy spiesznie sypali wały, rozprawiali o dzisiejszych potyczkach.

— Trza było od razu szturmem miasto brać — mamrotał Andrys. — Teraz z tych szzańców trudno będzie nam pludrów wykurzyć.

Piotr Sulicki, któremu narzekania Kura przerwały smutne rozmyślenia o Barbarze, ofuknął go mrukliwie:

— Hetmana chcesz uczyć wojennego rzemiosła? Myślisz, że tak łatwo można rozgromić taką moc nieprzyjacielskiego wojska wsławionego w wielu bitwach, samemu nie mając większych sił?

— Do tego trza zaiste większej niżli twoja, Andrys, rozwagi i praktyki — przytaknął Ustarbowski.

Zamilkł Kur. Zapatrzył się w czerwoną zorzę nad oszańcowanym miastem. Dochodził stamtąd zgłuszony werbel bębnow. Na rosnących obwarowaniach kręciły się małe ciemne sylwetki żołnierzy z rydlami i taczkami. Ostrzeliwały ich najdalej wysunięte placówki polskie, ale oni nie przerywali pracy i zwijali się jak w ukropie.

— Co nam też jutro przyniesie? — zastanawiał się Andrys w gęstniejącej ciemności.

Następny jednak dzień niewiele zmienił sytuację. Przed świtem nadciągnęła spod Chojnic piechota i kozacy, wróg usiłował kilkakrotnie, na szczęście daremnie, wyrwać się

z pętli zaciskanej przez Koniecpolskiego, a pod wieczór w bezsilnej wściekłości począł mścić się na mieszczanach z Czarnego, podpalając domy tych, których podejrzewał

o spryjamie Rzeczypospolitej.

Krwawa łuma rozbłysła nad dachami. Gorzała długo w moc, póki nie rozproszył jej deszcz, który zagasił pożary. Aż do tego czasu piechurzy sypali w jej blasku szań- czyki, by przygotować pozycje dla armat, których nadejścia spodziewano się lada chwila. Jakoż krótko przed świtem nadciągnęły.

Rano, gdy północny wiatr zdmuchnął z nieba chmury, a słońce powoli wzbiło się nad horyzont, z miasta wypadła zaciężna konnica. Teufel raz jeszcze spróbował wyrwać się z polskich kleszczy, Jecz gwałtowne przeciwu- rzenie dragonów, husarii i kaszubskich wolontarzy rozbiło jego rajtarię w proch i w pył.

Teraz jakby się wyczerpała hetmańska cierpliwość. Na pagórki i w szańce zatoczono działa. Lufy ich zaczęły pluć żelazem. Ogniste kule padały niby grad na miasto. Z dachów buchały czarne chmury dymu. Norda niosła je na południe, nad podmiejski bór. Ale mie tylko armaty grzmiały. Piechota gęstym ogniem muszkietów ostrzeliwała żołnierzy na szańcach miasteczka.

Sprawdziły się słowa hetmana. Czarny dzień nastał dla Niemców w Czarnem. Polacy coraz bliżej podchodzili pod wały. Nieprzyjaciel bronił się rozpaczliwie, lecz kiedy słońce wzbiło się wysoko na niebo, przestał magle strzelać. Doleciał -natomiast od strony miasta długi głos trąbki..

— Poddają się — rzekł Sulicki do Andrysa, który wraz z innymi Kaszubami ostrzeliwał szańce.
— Przestań strzelać.

—^ Będę bić kwekrów, póki choć jeden żyje — krzyknął gbur i wypalił z muszkietu.

— Nie rezomij — zgromił go pan Piotr. — Będzie tak, jak rozkaże hetman.

Ucichła palba dział i muszkietowe salwy. Z miasta wyszli parlamentariusze z białą chorągwią. Na przedpolu zaczęto zbierać rannych i zabitych.

— Kapitulacja — zawołał porucznik Karpiński przejeżdżając koło wolontarzy na czele swoich dragonów. — Dobra nasza, mości Sulicki. Pułkownik Diabeł pobit]

Piotr wszakże czoło miał chmurne. Tej nocy nie mo

gąc zasiiąć i snując się po obozowisku spotkał wśród dragonów, którzy-zsiadłszy z koni sypali szańczyki przed działa, młodego Darca. Ten był przy zdobyciu Pucka i zaraz po zajęciu miasta zaczął dowiadywać się ó Barbarę.

— Nie ma jej już na tym świecie — mówił szlachcicowi^ — Morze płucze niebogę! Pono jak ją pucki starosta kazał dwom rajtaram odprowadzić przez lód do zamku, sztorm oderwał krę i poniósł ich troje na morze. Szyldwachy słyszeli ich krzyki daleko za Wodną Bramą. Zginęli bez ochyby.

Odargowianin nie wiedział jeszcze o tej żałosnej nowinie, toteż zapytał:

— Coś waćpan taki krzyw? I mnie nie po myśli, żeśmy tych lutrów do nogi nie wybili, wszelako...

— Milcz — przerwał szlachcic. — Czy wiesz, iż Barbara utonęła?

— Jezus, Maryja! — stropił się Andrys. — Co teraz waćpanuczyni?

— Pociągnę nad Wisłę na Gustawa Adolfa — odparł Piotr. — Będę walczył pod hetmańską komendą z tymi czartami, aż jaka miłosierna kula kres zgryzocie mojej położy.

Dopiero następnego dnia Teufel wściekły jak sam diabeł podpisał wraz ze Sztrajfem akt kapitulacji. Sześć tysięcy butnych Niemców, zdawszy całe uzbrojenie zwycięskim Polakom, wyszło z miasta. Ich chorążowie jeden za drugim składali chorągwie pod stopy hetmana. Wystraszeni rajtarzy przysięgali, że nigdy już za żaden żołd nie będą walczyć przeciw Rzeczypospolitej.

Odchodzili na zachód przeklinając Teufła i zostawiając setki kamratów we wspólnej mogile pod Czarnem, podczas gdy armia Koniecpolskiego z trzepoczącymi na wiosennym wicherze sztandarami ruszyła na wschód ku Wiśle, by tam zetrzeć się ze sławnym w całej Europie szwedzkim królem-wojownikiem.

Piotr Sulicki z wolontarzami pociągnął pod wodzą hetmana Stanisława Koniecpolskiego przez Starogard w kierunku Wisły, daremnie więc Barbara co dzień wypatrywała z piaszczystych wydm, czy ukochany nie płynie po nią przez Małe Morze. Od Wielkiego Czwartku, w który pożegnał ją Jówa, minęły już trzy tygodnie, a ona wciąż snuła się po bezludziu, nie spotykając żywej duszy.

Wróciła w tym czasie do zdrowia. Po Wielkanocy, gdy wyszła pierwszy raz na Mały Strąd, ujrzała w dali pod Puckiem okręty wodnej armaty, o których powiadał jej szyper. Niebawem jednak marynarze podnieśli białe żagle. Odpłynęli Depką na Bałtyk i korabie zniknęły jej z oczu.

Dawno ucichły armaty. Zapanował wielki spokój. Dymienikówna siadywała na rozgrzanym piachu wydm wpatrzona w zalaną słońcem zatokę. Bieliły się na niej łabędzie, a na Suchych Rewach czerniały kormorany. Lekki plusk fal Wiku i monotony poszum grzywaczy na Wielkim Strądzie wtórował jej myślom, w których lęk o życie najmilszego przeplatał się z nadzieją.

— Gdzie też może być mój ukochany? Gdzie bracia? Czemu Jówa nie wraca? Czy wszyscy padli w bitwie

o Puck?... Ale szyper popłynął tam, przecie już po zwycięstwie...

Patrzała na pokrzykujące mewy, na chmary wiosennego ptactwa, które przelatywało wzdłuż, helskich wysp wędrując na wschód. Wyciągnęła ku nim ręce, jakby od nich chciała się dowiedzieć, co się dzieje na lądzie, czy sulicki panicz jeszcze żyje, dlaczego nie przybywa po nią żadne czółno?

Czuła się samotna, zdawało się jej, że cały świat wymarł. Przerazały ją puste tonie sięgające aż do dalekiej modrej sylwetki puckiej fary.

— Czy tam wszyscy ludzie ipoginęli? — myślała dziwiąc się, że i rybackich łodzi nie widać. Przecie o tej porze ipowinni już wypływać na połowy. Młodzi poszli do piechoty albo do królewskiej floty, ale starzy chyba wró-

ciii już do checz? Czemu więc mie łowią? Czyżby Szwed poniszczył im sieci i popalił albo zagrabił wszystkie czółna?

Takie myśli trapiły ją całymi dniami. Starła się też na własną rękę wydostać z bezludnego ostrowu. Kilka razy podchodziła do Szerokiej Depki, by sprawdzić Czy się jej uda przejść na następną wyspę. Zawsze jednak musiała zawracać do wraku. Przerwa okazywała się zbyt głęboka. Na domiar złego powoli wyczerpywała się żywność. Dziewczyna szukała szprotów lub śledzi wyrzuconych przez falę na zolaj i na tę przynętę, tak jak to dawniej robił Jówa, chwytła mewy. Kłopot był też z wodą do picia. Jeśli deszcz nie padał przez kilka dni, musiała wygrzebywać w strądzie dziurę, w której się zbierała woda

o wiele mniej gorzka niż czerpana bezpośrednio z morza.

— Wszyscy o mnie zapomnieli — narzekała w duchu.

Któregoś ranka wyszedłszy na gładką zatokę spostrzegła sunącą wzdłuż brzegu flotyllę łodzi. Naliczyła ich dziesięć. Zrazu przestraszyła się, że to Szwedzi, i uciekła między wydmy. Stamtąd, z ukrycia, śledziła zbliżające się szalupy. Serce biło jej gwałtownie. W miarę jednak jak czołna się zbliżały, przychodziło jej do głowy, że może to polskie wojsko albo może też cała jastarnicka maszoperia po nią płynie.

— Jówa obiecał przecie... — przypomniła sobie słowa szypra i wybiegła na strąd.

Wszystkie szalupy stanęły właśnie jak na rozkaz. Żeglarze podnieśli wiosła, by z nich ociekła woda, a jedna z łodzi odłączyła się od flotylli i dobiła do brzegu. Siedzieli w niej wodni żołnierze i uzbrojeni rybacy.

— Na Boga żywego — krzyknął pierwszy z załogi wyskakując na brzeg. — Kto tu się tuła po tym bezludziu?

Podszedł do dziewczyny, której wzruszenie odebrało na kilka chwil mowę. Pomyślał przeto, że może jakąś Niemkę czy Szwedkę z rozbitego statku wyrzuciły fale na te piaski i zapytał po niemiecku:

— Ktoś ty? Jakoś tu trafiła?

Tymczasem otoczyli ją morscy piechurzy i rybitwi. Barbara powoli odzyskała zdolność mówienia. Ocierając dłonią łzy toczące się z oczu powiedziała o swych przeżyciach.

— Patrzałam pod słońce, aż sobie oczy do cna prawie wypatrzałam — skarżyła się. — Nikt zaś mnie przybywał. Powiedzcie: zali żyje mój narzeczony? Czy Jówa doszedł do Pucka? Nie zginął po drodze?

— Jówa żyw — odparł Detlof z Gnieźdżewa, dowodzący wyprawą. — Mówił mi stary Fabisz, że widział go pod Wodną Bramą.

— A mój narzeczony?

Kaszuba ‘Spojrzał na jej twarz spaloną na brąz przez wiosenne słońce i zmieszał się (pod spojrzeniem jej błękitnych oczu błyszczących wśród długich, aksamitnych rzęs.

— Bóg raczy wiedzieć, czemu tu po ciebie nie przyplynał — wzruszył ramionami.

— Słyszałem — wtrącił drugi — jak stołem prosił kogoś, bodaj czy nie Fabisza, żeby cię stąd zabrał. Ale jak to we wojnie! Jednego los tu rzuci, drugiego tam... Jówa zamustrował na “Świętego Jerzego”...

— A Fabisz pono zachorzał — dodał trzeci z wioślarzy. — Kapelan dał mu ostatnie namaszczenie.

— Jako się zwał twój narzeczony? — zagadnął znów Detlof.

— Sulicki, Piotr Sulicki — odpowiedziała patrząc uważnie na otaczających ją chłopów. — Może kto z was go znał? Jest komendantem kaszubskich wolontarzy. To on pogromił Szwedów pod Starzynem. Walczyło tam pod jego komendą wielu kmieci i maszopów...

— My zaciągnęli się dopiero, jak kajpitan Appelmam ze swoją piechotą na Gnieźdzewskiej stanął Górze — wyjaśnił gnieźdzewianin. — Ale o Sulickim powiadał mi niemało sołtys Pomieczyski. Miał ci on ze swoim oddziałem doszłusować do chorągwi dragońskiej nieboszczyka rotmistrza Falińskiego.

— To wiem, jeno nie mam pojęcia, co się potem z nim stało?

— I ja nie wiem. Oni walczyli pod Rybacką, a my pod Młyńską Bramą. Tyle ci jeno powiem, że hetman po zwycięstwie ruszył z wojskiem na zachód. Może i on z nim pociągnął, jeśli nie poległ, tak jak wielu inszych żołnierzy.

Zalała się łzami.

— Nie płacz — pocieszył ją tein, który poprzednio mó-

wił o chorobie Fabisza. — Przecie imię twego narzeczonego zbyt już było głośne, by śmierć jego mogła przejść niepostrzeżenie.

— Najlepiej niech się panienka o to zapyta obersztera Lanckorooskiego, któremu jegomość hetman (powierzył był obronę wybrzeża — (poradził smukły czarnowłosy żołnierz patrzący ze współczuciem na zapłakaną.

— Kędy go szukać?

— Kwaterą stoi w Pucku. Stamtąd wysłał nas na lustrację tych wysp. Mamy wybadać, czy tu gdzie się Szwe- dy nie zagnieździły.

— W Jastarni nie najdziecie żywej duszy, bo tam tylko kominy sterczą — odparła i zapytała smagłego rozmówcę: — Waćpan to jakoś inaczej mówi niż nasi ludzie.

— Nie dziwota — uśmiechnął się. — Przybyłem w te strony na galarze Wisłą spod Sandomierza. W Gdańsku zaciągnąłem się pospołu z mym kamratem Dudkiem do wojska. Werbownicy obiecywali,

iz w wodnej służyć będą armacie. Zaokrętowano mnie także na jedną z królewskich naw. Ale dowiozła mnie ona jeno pod Puck. Nie

> okręt-nikiem, lecz piechuremostałem.

I — Nie tobie, Szymek, jednemu tako się przygodziło — powiedział Detlof.

I — Wszelako wszetce jastarnicy, karwianie, chłopowia- nie i wielżony do floty się dostali — mruknął któryś z jego towarzyszy. — Poszczęściło się także rewianom i wielu flisom. Jeno nam czekać kazano, póki król jegomość nowych naw nie zbuduje.

Barbara nie bardzo już tych rozmów słuchała. Zapatrzyła się w strądowny piach i myślała, czy u Lanckoroń- skiego dowie się, gdzie szukać Piotra, czy też czekać ją tam będzie żalobna wieść o jego śmierci?

Zwróciła się do Detlofa.

— Zabierzcie mnie do Pucka?

! — Zabierzemy — zgodził się — ale w powrotnej dro

dze. Wpierw popłyniemy pod sam cypel. Tam chyba w Helu siedzą jeszcze Szwedy. Może przyjsć do strzelaniny.

— Jako żywo — przytaknął czarnowłosy Szymon. — Bez walki się pewnie nie obędzie! Tedy lepiej, że panienka tu w przepiecznym miejscu na nasz powrót zaczeka.

Przystała na to.

— Bóg was prowadź — zegnała ich, gdy wsiedli do szalup i roz- słomecznioną, równą jak stół gładą powiosło- wali ku zgliszczom Jastarni. — A wracajcież z tej pław- by cało, zdrowo i rychło! Nie zahaczcie o mnie pustelnicy nieszczęsnej!

— Nie zahaczmy — odkrzyknął sandomierzanin siedzący przy rudlu ostatniej szalupy. — Wrócimy przed wieczorem!

I zanucił wesoło, rozochocony ipogodą, a może też spotkaniem z urodziwą pustelnicą:

Krakowiaczek jeden, miał koników siedem, pojechał na wojnę, ostał mu się jeden...

Pogoda nie trwała długo. Powiał z południowego zachodu wiatr. Obłoki zakryły ibłękit nieba, pochłoneły promienie słońca. Zaczął padać deszcz. Na Wiku rozśnieżyły się grzywacze. Mimo to Barbara przez cały dzień stała na strądzie. Patrząc w stronę Jastarni na pieniającą się zatokę z niepokojem oczekiwała powrotu wojaków. Ogarniała ją coraz większa niecierpliwość.

— Oby jeno Szwedy ich nie wystrzelali — szeptała trwożnie nasłuchując, czy z dali nie dobiegają odgłosy muszkietowej palby.

O zmroku zrezygnowana i smutna zawróciła do wraku, by przy ogniu wysuszyć przemoczone samodiałowe szatki i ujrzała flotyllę czółen kołyszającą się na Wielkim Morzu. Dobili do brzegu. Z pierwszej szalupy wyskoczył Detlof.

— Wypatrywałam was na Wiku, a wyście tędy przyплыnęli! — zawołała.

— Ruszył wiatr — odparł. — Przez to dawną drogą nie mogli my wrócić. Trza było opłynąć cypel. Na Bałtyku za wydmami łacniej tu po cichej wodzie dowiosło- waliśmy.

— Lękałam się już, że was Szwedy zagarnęli.

— Strzelali do nas z Helu, spod blizy — odparł Szymek. — Ale chłop strzela, Bóg kule nosi! Krom kilku dziur w niebie niczego złego juchy nie uczyniły.

Detlof przerwał tę gawędę, bo noc *się zbliżała. Wniósł dziewczynę do łodzi i odbili od plaży.

Oślonięci wydmami od podmuchów wiatru dopłynęli,

trzymając się tuż przy brzegu, do Szerokiej Depki. Tu uderzył na nich gwałtowny wicher wiejący od Wiku, a rwący prąd chciał ich unieść daleko w morze. Zgięli się nad wiosłami rybacy, chłopci, flisowie. Zaciekle walczyli i z nurtem i wiejbą, wiedząc że w tym właśnie miejscu ważą się ich losy. Kiedy wreszcie powiodło im się sforsować przerwę, odetchnęli i otarli z czół krople potu.

Na zatoce łatwiej już było im wiosłować. Wiatr podarł na strzępy chmury powlekające niebo. Na południowym I wschodzie zabłysnął nad morzem księżyc.

— Z głodu we mnie flaki skrzeczą — narzekał Szymon. — Ślinka mi leci na myśl, jaka wieczerza czeka na nas w zamkowym cekhauzie. Wołu zjem z kopytami!

— Do Pucka się nie dostaniemy — pokręcił głową, gnieźdzewski gbur. — Pod ten krajowy wiatr nie damy rady dopłynąć do Wodnej Bramy.

(Dobili po długiej mordędze do sfrądu naprzeciwno

Wielkiej Wsi, gdzie osmalone kominy zgorzałych chat wi- I dmowo czerniały w zielonkawej poświacie miesiąca. Wio- ' ślarze wciągnęli czółna na brzeg i stanęli koło nich za- [frasowaną gromadą.

— Wielżony nie wróciły jeszcze na zgliszcza —' zasępił

i się Detlof i szczelniej, podobnie jak jego kamraci, otulił

się w kabat, 'bo skoro tylko przestał wiosłować, dał mu się we znaki nocny chłód.

— Zimno — szczęknął zębami młody flisak.

Odechciało mu się żartów i śpiewek. Widok wsi spalonej do fundamentów przygnębił również

innych żołnierzy, nękanych przez ziąb i głód.

— Niczego tu nie wystoiemy — burknął jeden z nich. — Pójdźwa, bracia, do Pucka.

— Do Poczernina bliżej — odparł gnieźdźewianin. — Wieta, dresze, co? Na wiedźma tego sprzedawczyka Po-

czernickiego i zapuścimy żurawia do jego zasobnej spiżarni. Przyjmował Szwedów w gościnę, może i nam ucztę wyprawić.

Z ochotą przyjęli tę propozycję. Ruszyli przez pogorzel wioski. Tam, gdzie wiejska droga łączyła się z gościńcem wiodącym ku Swarzewu, pożegnała ich Barbara. Czuli, że zanoszą się na burzę, a że dotychczas przygody

czepiały się jej jak muchy smoły, wołała uniknąć nowych niebezpieczeństw.

— Pójdę do mej wujny Selinki, co mieszka w checzy za Rybacką Bramą — powiedziała i raz jeszcze podziękowawszy wojakom zoczyła na lewo.

Swarzewska droga, twarda i dobrze widoczna w jasnym świetle księżyca, szybko doprowadziła ją do wsi. Przechodząc koło kościoła, Domienikówna klękała u zamkniętych drzwi i pomodliła się, by Cudowna Panna kierowała jej krokami. Potem podążyła dalej. Strzępy chmur co chwila przesłaniały miesiąc pograżając świat w ciemnościach. W takiej właśnie mrocznej chwili koło kapliczki za Swarzewem zagroził jej drogę jakiś cień.

— Wszelki duch — jęknęła i przeżegnała się odskakując w tył.

Nieznajomy również się przeraził.

— W imię Boga imów: ktoś ty? — krzyknął i sięgnął do boku po szablę. — Żywaś czy martwa?

— Bóg mnie dotychczas od śmierci uchronił — odpowiedziała mu spokojniej.

Księżyc znów (przedarł się przez obłoki. W jego blasku dojrzała przed sobą szlachcica w zabłoconych butach

i podkasanej delii. Obcy patrzył na nią wybałuszonymi oczyma. Językiem przesunął po grubych wargach.

— Specjał — mruknął, a zbliżywszy się do dziewczyny wykrzywił czerwoną twarz szkaradnym grymasem uśmiechu, wyciągnął rękę i spróbował uszczyplić Barbarę w policzek.

Odskoczyła jak oparzona. Zdołał ją wszakże pochwycić za ramię.

— Idźże, waópan, swoją drogą! — zaczęła błagać.

— Coś mi się, sikoreczko, zdaje, że nam dziś wspólna wypadnie droga — zaśmiał się szyderczo.

— Nie byłbym kawalerem, jak się patrzy, gdybym dozwolił, iżby taka cudna dziewczka sama jedna po nocy się tułała! Zapraszam cię tedy na nocleg do mego dworu w Poczerninie.

— Panno Swarzewska! — wyszeptała pojmując, że popadła w ręce imć Poczernickiego, szwedzkiego słuźalca.

— Panna pannie nie pomoże — drwił «sprzedawczyk. — Klnę się na mój klejnot, że mi się panną inie wyślizniesz. Chyba, że chcesz nieboszczką ostać? Masz wóz i przewóz — trzasnął szablą. — Powiadaj: pójdiesz dobro

wolnie do Poczernina czy wolisz pomnożyć grono świętych panien męczenniczek?

Domienikówna pamiętała, że do poczernickiego dworu wybrali się polscy żołnierze, przestała się więc szamotać

i zgodziła się towarzyszyć szlachcicowi.

— Skąd waćpan tak późno ipiechotą wraca? — zapytała niby to już pogodzona z losem, kiedy minęli Swarzewo i weszli na szeroki poczernicki gościniec.

— Kiedy padł Puck, odwiozłem mych rodzieieli do spokrewnionej z nami familii dziedzica Mirachowa — odparł zdziwiony zmianą w jej zachowaniu. — Tu mogłoby ich co złego spotkać!

— Czegoś się waćpan lękał? — udała zdumienie. — Toć Szwedów pobito, a nasi nikomu pocziwemu krzywdy nie uczynią.

— O przygodę złą nigdy nie trudno — burknął wymijająco. — Ot i dziś wracałem z Mirachowa przez Puckie Błota, ugrzązłem w jakimś mokradle, straciłem moją ulubioną klacz i sam ledwie żywot ocalałem.

Rozgadał się, wesół, że niebawem znajdzie się w domu, którego kontury czerniały już w dali w promieniach księżycowych.

— Kłąłem w żywy kamień, że mi per pedes drałować przyszło, wždy teraz tego nie żałuję — ciągnął. — Opłaciła mi się droga, bom przecie ciebie, ‘Sikorko, spotkał! Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

— Nie zawsze tak bywa. Zło, które człek bliźniemu wyrządzi, mści się na nim i jego potomkach do siódmego pokolenia.

Spojrzał na nią krzywo.

— Jeno z tej beczki nie zaczynaj! Kaznodziejów i mnichów zgoła nie mam w cenie.

Wtem buchła z poczernickiego dworu chmura dymu, a po chwili niebo zaróżowiła łuna niedalekiego pożaru. Folwarczne zabudowania stanęły w ogniu.

— Do stu biesów! — krzyknął dziedzic. — Poczernino gore! Mój folwark!

Domienikówna stanęła na drodze. Poczernicki zaczął ją poganiać.

— Prędeż!

Spieszno mu było do płonącego dworu. Dziewczyna też się nie ociągała. Pragnęła bowiem jeszcze zastać we wsi

owych żołnierzy z morskiej piechoty i wydostać się przy ich pomocy z niewoli. Ruszyli niemal pędem.

— Musiało tam chyba dojść do jakiejś bitwy, że się dwór zapalił — myślała.

Byli już blisko pierwszych chat, gdy od strony dworu nadbiegł gruby człowiek z gołą szablą w ręce. Przystanął na widok idących, gotów do obrony. Poczernicki poznał swego ekonoma.

— Co się stało, Marcin? — zapytał.

Zbieg dyszał jak kowalski miech. Z początku nie mógł wycharczeć jednego słowa. Dopiero ochłonawszy nieco, wybełkotał:

— Napadli nas!

— Kto? — huknął szlachcic.

— ■ Jacyś polscy piechurzy! Jak zgłodniałe wilki wpadli do dworu. Chcieli «spizarnię splądrować! Naprzód po prawdzie żądali, bym wiwendy 'im dał. Wszelako gdym odmówił, zaczęli gwałtem brać. Doszło do utarczki koło obór! Zająły się strzechy. Ledwie udało się unieść głowę z pogromu.

— Zapłacą za to, kiedy jego królewska mość Gustaw Adolf nadciągnie w te okolice! Ze skóry grasantów obedrzeć, na pal powbijać każę!

Łuna rosła. Na tle czerwonego nieba czerniały wysokie drzewa rosnące dokoła, gorzejącego dworu, stajni, chlewów i obór. Ryk bydła, krzyki ludzi wyprowadzających z zabudowań szalejące konie, splątały się z trzaskiem płomieni.

— Tylem się nazabiegał, iżby tę majątność mą ocalić — zzymał się dziedzic. — Sythonowi posłałem był dwa antałki węgrzyna. Oberszterowi Hornowi darowałem wierzchowca zacnej krwi. I wszystko na nic się zdało! Przekłęci Zygmunтови gejmani w perzynę dwór mój obrócili!

Przestraszony ekonom pociągnął go za rękaw.

— Uchodźmy stąd, ipaniczu — zaczął nalegać. — Nic tutaj nie wystoim! Chyba to, że nas ułapią i rozsiekają. Okrutnie zajadli na waszą rodzinę. Judaszowym rodem zwać się was poważyli! Spieszmy póki czas, u którego z sąsiadów schronienia i ipomocy szukać.

— Judaszowym rodem — sapnął Poczernicki.

Raz jeszcze spojrzął na czerwoną łunę i ruszył ku Leś- niewu ciągnąc za sobą Barbarę.

— Oby ci lanckorońscy grasanci jutra nie doczekali — mamrotał po drodze bluzgając co chwila przekleństwem.

Zamierzał zrazu zatrzymać się w Leśniewie u swego druha — zdrajcy, ale dziedzic Leśniewa, krewniak owego szlachcica z Warblina, dawno uciekł z folwarku, a jego poddani zaciągnęli się pod komendę pana Lanckorońskie- go. Poczernicki więc, nie znalazłszy schronienia w opustoszałym dworze, skierował się wraz z ekonomem i branką przez Bielawską Puszcę do Krokowa.

Nad ranem dotarli do celu. Szlachcic ujrzawszy wieżę

i wały krokowskiego zamku odetchnął z ulgą.

— Tu będziem bezpieczni — rzekł do ekonoma, po czym uważniej przyjrzał się swojej brance i stwierdził, że jest jeszcze bardziej urodziwa niż przypuszczał, kiedy zobaczył ją na gościńcu w księżycowej poświacie.

Pogładził wąsy. Przesunął językiem po grubych wargach.

— Pogruchaimy sobie, gołąbeczko, pogruchamy w kom- natce zacisznej!

Miskówna zadrżała. Pojęła, że skoro nie udało się jej uciec podczas drogi, to tym trudniej będzie się wyrwać z tej warowni otoczonej wysokimi dębami i klonami. Z czarnych gałęzi drzew zerwała się właśnie chmara wron. Ptaki latając nad fosą krakały przeraźliwie.

— Spuście most — krzyknął dziedzic Poczernina stanąwszy naprzeciw bramy.

Na wale pojawili się strażnicy.

— Jegomość Hernest zakazał wpuszczać kogokolwiek obcego — odpowiedzieli.

— Obcego? — oburzył się szlachcic.— Nie poznajecie mnie, chamy? Powiadomcie dziedzica, żeście kazali czekać jego druhowi pod bramą, a ochłostać was każe na snopkach!

Odgłosy sprzeczki przywabiły na wał nową postać: wąż- sacza w szafranowym żupanie.

— Jezus, Maryja! — wyszeptała Barbara.

Poznała Bartosza Sulickiego. I on ją poznał. Kazał natychmiast spuścić most, a kiedy przybysze we/pchnęli dziewczynę na dziedziniec, polecił pachołkom zawlec ją do swojej komnaty. Służalcy podbiegli do Ka&zubki, chwycili

ją za ręce i zaczęli ciągnąć opierającą się ku drzwiom w lewym skrzydle zaimkowym.

— Jakim prawem? — ryknął poczemicki dziedzic zastępując im drogę.

— Prawem pomsty! — nachmtyrzył się Bartosz.

— To moja zdobycz! Mój łup!

— Mylisz się, panie bracie! Nie tobie jeno śmierci los ją przypisał.

— Nie wywiedziesz mnie w pole.

— Hańbę ściągnęła na nasz ród! Brata mego na manowce zwiódła. Odstąp tedy po dobroci, bo...

— Bo co? — Poczernicki położył rękę na rękojeści szabli.

Bartoszowe oczy błysnęły groźnie spod gęstych brwi.

— Siłą cię do tego przymuszę!

— Grozić śmiesz?! — wrzasnął dziedzic Poczernina

i wyrwał szablę z pochwy. — Mnie? Dawaj pole!

Sulicki zasłonił się klingą i odskoczył ku zamkowi, z którego wybiegło kilku szlachciców z Janem z Kłanina na czele.

— Bić się chcecie?! — wołał z dala. Pan Hernest zakazał pojedynków na dziedzińcu.

— Ergo chodźmy za staw! — huknął Poczernicki. — Dalej! Niech szable spór nasz rozstrzygną!

— Co nagle to ipo diable — mitygował Jan poważnie-nych. — O ^eo wam poszło?

Wyjaśnili mu po. krotce. Na próżno usiłował ich pogodzić. Żaden nie chciał ustąpić. Przystali jeno na to, żeby “jabłko niezgody”, czyli piękną brankę powierzyć pieczy pana Jana, który -miał po pojedynku oddać ją zwycięzcy.

— Naznaczcie termin — rzekł Jan.

— O szóstej przed wieczorem — odipowiedział Bartosz. — Tp moja najszcześniejsza godzina.

— Tym razem nieszczęśliwą będzie — warknął przeciwnik.

— Nie mów hop, póki nie przeskoczysz!

— Nie takich jak waść posyłałem do diabła!

— Bacz byś dzisiaj w ich ślady nie ruszył! Nosił wilk razy kilka, poniosą i wilka.

— Zdaliście się na sąd szabel, tedy nie walczcie na języki! — zgromił ich kłanicki dziedzic.

Rozeszli się. On zaś kazał Barbarze, która wyglądała

jak niewinna dusza wyrwana z rąk szatanów, iść przed sobą i poprowadził ją przez długie korytarze do komnaty zajmowanej przez poślubioną mu w tym roku Annę z Bożego Pola.

Kiedy minęli próg, okazało się, że pani Anna śpi jeszcze wśród piernatów bielejących w ciemnej alkowie. Jan odsunął fałdzistą firankę, zbudził żonę i po cichu opowiedział jej, co zaszło. Anna podniosła rozczochraną głowę, ziewnęła, przetarła dłońmi zaspane oczy, a wreszcie dźwignąwszy się z łóżnicy zaczęła ubierać.

Kłanicki pomógł zesnurować fiszlinowy gorset, ciasno opinający jej pełne kształty, usłudnie otworzył szafę. Strojnisia przymierzała jedną suknię po drugiej, nim po długich grymasach zdecydowała się na którąś z nich. Potem otarła twarz wilgotnym ręcznikiem, przyczesła żółtawe włosy przed zwierciadłem, sięgnęła po klejnoty, pudry i pachnidła.

— Pospiesz się iserce moje — prosił młody małżonek. — Pospiesz się, bo zaraz do stołu podadzą, a jegomość Hernest nie lubi, kiedy się kto z gości spóźnia na śniadanie.

Na dziewczynę stojącą w kącie nie zwracali uwagi, gdy jednak opuścili po ukończeniu toalety komnatę, Jan nie zapomniał przekręcić klucza w zamku drzwi. Barbara zostawszy sama, rozejrzała się po swym nowym więzieniu. Aby się czymś zająć i odegnać smutne myśli, posłała łóżko w alkowie, powiesiła leżące na zydlach i skrzyni szaty. Zamykając gdańską szafę zauważyła, że na jej gzymśie coś błysnęło. Wspięła *się na palce i zdjęła z al- marii mosiężny klucz.

;— Może pasuje do tych drzwi? — przeszło jej przez myśl. — Trzeba spróbować!

Pasował! Mocniej zabiło jej serce. Ale oto usłyszała zbliżające się kroki, szybko więc odłożyła klucz na dawne miejsce i siadła na skrzyni jak trusia.

— Mają dwa klucze — pomyślała. — Jeden on, drugi ona i kiedy razem 'wychodzą, pani Anna zostawia swój na szafie. Dobrze, że to odkryła...

Skrzypnęły zawiasy. W drzwiach ukazał się sługa z dymiącą misą. Zbliżając się do stołu palcami wyciągnął z zupy kawał baraniny, by połknąć go jak bocian żabę. Potem postawił misę, otarł usta wierzchem dłoni i wy

r \

szedł bez słowa. Barbara nie miała apetytu, z rozsądku jednak zjadła do ostatniej łyżki, co jej przyniesiono. Za drzwiami wciąż słychać było gwar, nie -miała więc sposobności skorzystać z klucza.

Krótko przed obiadem wrócił pan Jan z małżonką. Pani Anna zaraz zaczęła krygować się przed zwierciadłem. Zerkając spod oka na Domienikównę wdzięczyła się do męża. Pudrowała twarz, poprawiała czepiec dziany perłami, obciągała pulchnymi rękami aksamit sukni.

— Zali ona doprawdy taka urodziwa jak przy stole dziś gadał pan z Poczernina? — dopytywała

się donośnym szeptem. — Piękniejsza niż ja? Powiadaj, panie mężu!

— Dla mnie tyś, serce moje, najpiękniejsza — zapewniał ją znudzonym głosem młody żonkoś.

Niebawem znów odeszli, Barbarze przyniesiono zaś południowy posiłek.

Tym razem zatroskana o swój los, nie tknęła jedzenia, tylko siadłszy przy oknie patrzyła przez oprawne w ołów szybki na zamkowy dziedziniec, armaty na wałach i czarne dęby nad stawem, który niegdyś ocalił jej ukochanego. Nad koronami drzew i dachami folwarku latały wrony. Cienie ich przemykały po murach i ziemi. Uwięzionej zaczęły się kleić ipowieki. Zmęczona długą nocną drogą oparła głowę na rękach i zasnęła.

Gdy się przebudziła, do izby wpadał smugami różowy blask wieczoru, przed lustrem znów stała pani Anna. Poprawiała pilnie swą urodę, czerniła brwi, bieliła lica, ozdabiała szyję i uszy migotliwymi klejnotami. Jan sterczał koło niej jak sztyldwach na warcie, podawał jej słoiki, szkatułki, pachnidła.

— Jako mniemasz, panie mężu — szczebiotała szlachcianka — kto zwycięży?

— Pan z Poczernina sławny rębacz — odpowiedział — ale z Bartosza także nie lada mistrz w krzyżowej sztuce.

— Mają się też o co bić! — wzruszyła pogardliwie ramionami.

— Pospiesz się duszko bo do szóstej niedaleko. O, imć Hernest z małżonką i paniczami idą już ku bramie.

— Jużem i ja gotowa!

— Pójdźmyż tedy.

Pani Anna raz jeszcze spojrzała w lustro i wyszli z komnaty. W drzwiach znowu zaskrzypiał klucz. Barbara

co tchu wyrzała przez okno. Przez dziedziniec szli pa* chołkowie, panowie szlachta i strojne damy. Podniecone ciekawością spieszyły na krwawe widowisko jak na festyn jakowy. Patrzącej na nie MiskóWnie przemknęła przez głowę nagła myśl:

— A gdybym tak podążyła za nimi? W tych sukienkach — spojrzała na swe szatki spłowiałe — nie przepuszczą mnie przez bramę, ale...

Nie namyślając się wiele otworzyła szafę, chwyciła pierwszą z brzegu suknię, czepiec, zamszowe trzewiki. Odziała się pospiesznie i kiedy ippo chwili zerknęła do zwierciadła, ledwie się poznała, w lustrzanej tafli ukazała się bowiem jej oczom dama godna palmy pierwszeństwa ^śród flajurodziwszych dworek królewskiego fraucymeru.

Jejmość Anna pękłaby chyba z zazdrości — pomyślała z mimowolną prawdziwie niewieścią

satysfakcją.

Zdjęła z szafy klucz, otworzyła drzwi i zamknawszy je z zewnątrz zbiegła i po schodach do sieni. Nie było tu nikogo. Ostatnie panie zbliżały się w pośpiechu ku bramie. W ślad za nimi przeszła przez most.

— Co to za dama? — zapytał jeden ze strażników. — Piękna jak królowa. Dziw, że jej dotychczas nie spostrzegł na zamku.

A gdy Barbara skręciła w prawo w stronę kościoła, zamiast w lewo za staw, na plac pojedynku, dodał:

— Urodziwa to pani, ale i j pobożna! Idzie do zboru.

— Snadź się pomodlić pragnie za tego, co dziś zginie tam na udeptanej ziemi — mruknął drugi z pachołków

i spojrzął za staw, gdzie dwaj szlachcice zrzucali żupany gotując się do rozprawy.

Miskówna tymczasem zniknęła w cieniu kościoła. Weszła na cmentarz, drugą furtką wydostała się na rozległe pola i pospieszyła brzegiem strugi ku błękitniejącym w dali lasom, w stronę Diabelskiego Kamienia.

— ^ Tam nie odważą się mnie szukać — pocieszała się wiedząc, że nikt się w owo miejsce nocą nie zapuszcza, bo skoro słońce zajdzie, złe duchy gromadzić się mają dokoła głazu, którym podobno lucyfer chciał ongi zniszczyć żarnowiecki klasztor.

Omijając z daleka Łętowice weszła w ciemny, świerkowy bór. Nie zważała, że gałęzie krzewów leśnych szarpiały drogie jej szaty. przedzierała się przez gęstwinę, aż do-

9 — Krwawy sztorm 257

F

szła doliną do Rudnicy, w pobliże ogromnego skalnego złomu (porośłego zielonymi mchami). Przystanąła tu, by ocłpocząć. Przeorysza Knutówna zapewniała ją wprawdzie, że do pobożnych ludzi czart nie ma dostępu, mimo to jednak Barbara czuła się w sąsiedztwie Diabelskiego Kamienia trochę nieswojo. Bór szumiał posepnie. Cienie pnii rosły. Gasły ostatnie światła przedzierające się między strzępiastymi liśćmi.

— Czarna' królowna! — usłyszała iriagle czyjś zdławiony głos.

Drgnęła, obejrzała się w stronę, «skąd ją doszły te słowa, i zobaczyła wśród świerków siwego* przygarbionego chłopca, który żegnał się drżącą ręką. Był to Kur ż Odar-gowa, ojciec dzielnego Andrysa. Odetchnęła poznawszy znajomego. Podbiegła doń przez mchy i zrudziałe igliwie, zawołała radośnie:

— Witajcie, ojcze!

Wytrzeszczył zblakłe oczy.

— Córka nieboszczyka Miszka — zdumiał się. — Tu?

W takich królewskich szatkach? Myślałem, dżeusie, że to ta zaklęta królowna z Zamkowej Góry mi się pokazała! Skąd się tutaj wzięłaś?

Barbara przywitawszy serdecznie starucha zaczęła mu opowiadać o ostatnich przejściach.

— Schroniłam się tu, bo lękam się pogoni — wyznała na koniec.

— Nie bój się, moja córo — uspokoił ją. — W Pucku stoją wojska pana Lanckorońskiego. Nasze oddziały kręcą się po okolicy. Zdrajcy siedzą w Krokowie cicho jak myszy w dziurze. Nie ośmielają się wyścibić nosa za wały,

— Wszelako...

— Doprawdy nie maisz się czego obawiać. Bóg radiii

o swej czeladzi. Wyrwał cię przecie z rąk tych krokow- I skich barabaszów i judaszów. U mnie w Odargowie zaś I nic ci się złego nie przytrafi.

Ujął ją za ramię i poprowadził przez Rudnicę do. swojej zagrody. :

— Siedzę sam dorna jeno ze synową — mówił po drodze.

— A synowie? — zapytała.

— Chyba lada dzień wrócą.

— Skąd wiecie?

— Wrócił dziś jeden chłop z Kartoszyna, co razem z nimi ipod komendą twego pana Piotra służywał, póki go w jednej bitwie lutrzy nie ranili.

— Piotra? — przestraszyła się.

Kur pokręcił głową.

— Toć gadam wyraźnie. Tego knopa kartoszyńskiego postrzelili w ramię, a twój Pioter zdrów jak rydz. Był pod Puckiem, potem pociągnął ku Słupskowi...

— A teraz kędy jest?

— Onegdaj był w Czarnem. To takie miasteczko, gdzie do owej bitwy ze Szwedy doszło. Wielu tam głowy położyło, ale paniczowi z Sulie włos nie spadł z głowy. Teraz chyba wnet pokój nastanie, po

takiej nauczcie kęól szwedzki pojmie, że lepiej zmykać za morze nim resztę wojska utraci.

— Ucieknie?

— Obaczysz, że popłynie do Szwecyi, a nasi do domu wrócą. Jeno ich patrzyć.

Powoli zbliżali się do wsi. Nad ich głowami przeleciał bocian. Barbarce przypomniało się, jak to- zeszłego roku z Piotrem przez Żarnowieckie błota szła ku Dębkom.

— Bodaj ziściły się, ojczye Mikołaju, wasze słowa — westchnęła cicho.

Iada, która nastąpiła w Wielki Piątek, trwała aż do świętego Wojciecha. Czasem tylko w południe, gdy słońce nagrzało redzkie mokradła i darżlubskie bory, dmuchnął w tamte strony chłodnawy morski wietrzyk, cichnący jednak zaraz po zachodzie. Korzystając z tego podmuchu królewskie okręty odplynęły wkrótce po puckim zwycięstwie do Gdańska. Flotyllę prowadził “Święty Jerzy”.

— Zaczę flotę mą nasz król jegomość — powiedział do

* bosmana Jówy długonosy flisak Dudek stojący na przednim kasztelu nawy admiraliskiej.

— Zaczę, jeno że małą — odparł stołem.

— To Szwedy mają większą?

— Gwesno. Orlogi u nich liczne i potężne.

— A jam -mniemał, że na całym świecie nie ma większego okrętu niżli ten.

— Boś jeno dotąd wiślane krypy oglądał.

Dudek zaledwie przed kilku tygodniami przybył do Gdańska/ porzucił tam flisactwo i zaciągnął się do Appel- manowej piechoty, w Pucku zaś dowiedziawszy się, że królewscy kapitanowie uzupełniają załogi, zamustrował, podobnie jak wielu oryli, do floty. Dumny był z tego, że on, do niedawna pańszczyźniany chłop tspot Sandomierza, stał się wolnym żołnierzem morskim, że służy nie komu innemu jeno samemu monarsze Rzeczypospolitej. Pilnie się też starał (poznać pod komendą bosmana Jówy okręt- nicze rzemiosło, a że był pojętny i wesoły, kaszubski wielkolud polubił go wkrótce. Opowiadał mu o dalekich pławbaęh, bitwach, przygodach, uczył go cierpliwie. I teraz wskazując ciemną smugę Depki kazał mu dla wprawy wypatrywać drogi, gdy zaś okręty przepływały przesmyk, posłał flisa na bocianie gniazdo.

— Bacz, czy się jaki szwedzki żagiel nie pojawi przed nami — rozkazał. — Po prawdzie cała szwedzka flota jeszcze nie nadplynęła, a te nawy, co tu u nas zimowały, po kapitulacji ipuckiej załogi skryły się do Piławy jak myszy do dziury, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Dudek wykonał {polecenie. Nadaremnie jednak wytrzeszczał oczy. Morze było puste, jakby je wymiótł lekki poobiedni podmuch.

Bez przeszkód flota wpłynęła w gardziel Wisły, zawinęła do portu przy Latarni i przycumowała do wysokich pali. Tu czekała okrętników miła niespodzianka. Oto imć Appelman otrzymaj z rąk królewskich komisarzy nominację na obersztera i -postanowił wyprawić z tej racji ucztę dla swych podkomendnych.

Nim słońce zaszło za gdańskie wieże, (przywieziono z pobliskiej karczmy kilka szalup jadła i trunków. Zastawiono stoły. Nowo mianowany oberszter zasiadł z panami oficerami i komisarzami jego królewskiej mości Zygmunta III w kasztelu, okrętnicza zaś brać jadła i piła na dolnym pokładzie.

Kiedy opróżniono dzbany, stągwie, misy, kilku oryli zagrało na skrzypcach i dudach. Teraz dopiero zaczęła się zabawa na całego. Marynarze zerwali się z ław i beczek. Ruszyli w tany. Kołysały się zapalone latarnie zwisające

na kowanych łańcuchach z belek stropu. Tupotały skorz- nie po deskach pokładu.

Flisacy skakali cygana, maszopi tańczyli gulegutkę, okrętnicy w świetle bywali zwijali się w dziwacznych płasach, których figur nauczyli się w zamorskich tawernach portowych. Dudek z wybałuszonymi ślepiami patrzył ha ich podskoki.

— Takich tańców nie znacie wy taim na łądzie, co? — trącił go w bok bosman Jówa. — Knqpy wywijają nogami czysto , jak ten purtk utopiony pod Rozewiem.

— Jaki purtk? — nie zrozumiał sandomierzanin.

— No diabeł! Nieraz choć wiatru *nie ma, morze się tam kotłuje od jego podwodnych harców.

— Kto go utopił?

Kaszuba pogładził brodę, rozsiadł się wygodnie na zwoju lin i zaczął z całą powagą opowiadać:

— Przy rozewskiej bliżie mieszkał dawnymi czasy jeden pobożny rybak. Miał szczęście w ipołowach, a ludzie tak go szanowali i chwalili, aż .mu sam punkt pozazdrościł. Ciągłe go odwiedzał. Nocami stukał do checzy, a rano jak rybak zaczynał odmawiać modlitwy, to piekielnik przeszkadzał imu, jak tylko mógł. Zaglądał przez okno, zgrzytał zębami, aż mu z pyska ogień szedł. Raz nastąpiła głada. Rybak wypłynął na połów. Wtem dmuchnął wiatr, wydał żagiel. Nim się knop zdążył przeżegnać, już stał przed nim rogaty bies machający jak krowa kosmatym ogonem.

— Daj mi swą duszę! — powiada bies.

— Dam ci — rzecze rybak — ale wpierw pokaż mi swoją moc!

— I co na to czart? — zaciekawiał się flisak.

— Morza ci nie podniosę, bo się woda rozleci na wszystkie strony — rzecze — wszelako mogę rozpędzonego konia zatrzymać za ogon.

— Konia tu nie ma, alé jest mój bot — mówi na to mądry chłoi. — Widzisz tę linę i kotwicę?

Przywiążę cię do niej, skoczysz za burtę, a jak zdołasz przy tym wichrze zatrzymać moją łódź, tedy będę twój. Zgoda?

Bies kiwnął łbem. Kaszuba przywiązał mu łapy do kotwicznych ramion i woła: Skacz! Piekielnik fiknął kopytami, ogonem zimną toń zamieszał i poszedł na dno jak kamień. Wtedy rybak przeżegnał się, przeciął naprężoną

linę i zawrócił czółna do Lisiego Jaru. Od tego czasu jak bies na dnie się szarpie z kotwicą i nogami fika, to aż się morze wzdym[^]. Jo! Sam nieraz widziałem te bałwany.

— A diabła? — zapytał Dudek.

Jówa kiwnął głową.

— A jakże, i diabła widziałem.

— I coś z nim zrobił? Wyrwałś mu <5,gon czy też święconą kredą nakreśliłeś krzyż na twym toporze i łupnąłeś piekielnika w łeb?

■— Ej, nie drwij, knopie, z ipurtka — skarcił go przysłuchujący się gawędzie Dawid Kąkol z Jastarni.

— Jakbyś diabła spotkał, toby ci się odechciało śmiać — oświadczył Jakub Długi.

— I jam się śmiał niegdyś, jak ty — rzekł olbrzym.

— Kędyś go zoczył? — dowiadywali się na wyścigi Rochów Klemens z Piotrowym Józkiem.

— Nad morzem, w Chłapowie — zaczął stołem, ale nie dokończył opowieści, bo nadszedł właśnie z kasztelu logsmat i wezwał Jówę do korrjendanta. Bosman otarł piwną pianę z wąsisk i brody, podźwignął się ze zwoju

i ruszył do kapitańskiej kajuty.

Oto jest ten osiłek, co to zrzucił Szwedom armaty z puckiej dzwonnicy — przedstawił go oberszter koimpanii siedzącej przy suto zastawionym stole.

Panowie komisarze z podziwem spojrzeli na jastarni-ka, a kapitałn Witt zapytał:

— Dawno służycie na okrętach?

— Już za świętej pamięci pana Hernesta Wejhera pływałem do Szwecji z iposiłkami dla naszego miłościwego króla — odparł Kaszuba.

Świece gorejące w srebrnych lichtarzach pośród flasz, mis i pucharów rzucały migotliwy blask na potężną postać olbrzyma, sięgającego głową niemal do pułapu kajuty.

— Tedy równie chyba doświadczony z was okrętnik jak tęgi żołnierz — rzekł kapitan i zwrócił się do swego sąsiada Appelmana z prośbą. — Dajcie mi, drogi ober- iszterze, tego człeka, W mej załodze brak bosmana i kilku dobrych marynarzy.

— Zgoda! — przystał oficer, po czym oświadczył Jó-

wie, że od jutra będzie pływał wraz z jastarnikami jna okręcie “Wodnik” pod komendą kapitana Witta.

Posmutniał kaszubski stołem. Spostrzegł to Appelman

i zapytał o przyczynę.

— Druha tu matm — wyznał jastarnik. — Nie łącno mi się z nim rozstać, bo mi on miły jak \brat rodzony.

— Jako się zwie? — zagadnął oficer.

— Dudek. Flisem był, wodniakiem.

— Tedy niech i ten wodniak «przejdzie na “Wodnika.” — uśmiechnął się pan Appelman. — Zadowolonyś, mości Samsonie?

— Wedle rozkazu! — huknął wielkolud rad z Salomonowego wyroku.

Pozwolono mu wrócić do kamratów. Odszedł, w kasztelu zaś zabrzęczały srebrne tpuhary muzyką wesołej biesiady.

Następnego dnia jastarnicy wraz z Dudkiem przenieśli się na “Wodnika”, a swarzewian odkomenderowano na “Króla Dawida”. Na “Świętym Jerzym” pozostali wielża- nie, chłapowanie i karwianie. Nikomu nie dozwolono próżnować. Okręty bowiem przygotowywano do wyprawy. Puszczarze lustrowali działa, marynarze sprawdzali wszystkie -liny w blokach, żołnierze ładowali proch, pociski, żywność. Spodziewano się, że wkrótce flota wyjdzie w morze. Jakoż któregoś jporanku z kasztelu “Wodnika” padł rozkaz:

— Zdjąć cumy!

Ruszyły królewskie nawy. Za “Wodnikiem” pruł wodę “Król Dawid”, na którym dowodził kapitan Mora, dalej posuwała się “Arka Noego” pod komendą kapitana Magnusa. Załogi stały na oznaczonych stanowiskach. Armaty na dolnych i górnych pokładach gotowe były do strzałów. Dudek jak zwykle nie odstępował bosmana.

— O, widać jakiś ład! — krzyknął w ipewnej chwili. — Czy to Szwecja?

Jówa pokręcił głową.

— To dopiero Hel. Nasz kraj. Do Szwecji daleko. Nim tam dopłyniem, połkniesz niejeden łyk

dymu i gorzkiej wody.

Z dużym pochyłem i zrefowanymi żaglami sunęli coraz dalej w morze.

— Bacz! — zawołał znów oryl. Druga eskadra wypłynęła z Gdańska.

Bosman przytaknął. Było ciepło, choó wietrzno, pluskały fale. Czerwone bandery z białymi orłaimi trzepotały na masztach.

— Będzie bitwa? — dopytywał Dudek.

— Gwesno! — twierdził stołem — iskoro się tylko spotkamy ze szwedzkimi okrętami.

Na razie wszakże na sonej wodzie bieleły jedynie piany grzywaczy, a żagla nie można było nigdzie dostrzec.

— Nie ma Szweda ani na lekarstwo — narzekał sam- domierzanin.

— Szukajcie, a znajdziecie — mruknął Kakol »odchodząc do druhów.

— Gdzie?

— Tam w Piławie — wskazał białe wydmy, widoczne na lewo. — Widzisz ten las «masztów w piławskim porcie?

— Będą tam siedzieć, póki król Gustaw nie nadpłynie z całą swą armatą — mruknął Jówa. — Nie dadzą się wywabić z kryjówki.

Kapitan stojący na kasztelu "Wodnika" doszedł widocznie do tego samego wniosku, bo przygryzł wąsy w bezsilnym gniewie, a gdy nadpłynęła reszta floty, porozumiał się przy pomocy sygnałów z panem Dickma- nem.

Postanowiono się rozłączyć. Witt ze swymi okrętami skierował się na pełne morze, a Dickman popłynął ku brzegom Samibii. Obaj mieli utrudniać szwedzkim transportowcom dowóz do Piławy amunicji i wiwendy.

— Będziemy patrolować i chwytać, co nam w ręce wpadnie — gadał w kubryku Jówa. — Nie spodziewajcie się dużych zysków z tego procederu. Na wielki połów przyjdzie nam poczekać.

Przepowiednia ta spełniła się co do joty. Mijały słoneczne dni kwietniowe, mijały księżycowe noce, a szwedzka flota nie pojawiała się na widnokręgu. Królewscy żeglarze zatrzymali jedynie kilka nieprzyjacielskich stateczków z ładunkiem solonych śledzi i jedyną większą nawę z prochem, kulami, muszkietami. Zdobyte okręty obsadzono polskimi załogami i odprowadzano do Gdańska.

Krótko przed Zielonymi Świątkami, kiedy ruszył silny

nordost, rzucili kotwy za cyplem, na trawersie Helu wyzwolonego już przez wojska ipana

Lanckorońskiego. Przeczekali całą noc. Rano powiał zydwest, kapitan Witt polecił swym okrętom wziąć kurs na północ. Kiedy "Wodnik", "Arka Noego", "Król Dawid" i uzbrojona szkuta minęły czub półwyspu, z bocianiego gniazda rozległ się głos wachtowego:

— Orlogi!

Herman Witt podniósł lunetę, przywołał bosmana.

— Patrzaj — rzekł.

Jówa przyłożył do oka rurę.

— Jo — mruknał. — Orlogi konwojują ładowne statki. Idą ku Piławie.

— Więcej ich niż pół mendla — padł drugi meldunek z bocianiego gniazda.

Wiatr się wznagał. Fala szybko rosła. Nieprzyjacielska flota przestawiła żagle i zboczyła w prawo.

— Chcą mas zejść od wiatru — zauważył kapitan.

— Z tej strony mieliby dobry cel — stwierdził bosman. — Słońce nie raziłoby ich w oczy.

— Nie dopuścimy do tego! — huknął pan Witt i kazał skrócić na południowy wschód.

Przez dwie godziny płynęli równolegle do wroga. Szwedzki admirał pojął snadź, że nie uda mu się przepłynąć przed dziobami polskich naw. Zrozumiał też, że tym kursem nie dotrze do Piławy. Okręty jego zaczęły halsować. Na to tylko czekający Polacy zaczęli bić z dział do nieprzyjaciela. Szwedzi stchórzyli. Ostrzeliwując się z rufowych armat rzucili się do ucieczki.

Kapitan Witt zaś widząc, że działa jego okrętów nie wyrządzają już wrogom większej szkody, zawrócił i korzystając z południowego wiatru ponawigował ku Wielkiej Wsi. Tutaj wysadził na brzeg gońca. Posłał go do Lanckorońskiego z wieścią, że nieprzyjacielska flota pojawiła się na Gdańskiej Zatoce.

O świcie, kiedy wysłannik powrócił, rozwinięto żagle. Wschodnia bryza ipognała okręty ku Rozewiu. Za przylądkiem dostrzegli Szwedów,

— Dwadzieścia cztery orlogi! — wrzasnął Dudek.

— ^ Płyną prawym halsem — dodał Jówa. — Chcą się przedostać na wschód, do Piławy.

— Siła złego na jednego — mruknał kapitan.

Postanowił unikać starcia i dokazał tego śmiałymi manewrami. Uniknął niepotrzebnych strat, wymknął się z pułapki bez krwawej bitwy i podążył ku Kołobrzegowi. Nie wszyscy jego marynarze byli jednak z tego zadowoleni.

— Kiedy wreszcie mój topór powącha luterską krew — narzekał wieczorem zniecierpliwiony sandomierski flisak przewracając się na koi w kubryku “Wodnika”.

— Pomału, tpomału — »pocieszał go bosman. — Jeszcze na to będzie czais.

Eskadra tymczasem podążała na zachód. Cisze morskie sprawiły, że dopiero po siedmiu dniach żeglugi zawinęła do Kołobrzegu. W ujściu Parsęty załatano żagle i uszczelniono pokład “Wodnika” podziurawiony przez nieprzyjacielskie pociski, po czym, gdy tylko wiatr dmuchnął od południowego zachodu, ruszono w powrotną drogę. Przy Rozewiu uwięził ich sztyl.

Twój utopiony diabeł chyba usnął — zażartował Dudek ze stojącego przy nim Kaszuby. — Noc cicha, morze gładkie jak stół...

Trzymali wachtę i czekali na powrót gońca wysłanego do Pucka. Ten wrócił przed północą. Przyniósł wieść, że wróg zablokował ujście Wisły. Zasepił się kapitan. Jówa wszakże był dobrej myśli.

— Nadchodzi szkwań — powiedziań do kapitanat — Ł>n nam pomoje przedrzeń się do portu przez szwedzkie okręty strażnicze. O, juý dmucha od południa!

— Diabeł się budzi — przeżegnał się wesoły zazwyczaj flisak.

— Budź załogę! — rozkazał mu bosman puszczając mimo uszu słowa przyjaciela.

Podnieśli kotwy. W blasku błyskawic, w rosnącym huku grzmotów ipożeglowali wzdłuż półwyspu. Z zachodu uderzył ciepły podmuch i zmusił ich do zwinięcia części żagli. Lunał deszcz. Lecz niedługo trwała ta niepogoda. Skoro minęli cypel, ustała ulewa i wiatr przycichnął.

— Niedobrze — zatroskał się ipan Witt. — Nie wejdziemy tej inocy w ujście Wisły, a rano wróg nas dostrzeże i...

Bosman, patrzący ku wysokim brzegom“ Oksywia, nad którymi przecinały niebiosa dalekie błyski, zaprzeczył:

— Rankiem będziem już za wałami Latarni. Idzie nowa nawałnica.

— Jeno czy dojdzie do nas?

— Dojdzie! Jak aimen w ipacierzu!

Nie omylił się jastarnicki szyper. Wkrótce nadleciał od zachodu pierwszy podmuch sztormu i pognał pana Witto- we nawy ku Gdańskowi. Rozpętały się żywioły. W strugach ulewy, w ciemności rozdzieranej co chwila błyskawicami eskadra szybko posuwała się w stronę zbawczej przystani. Nagły błysk tak jasny, że zaiskrzyły się od niego maszty i wanty, wydarł z ciemności i ukazał oczom polskich marynarzy kołyszący się w ipobliżu trójmasztowiec szwedzki. Nie na darmo jednak przy armatach “Wodnika” *pod górnym pokładem czuwali puszkarze z płonącymi lontami w rękach. Zaryczyały działa. W moment później wybuchły płomienie z armatnich paszczy “Arki Noego” i “Króla

Dawida”.

— Koniec świata! — mamrotał Dudek.

— Do końca świata daleko — poklepał go po ramieniu Rochów Klemens.

— Za to koniec naszej pławby bliski! — krzyknął Jakub Długi.

Blokada została przerwana. W mdłym świetle przedświtu trzy nawy i szkuta, składające się na eskadrę kapitana Witta, minęły blokhauz strzegący Wisłoujścia.

— No, przedarli my się — sapnął Jówa. — Całkiem jak wtedy, kiedyśmy po zdobyciu przez Szwedów Pucka płynęli z tym szlachcicem Piotrem przez Wiłk do Swarzewa. Pamiętacie, dresze?

— Jo! -r- pokiwał siwą głową Dawid Kąkol. — Z paniczem Sulickim. Co też się z nim - teraz dzieje?

Pan Piotr zaś, przygnębiony fałszywą wieścią o śmierci narzeczonej, szukał w tym czasie śmierci. Ta omijała go jednak. Nadaremnie bił się jak szalenciec pod murami Gniewu, gdzie na krótko przed kapitulacją owej nadwiślańskiej warowni padł jego (podkomendny Ustarbowski. Na próżno poszedł z podjazdem pod szanice Kieżmarka, kędy położyło głowy wielu wolontarzy z oddziału Andry- sa Kura. Wychodził cało z najbardziej morderczych bojów. Wolał zresztą te chwile, kiedy troski jego zagłuszał szcęk

oręża i huk dział, niż leniwe życie obozowe. A właśnie po spóźnionej odsieczce, z którą pospieszył pod Kieżmark, nastąpiły dni bezczynności. Nieprzyjaciel oszańcował się wśród mokradeł na prawym brzegu Motławy, Polacy zaś stanęli na lewym brzegu rzeki koło Lubiszewa.

Żołnierze ipatrząc z łagodnych pagórków na szwedzkie obozowisko klęli gdańską piechotę, która skapitulowała w Kieżmarku, sarkali na księcia pruskiego, jako że jego wojska niedawno pod Morągiem bez walki poddały się Szwedom.

— Kruk krukowi oka nie wykolę — mówił porucznik Karpiński do Sulickiego. — Książę Jerzy szwagrem Gusta wowym jest. Nie dziwota, że złożył broń i Gustaw mógł w tryumfie z Prus do Tczewa powrócić.

Piotr, słuchający zrazu obojętnie tych relacji, ożywił się nagle:

— Tedy może przyjdzie wreszcie do walnej rozprawy?

— Wszyscy czekamy jej niecierpliwie.

— Wszelako nikt jej tak dusznie jako ja nie pragnie. Toć połowa sierpnia minęła. Długoż jeszcze będzie tego kunktatorstwa?

— Chyba nie.

Rzeczywiście rankiem dnia siedemnastego sierpnia rozkazano chorągwi dragonów przeprowadzić się na prawy brzeg Motławy.

— Nareszcie! — rzekł dowódca.

Po wąskich groblach przedostali się i przez mokradła. Kiedy dotarli na suchy grunt pod nieprzyjacielski obóz, Gustaw Adolf naprzeciw polskiej jeździe posłał harcowników. Zaświstały szable, zaszczękały rapiery. Konie zaczęły stawać dęba. Jeźdźcy pana Karpińskiego siekli białą bronią na prawo i lewo. Sulicki zaraz przy pierwszym starciu ciał jakiegoś porucznika przez wargę i brodę. Zawrócił ranny Szwed. Chciał uciec, ale Robakowski zajechał mu drogę od tyłu.

— Zginiesz, szołdro! — zagroził wznosząc szablę do ciosu. — Ostatnia twa godzi...

— Pardon -7- krzyknął oficer skrwawionymi ustami

i zachwiał «się w siodle.

Sulicki kazał obradom Rybińskim odprowadzić go do obozu. Potem rzucił się na nowo w wir potyczki. Trup zasłał pole bitwy. Wierzchowce z rozwianymi grzywami,

z pustymi kulbakami biegały po łęgu. Wróg ustępował. Wsparłaby go rajtaria, lecz dostrzegłszy, że przez grosble sypią się już dalsze polskie chorągwie cofnęła się w połowie drogi do obozu. W pościg za nią ruszyli dragoni.

Pan Piotr pędzący na czele pogoni nieostrożnie zapuścił się wraz z Darcem i Żelewskim aż pod same wały, kłując i rąbiąc każdego, kto mu się nawinął. Naraz w ciżbie i wrzawie cięto go w dłoń. Syknął. Błyskawicą błysnęła mu przed oczami szpada. Nie mógł jej odbić, bo szabla wypadła mu ze zdrętwiałej prawicy. Pociemniało mu w oczach. Z przeciętą głową runął z siodła na zdeptane trawy, na ziemię stratowaną, pod wzniesione końskie kopyta.

— Barbaro! — szepnął zbielełymi wargami i stracił przytomność.

— Kiedy ocknął się, leżał na słomie w chłopskiej checzy. W prawym ramieniu i czaszce czuł ból.

— Kędym jest? — mruknął podnosząc głowę z barłogu,

Za oknem usłyszał szwedzką imowę.

— Na pewno imnie tu przywlekli, żeby wziąć na spytki — zasepił się. — Mogą mnie, pludry, ubić, ale nic się ode mnie nie dowiedzą.

Ogarnęło go ogromne znużenie. Tępo spoglądał na wybielone ściany, na małe okienko i niski drewniany pułap. Boleści z każdą chwilą się wzmagaly. Rany mu co prawda opatrzone, ale kiedy tylko się ruszył, zdawało mu się, że głowa pęknie. Spróbował mimo to się podźwignąć. Jęknął. Wtem drzwi zaskrzypiały, zadudniły ciężkie kroki. Zamknął oczy. Ktoś pochylił się nad nim i coś powiedział po szwedzku, pó czym znów wyszedł z chaty.

Ranny żałował, że nie może się dowiedzieć, czyim zwycięstwem zakończyła się bitwa.

— Chyba nie udało się ich wywabić z obozu — myślał — na to zaś, by ich szturmem stamtąd wykurzyć, ma jegomość hetman za mało piechoty.

Tak rozważał, póki znów nie wszedł do izby jakiś Szwed z misą jadła. Zamamrotał coś wskazując łapą na gliniane naczynie i zniknął.

— Nie wzięli chyba wielu jeńców, skoro im tak na mym zdrowiu zależy — rzekł do siebie Sulicki i zabrał się do jedzenia.

Zza okna, od stajni bił zapach końskiej padliny, w sadach na poły spalonej wioski hałasowały szpaki obdzio- bując z gałęzi drzew resztki przejrzałych wisien. Psy ujadły wrywając sobie kości padłych bydła.

Piotr zdołał przełknąć «kilka jeno łyżek żołnierskiej stra-^{*} wy. Mdlilo go. Osunął się znowu na posłanie pół żywy z utrudzenia.

— Nie będziemy z niego mieli pociechy — stwierdziło pilnujące go Szwedzisko wróciwszy po miskę. — Śmierć ma wypisaną na czole.

Polak jednak, wbrew tym przewidywaniom, nie umarł

i po kilku dniach wzięto go na (przesłuchy. Stanęli nad jego łóżem dwaj oficerowie.

— Z jakiej jesteś chorągwi? — zapytał łamaną polszczyzną brodaty kapitan rozsiadając się na kulawym stołku.

— Chorągwi... Jestem... — wymamrotał (półprzytomnie Sulicki.

— Ile macie wojska?

— Ile mamy wojska? — zabełkotał znów jeniec.

Rzuciwszy więc kilka bezowocnych pytań kapitan

mruiknął:

— Mówić mówi, ale dogadać się z nim nie sposób. Mało znam ich język. Jutro odeślemy go jego królewskiej mości do Tczewa. Niech go tam przesłuchają.

— Jeśli zaś nie słaby jest, jeno uparty, tedy znajdą na jego upór lekarstwo — rzekł 'drugi z oficerów.

Nazajutrz dwóch gemajnow wyniosło rannego z izby na noszach i położyło go na drabiniastym wozie pełnym słomy. Jeden siadł przy nim, drugi jechał konno. Piotr leżał zrazu z zamkniętymi oczami.

Udawał, że nie interesuje się, dokąd go wiozą. Jechali kilka pacierzy. Potem koła zaczęły turkotać po nierównym bruku. Podniósł powieki i zobaczył znajomą dzwonnice kościoła Świętego Krzyża

ciemniejszą na chmurnym niebie.

— Trzew — poznał i jednocześnie usłyszał niedaleki grzmot.

— Poganiaj! — krzyknął na towarzysza Szwed jadący konno.

— Muszę zapytać o drogę do kwatery — odparł jego kompan.

— Poganiaj, mówię ci. Burza idzie!

—** A niech idzie — szepnął w duchu jeniec. — Wszystko «mi jedno. Choćby piorun w wóz trząśł, to...

Woźnica zapytał kogoś o droigę i strzelił z bata. Ruszyli spiesznie. Zagrzmiało jeszcze dwa czy trzy razy, coraz bliżej. Naraz rozległ się ogłuszający huk. Błyskawica oślepiła Piotra. Ochłonawszy z przestrawu ujrzał, że na przedzie wozu leży zabity furman. Drugi Szwed zeskoczył z konia i uciekał na oślep przed siebie. Ze słomy buchał płomień.

— A słowo stało się ciałem! — poderwał się szlachcic i zsunął z płonącego wozu, przed którym czerniał zabity koń.

Dym i płomień były dokoła. Wiatr wzdął kurzawę. Zrobiło się ciemno jak w nocy. Błyskawice rozdzierały niebo, grom walił za gromem. Piotr uszedł kilka kroków, przetarł oczy zamroczone dymem. W ciemności i kurza- wicy spostrzegł jakąś uliczkę skracającą w bok. Uciekł więc za węgiew, a że zaczął lać deszcz jak z cebra, postanowił się schronić gdziekolwiek pod dachem. Przy nowym błysku zobaczył drzwi i wszedł nimi do mrocznej sionki niskiego domostwa z pruskiego muru. Z izby dochodziły modlące się głosy.

— Polacy! — odetchnął.

Pomacał rękami po ścianie i tak trafił do kuchni, gdzie przy płonącej gromnicy modliło się przed świętym obrazem troje ludzi: starzec z rzadką siwą brodą oraz dwie kobiety, jedna stara, druga zaś młoda.

— Niech będzie pochwalony — pozdrowił ich.

— Na wieki wieków — odpowiedział stary i dalej przebierał pokurczonymi palcami czarne paciorki różańca.

Przybysz uklęknął i zaczął wraz z nimi odmawiać zdro- waški:

— ...módl się za nami, grzesznymi, teraz i zawsze...

Sierpniowa nawałnica szybko przeszła. Pojaśniało.

— Kto zacz? — stęknął starzec, z trudem podnosząc się z kolan i patrząc spod siwych brwi na przemoczzone szaty i obwiązaną krwawą chustą głowę nieoczekiwanego gościa. *

— Polak i katolik jak wy — zapewnił Sulicki i w krótkich słowach opowiedział o swej przygodzie.

— Prawda to, co waść powiada? — załamała ręce starsza z białogłów.

— Co do słowa!

W kuchni zaipadło ciężkie, pełne napięcia milczenie.

Młodsza zgasiła gromnicę, spojrzała w oczy przybysza.

— Ukryjemy waszmościa — zgodziła się. — Mój chłop kryje się już od roku.

— Trzymaj język za zębami! — zamaimrotał stary bezzębnymi ustami. — Mało to szpiegów się włóczy po ulicach i domostwach?

— O prawdzie tego, com wam rzekł, świadczą moje rany — szlachcic wskazał na obandażowaną rękę i głowę.

— Możesz waść poprzysiąc, żeś wróg Szwedom?

— Tak mi dopomóż Bóg! Wierzysz mi?

— Teraz wierzę — odetchnął stary łyk. — Zaraz ukry- jerp, waćpana, tak że sam bies go nie znajdzie. Poświeć nam, Magdusiu.

Młodsza z kobiet zapaliła ogarek, wzięła lichtarz do ręki i poszła niskim korytarzem. Za nią prowadził jej ojciec słabnącego gościa. Po drabince wleźli na strych. W ciemnym kącie stary odrzucił trochę skorup garncarskich, klęknął, odgarnął śmiecie i rupiecie, a potem zapukał trzy razy w deski. Z dołu odsunął ktoś mały otwór. Magda pochyliła się nad otworem i szepnęła zarośniętemu mężczyźnie, który wyrzwał ze schowka:

— Przyprowadziłam ci, Jadam, towarzysza.

— Kto to? — zapytał z niepokojem ukrywający się.

— Żołnierz króla Zygmunta. Ranny, zbiegł ze szwedzkiej niewoli i trafił do nas.

— Gość w dom, Bóg w dom — odezwał się Jadam. — We dwóch będzie nam różniej w tej mysiej dziurze.

Szlachcic wsunął się do kryjówki. Zakamarek był ciasny: dwa sążnie długi i jeden szeroki. Przez małe okienk* sączyła się wąska smuga światła.

— A wyrzycie przy sposobności obaczyć, co tam sie z wozem i moją eskortą stało — zwrócił się Piotr d-c sędziwego garncarza, gdy ten zamykał drewnianą klapę.

— Dobrze, dobrze — przyobiegał tamten.

— Powiadaj, waćpan, jakoś popadł w łapy tych lutrów — poprosił Jadam. — Siedzę tu jakby w więzieniu, bom podpadł szwedzkiemu komendantowi i gwałtem chciał mnie obwiesić. Mało wiem, co się na bożym świecie dzieje.

Pan Piotr nie poskąpił mu wiadomości. Gadali aż do

zmierzchu, a kiedy z wieży kościoła Świętego Krzyża uderzyły dzwony na wieczorne Ave, zjawił się staruszek z bochenkiem chleba pod pachą i cynową konwią piwa w ręce.

— Z wozu jeno trochę osmalonego drzewa i kupa popiołu ostała — powiadomił szlachcica. — Szwedy mniemają, żeś waść ze szczętem spłonął i nijakiego pościgu

, nie nakazali. Możesz tu w spokojności przeczekać, aż się ta heretycka nawałnica nad miastem naszym przewali.

— Bogu dzięki — ‘Szepnął Sulicki i wrócił do gawędy z zięciem garncarza. — Na czym to my stanęli?

I — Na tym jak ów Jówą zepchnął Szwedom działa

z puckiej dzwonnicy — podpowiedział Jadam.

Przez całe lato, dzień w dzień, pogoda czy niepogoda bosman Jówą ćwiczył marynarzy świeżo zaciągniętych na “Wodnika”, uczył ich szybkiego wypełniania komend, zwijania i rozwijania żagli, wdrażał niedoświadczonych flisaków w tajemnice manewrowania, w kunszt abordażu. Czynił to zaś tym pilniej, że przedstawiono go po przedarciu się przez blokadę królewiczowi Władysławowi, a flota szwedzka grasowała po zatoce i próbowają wysadzać na brzeg desanty.

— Odpiera tych skurczybyków wojsko obersztera Lanc-korońskiego i piechota pana Appelmana — gadał. — Ale spokoju nie będzie, póki my nie przepędzimy Gustawowej armaty z naszych wód. A do takowej rozprawy trza się, bracia, dobrze przysposobić.

Pod jesień załoga na tyle była już wyszkolona, że bosmana można było przenieść na “Króla Dawida”, gdzie marynarze nie nabyli jeszcze dostatecznej wprawy. Zdając służbę Benedyktowi Szewce z Ostrowa, który niedawno przybył z Pucka do Gdańska, poklepał go po ramieniu:

— Ostawiam ci, Bytku, załogę, z którą każdy okręt zdobędziesz. Wiem, że oddaję ją w dobre ręce.

Młody bosman rad był z tej pochwały, bo o wyczynach Jowy nasłuchiwał się niemało jeszcze jako mały chłopak w ciemne wieczory, gdy w blasku łuczywa, co oświetlał izbę jego rodzinnej chęczy, starzy ostrowianie wspominali swego rodaka, który opuścił ich wioskę i pływał z królem przez morza, a potem został szyprem w Jastarni.

— Bóg zapłać za dobre słowo — podziękował z uśmiechem i zagadnął wskazując na długonosego oryła, który z tobołkiem w¹ ręce istał koło drzwi kubryka. — Bierzeta z sobą tego knopa z tą długą

knirą?

— To mój dreh! — odrzekł jastarnik. — I tęgi okręt-
nik. Kiedy insze flisaiki grały w dudy i
tańczyły, on się uczył szplajsów i szycia żagli. Imć Witt przepowiada, że jak się będzie dalej tak
przykładał, tedy z pewnością bosmaństwa się dosłuży.

Dudek wyszczerzył w uśmiechu zęby.

— Wam to będę jeno zawdzięczał.

Wielkolud pogłaskał z zadowoleniem brodę i pożegnał się z Bytkiem.

Na “Królu Dawidzie”, stojącym przy palach tuż za rufą “Wodnika”, przywitał obu marynarzy
bosman Żelk z Wielkiej Wsi, który chlubił się tym, że jest najstarszym okrętnikiem w całej polskiej
flocie. I teraz nie omieszkał

o tym wspomnieć.

— Najstarszyś, ale i na j zwinnie jszy! — przytaknął Jó-
wa. — A w uciesznych fifach nikt cię nie
przewyższy.

— Jo, jj — pokiwał głową wielżon. — Tak to je! Wiz-
dno wszetko w śmiech obracam.
Jegomościowi może nieraz się zdaje, że będę fify i podczas bitwy stroić. Ale to nic. Czeka-
j, pokażę
ci sztukę!

Zadał w bosmańską świstawkę.

— Bramsle rozwinąć! — krzyknął do zbiegających się marynarzy.

Ci jak małpy zaczęli się wspinać po wantach, stary jednak bosman wszystkich wyprzedził, nim
jego marynarze przeszli imarsy, on już zdążył wdrapać się na fokbram-
reję.

— Nie do wiary! — dziwił się Dudek. — Stary jak grzyb, a zwinnie jszy od kota!

Zaszumiały żagle. Wydał je wiatr.

— Na ńmarsreję! — zakomenderował Żelk.

Okrętnicy jeden za drugim jęli zsuwać się po wantach

na niższą reję, wielżon zaś zawisnąwszy stopami na drągu opuścił się głową na dół, chwycił rękami
jakąś linę

I w okamgnieniu stanął na marsrei. W chwilę później, kiedy podmuch znów wydał żagle, Żelk
błyskawicznie się opuścił po forsztagu na dziób statku i zaśmiał się z okręt-
ników, którzy powoli
schodzili po wantach.

— Ty chyba bez trudności i do nieba się wdrapiesz — zażartował Jówa z druha.

Ten zamiast odpowiedzieć zanucił skoczną śpiewkę i w jej takt puścił się w szybki płas z przysiadami. Cała załoga patrzyła na jego podskoki pękając niemal ze śmiechu.

— Żelk już taki umrze — zarechotał Bolda z Chłapowa. — Ale i przy robocie zwija się za siebie i za trzech innych. Dobry człek. Każdy z nas dałby się za 'niege posiekać.

Żartowniś tymczasem zgiął się i zwinął w kłębek i jego koziobroda twarz otoczona rozczochranymi siwymi włosami pojawiła się naraz między nogami.

— To leżenie przy palach Latarni jest dla innie gorsze od śmierci! — krzyknął piskliwie. — Jak mnie wnet morze nie pokołysze, to bywajcie, dresze! Wdrapię się po pajęczynie na księżyc. A tam będę chodził o tak!

Fiknął kozła i zaczął maszerować po pokładzie na rękach machając w powietrzu podniesionymi nogami w żeglarskich skorzniach.

Dudek nie wytrzymał. Parsknął śmiechem.

— Musiała go jakaś małpa zrodzić.

— Co to, to nie — zaprzeczył Jówa. Wždy powiadają, że jego nenka powiła go w poczernickim lesie na wierzchołku najwyższego świerka.

— Jak to się mogło stać? — zapytał flisak.

— W dawnych latach — rozgadał się jastamik — jego o je szyper wielżeńskiej maszoperii napadł ze swoimi maszopami na szwedzki statek, wszelako okrętnicy odparli ich. Tych, co nie zdążyli w czas uciec, powiesili na rejach i podpłynęli pod brzeg, by się pomścić. Wielżanie widząc co się święci, opuścili wieś, ale tamci pognali za nimi. Tedy szyper ze swą białką wdrapali się na wysoki świerk i tam szyprowa z okrutnego strachu porodziła dziecko. Niemowlątko zaraz zaczęło kwilić na wierzchołku drzewa. Szwedzi wzięli to za głos przestrzegającego ich anioła. Przestraszyli się i uciekli co tchu.

— To ci krotchwila — chichotał Dudek. — Tedy niech jeno i teraz nasz Żelk ze szczytu masztu zakwili, a Szwedy nogi za pais wezmą.

— Wezmą za pas nogi, jeśli my się weźmiem tego do roboty — odparł Jówa. — Trza będzie tę załogę poduczyć

rzemiosła okrętniczego, boć służba na morzu to nie krotchwila.

I popatrzył ku przedniemu kasztelowi, gdzie Żelk otoczony gromadą roześmianych marynarzy w dalszym ciągu stroił swe ucieszne figle.

esienne dni 'mijały szybko, drzewa żółkły, chłodny zydost rozwiął pajęczynę 'babiego lata. Zbliżał

się adwent. Śnieg coraz częściej prószył, a pod czarnymi chmurami na stalowym morzu wciąż bieleły się żagle szwedzkich naw, pilnujących by żaden kupiecki okręt nie wypłynął ani nie wpłynął do portu. Komisja okrętowa radziła jak pozbyć się tej plagi. Dowództwo nad flotą powierzono panu Dickmanowi. Ten energicznie zabrał się do dzieła. Rozkaz przychodził za rozkazem. Jednym z nich odkomenderowano Jówę i Dudka na okręt admirałski. W kubryku “Świętego Jerzego” stołem spotkał bosmana Jakuba Otto, starego rewiana, który przez jakiś czas należał do jastarnickiej maszoperii.

— No, Kuba! — zawołał. — Dze to jesme się spotkali?

— Jak wilka do łasa, tak ciągnęło mnie wiedno na morze! — huknął Otto.

— Zwą go tak po ojcu, jako że ten kiedyś zapalił niemiecki okręt o nazwie “Otto” — objaśnił Jówa Duidka, który w pierwszej chwili wziął Jakuba za Niemca. — Tęgi knotp* Obaczysz, jak będzie prał tych ietrów-fokojadów.

— Czy jeno do tego dojdzie? — mruzczał flis gładząc frasobliwie swój długi nos i ocierając go rękawem kaftana.

— Dojdzie, teraz na pewno dojdzie — zapewnił brodaty olbrzym. — Nasz admirał co 'dzień z Latarni przez lunetę poziera na szwedzkie krypy jak kot na szperkę.

I doszło. Dwudziestego szóstego listopada padła upragniona komenda:

— Cumy zdjąć! Rozwijać żagle!

Pierwszy zrzucił cumy “Wodnik”. Marynarze “Świętego Jerzego” wspięli się na reje. Zatrzepotały żaglowe płachty.

— Pognajcie za morze fokojadów! — wołali puszkarze z wałów przy Latami. — Przyprawadźcie ich lepiej tu. Zdadzą nam się ich żółte brody jna pakuły |

Dwa okręty wyszły już w morze.

— Chwytny dno! — krzyknął Jówa, gdy “Święty Jerzy” w ślad za nimi znalazł się w portowym wejściu., — Zydost wypił wodę z Bałtyku, przez to tak tutaj płytko.

Adeoirał Dickman, żeglarz doświadczony, kazał natychmiast spuścić szalupy. Bez zwłoki zaczęto z admirałskiego okrętu ładować na nie kule, beczki »prochu i balast. Robota była długa i żmudna. Przewozili ładunki na brzeg, by ulżyć nawie ciężaru. “Święty Jerzy” miał jednak głębokie zanurzenie i niełatwo było mu spłynąć z mielizny. Tymczasem z morza dochodził huk armat. To dwa okręty, które wyszły na zatokę*, toczyły zacięty ibój z Gustawo- wymi orlogami.

— Gromów biją, a me tu na usechu stoimy — złościł się Jówa zaciskając w rękę swój ciężki topór. — Poczekaj j-ta! Witro nabijemy szwedziny jak fok w pierwszy słoneczny dzen pozimku!

Ściemniło się. Do portu wpłynęła łódź, dobiła do burty “Świętego Jerzego”. Na pokład wdrapał się pan Witt z bosmanem Bytkiem Szewką. Kapitana zaraz poprosił admirał do kasztelu, gdzie już

siedzieli dowódcy pozostałych okrętów.

— Odparli my Szwedów — gadał tymczasem Bytk do znajomych. — Po kilku naszych strzałach zawrócili pod Hel. Pognali do swoich, aż się woda za nimi mrowiła.

— A gdzie wy stoicie? — zapytał Jówa.

— Na redzie zaraz przy wejściu do /portu.

— W nocy, jak tylko uda nam się ściągnąć “Świętego Jerzego”* z łachy, popłyniemy do was.

Stało się, jak Jówa przewidywał. Jeszcze przed świtem “Święty Jerzy” tarasujący przejście spłynął na głębszą wodę. Flota wypłynęła na redę i stanęła na kotwicach. Lekki wiatr z »południowego wschodu ułatwił ponowne załadowanie balastu i amunicji na admirałską nawę.

Dzień przebiegł spokojnie. Dopiero przed wieczorem wypłynął “Król Dawid” na patrol pod Hel

— Szwedów widać — zameldował Żelk z bocianiego gniazda na fokmaszcie.

Kapitan Mora [przyłożył długą lunetę do oczu i zaczął liczyć okręty. Narachował sześć.

— ^ Płyną kursem w zatokę — mruknął do bosmana, który zszedł z masztu na przedni kasztel. — Pod Oksywie.

— Płyną, ale nie dopłyną — uśmiechnął się kpiarsko stary. — Im bliżej są Helu, tym mają słabszy wiatr.

— A to niby czemu?

— O tej porze często tak bywa. Przy mroźnej pogodzie zydost zawsze mocniej dmucha wzdłuż brzegu gdańskiego istrydu. Prąd idzie wtedy brzegiem Wiku i Suchych Rew. Zawraca przy helskich wyspach, a że przerwy są tam .podczas tego niskiego stanu wody suche, więc okrąża cypel i...

— Wpada do Wielkiego Morza — dokończył Mora. — Masz rację, stary. Przeciw temu prądowi Szwedzi niedaleko ponawigują.

— Prąd ich więcej zriiesie, niżli wiatr upcha — zatarł pomarszczone dłonie sędziwy Kaszuba. — Możemy zawrócić.

Przekonał komendanta, który też zaraz kazał wziąć kurs na Gdańsk.

W ciągu nocy wiatr prawie całkiem osłabł, toteż na wschodzie ukazała się już nisko nad wodą gwiazda poranna, kiedy dopłynąwszy na redę rzucili kotwicę, spuścili szalupę i powiosłowali ku admirałskiemu okrętowi. Mora ruszył z relacją do Dickmana, Żelk .zajrzał do kubryka.

— Są Szwedy? — dowiadywał się Jówa.

— Są, są! — odparł wesoły wielżon.

— A wiele ich, drehu, je?

— Sześć! Między nimi “Tiger” admirała Stjernskjolda.

— Tego purtka, co zakłęciami wykręca wiatr, jak tylko chce?

—■ Jutro go nie wykręci, choćby całe piekło zwołał.

— Nię kpicie? — zapytał Dudek.

Stary pokręcił głową.

— Niebę* jaśnieje od wschodu i południa. Mróz gwesno urośnie, to i wiatr się nie odmieni.

W tej chwili zbudził się Otto. Odwrócił się w koi i poznał w blasku płonącej świecy bosmana z “Króla Dawida”.

— Jakoż to, Żelku? Są Szwedze?

— Są! Kiwają się pod prąd. Chcą chyba wysadzić wojsko pod Oksywiem.

Kuba wyskoczył na równe nogi z pościeli:

— Znów nam ujdą!

— Tym razem im się to nie uda!

— Żeby tak było, a świecę świętemu Jakubowi postawię.

Jówa siadł na ławie. Wyciągnął spod niej swój ciężki topór, wziął do ręki gładki strądowny kamyk i począł trzeć nim ostrze.

— Dziś, drehu, narąbiesz szwedziny za wszystkie czasy — roześmiał się Żelk. — Będą jatki!

Stołem pokiwał głową. Chciał coś powiedzieć, ale przeszkodził mu gwizd, który się rozległ na pokładzie. Bosmani zerwali się i wybiegli z kajuty. Marynarze pchali się za nimi. Okazało -się, że gwizdano na Żelka. Miał wrócić do szalupy. Mora stał już przy drabinie i żywo rozmawiał z admirałem.

— Jeśli niczego nie zaniedbamy, Bóg da nam zwycięstwo — rzekł admirał żegnając dowódcę “Króla Dawida”.

Kapitan zszedł z Żelkiem do szalupy, która odbiła od burty wojennego okrętu i wkrótce zniknęła w ciemności. Dickman wrócił do kasztelu, ale większość załogi z bosmanami i kapitanem Storchem zastała na pokładzie, patrząc ku niewidocznemu jeszcze w mrokach Helowi. Lekka bryza biła o

burty. Gwiazda poranna bladła. Marynarze odmawiali Anioł Pański.

Powoli z porannej mgły wypływały kadłuby naw. Zatrzepotały chorągwie z białymi orłami na wierzchołkach wysokich masztów. Admirał znów pojawił się na [pokładzie. W rękach miał długą lunetę. Podniósł ją do oczu. Długo tak stał w kapeluszu ze strusimi piórami, w płaszczu rozwianym i długich żeglarskich ibutach. Drgnął wreszcie.

Od strony Helu z rozwiewanej bryzą mgiełki, z porannego półmroku nadpływała szwedzka flota.

— Idą kursem na Oksywie — rzekł Dickman -do kapitana Storcha odejmując lunetę od źrenic. — Tak jak przewidywał pan Mora.

Storch skinął głową.

— W Imię Boga — zawołał dowódca i kazał wystrzelić z armaty na znak, że czas wybierać kotwicę.

Zadzwoniły łańcuchy. Statki wykręciły się w poprzek do prądu i wiatru. Przestraszone mewy i chmary kaczek zerwały się z wody. Jakby przeczuwając nadchodzącą burzę, rozpierzchły się na wszystkie strony. Na masztach wybrzuszyły się żagle.

— Kurs mord! — zakomenderował Dickman.

Flota ruszyła równą linią. Na czele szedł „Król Dawid”, dalej „Święty Jerzy”, „Biegnący Jeleń”, „Panna Wodna”, „Wodnik”. Za nimi podążały w prostym szeregu: „Arka Noego”, „Syrena”, „Tygrys”, „Biały Pies” i „Delfin”.

— Szwedzi chcą nam kurs przeciąć — mruknął Jówa do Kuby.

Obaj stali ma przednim kasztelu tuż za admirałem, który, choć wciąż obserwował przez lunetę manewry wroga, usłyszał słowa podkomendnego.

— Nie przetną! — rzekł. — Idą do wiatru. Patrz: cztery ich mniejsze statki zostały w tyle, a dwa wielkie idą w przodzie. Wiesz, który z nich jest „Tiger”?

— Ten na przodzie — wskazał bez wahania olbrzym* a potem obejrzał się ku nawom, które sunęły za nimi.

Budził się wiatr. Na wschodzie purpurowego nieba kłębiły się chmury.

— W dzień wiatr się wzmoże — orzekł.

— Ale nie zmieni kierunku? — zapytał admirał.

— Nie.

— No to chwalić Boga, że zesłał nam sprzyjający wiatr.

Szwedzki, okręt czołowy wykręcił się właśnie mocniej

do wiatru, by w ten sposób zbliżyć się do polskiej floty. Drugi okręt szedł wszakże dawnym kursem. Kaszuba zmarszczył czoło.

— Co oni tam wyrabiają?

— “Tiger” chce nas zatrzymać, aby tamten statek zdołał wysadzić wojsko na ląd — wyjaśnił dowódca i podniósłszy rękę zawołał: — Kurs prosto na nieprzyjaciela!

Pchamy świeżą bryzą “Święty Jerzy” szybko zbliżał się do wroga, pozostałe zaś okręty rozproszyły się w linię czołową. Pięć mniejszych popłynęło w kierunku nord-ost pod Hel, by być w odwodzie. “Król Dawid” wykręcił w lewo, “Biegnący Jeleń” w prawo od “Świętego Jerzego”, “Panna Wodna” zajęła pozycję na lewo od “Króla Dawida”, “Wodnik” śmiało ruszył na spotkanie drugiego szwedzkiego okrętu.

Dickman chcąc mieć ręce wolne dał lunetę olbrzymiemu Kaszubie, który zaraz i przez nią zerknął.

— Patrzcie, jak szwedzki admirał wywija rapierem nad głowami załogi — rzekł do Kuby.

— Zaklina diabłów! — przeżegnał się Óttc

Zagłuszyła go nagła komenda admirała:

— Z przednich armat ognia!

Okręt się zatrząsł. Z paszczy luf'buchnęły czerwone ognie i chmury sinego dymu. Szwedzi na salwę odpowiedzieli salwą. Jeden z ich pocisków uderzył tuż przy przedniej stewie “Świętego Jerzego”, ale admirałski okręt waląc z przednich dział dalej zbliżał się z przyjaznym wiatrem do Stjernskjoldowego orlogu.

Nieprzyjacielski admirał kazał zawracać z kursu.

Lecz “Święty Jerzy” skręcał trop w trojść za nim, bacząc by mu łup nie uszedł. Zrobił zwrot przez sztąg i znów chwyciwszy wiatr w żagle, znalazł się na trawersie szweda. Dickman raz po raz wskazywał rapierem log-smatowi, by sternik wykręcał coraz bliżej do nieprzyjaciela:

— W prawo, w prawo!

Armaty dudniły. Muszkiety huczały z bocianich gniazd, z rej, z pokładu. “Biegnący Jeleń” wyprzedził oba walczące statki, przekręcił ster do wiatru, zrobił zygzak i zbliżył się do “Świętego Jerzego”, który już dobijał do prawej burty “Tigra”. Dickmanowi marynarze zarzucili liny z hakami na reling szwedzkiego orlogu, przyciągali go bosakami. Szwedzi cofali się przed groźnym toporem Jówy, który tych, co nie zdołali ująć jego ciosom, rąbał jak szczapy.

— Dwóch *ich na naszego jednego — grzmiał stołem. — Ale nic to. Wybijemy, dresie, tych gromów co ao jednego]

Stjernskjöldawi żołnierze, rażeni przez Polaków z gniazd bocianich i z marsów, uciekali w popłochu pod pokład. Szwedzki admirał na próżno zaklinał, by stanęli w bojo* wym szyku. Czynił to, póki nie raniła go muszkietowa kula. Wtedy i on zawrócił do kajuty. Nie dobiegł. Druga kula, tym razem armatnia, urwała mu rękę. Padając dał rozkaz trębaczowi, by zatrąbił na znak kapitulacji. Nim wszakże trębacz przyłożył trąbkę do ust, padł martwy na deski i trupy kamratów.

— Bij gromów! — rozlegało się coraz donośniej.

Przez dymy' przedzierał się straszliwy wielkolud toporem torując sobie krwawą drogę. Równocześnie wtargnął ma "Tigra" bosman Kuiba z kilkoma ludźmi. Szli jak sztorm od strony dziobu. Koło kabiny zabiegł im drogę zbrojny w pikę szwedzki kapitan ze swoimi marynarzami.

— Gromie jed^, có sę obzerosz — zaklął Otto, przeciął mu pikę i rapiefem rąbnął go przez łeb.

Szwed zwałił się jak długi. Rozpierzchli się jego podkomendni. Paru z 'nich dostrzegło Jówę wchodzącego na maszt po flagę. Pobiegli i zaczęli (pikami kłuć go w buksy. Lecz Kaszuba machnął toporem, a gdy wytrącił im piki z rąk, zeskoczył z pierwszych wyblinek.

— U diabła — zaklął. — Za czym sę, pieczylnicy, obze- arota?

Pierwszego ugodził w łeb, aż mu żółta broda zadrzała, drugiego przejechał czubkiem ostrza przez krzyże. Reszta zbiegła ogarnięta panicznym lękiem. Wrócił więc na wanty. Przeskakując co drugą wyblinę, dotarł na maszt, zdarł z wierzchołka banderę, by ją po chwili już na kasztelu polskiego okrętu złożyć milcząco u nóg admirała. Zrobił to nie czekając na pochwałę, skoczył z powrotem na szwedzki okręt.

Tu wrzało jak w kotle. Jeden z polskich oficerów prznosił ранnego admirała szwedzkiego na pokład "Świętego Jerzego". Kapitan Storch wydzierał chorążemu szwedzkiemu jedwabną flagę z rąk. Ledwie tego dokonał, celny strzał jakiegoś Szweda powalił go na ziemię.

— Le, dresze — nie przestawały wołać mściwe głosy Kaszubów — chceme ich prac!

Pan Dickman sam kierował ostatnim natarciem. Wdarł się na pokład nieprzyjacielskiego okrętu i wydawał rozkazy błyskając rapierem. Niektórzy Szwedzi krzyczeli:

— Podda jem się!

Inni jednak nadal strzelali i kłuli pikami spod pokładu, choć nie było już dla nich nadziei zwycięstwa. "Biegnący Jeleń" i "Panna Wodna" stały tuż pod rufą Stjernskjöldowego wielkiego orlogu. Wzięto go w kleszcze i ścisano z wszech stron.

Padaly pociski. Chłopakowi, któremu szwedzki oficer kazał podpalić prochownię na "Tigrze", kula urwała głowę i kwatermistrz z "Świętego Jerzego" zdołał zabezpie-

czyć prochy przed nowym zamachem. Niebezpieczeństwo groziło jednak dalej, i to od swoich.

— Nie strzelać! — ryknął Jówa do puszkarzy z "Biegnącego Jelenia", którzy otworzyli ogień jnie

wiedząc, że na “Tigrze” są już ich kamraci.

Porozumiano się w samą porę. Ledwie palba ustała, nadpłynął “Pelikan”, jeden z czterech szwedzkich okrętów, które z powodu niekorzystnego wiatru nie zdążyły na czas przybyć z pomocą ginącemu admirałowi.

— Ognia z ptawej burty! — zakomenderował imć Dick- man.

Huknęły działa. Pofrunęły w powietrze strzepy drzewa, lin. Chwiały się maszty. Trzeszczały burty, jęczeli ludzie. “Pelikan”, by uniknąć losu olbrzymiego “Tigra”, zamknął klapy strzelnic i podał tył, jako że już nacierał nań “Król Dawid”. Uciekając dał jeszcze jeden strzał z rufy. Pan Dickman chwycił się za pierś.

— Jezus, Maryja! — jęknął Dudek widząc, że admirał słania się i pada na pokład swego okrętu, ma który niedawno ipowrócił ze zdobycznego orlogu.

— Nasz admirał zabit! — szło z ust do ust.

Szwedzcy jeńcy spostrzegłszy zamieszanie, jakie powstało między polską załogą z powodu śmierci wodza, zamierzali na nowo chwycić za broń, ale topór stolema szybko wybił iin ten zamiar z głów. Powalił kilku.

— Komu jeszcze spieszo do piekła? —■ ryknął.

Nie było chętnych. Na “Świętym Jerzym” zapanował znowu ład i dyscyplina. Komendę objął porucznik Oloff- sen. Konającego admirała zaniecono do (kasztełu, gdzie leżały już zwłoki kapitana Storcha, jeńców powiązano po dwóch i sprowadzono na dno okrętu. “Tigra” wzięto na hol.

— Tedy już po wszystkim >— odetchnął flis Du-dek.

Bitwa jednak wciąż jeszcze trwała, kapitan Witt bowiem korzystając ze sprzyjającego wiatru i prądu skierował “Wodnika” ku “Solem” i pod rozpiętymi żaglami zbliżał się do niego. Komendant “Solen”, Forrath, usiłował zrobić pętlę i w ten sposób wymigać się od starcia. Miał nadzieję, że “Wodnik” popłynie za nim, minie go i zostanie po pod wietrznej. Witt przewidział wszakże, do czego zmierzają te manewry.

— Kurs nordwest — rozkazał.

Marynarze tak -sprawnie wykonali polecenie, że nim szwed zrobił zwrot przez sztag, i nim jego żagle nabrały wiatru, już “Wodnik” deptał mu po piętach w odległości jednego strzału.

— Ognia z przednich dział! — zakomenderował kapitan.

Poszła salwa, a kiedy wiatr rozpędził tumany dymu Bytk Szewka stojący na dziobie obok braci Domieników ścisnął Michała za ramię.

—Dostali! Dostali, drehu!

Huknęła tymczasem druga i trzecia salwa. “Wodnik” już był na trawersie “Solen” i szybko wykręcał się drugą burtą do nieprzyjaciela.

Bytk i marynarze rozstawieni wzdłuż relingu nie zważając na muszkietową palbę (przeciwnika, która żłobiła w nich krwawe szczyby, starali się bosakami przyciągnąć wrażą nawę. Powiodło im się. Przeskoczyli na “Solen” rycząc:

Bij kwekrów, kom turów!

Bytk chwycił się wantów. Jak kocur wspiał się na główny maszt i zerwał banderę. Widząc z góry, że jego kamraci cofają się pod gradem kul na swój okręt, poczoł- gał się na kraniec rei i złapawszy jedną z “Wodniko- wych” lin zsunął się po niej niemal do stóp pana Witta, któremu oddał zdobycz. W tym samym niemal momencie rozległy się krzyki:

— “Wodnik” się pali!

Pożar wzniecony przez płonące wiechcie rzucające przez wrpęga rozszerzał się czerwonymi językami po całym pokładzie. Ugaszono go z trudem i .znowu wtargnięto na “Solen”. ,

— Bić purtków! — krzyczeli kaszubscy rybacy.

— Bij, zabij! — wołali flisacy.

Kapitan Forrath stał przy maszcie. Błyskając rapierem, wydawał ostatnie, rozpaczliwe rozkazy. Nagle wypuścił oręż z dłoni. Trafiony kulą rozłożył ręce i padł.

Jego żółtobrody zastępca umazany krwią, osmalony ogniem stracił głowę, trzymając się jedną ręką lin, drugą wyciągał przez reling ku kapitanowi Wittowi na znak poddania. Witt podał mu dłoń. Butny Szwed ujął ją, ale nie chciał wejść na “Wodnika”, Powtórzyło to się raz i drugi, gdy zaś w dodatku oficer »podniósł niespodziewa

nie palną broń, kapitan ciał go rapierein, a okrętowy chłopak z “Wodnika” przeszył mu pierś długą piką. Szwed wypuścił z ręki pistolet. Runął i z przekleństwem skonał. Niedobitki jęły rzucać oręż. Tylko najzaciętsi nie chcieli kapitulować. Któryś skoczył z zapalonym lontem ku prochowni.

— Wracać! — krzyknął Witt do swoich. — Ten bies wysadzi nawę.

Polacy jak i pojmani Szwedzi w popłochu uciekali z “Solen” na pokład polskiego okrętu. Jeden tylko nie zdążył: Bytk. Wspiał się on bowiem na tylny maszt, by zerwać drugą banderę, a kiedy wybuchły prochy, spadł i utonął w morzu.

Ten wybuch zakończył bitwę. Powoli rozwiały się prochowe dymy i wygładzała wzburzona toń zatoki.

— Dobrze, żeście zdążyli odepchnąć nasz okręt od nieprzyjacielskiego — sapnął kapitan Witt — inaczej byśmy poszli razem z nim na dno.

— Szkoda tego młodego puczana — westchnął Zych Domienik. — Tęgi był zeń okrętnik.

Daleko na wschodzie uciekała reszta orlogów szwedzkiej eskadry. Szły w kierunku Piławy pchane silnym wiatrem, który powoli zbaczał w prawo, na zydwest. Kilka polskich okrętów pruło za nimi. “Święty Jerzy” i “Wodnik” również opuściły plac bitwy. Wlokąc swoją zdobycz popłynęły do Wisłoujścia.

Nad pobojuwisko nadciągnęły roje głodnych mew. Krążąc nisko nad wodą wyławiały z niej solone mięso i śledzie z ładowni zatopionego “Solen”. W trzepocie piór, w niesamowitej wrzawie walczyły zaciekle o łupy.

Na murach fortecy Wisłoujścia stały chmary ludzi i wznosiły okrzyki na cześć zwycięzców. Armaty forteczne strzelały na wiwat. We wszystkich gdańskich świątyniach biły dzwony. A w kasztelu “Świętego Jerzego” Jó- wa klęcząc przy zwłokach admirała całował swój różaniec i szeptał nabożnie:

— Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie...

pierwszych dniach po* bitwie mówiono w Gdańsku jedynie o zwycięstwie odniesionym pod Oliwą. Z żalem wspominano poległego admirała, ale pamiętano również o bosmanie, który, zdobył banderę z Stjern- sjobldowego “Tigra”. Kiedy szedł gdańskimi ulicami z Dawidem Kąkolem, braćmi Domienikami, Klemensem, Dudkiem i bosmanem Kubą pokazywano go sobie palcami. Oczekiwali go też bywalcy gospody “Pod Łososiem”, ale pobożny jastarnik unikał luterskiej szynkowni. Wolał popić z drehami na Drzewnym Targu, w oberży oliwskich mnichów. Tu flisowie opowiadali o swym bojowym chrzcie. Tu gwarzyli Kaszubi o swych przewagach nad Szwedami. Najchętniej jednak gdańscy mieszczanie słuchali opowieści bosmana Jówy ^— stolema z toporem. On też zwracał powszechną uwagę podczas pogrzebu Dick- rmana.

Chowano go w prószyący śniegiem dzień Świętej Barbary. W pogrzebowym kondukcie maszerowały załogi wszystkich okrętów, postępowała w karnych szeregach piechota morska żbrojna w muszkiety, Okrętników z “Świętego Jerzego” prowadził porucznik Oloffsen. Szli powoli ulicami w kierunku, kościoła Panny Marii. Olbrzymi brodacz kroczył ze zdpybą banderą tuż przed trumną admirała, którą niosło czterech bosmanów. Wśród nich znalazł się Żelk i Kuba, i Michał Doonienik, mianowany bosmanem po Bytkowej śmierci. Za« nimi wodni piechurzy nieśli trumnę kapitana Storcha. Dalej sunęli pow&żnymi, wolnymi kroki komisarze i kapitanowie królewscy, rajcy w czarnych kaftanach, mieszczanki w kwe- fach, żacy, rybacy, okoliczni chłopci. Nad tłumefn kołowały chmary mew żałośnie pokrzykujących.

Tężał mróz. Ziąb też panował w ogromnych nawach gdańskiej fary, gdzie żegnano dowódców poległych za króla i Rzeczpospolitą. Jówa 'klęczał nabożnie pod jednym z filarów i co chwila 'potężnymi jego plecami wstrząsał dreszcz.

— Jednego sprawiedliwego żołnierza Bóg wcześniej, a drugiego później .niebieską flagą nagradza — myślał

rzewnie. — Wszelako wszyscy, prędzej czy (później, za- płyniemy na tamten brzeg, a każdy otrzyma

inagrodę podług swych zasług. Nasz admirał gwesno zasiądzie w niebie zaraz obok świętego Piotra, co to samego Pana Jezusa woził po morzu...

Łzy zasnuwały mu oczy. Czuł się coraz gorzej. Ledwie zdołał wrócić na okręt. Całą noc szczękał zębami, a rano nie mógł podnieść się ze swej koi. Przykryty baranią skórą majaczył o Szwedach, wołał o swój topór, skarżył się, że głowa mu pęka. Chwilami, gdy wracała mu przytomność, charczał:

— Bóg mnie zabiera, dresze! Snadź jużem tyle heretyków narąbał, żem sobie na niebo zasłużył.

— Trza cię będzie do szpitala, przyjacielu miły, zanieść — troskał się Dudek. — Medycy cię ocalą.

— Całem życie spędził na morzu, tedy mogę chyba na okręcie umrzeć — upierał się brodac. — Niedługo będę z wami... Święty Piotr, opiekun rybaków, dostał już z {pewnością od Swarzewskiej Panny polecenie, żeby dla mnie kwaterę w niebiesiech przygotował.

— Nie gadaj o śmierci — prosił flisak. — Jak kostucha topór twój obaczy, to nogi za pas weźmie i ucieknie ze swoją kosą tam, gdzie pieprz rośnie.

Chciał go rozweselić, ale daremne były usiłowania wiślanego oryla. Kaszuba tak osowiał, że nie zwracał już uwagi ani na młoty stukające na pokładzie, gdzie łatano dziury (powstałe w czasie ostatniej bitwy, ani na krzyki bosmana Kuby, który ćwiczył świeżo przyjętych marynarzy. W tych rzadkich chwilach przytomności myślami bywał częściej na tamym niż na tym świecie. Mimo to, jak tylko wracała mu świadomość, zaraz próbował podźwignąć swój topór, jakby chcąc się przekonać, czy nie całkiem jeszcze opadł z sił.

— Jutro umrę — przepowiadał sobie ponuro.

Stało się jednak inaczej. Którejś nocy przestał majaczyć. Minęła gorączka. Potem zaczął brać strawę do ust. Powoli usiłował ipodźwignąć się z pośłania. Niełatwa to była sprawa. Nadszedł już słoneczny marzec, gdy osłabiony chorobą wielkolud pierwszy raz wyszedł na pokład. Wiatr zachodni przepędził wschodni mróz i nadsięgnęło ciepłe powietrze. Jówa jednak czuł, że do żadnych robót się nie nadaje.

Nie chciał jeść darmo królewskiego chleba, poprosił więc kapitana o zwolnienie. Po długich naleganiach i po przyrzeczeniu, że gdy tylko wyzdrowieje, wróci na "Świętego Jerzego", puszczone go. Szczęśliwym zrzędzeniem losu nadarzyła mu się w porcie pucka łódź, a rybacy wracający po sprzedaży ryb do Pucka zgodzili się zabrać go z sobą.

— Bywaj zdrów! — wołała cała załoga, która wraz z kapitanem wyszła na pokład, by pożegnać kamrata.

Schodząc po trapie Jówa spojrział jeszcze raz na zwycięski okręt, na swoich maszopów, wiernego Dudka, flisaków i wszystkich drehów z wybrzeża stojących przy relingu. Nogi się pod nim uginały.

— Chyba nie wrócę tu nigdy — pomyślał ze smutkiem. — Choroba się tylko przyczała, ale dalej

siedzi we mnie i ani myśli mi pofolgować. Co się odwlecze, to nie uciecze.

Siadł do szalupy kołyszącej się przy burcie “Świętego Jerzego”. Pokiwał ręką. Łzy toczyły mu się po policzkach jeszcze wtedy, gdy łódź pod rzymskim żaglem wypłynęła już z Wisłoujścia na morze i z niewielkim pochyłem przy południowo-zachodnim wietrze zboczyła w stronę Oksywskiego Haku. Kiedy jednak owiała go lekka bryza i zobaczył roje mew krążące nad ławicami szprota, które podpłynęły za ogrzaną wodą pod sam brzeg, wydało mu się, że zaczyna powracać do sił.

— Ile to ryb w morzu — mówił do puckich rybaków — a my ich nie łowimy, jeno bijemy się z tym piekielnikiem Gustawem. Żeby to mnie choroba opuściła, a nieprzyjaciel pierzchł na swe skały. Zaraz bym odnowił naszą maszoperię i łowił, łowił, dresze!

Im bliżej byli Pucka, tym lepiej *się czuł.

— Wpierw znajdę do Selinki — postanowił. — Dowiem się od niej, co z Barbarą? Czy też ją niebogę żywą znaleźli na onym wraku? Czy wróciła do ciotki?

Prosił rybaków, by dobili naprzeciw samotnej checzy skutnika. Uczynili zadość jego życzeniu. Podziękował im serdecznie i wszedł na strąd, nad którym śpiewały już skowronki. Powoli, z wysiłkiem wspiał się na skarpe. Przystanął, otarł pot z czoła. Pod gołymi jeszcze gałęziami jabłoni i wisien ujrzał znajomą checz. W pobliżu jej czerniały żebra nie skończonej szalupy, pod ścianą obórki leżało kilka dębowych pni, a obok stały dwa kozły, na których nieboszczyk Selm piłował dawniej kłoce drewna. Na podwórku zaczął ujadać pies. Otworzyły się drzwi domostwa. Na ipróg wyszła smukła bladą dziewczyna w foczym półkożuszku.

— Barbara — poznał ją, podbiegł do wrótni i krzyknął: — Sieeh będzie pochwalony.

— Na wieki wieków — odrzekła i zachwiała się z wrażenia. — To wy?

— A co? — uśmiechnął się. — To jes gwesno mesla- ła, że to twój Piotr?

— Mój Piotr zaibit! — szepnęła i zalała się łzami.

Rzucił topór i węzełek. Ogarnął ją ramieniem.

— Ubiły go te komtury?

— I jego, i pana Żelewskiego, i tego zacnego Darca czy Drawca, co mnie tyle dobrego wyświadczył. Leżą pospołu pod Tczewem w ciemnej mogile. Konie ją tratują, z ziemią równają...

Z żalu ścisnęło mu się serce. Zapragnął ją jakoś pocieszyć. Wielką ręką pogładził ją niezgrabnie po plecach wstrząsanych szlochem.

— Kto ci to, dzeusie, rzekł? — zapytał i jał tłumaczyć, że w takich jak te czasach nie należy wierzyć lada komu, bo ludzie plotą niestworzone rzeczy. — Niejeden z tych, których pono wróg miał uśmiercić, żyje i ani myśli umierać. Może tedy i twój Piotr...

Pokręciła głową.

— Gadałam z tymi, co na jego skon własnymi patrzeli oczami.

— Z kim?

— Z panem Robakowskim, który podkomendnym świętej pamięci Piotra był.

— Gdzieś go spotkała?

— W Mrzezynie.

— W Mrzezynie? Jakoś tam trafiła?

— Z Odargowa, bo kiedym się z owego wraka wydostała, stary Mikołaj Kur dał mi przytułek w swojej zagrodzie. Z nim *to ruszyli my parę miesięcy temu do Mrzezina, skoro jeno nam jfcden wędrowny krawiec powiedział, że tam dragoni z chorągwi nieboszczyka Fa- lińskiego zimować mają.

10 — Krwawy sztorm

289

— Mikołajk chciał Andrysa i jego braci obaczyć? — mruknął brodacz.

— A ja mego narzeczonego ujrzyć się spodziewałam — ciągnęła dalej. — Dziwno nam było, że żaden z Kurów w bliskości się znalazłszy do Odargowa ojca nawiedzić nie zajechał...

— Służba nie družba.

— Tak też Mikołajk gadał w drogę ruszając. Doszli my do Mrzezina, dopytali się o kwaterę imci pana Pawła Karpińskiego, on zaś... O Jezu miłosierny...

Znowu zaniósła się cichym płaczem.

Wiosenny powiew unosił nad (polami lekką chłodną mgłę. Z checzy wyjrzała wdowa Selinka. Przywitała się z Jową, zaprosiła go do izby. Tam Barbarka otarłszy fartuchem załzawione oczy dokończyła opowieści:

— “Pod Lubiszewem Źpadł nasz towarzysz miły — rzekł mi pan Paweł Karpiński. — Zginął pospołu z dragonem Darcem i panem Żelewskim. Na harcach pod szwedzkimi szańcami. Przytomny tu pan Robakowski widział jak cięty w skroń, martwy z kulbaki się stoczył”. “Chwalebną śmierć miał” — potwierdził ów wolontarz słowa swego komendanta.

— Ale pogrzeb niechrześcijański, nasi zwłok nie znaleźli. Snadź go pono Szwedy-heretyki pospołu ze swoimi zabitymi w jednej pogrzebali mogile — wtrąciła Selinka, krzątająca się przy kominku.

Jówa wsparty na ławie ipochylił się ku przodowi.

— Niemiło mu pewnie leżeć w takiej heretyckiej kompanii — westchnął. — Jam wrócił w te strony, bom chciał moje kości poświęconej ziemi na swarzewskim cmentarzu «powierzyć. Wszelako zdaje mi się, że ozdrowię, kiedy moją Jastarnię obaczę.

— Same tam zgliszcza — rzekła Muszkówna.

— Nikt z naszych nie wrócił?

— Nie i wam też nie radzę. Wiecie co? Najlepiej chodźmy do mojej bratowej. Mikołajk mi powiadał, że znalazła ona schronienie u gburą Pieniążka w Nadolu. Spotkacie tam wiele jastamickich białek i starków, a jak całkiem siły wam wrócą, będziecie ryby łowić w Żarnowieckim Jeziorze...

— Jo, to je myśl — przystał Jówa. — Te, dzeusie, wy

glądasz jak anioł z nieba i jak anioł umiesz dobrą naleźć radę dla strapionego człowieka.

Po dwóch dniach pożegnali Selinkę i ruszyli w drogę. Przez połczyńskie zgliszcza, omijając z daleka heretyckie Krokowo, dotarli pod żarnowiecki bór. Nie opodał pogorzelska Miskowej zagrody, pod wysokim krzyżem klękli przy zarosłych mogiłach. Długo modlili się za pomordowane szyprówny, Domienika i Czerwionkę. Barbara zaś prosiła również Boga o zbawienie duszy Piotrowej.

— Bez sakramentów umarł — mówiła potem do jastarnika — wszelako mniemam, że Pan Jezus porachuje mu to, iż za wiarę świętą, Rzeczpospolitą naszą, miłościwego króla życie dał i wyrwie go z czarcich pazurów, jak on mnie tu wydarł z wilczej pa,szczęki.

Zapłakała poruszona tym wspomnieniem.

— Wolej bym wtedy zginęła, ¹bo cóż mi teraz po żywocie? Cała pociecha, że mnie wielebna przeorysza żarnowiecka przyjmie i w klasztorze do śmierci skon ojca i narzeczonego opłakiwać dozwoli.

— Do klasztoru lepiej się nie spieszyć — mruknął stołem. — Kresztofa Czerwionkę, tego co tu w mogile leży, też przed laty opłakiwali ludzie myśląc, że zginął na morzu i jego brutka z żałości służebną mniszką ostała. Przez to i on z żeglugi wróciwszy, białki już sobie inszej nie szukał. W bezzennym stanie śmierci doczekał.

Niedźwiedzią łapą otarł łzy z twarzy dziewczyny i poszli po pochyłości ku jezioru. Leżało ono w ciszy jak lustrzana tafla. Tu i ówdzie tylko czerniały na wodzie chmary kaczek i bieleły żagle. Jówa spojrział na przeciwległy brzeg. Wyciągnął rękę wskazując jedno z błękitniejących tam wzgórz.

— Góra Stolemy — rz^{*ekł}, by prozerwać Barbarkę i skie* rować jej myśli na inne tory. — Te po tej stronie zowią Górą Tarznią i Zamkową. A wiesz, skąd się wzięły te miana?

— Nie — odparła.

— Stąd, że na tej górze siedział jeden stołem, a na tamtej drugi i częstowali się przez jezioro tabaką. Stole- mowi z Tarzni wpadł róg z tabaką do wody. Wtedy rozzłościł się ten drugi. Chwytał olbrzymi kamień i cisnął go

na brata. Ale miał taką siłę, że kamień doleciał aż do Swiecina. Po dziś dzień leży tam w lesie. Widziałas go?

— Widziałam.

— I co myślisz o tej osobliwej sprawie?

— Myślę, że ów stołem musiał być jeszcze trochę silniejszy od was.

— Choba tak — uśmiechnął się rad, że zdołał naprowadzić 'dziewczynę na inne myśli.

Pogodniej już gwarząc doszli do Nadola i zatrzymali się w obejściu wdowca Pieniązka. Przyjęto ich gościnnie. Znaleźli chleb i dach nad głową. Barbara zaprzyjaźniła się z Pieniążkową córką i wyręczała ją w robocie. Bosman godzinami wysiadywał nad jeziorem pod brzańskim lasem.

Zdrowie wracało mu powoli i coraz częściej myślał

o kamratakach ze “Świętego Jerzego”. Wypatrywał co dzień łodzi wtrącających ,spod drugiego brzegu, wypytywał na- dolan, czy nie słyszeli w Żarnowcu jakichś nowych wieści

o królewskich okrętach, o trwającej wojnie, ale nowin brakło. Pomagał nadolskim rybakom w połowach, rąbał drwa na Pieniążkowym podwórzu, naprawiał sieci. Na tych pracach zszedł mu czas aż do świętego Bartłomieja, kiedy to zjawili się w madjeziomej wiosce dwaj ranni: Jakub Długi i Rochów Klemens.

— Gustaw Adolf podszedł z wojskiem i działami pod Gdańsk i ostrzelał nasze zakotwiczone na rzece okręty — mówił Jakub stanąwszy przed szyprem.

— “Święty Jerzy” leży na dnie — dodał Klemens. — Jeno siedmiu nawpan udało się ująć z tego pogromu. Tak, tak, drehu! Pomściły się szwedzkie fokojady za oliwską klęskę.

Jówa siadł na pniu przewróconej sosny i milczał przygnieciony niespodzianą, prawdziwie hiobową wieścią. Dopiero po dłuższej chwili podniósł oczy.

— A flis Dudek? — zapytał. — Żyw?

— Pozdrowić cię kazał, jakżeśmy się u “Mnichów” na Drzewnym Rynku zegnali.

— Tak samo i bosman Żelk — powiedział Długi. — Ten to wesół jak szczygieł, bo jego “Król Dawid” ocalał:

Jówa chwycił toipiór, zerwał się z pnia.

— Skoro tak — zawołał — to ja idę do Gdańska. Za-

ustruję się do załogi kapitana Mory i będę znów rąbać Szwedów, aż wióry polecą.

— Nie masz po co wracać — machnął ręką Klemens — chodzą słuchy, że pono król jegomość chce wysłać ocalałe okręty niemieckiemu cesarzowi.

— Po co?

— Pytasz, jakbyś nie wiedział — wmieszał się do rozmowy Pieniążek, który wyszedł z checzy, — Toć w Niemczech już dziesięć lat biją się o wiarę, a końca tej srogiej wojny jak nie widać, tak nie widać.

Stołem zmarszczył czoło w głębokim namyśle.

— Nie — huknął po chwili rzucając topór na murawę między stosy narąbanych szczap. — Za Niemca nie będziemy nadstawiać karku. Wieta co, dresie?

Patrzeli na niego ciekawi, co <powie, on zaś rzekł:

— Wracajmy do Jastarni. Na helskich wyspach stoją wojska obersztera Lanckorońskiego... Szwedów nie ma. Odbudujemy nasze checze. Zaczniemy łowić ryby, choćby na jednej łodzi.

— Wszędzie dobrze, wszelako doma najlepiej — przytaknął Długi.

— Tedy podziękujcie pięknie nadolanom za gościnę i pakujcie tobołki — krzyknął szyper do białek i starców wywabionych z chałup wieścią, że wrócili dwaj jastarnicy.

Rejwach zapanował we wsi. Byli już gotowi do drogi, kiedy do brzegu dobiła łódź.

— A kto to przyplynał? — zapytał Jówa. — Może znów który z naszych?

—; Nie — odparła białka szypra Domienika. — To Barbarka.

— Gdzieś, dzeusie, była? — zwrócił się szyper do dziewczyny.

— W klasztorze — wyznała. — Prosiłam wielebną matkę Barbarę, by mnie przyjęła. Wszelako tyle wstąpiło tam ostatnimi czasy osierociałych szlachcianek, że miejsca dla mnie nie ma...

— I Bogu dzięki, że nie ma! — przerwał dobrodusznie olbrzym. — Pójdiesz z nami do Jastarni. Straciłem moje córę, ty mi je zastąpisz.

— A jak wrócą nasi knopi z wodnej armaty, wyj-

diesz za tęgiego maszopa — wtrącił siwy Piotr, ojciec Józka. — Jastarnickie są piękni knopi.

— Moje miejsce w klasztorze — odpowiedziała. — ■ Wszelako jeśli dozwolicie mi u was

ipoczekać, aż wielebna przeorysza da, jako obiecała, znać, że mogę zakolatać do furty...

— Pójdź, pójdź z nami — huknął Jówka. — Jak wojna się skończy, a Piotr nie wróci, wtedy uczynisz jako zechcesz.

W Jastarni znów zawrzało życie. Zbierano wyrzucone na strąd szczątki rozbitych okrętów, wznoszono z nich zręby nowych chat. Barbarka pomagała jastarnikom co siłą, by pracą zagłuszyć smutne wspomnienia. Jówka zaś ciosał belki swoim toporem, a rankami i wieczorami obchodził strąd, bo krótko po powrocie na helskie wydmy powierzył mu straż nad tutejszym brzegiem Detlof -z Gnieźdźewa, który dosłużył się w piechocie obersztera Ijanckorońskiego rangi sierżanta.

— Wojska mamy mało — mówił spotkawszy szypra podczas jednego ze swych (patroli — wtedy wasza pomoc bardzo się nam przyda.

Jastarnicy radzi, że mogą przysłużyć się królowi, czujnie pilnowali wybrzeża. Któregoś dnia stary Roch, ojciec Klemensa przybiegł do dźwigającej się ze zgliszcz osady, krzycząc:

— Szwed w strądzie!

— Gdzie? — porwał się szyper przerywając ciosanie "belki.

— Za Dębkowym Hakiem, od strony Wielkiego Morza.

— Tedy bierzta, dresze, topory.

Uzbrojeni pobiegli nad zatokę, gdzie stały dwie łodzie. Zepchnęli mniejszą z nich i powiosłowali wzdłuż brzegu. Dobiwszy do Haku wyciągnęli czołno i piaskami między pokrzywionymi sosnami pchali je ku Wielkiemu Morzu. Robota była to nie byle jaka, a Jówie się spieszyło.

— Nie ma co, dresze! — powiedział w końcu do matrozów. — Wezmę łódź na plecy i przeniosę ją na Wielki Strąd.

Splunął w garście. Jastarnicy ze zdziwieniem popatrzeni na szypra, lecz gdy ten ujął czołno za stwę * pomogli

dźwignąć je na barki. Stęknął, ale nie upadł w piach. Zrobił pierwszy krok, drugi, trzeci...

— Pamiętam, że nasz szyper za młodych lat potrafił przenieść bot z Małego Morza na Wielki Strąd, wszelako tamten bot był mniejszy — kręcił głową stary Roch. — Nie do wiary! Nie do wiary!

— Jest przysłowie, że jak okręt wejdzie w strąd, tedy rybak potrafi dźwigać za trzech — (gadał Rochów Klemens. — Ale najszypr Jówka za dwudziestu stanie. To siłacz nad siłacze!

Patrzeli i nie wierzyli oczom. Brodaty szyper uginał się pod botem, piach pischczał pod jego dużymi »stopami, on wszakże szedł i szedł, aż wyszli na brzeg Bałtyku.

Nie opodal niego sterczała na mieliźnie nawa. Zbliżało się zaś do niej dziewięć innych okrętów

pod flagami szwedzkimi. Ledwie maszopi minęli przemyk między piaszczystymi garbami, z wraka otworzono do nich ogień. Jówa natychmiast spuścił z pleców łódź i ukrył się ze* swoimi ludźmi za wysokie wydmy.

— To “Krystyna”, szwedzki okręt admirałski — stwierdził wyzierając z bezpiecznej kryjówki. — Z jego to pokładu admirał Fleming dowodzi Gustawową flotą.

— Ładna pry za! — oblizwał się Klemens.

— Czemu do nas strzelali? — zastanawiał się Jakub. — Nie chcą, by ich zwieść na strąd?

— Mają nadzieję, że sami zejną z mielizny albo że tamci — szyper wskazał nadpływające orlogi — ściągną ich. I może do tego przyjść, jeśli nie powiadomimy w porę naszych wojsk.

Dwóch maszopów pospieszyło więc co tchu do kwatery pana Lanckorońskiego. Nim słońce doiszło do zenitu, powrócili z rotą piechoty pod dowództwem samego ober- sztera bawiącego właśnie w Helu na lustracji.

Zaczęła się strzelanina. Szwedzi bili z okrętowych dział, spuszczały szalupy, obsadzali je wioślarzami i muszkietierami. Czółna podpływały do brzegu. Zdawało się, że załogi będą lądować. Wszakże gęsty ogień polskich rusznic zmusił Gustawowych żołnierzy do porzucenia tego zamiaru. Zawrócili jak niepyszni.

— Oclparci — cieszył się sierżant Detlof. — Uciekają, aż za nimi woda pryska!

Od północy «pojawiły się drobne chmury, które się szyb

ko rozrastały. Wiatr jął przyginać krzywe sosny na wydmach, a fala raptownie wzrastała. Załoga ukryła się za kasztelami i pod górnym pokładem, orlogi zaś odpłynęły i schroniły się za helski cypel.

Nadeszła ciemna noc. Gdzieniedzie tylko między przerwami wśród chmur migotały gwiazdy.

Pułkownik Lanckoroński zabronił rozpalać ogniska i ruszył ku morzu. Doszedł aż do samego zoloju. Wrak osłaniał ten odcinek wybrzeża przed naporem fal.

— Tu usypimy szańce — rzekł oberszter. — Wciągniemy na nie działa, o świcie ostrzelamy z nich “Krystynę” i zmusimy nieprzyjaciela do kapitulacji.

Żołnierze zabrali się do roboty. Sypali wały piaszczyste. Ustawiali na nich sprowadzone z Helu działa. Gdy zaczęło świtać, armaty i -muszkietierzy leżeli już na szańcach. Posypały się kule na szwedzki statek. Admirał Fleming odpowiedział na ogień salwami swoich trzydziestu paru dział.

— Nie brak im prochu — zaciskali zęby piechurzy i puszkarze owiani piaszczystą zadymką wzbudzoną na szańcach padającymi jak grad pociskami.

— Wnet się poddadzą — zapewniał Jówa. — Patrzcie: idzie druga norda!

Na razie jednak porywisty wiatr ustawał, morze się uspokajało, zza cypla znów wypłynęło dziewięć orlogów. Podeszły do „Krystyny” i zaraz otworzyły ogień na polskie pozycje. Biły z dział salwa za salwą. Jednocześnie tęczowa chmura unosiła się coraz wyżej zwiastując nadejście sztormu, który też wnet wybuchnął ze straszliwą siłą.

Jeden ze szwedzkich okrętów spuścił wtedy na wzburzoną wodę łódź. Podpłynęła ona do wraka, ale nie mogła dobić do jego burty. Nie dozwalały na to bijące o kadłub grzywacze.

— Śmierci szukają! — powiedział pan Lanckoroński stojący na wydmach z perspektywą przy oku.

Tymczasem marynarze z „Krystyny” rzucili do szalupy długą linę. Chwycili ją wioślarze. Okrzyk tryumfu przedarł się przez świst wichru i łomot fal. Oberszter stojący w rozwianym płaszczu i pod krzywą sosną ujrzał, że na burcie wraka wdrapał się jakiś człek w bogatym kaftanie i kapeluszu ze strusim piórem. W pasie obwiązany był liną.

— Będą ściągać ze strydowanego statku swego admirała — krzyknął Jówa.

W tej chwili Fleming skoczył do morza, aż się woda rozprysła. Wioślarze jęli ciągnąć go na linie ku szalupie.

— Wciągają go jak fokę — zachichotał Klemens.

Wraz z szyprem i Jakubem stał na najdalej wysuniętym w morze szańcu obok armat i puszkarzy. Wkrótce zjawił się tu i oberzter.

— Co tam oni jeszcze czynić zamyślają? — zmarszczył brwi.

— Ognia dresze! — krzyknął Jówa do puszkarzy. — Wiążą jakieś skrzynie. Chcą je przerzucić na szalupę. To skarby zagrabione w naszym kraju.

— Admiralska kasa — stwierdził Lanckoroński.

Zagrzmiały działka. Chwiała się „Krystyna” i za każdym uderzeniem fali zdawała się kłaniać swemu admirałowi, który ociekając wodą jak morski nur poganiał marynarzy wciągających do szalupy dużą, obwiązaną linami skrzynię.

Dokonali tego mimo padających w pobliżu pocisków i dużej chwiejby, po czym łódź oddaliła się szybko ku orlogom. Wciągnięto ją na jeden ze statków, które pospiesznie odpłynęły na zatokę. Fale zaś rosły, zalewały wrak. Szwedzi przestali strzelać. Uciekli na reje i kaisztele, bojąc się by straszny miot fal nie zmył ich z pokładu.

I oto znów zapadła wichrzysta noc. Armaty na szańcach ucichły. Żołnierze i rybacy ukryli się przed sztormem i deszczem za wydmy i pod szarpane wichrem sosny, kędy ustawiono dla starszyny kilka namiotów. Czuwali jedynie wartownicy i żelazny prawdziwie szyper, który nie mogąc zasnąć snuł się po szańczykach.

Bieląta piana. Fale biły o brzeg i wyrzucały na piasek ciemne zwłoki topielców.

— Widzicie tych morzkulców — wskazywał Jówa sztyldwachom szwedzkie trupy. — Nie chcieli się poddać nam, ale musieli się poddać woli boskiej. A Pan Bóg krzywo patrzy na tych, co (przykazań jego nie szanują, jeno rabują i mordują. Zaścili ich ścierwami cały nasz strąd.

Nad ranem, gdy niebo ‘Się przetarło i deszcz przestał padać, zjawił się na okopach pan Lanckoroński. Podeszedł do Jówy i zapytał:

— Nie podmył ten sztorm naszych szańców?

— Gdzie tam — odparł Kaszuba. — Morze dosypało tu strądu. Tak zawsze bywa, gdy wrak dłużej stoi wzdłuż mielizny. Strąd wtedy sam powoli do niego podchodzi. Bóg tak zarządził, żeby pobożni ma&zojpi łatwiej mogli się ma rozbity kurp dostać i godne łupy wziąć!

Oberszter -spojrzał spod oka na barczystego brodacza, a potem na wczorajsze szańce, które od plaży zalewanej przez fale oddzielił szeroki piaszczysty pas.

— Bóg, powiadasz? — mruknął i podkręcił wąsy. — Ha, słusznie! Bez jego woli nic się na tym świecie nie dzieje. Oby i nam pomógł dostać się na “Krystynę”. Armaty tam zacne.

I po chwili zwrócił się do jednego z oficerów:

— Usypimy nowe -szańce bliżej zoloju!

— Wedle rozkazu wasza miłość! — odkrzyknął tamten i zapędził wszystkich do roboty.

Zaszczękały rydle. Nowe okopy zaczęły wyrastać tuż przy zoloju.

— Głodny jestem, aż we mnie flaki skrzeczą — skarżył się sierżant Detlof Jówie pracującemu, za trzech w jego sąsiedztwie.

— Kto by tam jadł, kiedy okręt na strądzie! — wzruszył ramionami wielkolud. — Podjemy sobie i odpoczniemy, kiedy będzie po wszystkim.

Nim się rozjaśniło, wciągnięto działa na świeżo usypane, nadmorskie wały i równo ze świtem pułkownik zakomenderował:

— Ognia!

Puszkarze przyłożyli zapalone lonty. Zadudniły działa, huknęły muszkiety skierowane lufami na wrak ciemniejący w białej kipieli. Pociski ugodziły w burty, kasztele i maszty.

— Zagrali my im pobudkę — zaśmiał się jeden z puszkarzy. — Umarły by się obudził na taki apel.

“Krystyna” jednak milczała.

— Mamy dalej bić? — zapytał ogniomistrz.

Lanckoroński targnął wąsy.

— Wara ‘Strzelać do tych co się nie bronią! Zaczekajmy! Chyba wywieszają białą flagę?

Gdy weszło słońce, żołnierze zauważyli, że z rej i ka- sztelów wraka rozbitkowie wyciągają błagalnie ręce ku brzegowi, a na fokmaszcie powiewa biała flaga.

— Kapitulują! — krzyknął pułkownik. — Proszą, by ich przewieźć na ląd.

Wiatr wykręcający się ku północnemu zachodowi wiał z coraz większym nasileniem. Między zolozem a okrętem trwał wartki kipiący żoch.

— Nie dobijem do mich łodzią — zachmurzył się szyper. — Wrak zasłania rów, wszelako idzie taki rwący prąd, że nam zaraz by szalupę porwał i rzucił w miot fal. Zginęliby my jak amen w pacierzu.

Lanckoroński spojrział na piany skołowanej wody.

— Zaiste! — przyznał kładąc dłoń na rękojeści rapie-^{*} ra. — Woda rwie jak w górskiej rzeczce... Co by tur uczynić, aby...

Zdanie przerwało mu kilka pocisków, które niespodziewanie padły w pobliżu okopów.

— Znów, zdrajcy, strzelają — oburzył się oberszter i wyszarpnął klingę z pochwy. — Ognia! Ognia z wszystkich dział! Nauczymy obwiesiów moresu!

Lufy armat plunęły ogniem i żelazem. Salwa za^{*} salwą waliła w sterany kadłub.

— Mości oberszterze — odezwał się wreszcie Jówa. — Dopraszam się łaiski...

— Co? — Lanckoroński zwrócił ku Kaszubie twarz ściągniętą gniewem.

— Jak będziemy dłużej do tego kurpa bić, to podziurawimy go niby rzeszoto, a fala wrak rozbije i porwie nam całą bitę.

— Masz rację — stwierdził komendant po chwili- namysłu i kazał przerwać ogień.

Potem przywołał sierżanta i polecił mu wszystkich żołnierzy prócz puszkarzy wycofać z szańców za wydmy.

— Będziecie pojawiać się to tu, to tam, wchodzić na wzgórza, maszerować po brzegu. Zażyjemy huncwotów z mańki. Niech im się zdaje, że nadciągają ku nam posiłki z Helu i Pucka. Pojmujesz?

— Wedle rozkazu, mości oberszterze! — sprężył się[^] służbiście Detlof.

Wywiązał się z powierzonego zadania znakomicie. Ruchliwe oddziały, pojawiające się w rozmaitych miejscach ' białego strądu i wydym porośniętych rzadkim sosnowym lasem, zmyliły

nieprzyjaciół. Sądząc że ściągnięto przeciw nim niemałe wojsko, wywiesili znowu białą chorągiew, przywiązali -do końca liny drewniany pływak i wyrzucili go do wody. Mieli nadzieję, że fala dopcha go wraz z liną do brzegu. Okazało się jednak, iż żoch silniejszy jest od fal. Prąd porwał pływak i «poniósł goirowem. Na próżno powtarzali próbę kilka razy. Żoch drwił z ich usiłowań.

— Może uda «się nam pomóc tym morzukulcom — mruknął brodacz i skinął na swych maszbpów.

Zepchnęli czółno i powiosłowali po ipływak, gdy go fala trochę zbliżyła do brzegu, ale w ostatniej chwili musieli zawrócić. Niewiele brakło, a prąd wyniósłby szalupę na miejsce nie osłonięte przez wrak, w kipiele grożące śmiercią. Wylądowali więc z niczym.

— I twoje siły nie pomogły — pokiwał głową oberszter.

— Stoją ze sto dwadzieścia sążni od zoloju — usprawiedliwiał się olbrzym. — Żeby to było pod Jastarnią albo na cyplu, tobyśmy dali radę. Wszelako na tym zakręcie przy Dębkowym Haku, na otwartym morzu samego purt-ka by porwało.

Szwedzi nie dawali za wygraną i wyrzucali raz po raz za burtę pływak na linie. Fale wszakże nigdy nie doniosły go tak'blisko wybrzeża, by ze strądu moziia go było w jakikolwiek sposób pochwycić. Wiatr iiii ustawał. Wśród sosen na wydmach wciąż maszerowały oddziałki piechurów, wprowadzając nieprzyjaciół w błąd co do liczebności polskich sił. Pod wieczór rzekł Jówa do obersztera:

— Żeby my tu mieli długą linę.

— Co to by pomogło? — zdziwił się Lanckoroński.

—¹ Dałbym się nią w pasie obwiązać i wszedłbym w morze. Wysoki jestem dosyć, żeby rów przejść i ten ich pływak chwycić.

— Poślijcie zatem do Jastarni po linę.

— Ech — machnął ręką szyper. — My nie mamy ani koniuszka powroza. Bieda u nas. Co się nie spaliło, to Szwedzi zabrali. Helanie, o, ci będą mieć lin pod dostatkiem. Ale te iprzekłete kwekry nikomu niczego użyczyć nie chcą. Bodaj ich purtk 'porwał!

— Tacy nieuiyci?

— Wiadomo: letrze!

— Zatem wyślę do nich sierżanta Detlofa z kilkoma żołnierzami. Ten da sobie z samym biesem radę. Nie tylko linę mu dadzą, ale sami przyjdą do pomocy.

— Jeno nie to! — przestraszył się Jówa.

— Czemu?

— Bo te heretyki zaraz partu będą żądać, a przecie im nic nie potrzeba. Szwedzi Helu nie spalili ani nie ograbili, jako że helanie zaraz się im (poddali. A u nas bieda jak smród, bośmy bronili naszego brzegu.

— Mniemam, że i tym razem imasz rację — uśmiechnął się pułkownik. — Zróbmy tedy krakowski targ: dla nas amunicja i działa, dla was to, co zostało z takielunku. Zgoda?

— Bóg zapłać mościpanu — podziękował osiłek. — Te strzępy żagli i podarte liny to dla nas skarb prawdziwy.

Posłano tedy Detlofa do Helu, a gdy nad ranem wrócił z liną, obwiązano nią w pasie szypra. Jowa rozebrał się, ucałował krzyżyk różańca dyndającego mu na szyi, przeżegnał się i wszedł do wody. Prądowi, który go próbował uwalić z nóg opierał się bokiem i choć nieraz mu fala przez głowę przeszła, szedł coraz dalej. Zanurzył się go pas, po ramiona... Szwedzi zauważywszy człowieka zbliżającego się do wraka rzucili mu cienką rzutkę.

— Chwycił! — wrzasnęli z brzegu maszoipi i podciągali Szypra ku lądowi.

Powoli wynurzał się z morza, aż wszedł na zoloj.

— Macie — podał maszopom koniec przyniesionej liny i pobiegł za wydmyr, by wdziac na siebie suchą odzież.

Gdy wrócił, Lanckoroński, mąż słusznego wzrostu, lecz sięgający olbrzymowi głową zaledwie do piersi, zawołał:

— Dalibóg, prawdziwy z ciebie święty Krzysztof.

I podziękował mu za to, co zdziałał. Tymczasem maszo- pi przyciągnęli na rzutce do strądu grubą linę. Przywiązali ją do pnia najgrubszej sosny i wzdłuż niej podciągnęli łódź do najeżonej działami burty "Krystyny". Wiele razy odbywali tę drogę zwożąc na brzeg jeńców. Tych pułkownik natychmiast kazał wiązać i odprowadzić między wydmy, by nie zorientowali się, jak słabym ulegli siłom.

Około południa wiatr zelżał i usnęły grzywacze. Jowa patrzący wraz z pułkownikiem z białych szanów na smolistą łódź pływającą bez ustanku między wrakiem a strądem, oparł się o lufę działa i rzekł basem:

— Robi się glada. Przy takiej ipogodzie z pewnością zdążymy do wieczora zwieźć resztę jeńców.

Tak się też stało. Nim słońce zaszło, przywieziono osta

tnich krańców: dwóch kapitanów. Jeden z nich był dowódcą okrętu, drugi komendantem morskiej piechoty. Obaj zdjęli z głów kapelusze ze strusimi piórami, nisko ukłonili się panu Lanckorońskiemu i oddali mu swe szpady.

— Tego się ipono wa ćpa nowie nie spodziewali, że ich piechota do niewoli weźmie — uśmiechnął się i podkreślił węża polski pułkownik spoglądając z wyżyn szańca na pochylone długowłose głowy Szwedów.

W miedzianym świetle zachodu, w lekkiej wieczornej bryzie pu*szkarze przy działach i piechurzy stojący pod wydrami w karnym ordynku podnieśli tryumfalny o- krzyk:

— Hura! Niech żyje jegomość oberszter! Niech żyje pan Lanckoroński!

Nazajutrz zbito tratwy, by przetransportować z “Kry styny” ciężkie kartany. Niestety z powodu wielkiej fali udało się przewieźć na brzeg tylko dziewiętnaście armat.

Samą “Krystynę” musiano podpalić i reszta dział wraz z wrakiem poszła na dno. Ale łup i tak był sowity, zważywszy że oprócz dział Polacy zdobyli jeszcze wielkie? ilości kul i beczek prochu. Wszakże jastarnicy najbardziej radowali się ze strzępów lin i żagli* które pułkownik pozwolił im zedrzeć z masztów ogołacanego wraka.

— Zadowolonyś z partu? — zagadnął* krotochwilnie Lanckoroński brodatego olbrzyma, gdy ten stojąc w gromadzie maszopów przyglądał się swej zdobyczy.

— Jo! — odparł Jówa. — Mamy sprzęt, tedy będzie i maszoperia, jak jeno nasi z wodnej powrócą armaty.

A potem poprosił, by nie komu innemu, tylko jemu, Jakubowi i Klemensowi wolno było odwiedzić pana ober- sztera przez Mały Wik do puckiego zamku.

& inęło srebrne babie lato. Nadeszły zimne dni. W chłodnym blasku słońca jaśniały piaszczyste wydmy, na których dźwigała «ię z gruzów Jastarnia. Południowo-wschodni wiatr niósł ipo Małym Morzu sinawą bryzę.

Na zatoce całymi dniami ciemniały rybackie łodzie, tego bowiem roku podeszła gęsta ławica śledzi aż pod same Jastarnickie Kolano i połowy były niezwykle obfite. Wystarczyło, że rybak zapuścił kosz w wodę, a wyciągał w nim kilka kop śledzi.

— To chyba przez tę wojnę namnożyło się tyle ryb — mówił Jówa do swych maszopów. — Nie pamiętam takiej ławicy, choć łowię w Jastarni już z okładem pół kopy roków!

— Bóg zesłał nam te dobre połowy — twierdził Jakub Długi. — Żeby nie to, tedy byśmy przez zimę z głodu pomarli. A przecie musimy nie tylko dla nas nałowić, ale i dla tych wszetkich białek, starków i dzieci, co to ich żywiciele nie wrócili jeszcze z wojny.

Siwemu Piotrowi przypomniał się syn i łzy potoczyły mu się po policzkach. Tyle nasłuchał ‘Się od szypra Klemensa i Jakuba o swym Józku, który wraz z Domieni- kami służył na “Wodniku” i podczas oliwskiej bitwy cudem uszedł śmierci na pokładzie “Solen”.

Zapłonęły pierwsze gwiazdy. Zaskrzypiały w dulkach paczeny. Czółna pospieszyły do brzegu. Z morza wypłynęła ruda tarcza księżyca. Przy jego świetle na strądzie maszopi podzielili się

sprawiedliwie połowem i poszli do checz. W każdej, z nich mieszkało po kilka rodzin, bo dla wszystkich nie zdążono jeszcze wznieść osobnych chałup,

Jówa otworzył drzwi swego domostwa i z kilkoma maszopami wszedł do ciemnej, nie bielonej izby. Oświetlał ją ogień płonący w czeluści kominka i skwierczące łuczywo.

— Pochwalony — powiedział zdejmując mucę.

— Na wieki wieków — odparła Barbarka mieszając chochlą zupę kipiącą w garnku na okopconym trójnogu. — Siadajcie, ojc. Zaraz będzie wieczerza.

Siedli pod ścianą. Stara Kąkolowa, ciotka Dawida, podała im wkrótce gliniane miski z gorącą strawą. W milczeniu zaspokoili głód, a potem zaczęli gwarzyć. Skwierczało łuczywo. Jego wysoki płomień tryskający niemal pod pułap oświetlał ogorzałe, brodate twarze maszopów i bielsze liczka białek, które siedząc w kucki wsłuchiwały się z zapartym tchem w słowa barczystego szypra. On zaś prawił o rejsie do Kołobrzegu, przedarciu się przez blo-

kadę, walce pod Oliwą, niebezpieczeństwach czyhających na królewskich okrętników.

— Kiedy nasze knopy wrócą? — rozzaliła się Kąkolowa.

— Jak Szweda dobiją — odpowiedział szyper.

— Do tego czasu sami mogą zginąć.

— Wrócą, wrócą — uspokajała ją Barbara. — Jenó mój Piotr nie wróci. Żebym choć wiedziała, gdzie jego grób...

Białki pociągnęły nosami.

— Tak to je na wojnie — pokiwał łbem stołem. — Jedni giną na morzu, drudzy na lądzie i nikt nie wie, gdzie ich grób.

Milczenie zapanowało w rybackiej checzy.

— No, Klemens — przerwał je w końcu szyper. — Idź z ojcem na strąd!

Nie zapomniał o powierzonyj mu straży jastarnickiego brzegu. Co dnia wyznaczał strażników, a kiedy pod koniec jesieni powiał lodowaty północny wiatr i połowy ustały, bez przerwy niemal z maszopami patrolował po wybrzeżu.

Tak mijały dni. Któregoś styczniowego ranka, gdy dmuchnął mroźny ost, zza helskiego cypla wypłynęło siedem wielkich naw. Sunęły pod rozwiniętymi żaglami. Na masztach powiewały bandery z białymi orłami. Maszopi stanęli na zmarzniętym strądzie.

— Ten pierwszy to “Król Dawid” — rzekł szyper.

— Dokąd oni i płyną? — zapytał siwy Roch.

— Idą na zachód, gwesno do Niemiec. Przecie powiadał w Nadolu nasz Klemens, że będą pomagać niemieckiemu cesarzowi.

— Jo! — skinął syn Rocha. — Tak w Gdańsku gadali.

— Jezus, Maryja! — rozszlochał się zgrzybiały Piotr. — Tedy wysyłają naszych knopów, żeby się bili za kwe- krów?

— Grom z tym — zaklął Jówa. — Jesz tu. wojna się nie skończyła, a naszą wodną armatę wysyłają kwekrom na pożarcie.

Rybacy ze zdumieniem i żalem patrzeli na flotę sunącą wzdłuż jastarnickiego brzegu. Zygmunтови marynarze weszli na reje i kasztele. Kiwali czapkami ku strądowi.

— To nasi ledze! — krzyknął Jakub. — Żegnają nasz brzeg. Trza powiedziec o tym niewiastom. Niech tu przyr

bieżą. Niech nasze okrętniki jeszcze raz zobaczą swe nen- ki, białki i dzieci.

Rochów Klemens pobiegł do wsi i niebawem wyległy jna brzeg wszystkie jastarniczanki.

— Synku mój! mój chłopie! — wołały (powiewając chustami. — Niech was Bóg ma w swojej pieczy!

Dopiero gdy okręty znikły za Rozewską Głową, rybacy i rybaczki wrócili do checz.

I znów popłynęły jednostajne dni. Nad światem zawisły szare chmury. Małe Morze jpokryło się lodową taflą.

— Żeby też wcześniej przybrał mróz na sile, a lód zamknął Mindę, nasza fldta zostałaaby w kraju — powtarzał szyper.

Jastarnicy polowali na foki, naprawiali sieci. Gdy zaś nadeszły roztopy i jasne świty, śnieg żrebił się ziarnisty a lód porowaty, gdy zachodni wiatr oczyścił z kry zatokę i chmary północnego ptactwa odleciały ku Skandynawii, maszopi wyruszyli z niewodem na przybrzeżne połowy łososia. W bezsilnej złości patrzeli na Gustawowe okręty płynące bezkarnie wzdłuż brzegu.

— Drugiemu dobrze zrobić, a sobie w mucę narobić — przytaczał stołem stare przysłowie. — Żeby król jegomość nie wysłał był naszych okrętów kwekrom na pomoc, toby te ipurtki nie ważyły się tu przyplynać. Z tej przyjaźni z Niemcami tyle będziemy mieć, ile pies uradzi na ognie.

Wojna trwała, a Zygmuntove nawy nie wracały. Nie nadpłynęły i późną jesienią, kiedy Jówa «potkawszy w Pucku sołtysa Pomieczyńskiego dowiedział się odeń, że w Starym Targu podpisano rozejm ze Szwedami.

— Nie cieszy mnie taki niby „pokój” — oświadczył po powrocie swym maszopom. — Szwed zatrzymał naszych kilka miast. Nie trza było tych naw iposyłać cesarzowi, a przepędziliby my wroga tam, gdzie się foki wygrzewają na kamieniach w wiosennym słońcu.

Był wściekły. Wyprawiwszy się do Pucka, by za ryby kupić dla jastamików mąki, wstąpił do checzy Selinów. Myślał, że może tam dowie się czego o Sulickim, ale wdowa otworzyła tylko ze zdumienia szeroko oczy.

— Nie wiesz, że go ubili? — zapytała.

— Zwłok jego przecie nikt nie oglądał — tupnął skor- niem w gniewie i powiedział: — Barbarka jest u mnie

w Jastarni. Jakby o nią kto u was pytał, tedy powiedzcie mu, gdzie jej szukać ma.

Jak ostatniej deski ratunku czepiał się nadziei, że Piotr ocalał. Utwierdzał też w tej myśli Barbarkę, która coraz częściej wspominała klasztor żarnowieckich panien. Umiłował ją jak rodzoną córkę i nie mógł znieść myśli, że chce zamknąć się na zawsze za wysokimi, czerwonymi murami. Nie mógł też pogodzić się z tym, że podczas zimy jego przybrana córa powtarzała raz po raz: ,

— Wojna się skończyła, a Piotra nie ma. Na co mam i dłużej czekać? Sami powiedzieliście tam w Nadolu, że skoro do pokoju iprzyjdzie, będę mogła postąpić wedle swej woli.

Temu nie potrafił zaprzeczyć. Rzekł jednak:

— Jeno, że cię, córo, tam w klasztorze wcale nie pragną. Toć powiedziałaś przeoryszy, kędy będziesz. Miała cię powiadomić, skoro jeno miejsce w nowicjacie dla ciebie znajdzie, a dotychczas znaku nie dała.

— Sama tedy pójdę na wiosnę do Żarnowca przepytać,

czy mnie przyjąć mogą — /postanowiła. ¹

— Sama nie pójdiesz — krzyknął — odprowadzę cię- Przy sposobności zajrzym do Nadola, odwiedzim Pieniążka i twą bratową. Może tam albo po drodze dowiemy się czegoś, co twój zamiar odmieni.

Z nadejściem ciepłych wiosennych dni wyruszyli na , ląd. Szli rozmokłymi drogami iprzepytując napotkanych ¹ ludzi o Sulickiego. Nazwisko to budziło nienawiść i trzeba było długo tłumaczyć, że chodzi nie o zdrajcę Barto- |sza, lecz o Piotra — komendanta kaszubskich wolontarzy.

Nikt nie mógł im niczego nowego o nim (powiedzieć. Dopiero w Kartoszynie, gdy zaszli do nadjeziomej zagrody gbura Białka, gospodarz wysłuchawszy ich rzekł:

— Ja tam nic nie słyszałem.. Wszelako wczora wrócił i do wsi jeden wojak z pachółkiem. Długo wojował, tedy i może spotkał gdzie tego, kogo «szukacie.

— Cóż to za wojak? — zapytał Jówa.

— Szlachcic ze świecińskiego zaścianka.

— Gdzie on mieszka?

— A, o tam, w tej zagrodzie pod bukiem.

Poszli do wskazanego domostwa i zastali w nim... Robakowskiego. Wolontarz gościnnie ich powitał i poczęstował miodem, ale niczego nie potrafił dodać do tego,

o czym już mówił w mrzezińskiej kwaterze pana Karpińskiego. Zapłakała Barbara.

— Nie płacz — litował się szyper. — Nie płacz, córko moja. Powiedz sobie: “Bądź wola Twoja”...

— Ja nie płaczę — .pociągnęła noskiem.

— Skąd tedy te łzy?

— One same mi z oczu ciekną.

Pachołek w czerwonym kabacie, czyszczący szablę na ławie ipod bielonym glinianym piecem, odłożył oręż, wstał

i zbliżywszy się nieśmiało do stołu pociągnął szlachcica za rękaw dragońskiego koletu.

— Czego chcesz, Walek? — zapytał Robakowski i napełniając zielone szklanice złocistym miodem objaśnił swych gości. — To Walenty. Gołowas jeszcze, ale żołnierz dobry. Był w regimencie pana Jakuba Wejhera, teraz zaś pospołu ze mną w dragonach pod komendą rotmistrza Karpińskiego służy.

— Właśnie gdy służyłem pod komendą pana Wejhera — odezwał się Walek — spotkałem jednego oficera, który pod Lubieszewem ranion, do niewoli się dostał, uciekł z niej wszelako i do naszej zaciągnął się chorągwi.

Barbara zerwała się z zydła.

— Jako się zwał? — wyjąkała.

— W pułku zwano go porucznikiem Mroczkim, bo zawsze mroczone miał czoło. Tyle wiem, że Piotr mu było.

Stołem huknął w stół pięścią z radości.

— Nie mówiłem ci, dzeusie, że twój Piotr żyw?!

Miszkówna ścisnęła ramię pachotka.

— Powiadaj jak on wyglądał? — prosiła chcąc się upewnić, czy ów porucznik Mroczek jest

Sulickim.

— Jak wyglądał? — i powtórzył Walenty. — Był wysoki, brodę miał i szeroką bliznę na skroni.

Posmutniała dziewczyna.

— Piotr nie miał takowej blizny.

— Ale teraz mai — krzyknął Jówa. — Przecie te fo- kojady wtedy pod Lubieszewem w głowę go zraniły.

— Rzeczywiście — przyznała — sama nie wiem, co mówię. W głowie mi się mąci. Mój Piotr żyje! O, Panno Swarzewska! Rzeknij mi wacpan — zwróciła się do Robakowskiego — kędy kwateruje ów Wejherowy regiment, a w tym momencie podążę tam, by mojego miłego obaczyć.

— Daleko musiałyby wacpanna iść — odparł szlachcic. — Okrutnie daleko.

— Na Boga! A to czemu?

— Bo, kiedy nas (pod Puck odkomenderowano, imć Jakub Wejher z hetmanem na Ukrainę pociągnął

— O dolaż moja! Ta Ukraina pono niemal ija krańcu świata leży. Czemuż to mój narzeczony do was nie powrócił?

— Miarkuję — zaczął tłumaczyć woiontarz — iż kiedy z niewoli zbiegł, my stali pod Brodnicą. Nie dziwota, tedy że przystał do pierwszego napotkanego regimentu.

— Jednego wszakże nie pojmuje.

— Czegóż to?

— Że znaku życia mi do tej ipry nie dał, że w nasze strony nie powrócił, skoro rozejm zawarto.

— Na Ukrainie nigdy (pokoju nie ma. Taki zaś los żołnierza, że nie on, a Rzeczpospolita krokami jego kieruje. Nie tam idzie, kędy chce, jeno tam, dokąd go ichmoście hetmany ipoślą.

— Służba nie družba — przytaknął szyper, wychylił szklanicę, otarł wąsy i dodał wesoło: — No, ale my tu gadu, gadu, a moja córka spiesz się do klasztoru, habit żarnowieckiej panny oblec. Dziękujemy tedy wam pięknie za nowiny i się z wami żegnamy. Chodź, dzeusie. Przeorysza na cię czeka.

Zmrużył krotoczwilnie oko, Barbarka zaś z uśmiechem pokręciła przecząco głową:

— Już mi do Żarnowca nie pilno. Odwiedzimy jeno bratową w Nadolu, a potem do domu powrócimy. Tam czekać będę na tego, któremu wierność obiecałam.

— Daj, Panie Boże, byś się go, waćpanna, rychło doczekała — życzył jej pan Robakowski odprowadzając wraz z Walentym niespodzianych gości do wrótni. — Daj Boże, albowiem jako zmiarkować zdołałem, godnaś naszego dzielnego komendanta.

W Nadolu nie zastali ani Michała, ani Zycha. Michałowa białka, wciąż korzystająca z gościny pocziwego Pieniążka i jego córki, (powiedziała, że obaj bracia Domienikowie zjawili się tu co prawda pod koniec zeszłego roku,

ale jeno ipo to, by oddać jej żołd, który otrzymali przed wyruszeniem w daleki rejs do Wismaru.

— Wrócą pewno na twoje wesele, Barbarka! ■— wtrąciła Pieniążkowa swe trzy grosze.

— A huczne będzie weselisko — dodał jej ojciec — boć przecie teraz paniczowi cała ojcowizna się dostanie, jako że Hejnrzych Sulicki na puckich uświerkł mokradłach...

— A Bartosz? — zapytała blednąc na wspomnienie swego prześladowcy.

— Pozwano go na sąd i zbiegł.

— Dokąd?

— Rozmaicie ludzie gadają. Jedni głoszą, że do Szweda popłynął, insi zaś, iż do Brandenburgii pod elektorską schronił się opiekę.

— Któż tedy w Sulicach gospodarzy? — zaciekawił się Jówa.

— Jejmość Połchowska, paniczów ciotka, ale takie to i babskie gospodarstwo — skrzywił się gbur.

— Jeśli pan Piotr w iporę rządów nie obejmie, tedy wszystko w perzynę pójdzie.

— Nie stoję ja o te majątności — szepnęła Miskówna.

— Boś młoda. Młodym zawždy się zdaje, iż z samego miłowania żyć można. A przecie co majątek, to majątek.

— Naszym majątkiem będą robotne ręce i serca czyste.

— Gwesno. Wždy taka włość jak Sulice na dodatek nie zawadzi.

— Może tedy i dla mnie znajdzie się w niej jaki ką, gdzie bym mógł na starość moje gnaty przytulić — przy- mówił się szyper. — Żal by mi było ;się z tobą, córko, rozstać. Tyś mi jedyna na świecie ostała. Powiedz, nie wyprzesz się mnie, kiedy stan odmienisz i panią będziesz?

— Ojcz — obruszyła się — że wam też takie słowa przez gardło przejść mogły.

— Wstydu ci nie zrobię — ciągnął szyper. — Człowiek ze mnie bywały. Z nieboszczykiem admirałem, ba, z samym jegomością królem gadałem.

Uściskała go serdecznie. Przytuliła głowę jasnowłosą do jego szerokiej piersi.

— Byliśmy razem w złej, będziemy razem i w dobrej doli. Chyba, że...

Podniósł brwi.

— Uo takiego cncesz jsnow rzec?

— No, bo jakby ^ Zaczęła się jąkać — jakby Piotr z owej Ukrainy nie wrócił, to ja tak jako ślubowałam.-

— Rozumiem, rozumiem—zaśmiał się pewny, że wszystko się dobrze skończy. — Jak nie wróci, to sam cię do klasztoru na własnej krzepce w karzni zaniosę.

Nie przypuszczał, że pożałuje tej obietnicy. A jednak rok .minął i jakoś o paniczu z Sulic nie było ani słuchu, ani głuchu. Niepokoił się poczciwy brodacz. Nie mógł znaleźć sobie miejsca w jastarnickiej checzy, aż wreszcie odział się w okrętniczy kolet, włożył mucę na głowę, wziął topór na ramię i powędrował na ląd.

Przepytywał o Piotra chłopów w Sulicacji, izaszedł do Kartoszyzna i Nadola, ale niczego się nie dowiedział. Zmartwiony niepowodzeniem postanowił puścić się przez żarnowieckie mokradła ku morzu i wrócić do Jastarni strądeiTL

— Może bita jaka się po drodze trafi — mruczał przedzierając się przez wydmy.

Stanąwszy na szczycie .spojrzał na morze, po którym płynęły do Gdańska kupieckie żaglowce, a (potem obrócił ♦się ku Białej Górze i dostrzegł, że piaszczystym brzegiem brnie gromada ludzi. Zdziwił się:

— Skąd ci mogą wracać?

Na czele nadchodzących dreptał spiesznie małymi krokami bosy człek. Skorznie niósł na ramieniu, podpierał się kijem. Za nim ciągnęło gęsiego z piętnastu chyba chłopą, ale ten pierwszy przykuł szyprowe spojrzenie.

— Żelk! — krzyknął Jówa i pędem puścił się z wydmy. Tamci przebyli tymczasem w bród rozlaną wodę Piaśnicy i bosman z “Króla Dawida” również poznał olbrzymą.

— Jówa] — wrzasnął, podskoczył i pobiegł mu naprzeciw.

W kilka chwil wynędzniały, odziany w wyblakłe strzępy kaftana, ale zdrów i wesół stanął przed jastarnikiem, zrzucił skorznie z ramienia i zaczął tańczyć. Piach się kurzył i oblepiał mu mokre łydki. Jówa patrzył na to i łzy wzruszenia toczyły się mu po ogorzałych «policzkach, a Żelk wywijał kijem, robił przysiady, znów się podry

wał i machał kosturem tuż przed oczami stolema, jakby wzywał go do fechtunku.

— Skrzyżujmy kordy krzyżową sztuką! — pokrzykiwał. — Krzyżową sztuką goliatów tłuką.

Szyper rozłożył ręce, Żelk zaś skoczył mu w objęcia.

— Drehu miły — rozczulił się wielkolud. — Takem rad, że cię w zdrowiu i wesołości oglądam!

— Ja, jak ta ryba w wodzie! — zapewnił Żelk całując Jówę. — Cieszę się, póki żyję!

Nadeszła reszta niedobitków z Zygmuntovej armaty. Byli wśród nich Dawid Kąkol, Piotrków Józk i Dudek.

— W łachmanach z wojaczki wraca«sz — współczuł mu Jów. — Mniej zarobiłeś na wojnie niżli na flisie. Coście zrobili z żołdem? Gdzie wa'sze okręty?

— W trawie — burknął oryl.

— W trawie? — zdziwił się szyper.

— W Traweminde — poprawił flisaka Dawid Kąkol.

— Niech tedy będzie minda — (parsknął Żelk.

Jów. ścisnął wszystkich po kolei. Wzruszyło ich to

spotkanie. Nawet wielżonowi odechciało się żartów, klęknął na piachu, ucałował ojczysty brzeg.

— Strądzie mój, strądzie! — mamrotał. — Nie ma drugiego takiego jak ty na całym świecie! Gorzko smakuje cudzy chleb, oj gorzko! Odpłynęli my stąd na dziewięciu nawach, a ipiechotą wracać nam przyszło.

— Na dziewięciu? — podjął ze zdumieniem szyper. — Widziałem z jastarnickich wydm, żeście w siedem okrętów ku Wismarowi ciągnęli.

— Dwa później nam podesłano — wyjaśnił Kąkol.

— Na ztratę — dodał Dudek.

— Jak do niej doszło? — spytał Jów.

— Zrazii — powiedział Dawid — Niemcy przyrzekli, że nadciągną hiszpańskie okręty. Ale wierz tu Niemcu. Nie nadpłynęły. Mieli my, tedy jeno sześć obszarpanych niemieckich kurpów do pomocy.

— Niewielka to siła — stwierdził szyper.

— Wszelako dali my się Duńczykom nieraz we znaki — wtrącił Piotrków Józk. — Zawarli z cesarzem pokój i odpłynęli spod Wi*smaru.

— Jedni poszli, drudzy przyszli — mruknął Kąkol.

— Kto? — niecierpliwił się stołem.

— Szwedy! “Król Dawid” wyszedł z portu na patrol,

a tu naraz wielkie szwedzkie orlogi obskoczyły go jak ogary zająca. Ledwie my im zdołali ujść i do Trawemindy się schronić, gdzie też zaraz ipołożyli na nas łapę lubeczanie i swoją banderę na naszym grotmaszcie kazali wywiesić.

— Ich samych warto by powywieszać.

— Gwesno! — wmieszał się do rozmowy bosman Żelk podźwignawszy się z klęczek. — Ale że tego jmy zrobić nie mogli, tedy m splotał tym kwekrom fifa. Zmówiłem się z załogą i nocą wzięli my nogi za pas. Jeno kilku gdańszczan ostało.

— Bo reszta z głodu i chorób zmarniała albo wyginęła, kiedy my się po drodze od gras&ntów opędzać musieli. Wiesz przecie^ że w Meklemburgii się biją... Niby to p wiarę.

— Jo, a purtk się z tego śmieje — kiwnął głową olbrzym i zagadnął jbosmana o losy Ź pozostałych naw.

— Szwedy je w Wfcmarze zamknęli — padła odpowiedź. — Stamtąd chyba już nikt s\ą nie wydostanie. Przeklęta przystań.

— Za dwa lata służby wynieśli my z tego portu jeno dziury w skórze i kieszeniach — stwierdził z goryczą Dudek.

Z flisaków on jeden powrócił do kraju i nie bardzo wiedział, czego się chwycić.

Wyczuł to Jówa. Kiedy ruszył z okrętnikami brzegiem Bałtyku ku Wielkiej Wsi, zapytał:

— Co ty, knopie, będziesz teraz robił?

— Bo ja wiem? — wrzucił oryl ramionami. — Pod Sandomierz na pańską włość nie chce mi się wracać.

— Tedy chodź ze mną do Jastarni — zaproponował mu szyper. — Zda mi się taki maszop. Będziem pospołu rybaczyć. Chcesz wieść żywot nieraz głodny, wždy wie- dno swobodny?

Uradował się Dudek. Uścisnął prawicę brodacza.

— Dziękuję ci, drehu! Dziękuję ze szczerego serca. Nie sposób byłoby mi już teraz żyć bez morza.

W trzy lata później, kiedy na mierzei zaczęto wznosić władysławowski fort, Barbara ostatecznie pożegnała się z nadzieją, że Piotr wróci. Ósmy rok mijał od chwili,

gdy się rozstali. Musiał więc zginąć gdzieś w dalekim świecie, skoro nie dał przez cały ten czas znaku życia. Nawet Jówa nie mógł temu zaprzeczyć. Chodził nad Szeroką Depkę, gdzie cudzoziemski

inżynier i jego pomocnicy krążyli na wydmach z mapami, cyrkłami, mierniczymi sznurami. Przepytywał oficerów i bosmanów zwożących skutami pale, lecz nikt o Sulickim nie słyszał.

— Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie — mamrotał wróciwszy do checzy i całował krzyżyk rózańca.

Że zaś przeorysza Knutowna powiadomiła wreszcie wychowankę, iż może ją przyjąć do klasztoru, dziewczyna uprosiła szypra, by odwiózł ją do Dębek.

Przy sprzyjającym wietrze dopłynęli do ujścia Piaśni- cy, *skąd uściskawszy na pożegnanie serdecznie swego opiekuna sama już ruszyła w stronę Żarnowca.

Po drodze zatrzymała się w miejscu, gdzie stała niegdyś Miskowa zagroda. Z zabudowań nie pozostało śladu. Bujne trawy zarosły kamienie podwalin. Jedyne stary piec, w którym zginęły jej siostry i szyprówny, sterczał wśród zdiczających wiśniowych drzew¹.

Popatrzała na niego i przez zieloną blekę, gdzie w młodości bieliła płótno, poszła na mogiły pod wysoki krzyż z pamiętną dla niej datą. Klękała, ukryła twarz w dłoniach i próbowała się modlić. Ale na próżno powtarzała słowa modlitwy. Nie mogła się skupić. Przed oczami jawiły się jej ciągle obrazy z przeszłości. Przypominało się jej pierwsze spotkanie z Piotrem, jego powrót z Gdańska, nocne odwiedziny po ucieczce z krokowskiego zamku...

— Nie było nam przeznaczone szczęście na tym padole — myślała tłumiąc szloch. — Będę się wszakże modlić, skoro jeno klasztorna furta za mną się zamknie, byśmy się choć na tantym świecie spotkali...

Wtem usłyszała cichy tętent koński i głos dziwnie znajomy:

— Barbaro]

Zerwała się z klęczek, odwróciła głowę i znieruchomiła. W pierwszej chwili wydawało się jej, że śni lub że duch się jej pojawił.

— Barbaro! — zawołał po raz drugi długobrody jeździec w łosiowym, oficerskim kolecie.

— Jezus, Maryja! — szepnęła. — To ty?

Przybysz zeskoczył z konia, porwał ją w objęcia, całował jej usta, oczy, szyję.

— Patrzę na cię i oczom nie wierzę! — mówił między jednym a drugim pocałunkiem. — Tyle lat cię opłakiwałem rzewnymi słozami, a tyś żywa! Przemów, serce moje, bym poznał, że to nie sen, jeno jawa!

Wzruszenie wszakże tak ścisnęło jej krtani, że ledwie zdołała wykrztusić:

— Miły, miły mój...

Przygarnął jej głowę do piersi.

— Żebyś to wiedział, że żyjesz — wzdychał głaszcząc ją po jasnych włosach — wtedy lotem ptaka bym tu wrócił, miast na dalekich rubieżach śmierci szukać.

— Z Ukrainy wracasz? — zapytała odzyskawszy zdolność mówienia.

— Byłem tam, wszelako później wojna zawiodła mnie pod Smoleńsk i Białą, kędy mego pułkownika pana Jakuba Wejhera od miny zasypanego wygrzebałem własnymi rękami spod zwałów ziemi. Ślubował on za to ocalenie Panu Bogu kalwarię w dobrach swych ufundować, jam zaś umyślił, że księdzem przy niej останę.

— Księdzem chciałeś ostać, mój miły? — podniosła na niego oczy. — Ja zaś właśnie do klasztoru się wybrałam, by mniszy habit oblec i do śmierci o zbawienie duszy twej, o wiekuiste szczęście dla ciebie się modlić. Dziś by się za mną furtka na wieki zawarła.

— Do Żarnowca szłaś?

— Do Żarnowca.

— No, to idźmy tam pospołu. Trza co rychlej na zapowiedzi dać. Trudno mi doczekać się, aniele ty mój, momentu, w którym nam ksiądz stułą ręce zwiąże.

Szumiały gałęzie chojarów, szemrało listowie siwych buków. Po konarach i pniach przemykały rude płomyki wiewiórek. Śpiewały leśne ptaki. Wierzchowiec, puszczone luzem, przygiął szyję ku ziemi i szczypał zieloną murawę. Sulicki poklepał go po grzywie.

— No, mój wierny towarzyszu! Poniesiesz mas do klasztoru żarnowieckich panien?

Zarżał bojowy rumak. Szlachcic posadził narzeczoną na jego grzbiecie i włożył stopę w strzemię.

— Zali nie należałoby, miły mój — zapytała nieśmiało

!

Barbarka — nim na zapowiedzi dasz, pokłonić się twej pani ciotce i o błogosławieństwo (poprosić?

— Racja — uśmiechnął się. — Święta racja, -królowo moja. Mówili mi w Pucku na grodzie, że ciotka żyje i ipo Bartoszowej niesławnej ucieczce rządu na naszym folwarku sprawuje, alem ja, niewdzięcznik Sulice minął, by wprzódy zajechać tu i raz jeszcze szczęście swe utracone opłakać.

Skoczył na kulbakę. Pojechali gwarząc po drodze o Andrysie Kurze, który już przed dwoma z okładem laty powrócił z braćmi do Odargowa, o dragonie Darcu, ciotce Marcie, bartniku z Warblina, sołtysie Pomieczyskim, Robakowskim, Jówie i jastarnikach.

— Wszystkich tych, co przeżyli ów krwawy sztorm, za- prosim na nasze wesele do Sulic — planował szlachcic.

— Mniemasz, że dobrze będą się czuć na dworskich pokojach? — szepnęła panna i poprosiła: — zróbmy wesele u mej bratowej w Nadolu. Zeszłego roku, kiedy Zych przyniósł wieść, iż Michał pomarł w szwedzkiej niewoli, wyszła ona za gbura Pieniążka. Domostwo tam duże, gospodarz gościnnie, chłopów i maszopów nic nie będzie krępować.

— Zgoda, jeśli takie twfe życzenie — uśmiechnął się Piotr.

Wjechali już na sulickie grunty. Rataje orzący pole poznawszy swego panicza porzucili woły i sochy. Wybiegli na drogę. Kłaniając się i pokrzykując na wiwat odprowadzili go pod sam dwór. Ciotka Połchowska stanęła na ganku.

— Piotr! — krzyknęła z radością. — Wróciłeś nareszcie, mój ty najmiłszy!

— I nie sam — odparł zeskoczywszy z konia i pochyliwszy się do jej rąk. — Przywiozłem ci, pani ciotko, wybrankę serca mego. Upraszam, byś afektem serdecznym ją obdarzyć raczyła.

Szlachcianka popatrzała na Domieniikównę.

— To tedy jest owa Barbara? Być nie może!

— Dlaczego?

— Boć niepocziwy brat twój Bartosz gadał, że szpetną dziewczkę chcesz poślubić, a to prawdziwa królewna. Nie dziwię się, żeś dla niej głowę stracił.

Na tydzień przed weselem wysłał pan Piotr konnego trębacza, by objechał okolice i zaprosił gości na ślub. Odwiedziwszy Kartoszyno, Odargowo, Swarzewo, Puck, Warblino i Kielno, co mu kilka dni zajęło, wysłannik ruszył do Jastarni. Ledwie wszakże minął Zieloną Depkę, spotkał Żelka i kilku wielżan idących Małym Strądem. Na barkach nieśli rydle i topory.

— Dokąd, chłopie, jedziesz z tą trąbą? — zapytał go dziwnie ponuro beztroski zazwyczaj bosman z “Króla Dawida”.

— Do Jastarni! — odparł jeździec. — Mam prosić szypra Jówę, by pojutrze na wesele do Nadola się stawił.

— Jówę?! Toś się, człowiecze, wybrał w sporę!

— Czemu?

— Bo jeśli stołem przyjdzie na owe weselisko, to chyba z własną głową pod pachą.

— Nie pojmuję! Co gadasz?

— Toć mówię wyraźnie: ściąć go dziś mają, jak tylko ojciec Grzegorz, po którego już barkę do Pucka posłano, wypowieda go i na śmierć przygotowuje. Obraził jegomościa Pleitnera, tego co to na rozkaz króla Władysława port za Szeroką Depką buduje. Sklął go od purtków, twierdząc, iż złe obrał

miejsce na ową przystań. Ba, i rękę nań podniósł. Za to ma być mieczem ścięty.

Zawrócił tedy goniec i wraz z wracającymi z niedawno zaczętej budowy chłopami podążył ku Wielkiej Wsi. Tam minął ich wspaniały orszak towarzyszący karocy, w której siedział dostojny mąż w czarnych aksamitach i kapeluszu ze strusimi piórami. Trębacz się nisko skłonił

i ustąpił z drogi. Podobnie uczynili wielżanie. Kiedy wszakże kawalkada zginęła w kurzawie, Żelk pędem puścił się za nią koleinami głęboko w piachu wyżłobionymi przez koła powozu.

W Sulicach wieść o skazaniu . brodatego szypra na śmierć wstrząsnęła Piotrem i Barbarą, nie sposób wszakże było odwoływać wesele.

— Jówa sam by tego sobie nie życzył — tłumaczył Sulicki narzeczonej, która prosiła, by odłożyć ślub. — Dla nas będzie ta uczta zaprawiona goryczą. Nie będziemy się bawić ni płasać, wszelako goście się z wszech stron zjadą

i podjąć ich trzeba.

Za dwa dni więc w oznaczonym terminie przed świtem

ruszył z Nadola korowód kolasek, wozów, jeźdźców. Kiedy drogą wiodącą brzegiem jeziora dojechali do brzań- skiego lasu, konie czterech družbów jadących na czele orszaku stanęły jak wryte. Mimo (poganiania nie chciały ruszyć z miejsca.

— Purtk się położył na drogę — mruknął stary Miko- łajk Kur złażąc z wozu. — Diachel nie chce dopuścić nas do kościoła. Ale ja mam na niego sposób.

Wyjął z wozu naczynie ze święconą wodą, pokropił nią drogę tuż przed końmi. Lecz nic to nie pomogło. Konie stały jak zakłète. Pan Robakowski z Pomieczyskim, Leśniewskim, Andrysem i Maciejem Kurem zeskoczyli więc z kulbak i z gołymi szablami w dłoniach poszli zbadać, co to za licho ich zatrzymało.

— Droga zda się wolna — krzyknął swarzewski «sołtys.

— Bo purtka człek nie zobaczy, ale koń go poczuje — zrzędził na wozie ojciec Andrysa. — Nie ma rady! Skoro woda święcona nie pomogła, musimy zawrócić!

Wtem z boku drogi, od jeziora zapiał kur. Zmieszani weselnicy trwożnie spojrzeli w tamtą stronę. Zaczynało świtać, lecz nadwodne mgły nie pozwoliły im niczego dojrzeć. Po chwili z tego samego miejsca zawył wilk. Konie się wspięły na zadnie nogi. Zaczęły tpołoszyć się

i kwiczeć.

— To Żelk — krzyknął nagle Zych Domienik znający figle bosmana z czasów służby we flocie.

Z trzcin i mgły wynurzył się bosman z dwoma jeszcze ludźmi. Jednym wysokim jak dąb, drugim niższym.

— Jówa! — zawołał Andrys. — To ty, szyprze, żyjesz?

— Jo! — odparł stołem. — Żyję i razem z moim dre- hem Dudkiem na ślub mojej miłej córki przychodzę.

Barbarka usłyszawszy głos swego opiekuna wyskoczyła z kolaski, w której siedziała wraz z ciotką Połchowską, podbiegła do jastarnika i ze łzami ucałowała jego rękę.

Tymczasem Żelk z Dudkiem pokazywali Kurowi, w jaki sposób zatrzymali weselny orszak.

— Zdrzeta le! Uwiązali my tu do drzewa cienki sznur, a sami się skryli z drugiej strony drogi. Jakżeście nadjechali, to my sznurek podciągnęli. Człowiek by go nie

, dojrzał, ale koń spostrzegł i stanął. Potem jak zsiedliście z kulbak, to my znów spuścili sznur na ziemię, żeby go

| nie było widać...

| 317

l

i

— Że też Jówa dał się na taki figiel namówić — kręcił- głową Maciej Kur. — Taki pobożny człek.

— Jakby był ze imną dłużej, tobym z niego dopiero zrobił komedyjanta! — zaśmiał się bosman wdrapując się na wóz odargowianina.

Barbara zabrała Jówę do swej kolaski i kiedy orszak ruszył w dalszą drogę, poprosiła starego, by opowiedział, co za cud wybawił go od okrutnej śmierci. Brodacz zaczął więc mówić jak to za znieważenie cudz-pziemskiego inżyniera postawiono go pod sąd wojenny i skazano na ścięcie, jak ojciec Grzegorz zapewnił go po spowiedzi, że trafi prosto do nieba, jak wreszcie związano go i poprowadzono na plac kaźni nad zatoką, gdzie kat w czerwieni wspierał się na mieczu przy czarnym pniu i stała rota muszkieterów z dobozem.

Mógł łatwo zerwać .postronki, ale poddał się bożej woli. Wysłuchał spokojnie wyroku odczytanego mu przez jednego z oficerów, potem ucałował krzyż podany mu przez spowiednika w habicie i już miał klęknąć na piasku, gdy nagle »pojawił się orszak. Zawarczał bęben. Z karocy wychylił się miłościwie od trzech lat panujący król Władysław IV.

— Poznałem go — gadał szyper — bo w roku 1627, kiedy my wracając z Kołobrzegu przedarli się przez szwedzką blokadę, kapitan Witt przedstawił mnie jegor mości królewiczowi jako największego osiłka w całej wodnej armacie. I on mnie poznał, choć się skuliłem ze sromoty, iż w takiej hańbie mnie widzi. Wysiadł z karocy, zapytał zaim służył na "Wodniku" i z jakiej to przyczyny tracić mnie mają, a kiedym mu wyznał wszet- ko jak na spowiedzi, kazał z pęt mnie uwolnić.

Pokłoniłem mu się do nóg...

— I co dalej? — dopytywała przejęta tą opowieścią jejmość Połchowska. — Powiadajże, dobry człowiecze.

— Ano poszli my razem piechotą tam, kędy ten kwe- kier Pleitner pierwsze pale portu bić kazał — ciągnął szyper. — Ja boszo w ńogawicach jeno i gieźle, z różańcem moim na szyi, a król w koronkach i aksamitach. Powiadam mu jak prądy chodzą i gdzie przystań byłaby najlepsza. Wspomniałem takż, jakeśmy miłościwego pana naszego świętej pamięci Zygmunta z nieboszczykieir. Kresztofem i Miszkaem przy Rozewiu z nawy na łąd zwieźli. Jak król jegomość o tym się dowiedział, zaraz mi trzos ze stoma czerwonymi złotymi dał, którem ci tu też jako wiano, córko moja, przyniósł...

Sięgnął za pazuchę i wręczył wzbraniającej się Barbarce pękaty mieszek z pieniędzmi.

— A skąd się, poczciwy człowiecze, dowiedziałeś o ślubu tego terminie? — zapytała znów stara szlachcianka.

— Żelk, który w ślad za królewskim orszakem przy- bieżał, rzekł mi, iż napotkał trębacza z Sulic do Jastarni posłanego — wyjaśnił olbrzym.

Orszak zatrzymał się właśnie przed klasztorem i czas było wysiadać z kolaski. Pain Piotr w czerwonym kolecie dzwoniąc po kamieniach długim rapierem podał dłoń oblubienicy. Jówa i Andrys »stanęli przy nich i podprowadzili młodą parę do wielkiego ołtarza, na którym jarzyły się woskowe świece. Ksiądz związał nowożeńcom ręce stułą. Z chóru zagrzały organy.

— Veni Creator! — huknął organista, aż szyby zadrżały w kościelnych oknach.

Potem wrócono do Nadola. Przez trzy dni i noce hulano na zabój w Pieniążkowej zagrodzie. Imć Leśniewski

i swarzewski sołtys prawili oracje sławiąc cnoty pana młodego oraz jego urodziwej małżonki. Bosman Żelk zaś płatał swe ucieszne fify. Podskakiwał, ciągnął flisa za przydługi nos, wykrzywił się i tak wyśpiewywał przytupując skorznięmi, że szklanice brzęczały na stołach, a kurz bił z polepy pod niski drewniany pułap:

Dudek z długim nosem, żaba z krótkim włossem...

Sandomierzanin nie przejmował się wcale tymi przyjacielskimi przycinkami. Opowiadał swej sąsiadce przy stole — Pieniążkównie, że znowu wstąpił w służbę króla jegomości i wraz z bosmanem Manuszewskim oraz swym starym przyjacielem Szymkiem, który przed laty przewiózł dzisiejszą pannę młodą z wraka ugrzęzłego wśród helskich wydm na łąd, dozoruje ludzi spławiających przez Mały Wik sosnowe i dębowe bale do budowy wła- dysławowskiej przystani. Wspominał dawne swe przygody na Wiśle, na Bałtyku, w Wismarze, a w końcu rzuciwszy srebrny pieniądz kapeli zaczął się popisywać flisackimi tańcami i mimo przydługiego nosa tak przypadł do ser

ca córce, którą na dołski gbur miał z pierwszego swego małżeństwa, że Pieniążek postanowił niebawem wyprawić drugie wesele.

— Niech tak bądze, niech są żenią — powiedział, kiedy przypadli mu do nóg prosić o zgodę na ślub.

— Wiwat! — krzyknął Pomieczyski i znowu zawrzała zabawa.

Cóż by dodać jeszcze do tej opowieści? Minał krwawy sztorm. Miotani nim ludzie zawinęli do bezpiecznej przystani. Kurowie znaleźli ją w swych odargowskich zagrodach, Jówa wraz z Barbarą i Piotrem w Sulicach, a flis Dudek ze swą wybranką w osadzie, która zaczęła wkrótce wyrastać w cieniu potężnych szańców nowej nadmorskiej twierdzy króla Władysława.

/! -

*

{

I

]

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA W GDAŃSKU

Czytelnik, który sięgnie po piątą książkę Augustyna Necla, przedstawiającą czasy potopu szwedzkiego na Kaszubach, bez względu na wiek i umiłowania znajdzie dla siebie wiele ciekawych faktów i zdarzeń. Entuzjaści przygód będą się cieszyć brawurowymi czynami kaszuoskiego "stolema", sentymentalni westchną nad dziejami miłości Barbary i Piotra, miłośnicy folkloru znajdą wiele przyjemności czytając uroczę gawędy. A wszyscy, którzy wezmą tę książkę do reki, poznają kartkę z dziejów Kaszubów, nadmorskiego ludu wychowanego w uporczywej walce z żywiołem, szorstkiego i twardego na pozór, lecz kryjącego w sercu prawdziwy skarb - umiłowanie wolności i Ojczyzny. *

Dalsze losy bohaterów "Krwawego sztormu" przedstawione są w "Złotyckluczach".

(ze wstępu)

Cena zł 280,-

ISBN 83-215-8276-1